P.9786 Inst. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/310 - 8/311 1973

• « La Culture » • Revue mensuelle •

K. BAGDUR : **CZYTAJĄC "ZARYS DZIEJÓW SOCJALIZMU POLSKIEGO"**

W. GOMBROWICZ : **BYŁEM PIERWSZYM STRUKTURALISTĄ**

A. KRUCZEK : **UWAGI CZYTELNIKA**

J. MIEROSZEWSKI : **MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY**

SPIS RZECZY

Kazimierz Bagdur:	*Czytając „Zarys dziejów socjalizmu polskiego"...*	3
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	17
Kazimierz Wóycicki:	*Poezja i fakty*	31
Stanisław Westfal:	*Radziecki czy sowiecki?*	38
Marek Głogoczowski:	*Kuracja antyszokowa (1)*	45
Grażyna Nowak:	*List z Londynu*	63
Zygmunt Haupt:	*Inwokacja do powiatu Latyczowskiego*	75
Władimir Kazakow (tłum. M. Broński):	*Moje spotkania z Władimirem Kazakowem*	81
Gabriel Laub:	*Największy proces w historii*	85
	WIERSZE	
Anna Achmatowa (przeł. B. Czaykowski):	*U samego morza*	90
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	*Materiały do refleksji i zadumy*	97
Brukselczyk:	*Widziane z Brukseli*	106
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	117
E. Żagiell:	*Na Litwie*	123
W. S.:	*„Lituanus"*	127
Karol Szwedowicz:	*Kronika czeska i słowacka*	128
	SPRAWY I TROSKI	
Alicja Zawadzka-Wetz:	*Spełnione marzenia?*	131
Edward Puacz:	*Jeszcze o Muzeum polonijnym w Chicago*	135
E. Żagiell:	*Korespondencja z Australii*	144
	KRONIKA KULTURALNA	
Józef Czapski:	*Jan Cybis*	151
Conrad F. Namieśniowski:	*Admirał Unrug*	163
Witold Gombrowicz:	*Byłem pierwszym strukturalistą*	165
M. Broński:	*O strukturalizmie*	171
—	*Uzupełnienie nagród emigracyjnych*	173
—	*Komunikat*	173
	SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE	
Adam Bromberg:	*Encyklopedyści (1)*	174
	POLEMIKI	
Józef Mackiewicz:	*Literatura contra faktologia*	179
Józef Lewandowski:	*O krytyce*	184
Janina Katz:	*W obronie własnej*	186
	KSIĄŻKI	
Paweł Zaremba:	*„Dzieje Polski" A. Krzyżanowskiego*	189
Adam Kruczek:	*Uwagi czytelnika*	199
Janina Katz:	*Oczyść to miejsce w którym żyjesz*	207
Witold Wirpsza:	*Układy oligarchiczne*	212
Adam Czerniawski:	*Na marginesie wykładów amerykańskich M. Ossowskiej*	214
Edward Borowski:	*Smutna historia miłosna ostatniej Piastówny*	218
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	222
	◆	
—	*Wydarzenia miesiąca*	225
	◆	
A. Czerniawski, M. Kałuski, A. Litwin, W. Łozorajtis, D. Morawski:	*Listy do Redakcji*	239
—	*Odpowiedzi Redakcji*	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1973

INSTYTUT LITERACKI

Ś. † P.

ANTONI JÓZEF ZIELICKI

urodzony 25 listopada 1910 roku w Tarnopolu.

Po ukończeniu studiów matematycznych we Lwowie działacz harcerski, specjalnie w środowisku młodzieży robotniczej. Współzałożyciel ZWZ we Lwowie w latach 1939-40; więzień Butyrek i Łubianki, skazany na karę śmierci przez Sowiecki Najwyższy Sąd Wojskowy; po układzie Sikorski-Majski oficer 2-go Korpusu; organizator prac kulturalnych i oświatowych, zastępca szefa Wydziału Propagandy i Kultury 2-go Korpusu w ZSSR, na Środkowym Wschodzie i we Włoszech — na tych stanowiskach odegrał m.in. dużą rolę w normalizacji stosunków narodowościowych w wojsku: sprawa Ukraińców i Żydów. Zastępca kierownika delegatury 2-go Korpusu we Francji w latach 1945-48; kierownik działu oświaty Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego w Wielkiej Brytanii w latach 1967-1972; organizator Kongresu Nauki i Kultury Polskiej w wolnym świecie, w Londynie w 1971 roku; członek b. Rady Jedności Narodowej oraz członek Prezydium Niezależnej Grupy Społecznej; członek naczelnych władz Związku Harcerstwa Polskiego; jeden z czołowych animatorów Polskiego Ośrodka Kulturalno-Społecznego w Londynie; wykładowca matematyki, wychowawca młodzieży; odznaczony krzyżem oficerskim Polonia Restituta; przyjaciel i najbliższy współpracownik *Kultury* od chwili jej powstania.

Zmarł w Londynie 13 czerwca 1973 roku i został pochowany na cmentarzu Acton-Cemetary w Londynie.

ZESPÓŁ „KULTURY"

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
P.9786 Chr. Arch.

IMPRIME EN FRANCE

Czytając "Zarys dziejów socjalizmu polskiego"...

Motto: Dwie tylko mieć będziemy partie w Europie:
jedną z nich nazwie świat „moskiewską"
a drugą „polską".
(Adam Mickiewicz)

Dawno nie czytałem książki równie prowokującej do myślenia o naszym narodowym losie, jak książka Lidii i Adama Ciołkoszów *Zarys Dziejów Polskiego Socjalizmu**. Dwa pierwsze tomy *Zarysu* dostarczają czytelnikowi obszerniejszych i solidniejszych informacji od wszystkiego co na temat socjalizmu polskiego dotychczas napisano. Skrupulatne recenzowanie dzieła Ciołkoszów nie jest rzeczą prostą; pozostawiam to zawodowym historykom socjalizmu. Dla mnie *Zarys* stał się prowokacją do spisania garści uwag na polskie tematy. Nie mniej jednak nie mogę pominąć szeregu myśli o samej pracy Ciołkoszów, a głównie drugim tomie.

Jest to dzieło wielkie nie tylko analizą i rozmiarami materiału nagromadzonego na 1176 (2 tomy) stronach drobnego druku, ale przede wszystkim wizją spraw polskich z europejskiej perspektywy. Jest ono czymś więcej niż historią socjalizmu polskiego. Jest historią imienia Polski w rewolucyjnych ośrodkach europejskich dziewiętnastego wieku. Wpływ dzieła Ciołkoszów na młode umysły w kraju może być ogromny. Spróbuję to wyjaśnić.

Na wielotysięczne rzesze studentów, które w pierwszych latach powojennych znalazły się na Uniwersytecie Jagiellońskim potężny wpływ wywierał stary mędrzec, obrońca demokracji — rektor Adam Krzyżanowski. Poprzez swoje wykłady publiczne zapładniał wyobraźnię polityczną młodzieży z wielu uczelni krakowskich. Dla przytłaczającej większości młodych ludzi, którym

* Gryf Publications Ltd., Londyn. T. I, 1966; T. II, 1972.

lata wojny zabierały kawał życia na nieintelektualne zajęcia, konflikt naszych czasów przestawiał się w sposób jasny choć nieco uproszczony: wielkie demokracje *versus* komunizm, który pokonał i zniszczył partie i idee socjalizmu. Socjaliści, którzy godzili się na współpracę z komunistami byli powszechnie uznani za głupców lub cyników. W tej sytuacji wpływ Krzyżanowskiego obrońcy dziewiętnastowiecznej demokracji mógł być złamany tylko środkami administracyjnymi, co też wkrótce nastąpiło.

Adam Krzyżanowski rozwijał wizje XIX wieku jako epoki „pokoju oraz małych i tanich wojen", wieku postępu i humanitaryzmu, wspaniałego rozwoju oświaty i nauk przyrodniczych. *Laudator temporis acti* miał w tym wszystkim rację z jednym zastrzeżeniem: opisywał trafnie, niewątpliwie wielkie zdobycze i osiągnięcia wieku osiągnięte przez klasy panujące ale pomijał koszta płacone przez klasy nieuprzywilejowane. A my młodzi ludzie tamtych czasów słuchaliśmy tego wielkiego oratora, wychwytując przede wszystkim to co podpierało naszą własną pogardę i niechęć do całego bagażu skrzywionych idei, przywiezionych w taborach Czerwonej Armii. Nasza reakcja była totalnie negatywna, często nawet młodzi ludzie z rodzin o socjalistycznej przeszłości zrywali z nią gdy zwycięski socjalizm ukazał się im w sowieckiej wersji. Wprawdzie dość powszechnym było zrozumienie, iż komunizm marnuje szansę socjalizmu, ale jak nas o tym uczy współczesna semantyka, słowa formują rzeczywistość podobnie silnie jak rzeczywistość idee. Architekci sowieckiego komunizmu Lenin i Stalin rozumieli doskonale magię słów. Toteż wciskane w nasze życie wszystkimi możliwymi szparami słowo „socjalizm" szybko spolaryzowało społeczeństwo na tych, którzy chcieli w nie uwierzyć i tych opornych, którzy jedynie na własny użytek odkrywali Wielkie Kłamstwo. Możliwości samodzielnego niezależnego studiowania historii socjalizmu polskiego nie istniały.

Następne, młodsze pokolenia, dla których „Krótki Kurs Historii WKP(b)" stał się podstawą wiedzy o socjalizmie, uczyły się już nawet historii Polski z podręczników redagowanych w Moskwie, niczym w epoce najostrzejszej rusyfikacji po Powstaniu Styczniowym za Aleksandra Lwowicza Apuchtina. W tej sytuacji klęska polskich tradycji socjalistycznych była kompletna.

Nawet w okresie „liberalizacji" socjaliści polscy nie zdobyli żadnych szans wpływu na losy tzw. „budowy socjalizmu" w Polsce. Młodzież raczej stroni od uroczystości pogrzebowych, a właśnie mniej więcej od 1956 roku można było najwięcej dowiedzieć się o socjalizmie polskim z przemówień nad grobami towarzyszy dawnej PPS.

Etatowi popularyzatorzy historii socjalizmu polskiego ośmieszyli się w oczach niezaczadzonych umysłów, już po pierwszych

wystąpieniach. A takich „janczarów polskiego socjalizmu" (jak kiedyś prof. Chałasiński nazwał wychowanków wyższych szkół partyjnych), którzy by mając czas i szanse zaglądania do źródeł nie byli jednocześnie zindoktrynizowani czy zniewoleni, właściwie nie było. (Oczywiście pomijam jednostki aby ich nie wytykać palcem). Oficjalne informacje na temat historii socjalizmu polskiego, podawane społeczeństwu do wierzenia były tak rażąco wulgarne, tak kłóciły się z narodową pamięcią, która przetrwała w posiwiałych łbach starszych panów, że jedynie pogłębiły niechęć do zajmowania się czymkolwiek co katalogowano pod hasłem socjalizm.

Roczniki młodzieży, które już totalnie wychowała szkoła komunistyczna w okresie 1949-56 miały na ogół głęboko cyniczny stosunek zarówno do patriotyzmu jak i socjalizmu, który znały tylko w niestrawnej wersji sowieckiej. Polska ich ojców była stracona na zawsze, miano do niej ambiwaletne uczucia: jak do jakiejś legendy o wielkości przemieszanej z obrazkami o okrucieństwie i głupocie rozpitej szlachty, „rządach obszarników i pułkowników", o „imperializmie polskim", który zabierał „cudze" ziemie i żywił się „robotniczą krwią". Polska ich własnych dni była już tylko małym satelitą, w którym się żyje z konieczności, umiera z nudów i tęskni za kolorowym światłem z amerykańskich reklam. Oczywiście takie były tylko ogólnie dominujące tendencje.

Ale nawet ta garstka młodych ludzi, którym warunki i stosunki rodzinne ułatwiały rozwój aż do punktu wrzenia i buntu, miała zamuloną wyobraźnię w sprawie relacji: Polska — Socjalizm. Wszystkimi dostępnymi środkami formowano karykaturalny obraz narodu, który ze swych historycznych ułomności może się wydobyć tylko pod kontrolą znakomitego sąsiada, radośnie budującego świetlaną przyszłość socjalistyczną. A polski socjalizm to przede wszystkim „internacjonalne" zlanie się z krajem, którego zarówno interesy polityczne jak i historia były i są doskonale przeciwstawne interesom i historii Polski. Tak więc błądzili wszyscy socjaliści polscy, którzy nie chcieli zrezygnować z idei narodowej samodzielności. Toteż jedyny socjalista-Polak a później bolszewik, który doczekał się pomnika w nadwiślańskiej stolicy to „Feluś Żelaznaja Ruczka" (jak mówią taksówkarze warszawscy) — czyli Dzierżyński. Biografie socjalistów polskich, którzy mieli odwagę rozumieć, iż nie można wtłoczyć w jedne ramy państwowe dwóch odrębnych formacji historycznych, które dzielą wieki przekleństw, jeśli nawet nie zostały doskonale zafałszowane to w każdym razie nie mogły być biografiami porywającymi. Byłby to niedopuszczalny grzech rewizjonizmu.

Książka Ciołkoszów, odsłania nową panoramę historyczną.

Niby znamy epokę i ogólny przebieg wydarzeń a jednak przeczytanie drugiego tomu nie tylko odsłania masę nowych faktów ale przede wszystkim wprowadza czytelnika na zapomniane tory myślenia i widzenia spraw polskich. Drugi tom kończy się na siedemdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Może dalsze tomy zatrą impresję, która najsilniej uderza czytającego tom drugi, a mianowicie, że realizacja socjalizmu europejskiego nie jest możliwa bez odrobienia historycznej zbrodni rozbiorów, tak przynajmniej widzieli świat w XIX wieku Marks, Engels i przytłaczająca większość przywódców socjalistycznych.

Oprócz wielkiego zgromadzenia materiałów nieznanych, mało znanych, lub zapomnianych, Ciołkoszowie pokazali wielkość sprawy polskiej w życiu politycznym Europy XIX wieku. Oczywiście nie jest to apoteozowanie spraw nam drogich. Rozejrzenie się po panoramie ruchów rewolucyjnych, na tle których poznajemy dzieje polskiego socjalizmu budzi szereg refleksji, których autorzy sami nie formułują.

Sądzę, iż każdy czytelnik drugiego tomu musi zadumać się nad upadkiem znaczenia i zainteresowania dla sprawy polskiej w naszych czasach. W epoce Marksa zrozumienie tragedii i zbrodni rozbiorów jest w Europie raczej powszechne. Sprawa praw narodu polskiego do niepodległego bytu w przedrozbiorowych granicach zdarzało się, iż bywała kwestionowana przez historyków czy piszących dyplomatów na usługach Świętego Przymierza, ale masy a przede wszystkim czołowi przywódcy ruchów rewolucyjnych i socjalizmu przez cały wiek widzieli w odbudowie Polski jeden z zasadniczych kroków na drodze do nowego ustroju społecznego w skali światowej. Przeciwnicy odbudowy Polski wśród socjalistów należą nie tyle do mniejszości co do wyjątków, jak Proudhon (którego poglądy na sprawę polską Marks nazywał „cynizmem kretyna") i paru innych mniej radykalnie zgłaszających swe obawy, iż restauracja Polski przyniesie „tryumf feudalizmu przemysłowego, dominację Żydów, pierwszą przyczynę i podwalinę nowoczesnego pauperyzmu".

Paradoksem wydawać się dziś może poparcie twórców marksizmu dla rewolucji społecznej w kraju, który nie ma jeszcze rozwiniętej klasy robotniczej, a gdzie cała inicjatywa rewolucyjna należy do znienawidzonej w Europie Zachodniej historycznej klasy „panującej". Wprawdzie rewolucyjna szlachta a z czasem postszlachecka (jeśli nie z krwi to z ducha i przyjętej tradycji) inteligencja staje na czele wszystkich ruchów społecznych i narodowych, toć jest ona kontynuatorką tradycji myślenia w kategoriach ogólnonarodowych, jest spadkobierczynią klasy którą myśl rewolucyjna obarcza wszelkimi winami przeszłości. Ale posłuchajmy jak widział tę klasę Michał Bakunin gdy sto jeden lat

temu pisał artykuł dla pisma „Gmina", które zamierzali wydawać jego polscy przyjaciele z Polskiego Towarzystwa Socjalno-Demokratycznego.

„Tak jest, szlachta nasza to wielka grzesznica. Ona własnymi rękami zgubiła i nas i siebie. Ale bądźmy sprawiedliwi. Po rozbiorze Polski spowodowanym jej historyczną winą, w ciągu stu lat od roku 1772 aż po rok dzisiejszy, szeregiem bohaterskich i męczeńskich zrywów uczyniła wszystko co mogła by okupić ten swój wielki grzech. Można wątpić czy w historii jakiegokolwiek narodu znalazłyby się takie zastępy bohaterów-męczenników, rodzin, całych pokoleń, które dla oswobodzenia ojczyzny złożyły siebie na krwawą ofiarę, na tortury, na śmierć, na okrutne więzienie i na równie bolesne wygnanie".

A trzeba dodać iż rosyjski rewolucjonista był we wielu sprawach daleki od ideałów szlacheckiego rewolucjonizmu.

Uznanie dla tej nowej demokracji, która rodziła się w warunkach niewoli na gruzach „demokracji szlacheckiej" dawnej Rzeczypospolitej, nie było tylko czczą gadaniną intelektualistów. Ciołkoszowie przypominają fakty zapoznane lub przysłonięte dłońmi tych, którym istnienie Polski zawsze było nie w smak. Przypomnijmy te fakty podawane przez autorów *Zarysu*.

„Przeszło 7.000 robotników paryskich zapisało się na ochotników do powstania w Francusko-Polskim Komitecie Centralnym...", „... dyrekcja prasy zakazała dziennikowi *Siècle* umieszczać epizody z wojny w Polsce *(Episodes de la guerre en Pologne)* ponieważ miały 'burzyć ludność robotniczą' ".

W miesiąc po wybuchu powstania robotnicy francuscy wysyłają petycję do Senatu, w której wyrażają podziw dla „bohaterskiej walki męczeńskiego narodu" i zwracają się do władz z wezwaniem: „Spłaćmy nareszcie dawny dług honoru i wdzięczności. Uczyńmy dzisiaj to wszystko czego nie mogliśmy uczynić ani po roku 1830 ani po roku 1848. Będzie to dla nas jutrzenką nowych dni chwały a potem także i wolności. Dla takiej wojny Francuzi poczynią wszelkie poświęcenia". Pełna wielkiego patosu jest petycja robotników francuskich do Napoleona III. Po opisie rosyjskich zbrodni w Polsce autorzy wzywają cesarza: „Najjaśniejszy Panie! Trzymasz w ręku miecz Francji, użyj więc tego miecza dla rozwiązania kwestii, której dyplomacja nie jest w stanie rozwiązać. Najjaśniejszy Panie! Rozwiń chorągiew narodową i ogłoś światu, że wznosi się ona w imieniu świętej sprawy i że idzie za nią wielki naród! Najjaśniejszy Panie! Zbaw, zbawmy Polskę". Zebrano pod tą petycją 6.467 podpisów. Przykładów najgorętszego poparcia przez francuską klasę robotniczą jest wiele, ale przypomnijmy za autorami *Zarysu* co działo się w innych krajach.

W Belgii powstaje „demokratyczny komitet pomocy dla Pol-

ski". W Szwajcarii — zbiórki pieniężne na pomoc dla powstania. We Włoszech robotnicy genueńscy przesyłają na ręce Garibaldiego ofiarę na rzecz powstania w Polsce. Aktywność robotników angielskich w polskiej sprawie (podobnie jak i francuskich) zaczęła się już w 1861 po wypadkach warszawskich. „Gdy w roku 1861 zgłoszono w izbie gmin wnioski z żądaniem przedłożenia zatajonych przez lorda Palmerstona dokumentów odnoszących się do polskiego powstania w roku 1830, komitety robotnicze nadesłały w tej sprawie nie mniej jak 86 petycji zaopatrzonych ponad dziesięciu tysiącami podpisów". W 1863 pierwsza wypowiedź angielskich robotników pochodzi z 31 stycznia. Jej autorzy wyrażają wiarę, iż „narodu polskiego nie potrafią zgnieść moskiewscy żołdacy; nie mogą go przekreślić sztuczki dyplomacji..." i stwierdzają, iż „gdyby Polakom udało się bohaterskim wysiłkiem utrzymać w szachu zastępy rosyjskie choćby przez okres kilku tygodni, obowiązkiem parlamentu angielskiego będzie rozważenie, jaką postawę w takim wypadku ma zająć nasz rząd. ... Anglicy powinni rumienić się na myśl o krzywdach, które spotkały Polskę, o tym fakcie, że nasi mężowie stanu usankcjonowali trzykrotny rozbiór tego starego konstytucyjnego królestwa...". Następnego dnia organ ruchu czartystowskiego *Reynold's Newspaper* również przypomina czytelnikom rozbiory: „Był to akt bezczelnej negacji wszelkich zasad moralności..." i dalej: „W całości roczników cierpień ludzkich nie ma niczego bardziej zdumiewającego, jak ta niepokonalna uporczywość Polaków w dochodzeniu swego prawa do odrębnego i niepodległego bytu politycznego...". Rozważania o zawziętości Polaków kończy autor zdaniem: „I na pewno niczyje życie nie może być mocniejsze jak to, którego połączone siły trzech wielkich despotyzmów Austrii, Rosji i Prus na przestrzeni dziewięćdziesięciu lat nie potrafiły stłumić".

Już 4 marca na zgromadzeniu robotniczym uchwalono memoriał wzywający Palmerstona do interwencji u rządu rosyjskiego. Sekretarz robotniczej delegacji zapytany przez Premiera czy chciałby aby Anglia wydała drugą wojnę Rosji? — odpowiada: „Tak jest, życzymy sobie wojny za Polskę". W kwietniu 1863 roku powstał komitet do kierowania wystąpieniami propolskimi. Trzy wielkie zgromadzenia z udziałem 2.000 osób przerodziły się w manifestacje. Robotnicze rezolucje, wspólna akcja robotników francuskich z angielskimi, petycje i relacje z wielkich przemówień — zgromadzone przez autorów *Zarysu* mają pełną dokumentację i w wielu wypadkach są dokumentami po raz pierwszy omówionymi w języku polskim.

W 1972 ukazało się w Warszawie monumentalne dzieło Stefana Kieniewicza „Powstanie Styczniowe", jest ono jak gdyby

podsumowaniem wszystkiego co od strony marksistowskiej o Powstaniu powiedzieć można. A jednak nie! Właśnie tej wielkiej akcji pomocy dla Powstania przeprowadzonej przez postępowe siły w Zachodniej Europie u Kieniewicza brak. Oczywiście można powiedzieć: nie koncentrował się na tych sprawach. Ale nawet gdyby przebrnął przez tę masę dokumentów przytaczanych przez Ciołkoszów, czyż mógłby z nich zrobić użytek? Czy cenzura zgodziłaby się na przypomnienie czytelnikom, że jeszcze sto dziesięć lat temu cała Europa domagała się przywrócenia praw Polski do niepodległego istnienia a masy żądały przekreślenia układów Traktatu Wiedeńskiego? Byłoby to groźne w chwili obecnej. Jeśli bowiem odpowiednikiem Traktatu Wiedeńskiego stała się w XX wieku Jałta, to jej dalszym utwierdzeniem może się stać Konferencja Rozbrojeniowa w Helsinkach.

Łatwo zauważyć przepaść jaka nas dzieli od tamtych czasów, kiedy świat upominał się o prawa Polski. To nie tylko upadek moralności politycznej we współczesnym świecie, to także głęboki upadek naszej sprawy na międzynarodowej arenie. Gdzież są dziś masy pracujące, gdzie przywódcy socjalistyczni zachodnich krajów obfitości mizdrzących się do sowieckiego despoty, którzy zdobyliby się na cząstkę tych protestów, które ogarnęły Europę w 1863?

Ukazanie przez autorów *Zarysu* jakie miejsce w hierarchii spraw międzynarodowych zajmowała w XIX wieku sprawa polska to niezmiernie ważna lekcja historii, którą należy przypomnieć młodszym pokoleniom. One bowiem uczyły się swej narodowej przeszłości naprzód od etatowych bolszewików, a następnie od tych, których w okresie nacjonalizowania się komunizmu w Polsce delikatnie nazwano „szydercami". W latach 60-tych pojawiło się wiele uczciwych prac historycznych, ale któż dziś czyta zawodowych historyków? Do pewnego odzyskania wiary we własne dziedzictwo przyczynił się najbardziej Paweł Jasienica swym znakomitym rodzajem publicystyki historycznej. „Szydercy" jednak bynajmniej nie wymarli. Ostatnio wystąpił w ich imieniu były brązownik rzeczywistości komunistycznej Kazimierz Brandys. Nie wiem czy autorzy *Zarysu* uświadamiali sobie w jak wielkiej mierze dzieło ich jest odpowiedzią tym wszystkim, którzy w imię postępowych idei socjalizmu ośmieszali to wszystko co w historii narodu wielkie aczkolwiek pochodzi z wysublimowanych tradycji szlacheckich.

Powstanie Styczniowe było niewątpliwie wielkim impulsem dla zinternacjonalizowania ruchów robotniczych. Francuzi, Belgowie, Anglicy, Niemcy, Włosi i Węgrzy widzą nagle, że Powstanie jest ich wspólną sprawą. Świadomość tego faktu rodzi się nie tylko wśród intelektualnych przywódców ruchu ale i wśród

mas. W komitetach robotniczych formowanych dla spieszenia z pomocą walczącym w Polsce główną rolę odgrywają rzemieślnicy i robotnicy wszelkich branży.

Poparcie Marksa i Engelsa dla sprawy walki o niepodległość Polski znane jest w kraju raczej pozornie. Oczywiście wiedzą o sympatiach Marksa historycy i zawodowi komuniści, ale w umyśle przeciętnego obywatela zagadnienie Marks a sprawa polska zanotowało się jednoznacznie: „marksizm i nieszczęście Polski". Nikt dotychczas nie wykazał doniosłości Powstania Styczniowego dla scementowania się europejskiego ruchu robotniczego w stopniu, w jakim dokonali tego autorzy *Zarysu*. Nakaz „budowania solidarności by móc sprostać przemocy" był zasadniczą lekcją wyniesioną z bezowocnych akcji pomocy dla walczącej Polski. Akcje te przyczyniają się walnie do powstania I-szej Międzynarodówki. Jednym z zasadniczych kroków w jej kierunku było utworzenie w 1863 roku Ogólnonarodowej Ligi Niepodległości Polski *(National League for the Independence of Poland)*. Liga była dziełem angielskiego ruchu robotniczego. Na jej gruncie marksowskie wezwanie „Łączcie się" zaczyna się realizować. „Niech się zbiorą przedstawiciele z Francji, Włoch, Niemiec, Polski, Anglii i w ogóle wszystkich krajów, gdzie pojawia się chęć współpracy dla dobra ludzkości... Odbywajmy nasze własne kongresy" — czytamy w adresie robotników angielskich wręczonym delegacji robotników francuskich.

Wydaje się, iż spór historyków o to czy istotnie sprawa polska stała u kolebki I-szej Międzynarodówki został rozstrzygnięty przez pracę Ciołkoszów, która przeanalizowuje wszelkie istniejące dokumenty. Autorzy cytują opinie świadków wydarzeń. Oto George Odger członek Komitetu Głównego Ligi Niepodległości Polski, pisał o powstaniu Międzynarodówki już w 1865: „... początek Stowarzyszeniu dało pragnienie, odczuwane przez klasy robotnicze tego kraju [Anglii] i różnych części Europy, by zjednoczyć się celem utworzenia związku ludów, który by położył kres tyranii panującej nad Polską i nad innymi narodami". Wśród paru innych głosów z tamtej epoki, warto przypomnieć Jana J. Eccariusa, jednego z mówców na zgromadzeniu założycielskim a później zastępcy przewodniczącego i sekretarza jej Rady Głównej:

„... nakaz chwili połączył robotników francuskich i angielskich sympatią dla Polski w 1863 roku i związał ich sojuszem, a w konsekwencji nastąpiła inauguracja Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego we wrześniu 1864 roku".

Karol Marks włączył się do akcji zgromadzeń robotniczych we wrześniu 1863. Zaproszony do Podkomitetu opracowującego

plan przyszłej Międzynarodówki, pisze swój słynny adres inauguracyjny oraz jej prowizoryczny status. Słusznie zauważają Ciołkoszowie: „Dokumentami tymi powrócił Marks do żywej polityki. Można powiedzieć, iż powrócił do niej przez polską bramę".

W przededniu Helsinek warto przypomnieć marksistom i niemarksistom słowa Marksa jasno, bezbłędnie określające pozycję Rosji w Europie i stosunek do niej wyższych klas na Zachodzie:

„Bezwstydne zadowolenie, pozorna sympatia lub bezmyślna obojętność, z którą wyższe warstwy patrzyły jak Rosja zdobywała górską fortecę Kaukazu i morduje bohaterską Polskę; niezmierny i nie napotykający na przeszkody wzrost tej barbarzyńskiej potęgi, której głowa znajduje się w Petersburgu a ręce we wszystkich gabinetach Europy, nauczyły klasę robotniczą, że jej obowiązkiem jest przenikać tajemnice polityki międzynarodowej; czuwać nad rządowymi sztuczkami dyplomatycznymi; w razie potrzeby przeciwdziałać im ze wszystkich sił; gdyby zaś nie udało się im przeszkodzić, łączyć się dla głośnego protestu i bronić zwykłych zasad moralności i prawa, które rządzić powinny wzajemnymi stosunkami zarówno jednostek jak i narodów".

Słowa te nabrały nowych rumieńców w 1945 roku gdy rozpoczął się sowiecki podbój Europy Wschodniej i po dziś nie straciły na aktualności.

Gdy we wrześniu 1863 powstał projekt uformowania niemieckiego legionu do wsparcia Powstania, Marks usiłował:

„za pośrednictwem jednego z przyjaciół zainteresować tym projektem przebywającego w Paryżu księcia Karola Brunszwickiego, który posiadał mundury, broń i wszystko co potrzeba do zorganizowania korpusu złożonego nawet z 6.000 ludzi".

Sprawa rozbiła się o brak pieniędzy.

Omawiając pomoc Zachodu, dokonali autorzy *Zarysu* jej najpełniejszego zestawienia. Liczbę cudzoziemskich ochotników oceniają do „co najwyżej tysiąca ludzi na polu bitwy, niespełna 1 % sił zbrojnych powstania". Czy nie słuszniej byłoby powiedzieć „aż" zamiast „co najwyżej"? Tysiąc mężczyzn z cywilizowanych krajów Zachodu, nie znających języka polskiego, grupami lub w pojedynkę, morzem i lądem kieruje się w stronę Polski, przedziera przez kordony graniczne i z bronią w ręku walczy za niepodległość Polski! Iluż ochotników znalazłoby się dzisiaj w podobnej sytuacji? Czy Rosja Sowiecka skuteczniej od carskiej zastrasza świat, czy tylko bardziej otumaniła „postępowych" intelektualistów Zachodu — twórców opinii publicznej?

W roku 1863 Marks rozpoczął pisanie pracy pt. „Polen, Preusssen und Russland". Drugi tom *Zarysu* zawiera fotografię jednej strony rękopisu tejże pracy, w którym czytamy takie mocne słowa: „Die Wiederherstellung Polens ist die Vernichtung Russlands, Russlands Absetzung von seiner Kandidatur zur Welt-

herrschaft" (Odbudowanie Polski jest zniszczeniem Rosji, przekreśleniem jej kandydatury do panowania nad światem). Praca pozostała niedokończona. Ale Marks powraca do sprawy polskiej w 1866 roku, gdy w instrukcji dla delegatów Rady Centralnej na pierwszy Kongres Międzynarodówki — piszą Ciołkoszowie — „przedstawił wszystkie argumenty przemawiające za powzięciem przez kongres uchwały w sprawie polskiej". Marks przewidywał, iż bez istnienia niepodległej Polski, forpocztą Świętego Przymierza staną się Prusy, co przyczyni się do zdławienia ruchów wolnościowych i odwlecze zwycięstwo socjalizmu. Dziś demokratyczny świat zachwyca się polityką Williama Brandta a Marksa nie ma aby zapytał kto zapłaci koszta „zbliżenia".

Ludzie wyrośli w narodowo-państwowych demokracjach Zachodu odczytują słowa Marksa o „zniszczeniu" Rosji z zażenowaniem, prawie jak źle ukrywane odruchy rasisty, który stale podkreślał „azjatyckość" tego „ponurego" mocarstwa. Ale wyrażenia Marksa są tylko skrótami myślowymi. „Zniszczenie" nie oznacza podboju czy dewastacji kraju a jedynie radykalne rozbicie wielowiekowego despotyzmu rosyjskiego. Podobnie w umyśle przeciętnego Amerykanina każdy atak na sowietyzm wydaje się niegodnym złorzeczeniem 200 milionom Rosjan.

W roku 1866 Marks prosi Engelsa o napisanie serii artykułów o znaczeniu sprawy polskiej dla ruchu robotniczego. Ostrzegając przyjaciela, iż ukuto intrygę przeciwko Międzynarodówce, pisał: „Istotnym nerwem polemiki jest sprawa polska". W *The Commonwealth,* oficjalnym organie Międzynarodówki ukazały się trzy artykuły Engelsa pt. „What Have the Working Classes To Do With Poland?". Napisane są w formie listów do redaktora. Fragmenty są tak kapitalne, że pozwalam sobie przytoczyć je rozszerzone w stosunku do tego co podają autorzy *Zarysu.* Pierwszy zaczyna się słowami:

„Sir, — Gdziekolwiek klasy robotnicze wzięły samodzielny udział w ruchach politycznych, tam — od samego początku — ich polityka wyrażała się w dwóch słowach: *Odbudowanie Polski.* Tak było w wypadku ruchu czartystowskiego dopokąd istniał; tak było w wypadku robotników francuskich na długo przed 1848 rokiem, jak też w ciągu tego pamiętnego roku, kiedy maszerując na Zgromadzenie Narodowe krzyczeli: 'Vive la Pologne' — Niech Żyje Polska. Tak też było w Niemczech, gdy w 1848 i 1849 organy klasy robotniczej domagały się wojny z Rosją dla odbudowania Polski. Tak też jest i dzisiaj — z jednym wyjątkiem, o którym później — robotnicy europejscy jednogłośnie proklamują odbudowę Polski, jako część swego programu politycznego, jako najbardziej zwarty wyraz swej polityki zagranicznej" (Nr 159 z 24 marca 1866).

W drugiej części tegoż artykułu, która się ukazała w nr. 160, 31 marca owegoż roku, interesujący i znów jakże aktualny jest

pogląd Engelsa na rosyjskie posługiwanie się koncepcją „narodowości". Powiada Engels, iż „jest to wynalazek rosyjski uknuty na zgubę Polski *(Russian invention concocted to destroy Poland).* Rosja pochłonęła większą część Polski pod pretekstem zasady narodowości". Zasadę tę, pisał dalej Engels wiąże Rosja z Panslawizmem, który jest niczym innym, jak „zastosowaniem przez Rosję w rosyjskim interesie zasady narodowości" do wszystkich słowiańskich ludów.

Trzecia część (Nr 165 z 5 maja 1866 roku) nosi podtytuł: „The Doctrine of Nationality Applied to Poland". Była to odpowiedź Proudhonowcom, którzy uważali, że żądanie odbudowy Polski to powrót do bonapartowskiej zasady „narodowości". Engels tłumaczy, że Polska to cztery narodowości a nie jedna. Wyjaśniając metody jakimi posługiwała się Rosja przy niszczeniu państwa polskiego, naprzód przedstawił, znane po dzień dzisiejszy, zabiegi Moskwy w celu uformowania opinii publicznej na Zachodzie. Przypomina Engels, iż była ona:

„tworzona przez olbrzymi wpływ Diderota, Voltaire'a, Rousseau i innych pisarzy osiemnastego wieku. Rosja zawsze wiedziała, iż jest sprawą ważną mieć opinię publiczną po swojej stronie; i Rosja zadbała o to. Dwór Katarzyny II stał się główną kwaterą ludzi oświeconych, głównie Francuzów; najbardziej oświecone pryncypia były głoszone przez cesarzową i jej dwór. W tak skuteczny sposób oszukiwała ludzi oświeconych, że Voltaire i inni wyśpiewywali pochwały na cześć 'Semiramidy Północy', i ogłaszali Rosję najbardziej postępowym krajem świata, domem liberalnych zasad, championem religijnej tolerancji".

Czy burżuazyjni laureaci nagród Stalinowskich czytali kiedykolwiek powyższe słowa Engelsa?

Interesująco widział Engels fałszowanie prawdy o tolerancji religijnej: „Tolerancja religijna — to właśnie było słowo potrzebne do złamania Polski. Polska zawsze była nadzwyczaj liberalna w kwestiach religijnych, czego dowodem jest schronienie jakie Żydzi znaleźli w Polsce, gdy prześladowano ich we wszystkich innych krajach Europy". Następnie po opisie stosunków etniczno-religijnych w Polsce, powiada: „Obecnie ten sam rząd rosyjski, który u siebie w domu nie tolerował żadnej innej religii prócz wyznania greckiego [prawosławnego], który karał zmianę wyznania jako zbrodnię, który na wszystkie strony podbijał obce narody i zabierał obce prowincje, ... — ten sam rząd rosyjski napadł wkrótce na Polskę w imię tolerancji religijnej, twierdząc, że Polska ciemięży wyznawców kościoła greckiego...". Dość cytatów. Wystarczą one do przypomnienia postawy twórców marksizmu, oraz faktu, że od Katarzyny II do Breżniewa niewiele się zmieniło w rosyjskiej polityce zagranicznej.

Wiele natomiast zmieniło się na Zachodzie. Wielkiej zmiany

w stosunku świata zachodniego do Polski, jej miejsca i roli w Europie nie można tłumaczyć jedynie zmianą układów politycznych, dalszą fascynacją potęgą rosyjską w sowieckim uniformie i błędami polityki polskiej, trzeba wziąć pod uwagę również głęboki proces zmieszczanienia klasy robotniczej na Zachodzie oraz przemiany ideologii, która pierwotnie służyła sprawom wyzwolenia uciemiężonych ludów a dziś przeistoczyła się w instrument sowieckiego imperializmu. (Gwoli sprawiedliwości dodajmy, iż w Ameryce Środkowej i Południowej marksizm spełnia nadal swe pierwotne zadanie).

Historia ideologii i ruchów społecznych jest pełna tragikomicznych salt, w których przeistaczał się sens ludzkich dążeń i nadziei. Ale czy jest coś równie kapitalnego jak pseudo-zwycięstwo marksizmu w Rosji, jak tworzenie super-potęgi państwowej w imię ideologii głoszącej zanikanie państwa? Czy jest coś bardziej frapującego od pojawienia się marksizmu burżuazyjnego, marksizmu obywającego się bez proletariatu i zwalczanego przez klasy robotnicze demokracji zachodnich?

Kurczenie się klasy robotniczej i równoczesny gwałtowny wzrost klas średnich wpłynął na zmianę nastrojów i sympatii politycznych oraz ogólnej postawy ideowej w świecie zachodnim. Klasy robotnicze utraciły rewolucyjny charakter. Dominujące klasy średnie pozostały wierne swemu tradycyjnemu pragmatyzmowi politycznemu streszczającemu się w sloganie *everyone likes winner* (każdy lubi zwycięzcę) oraz swym pro-rosyjskim sympatiom. Sympatie te posiadają mocniejsze podstawy niż mieszczański kult dla nagiej siły. Rosja, w oczach ludzi wyrosłych w kulturze byznesu to przede wszystkim wielki konsument, — jeśli w danej chwili nie „aktualny" to zawsze „potencjalny". Dla intelektualistów to pole do obserwacji największego do niedawna eksperymentu historycznego, dla byznesmenów to wymarzony kontrahent. Stąd trwoga: byle go nie obrazić, byle go nie stracić!

A my? — Przegraliśmy dwustoletni pojedynek z sąsiadem, którego nasza przegrana uczyniła potężnym partnerem Zachodu. Nie jestem ani osobiście skłonny do pesymizmu, ani doń nie nawołuję. Ale musimy uświadomić sobie rozmiary klęski. Pobita i wymazana z map Polska dziewiętnastowieczna była w oczach Zachodu symbolem walki z murszejącym porządkiem starych despotyzmów. Widziano w niej kraj czterech narodowości (polskiej, litewskiej, rusińskiej i białorusińskiej), ale główna „masa ludności, jądro jej siły uformowana jest z Polaków mówiących po polsku" — podkreślał Engels. Otóż owa Polska wielu narodów przestała istnieć. Nacjonalizmy z jednej strony a rusyfikacja i wreszcie sowietyzacja z drugiej, przekreśliły szanse odbudowy federacji polskiej według starych wzorów. Po Drugiej Wojnie

Światowej dokonała się najgłębsza transformacja w życiu narodu. Pod obcą presją staliśmy się społeczeństwem narodowym na wzór krajów zachodnioeuropejskich. Ten fakt stawia nas wobec wielkiego pytania: *jak ocalić i wcielić najlepsze tradycje z naszej wielonarodowej historii w tę nową formację społeczno-psychiczną, która formuje się między Bugiem a Odrą?*

Nie próbuję dawać tu odpowiedzi na to najtrudniejsze z pytań jakie postawiła przed nami historia. Pragnę natomiast, kończąc te refleksje związane z dziełem Lidii i Adama Ciołkoszów, sugerować jedynie, iż do znalezienia właściwej odpowiedzi potrzebne jest wpierw pełne zrozumienie tego czym była dawna Rzeczpospolita. Skąd brała się nienawiść europejskich dynastii i sympatia ludów, którymi darzono nas jeszcze w XIX wieku?

Unikalność systemu politycznego dawnej Rzeczypospolitej, tej *„crowned republic"* jak ją często określają historycy anglosascy, stała się od czasów królów elekcyjnych obcym drażniącym ciałem w organizmie dynastycznej Europy. Tolerancja religijna i ideały wolności osobistej i stanowej szlachty oraz jej ideologiczny egalitaryzm niepokoiły monarchów i pociągały mniej uprzywilejowane, dolne warstwy klasy panującej w innych krajach. Sama liczebność szlachty polskiej była zjawiskiem wyjątkowym w nowożytnej Europie. Podczas gdy w Polsce XVI-XVIII wieku stanowiła ona 9-11 procent ogółu ludności, to w Rosji warstwa podobnie uprzywilejowana wynosiła 1,25 %, w przedrewolucyjnej Francji 0,6 %, w Anglii XVII wieku ludzie utytułowani niższymi tytułami (peers, baronets, knights, esquires) stanowili tylko 1 %, a wszystkich razem, którzy mieli prawo wyborcze było zaledwie 5 %. Klasowy egoizm szlachty — jak wiadomo — powstrzymał niebezpieczny dla niej rozwój miast i kapitalizmu, a równocześnie system elekcyjny wyłączył Polskę z niepisanej koalicji dynastii, które rządziły Europą wedle swych dynastycznych interesów.

Pierwszym cudzoziemcem, który zwrócił uwagę na te okoliczności jako przyczyny rozbiorów był Sir John E. E. Dalberg-Acton, historyk i pisarz a przy tym typowy kosmopolitycznie myślący arystokrata. Już w 1862 w eseju poświęconym zagadnieniu narodowości *(Nationality)* pisał, iż Polska nie posiadała tego zabezpieczenia stabilności, którego innym krajom dostarczały koneksje dynastyczne.

„Monarcha bez krwi królewskiej, korona nadawana przez naród, były anomalią w tym wieku dynastycznego absolutyzmu. Kraj został wyłączony z europejskiego systemu na skutek swych instytucji. Sytuacja ta podniecała pożądliwość, która nie mogła być zaspokojona. Bowiem nie dawała ona panującym w Europie dynastiom nadziei stałego wzmacniania swych pozycji przez mariaże lub dziedziczenie".

Interwencja i intrygi obcych mocarstw w polskie sprawy elekcyjne doprowadziły państwo do ostatecznego upadku i wreszcie rozbiorów.

Poglądy Actona uzupełniają widzenie sprawy polskiej przez rewolucyjną lewicę XIX-wiecznej Europy. Przypominanie tych poglądów i odległych spraw polskiego socjalizmu, młodemu pokoleniu, które żyjąc w kraju pseudo socjalistycznym lecz autentycznie ujarzmionym, znów stawia sobie pytanie, z tytułu broszury J. Pawlikowskiego, sekretarza Kościuszki (lub samego Naczelnika) „Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość" — wydaje się sprawą dużej wagi. Bowiem uświadamianie faktu, iż z naszej spuścizny kulturalnej wiele zaczerpnąć może ten socjalizm, który pragnie się przeciwstawić zarówno sowietyzacji jak i merkantylnej kulturze kapitalizmu, pomaga tysiącom tych, którzy mają odwagę nie tracić nadziei i myśleć o pełnej, rzeczywistej niepodległości oraz sposobach jej odzyskania, w czasach w których już nikt o nas się nie upomina, kiedy proroctwo Mickiewicza o podziale Europy wedle stosunku do sprawy polskiej, pozornie straciło sens. Pozornie — gdyż w istocie konflikt współczesnego świata nadal zasadza się na przeciwieństwie dwóch kultur politycznych: kultury, w której potęgę polityczną buduje się na zniewoleniu jednostki i tej, w której ryzykuje się utratę potęgi politycznej dla ratowania wolności indywidualnej. Tyle tylko, że świat zdążył już zapomnieć, że ten drugi typ kultury — w warunkach społeczeństwa stanowego — reprezentowaliśmy wcześniej niż koncepcje Johna Locke'a stały się fundamentem liberalizmu politycznego w Europie Zachodniej.

Kazimierz BAGDUR

Dziennik pisany nocą

Neapol, 6 marca 1973

Wracałem z dworca pieszo, na wysokości Uniwersytetu wdepnąłem w demonstrację studencką (niesiono dość krwiożercze transparenty, śpiewano Międzynarodówkę, *Bandiera Rossa* i bardzo teraz wśród „ekstraparlamentarnych rewolucjonistów" popularną piosenkę na nutę *Katiuszy).* Zejście do morza było zagrodzone, dałem nura w zaułki. Znam słabiej tę część miasta, zgubiłem się natychmiast, szukając drogi do *Spaccanapoli.* Wylądowałem na małym placyku, gdzie przez chwilę wydawało mi się, że będę świadkiem nakręcania sceny do filmu o Neapolu w stylu Felliniego. Na kupie czarnych plastykowych woreczków ze śmieciami (od kilku dni strajk sprzątaczy) siedziało ze dwadzieścia chyba prostytutek: grube i cienkie, wysokie i niskie, stare i młode, krzywe i proste, odrażające i znośne. Krzykliwy szwargot, wygrażanie komuś czy czemuś parasolkami i torebkami, barokowe przekleństwa w dialekcie. Trudno się było nie roześmiać, odczytując nazwę placyku: *Sant'Arcangelo a Bajano.*

Więc to tutaj znajdował się słynny klasztor dla dobrze urodzonych dziewic, który w roku 1577 zamknięto z trzaskiem jako ukryty pod śpiewami i modłami zamtuz. Przybytek był luksusowy, nie każdy w jego murach mógł dostąpić niebiańskich rozkoszy. Istnieje kronika klasztoru pod wezwaniem Świętego Archanioła, jeszcze dzisiaj się ją w Neapolu przedrukowuje, mimo że pół wieku temu eksperci wydali na nią nieodwołalny wyrok: apokryf. Uchodziła za przekaz autentyczny długo, nawet Stendhal dał się na to nabrać, są nie błahe wcale poszlaki że maczał palce w wydaniu francuskim. Co, poza słabością do kraju w którym „wszystkie namiętności przemawiają językiem faktów a nie ab-

strakcji", mogło go skłonić do tak lekkomyślnego sądu? Przecież nie podfryzowana na „anonimową" kadencja opowiadania, zalatująca na milę podróbką? Uważam kroniki za świetną szkołę pisarską, uczą (jeśli są prawdziwe) szacunku dla przewagi nagiej relacji nad pokusami opisu, ale tutaj właśnie z relacją jest krucho. Falsyfikat upitrasił ktoś łasy na temat z Boccaccia, przekonany że formą anonimowej kroniki pokryje brak talentu.

Bo temat jest z Boccaccia, nie ma w nim nic z atmosfery późniejszego Loudun, chociaż historia kochliwych mniszek od Świętego Archanioła zakończyła się dramatycznie paroma egzekucjami i paroma wtrąceniami do ciemnicy. Po zamknięciu klasztoru jego opustoszałe mury stały się ulubionym miejscem schadzek „sprzedajnych, ulicznych nierządnic". Od dawna już zaginął wszelki ślad po klasztorze i przyległym doń kościele, lecz na swój sposób ocalała tradycja placyku. „Nie umiera w Neapolu jedna tylko rzecz, złachmaniały cień jego przeszłości" (zdanie mojego przyjaciela).

10 marca

Sporo czytałem o sycylijskiej mafii, zawsze jednak książki Włochów i samych Sycylijczyków odkładałem z uczuciem „i tak i nie tak": czegoś w nich brakowało, albo czegoś było za dużo. Najwięcej niedowierzania budziła we mnie powszechna niemal implikacja jakiejś szeroko rozgałęzionej, hierarchicznej organizacji, z tajnym komitetem centralnym i generalnym sekretariatem na szczycie. Glebą zjawiska jest *omertà,* instynktowna odmowa udziału w formalnych związkach społecznych na rzecz więzi nieformalnych, „dzikich". Przed laty objeżdżałem Sycylię, w Palermo zaparkowałem sześćsetkę w przeznaczonym do tego miejscu, na uliczce pełnej warsztatów i sklepików, i poszedłem zwiedzać katedrę. Wróciłem po godzinie, drzwi samochodu były wyłamane, znikła z niego walizka. Nikt niczego nie widział, nawet szewc zelujący buty w odległości jednego metra. Odpowiadano na moje pytania wzruszeniem ramion, nie podnosząc wzroku. Przyglądał mi się za to uważnie młody człowiek, oparty o ścianę na rogu ulicy. Oczywiście należało iść prosto do niego, zaprosić go grzecznie do baru na *espresso* i w krótszych czy dłuższych pertraktacjach ustalić cenę wykupu. Zamiast tego naturalnego odruchu wybrałem, niedoświadczony nowicjusz, komisariat policji. Śmiertelnie znudzony karabinier wystukał na maszynie protokół i wręczył mi kopię z wyrazem kpiarskiego politowania w oczach. Zrozumiałem dwie podstawowe za cieśniną messyńską prawdy: że *omertà* jest chlebem powszednim Sycylijczyka, mało mającym

wspólnego z jakąkolwiek organizacją; i że na Sycylii państwo jest całkowicie nieobecne, a raczej markuje jedynie swoją obecność.

Socjolog niemiecki Henner Hess, po czterech latach pobytu na Sycylii, zrobił bardzo wiele dla uchwycenia istoty mafii. Jego studium, przełożone ostatnio na włoski, ma podtytuł *Zentrale Herrschaft und lokale Gegenmacht.* I prowadzi do wniosków, które od lat prosiły się o sformułowanie. Mafia nie jest ani organizacją, ani tajnym stowarzyszeniem, lecz metodą, trybem życia, w systemie subkulturalnym. *Mafioso* jest i ten, kto stara się stać na uboczu, unika trwalszych powiązań z określoną grupą „przeciwwładzy", lecz w duchu hołduje zasadzie „samosprawiedliwości", czyli w praktyce prawie każdy Sycylijczyk. W subkulturze, która wyrosła z feudalizmu a nie dorosła do państwa nowoczesnego, tendencje do wypełnienia próżni władzy zbiegają się z lojalnościami elementarnymi. Setkom Sycylijczyków zadawał Danilo Dolci pytanie po pytaniu, czy nie przyszła im nigdy ochota wstąpienia do jakiejś organizacji społecznej, religijnej lub politycznej. Odpowiedź była zawsze przecząca. Twierdząca stawała się dopiero wówczas, gdy w litanii pytań ankietowych zjawiało się ostatnie: „Można powiedzieć, że twoją partią jest twoja rodzina?".

Subkulturze nieobecności państwa odpowiada, na przeciwległym biegunie, subkultura jego wszechobecności. W państwie policyjnym panoszy się donosicielstwo a nie *omertà,* reakcja paniki w obliczu władzy bez żadnej społecznej przeciwwagi. Dopóki trwa dyktatura jednoosobowa, układ jest prosty: społeczeństwo odspołecznione i terror zinstytucjonalizowany. Kiedy Wodza zastępuje oligarchia, dają o sobie znać prymitywne procesy „mafijne": frakcyjność w górze, nieśmiałe odżywanie wspólnot w dole.

16 marca

Pozdrowienia z Piemontu, widokówka przedstawia fragment doliny Elvo, strzałka wskazuje na zboczu *chiesetta alpina Bagneri.* Do tego „kościółka alpejskiego" wyprawiałem się często podczas moich piemonckich wakacji. Otoczony jest umarłym osiedlem, kilkanaście domków o zabitych deskami drzwiach i oknach. W jednym tylko mieszkały (a może jeszcze mieszkają) dwie stare kobiety; reszta ludności wyniosła się „do przemysłu". W Bagneri zatrzymują się czasem schodzący do Sordevolo alpiniści, z Sordevolo wspina się raz na miesiąc do „kościółka alpejskiego" ksiądz. Dwie stare kobiety pozostały w Bagneri, żeby być bliżej cmentarza, gdzie na kamieniach grobowych powtarzają się te same wciąż nazwiska trzech czy czterech rodzin.

Na cmentarzu, przy pogodzie, spędzały większą część dnia. Niekiedy, słuchając ich ledwie uchwytnej szeptaniny, miałem wrażenie że składa się z dwóch słów: „blisko" i „daleko". Bliskie były prócz cmentarza gołe wierzchołki gór, dalekie było wszystko co wiodło na dno doliny między żywych.

18 marca

Opadła nareszcie fala bilansów „historycznych" w dwudziestą rocznicę śmierci Stalina. Była nudna i przerażająco schematyczna. Biorąc do ręki gazetę, otwierając telewizor, wiedziało się zawczasu jaką papkę zaserwują. Stalin czyli tragedia konieczności. Albo: Stalin czyli deformacja nauk Lenina. Jakiś „historiozoficzny" filut odgrzebał, tytułem usprawiedliwienia „minionych okropności", sentencję Trockiego: „Ktokolwiek pragnie spokojnego życia, źle zrobił urodziwszy się w dwudziestym stuleciu". Nie wpadło mu zapewne do głowy, że we Włoszech musiało to zabrzmieć jak ekshumacja okrzyku Mussoliniego: *Vivere pericolosamente!*

Nie zna granic głupota „postępowych intelektualistów". Wybielając Lenina „zniekształconego z konieczności" przez Stalina (skoro Stalina wypada już dziś jednak lekko choćby kopnąć), nie cofają się przed niczym. Humbert-Droz, były komunista szwajcarski i prominent Kominternu, wspomina swoją rozmowę z czekistą Kedrowem nazajutrz po rewolucji. Czy Lenin wie o masowych rozstrzeliwaniach i doraźnych egzekucjach? Kedrow chwilkę pomyślał i odrzekł: „Nie tylko wie, ale bardzo jest zaniepokojony, że się do nich zanadto przyzwyczaimy. Wezwał nas raz do siebie i, towarzysze, powiada, jeżeli któryś z was poczuje że za gładko mu to przychodzi, że spływa po nim jak woda uśmiercanie ludzi, niech natychmiast porzuci obecną służbę, bo grozi mu przedzierzgnięcie się w kata; powinniście pamiętać że terror jest środkiem nadzwyczajnym, że stosować go mogą tylko świadomi rewolucjoniści". Oto leninowskie przykazanie „świadomego rewolucjonisty" o którym zapomniał Stalin, ofiara „nadmiernego przyzwyczajenia". Kto był obłąkany? Mistrz czy uczeń? Mistrz cieszył się jeszcze dobrym względnie zdrowiem, gdy Paweł Akselrod, przyjaciel Plechanowa i weteran Pierwszej Międzynarodówki, sformułował swój sąd o kraju zwycięskiej rewolucji (pisze o tym Caffi w szkicu z roku 1918): nie ma prawa, nie ma społeczeństwa, nie ma klasy robotniczej, rządzi banda oprychów i rezunów, którzy zasmakowali w dziele „budowy socjalizmu".

Rocznicowe meandry „historyczne" przygotowywały naturalnie grunt pod nieuchronny Dyskurs o Cenie: drogo kosztowała „modernizacja" Rosji, widocznie taką trzeba było cenę zapłacić, gorzej tam co prawda z wolnością, lecz cierpliwości, cierpliwości, spadkobiercy Stalina przestaną w końcu racjonować i wolność. Nikomu w rocznicowym ple-ple nie odbił się Tołstoj: „Nie zmieniłbym mojej opinii o Dżyngis Chanie nawet gdybyście mi przedłożyli dowody, że dysponował telegrafem".

26 marca

Nie wiem co mnie wczoraj zaniosło na Capri, prawdopodobnie lęk przed pustą niedzielą w mieście i zwykły przypadek: rano przechodziłem obok portu, gdy odpływał jedyny poza sezonem statek na Wyspę. Zdążyłem się trochę powałęsać przy słońcu w okolicach Tragary i *Arco Naturale,* potem pojechałem na Anacapri. Deszcz uwięził mnie na parę godzin w restauracji. Zimą (trajkotał rozmowny właściciel) lubi Anacapri odwiedzać pisarz angielski Signor Grini. Widuje go się także w deszcz, łazi, łazi, łazi, oczy ma półprzymknięte jakby drzemał, pewnie obmyśla swoje książki. Czytałem je? Ludzie wykształceni twierdzą, że to wielki pisarz. O czym pisze? Ludzie wykształceni mówią, że o grzechu. Ale po co pisać o grzechu? Był, jest i będzie, *siamo tutti poveri peccatori,* takimi nas stworzył Bóg, spowiadać się należy a nie pisać. No cóż, każdy zarabia na życie jak potrafi, Signor Grini potrafi, inaczej nie byłby taki bogaty, to wino mojej własnej produkcji, wszyscy je zawsze chwalą, *alla salute.*

Norman Douglas przemieszkał pół wieku na Capri, umarł (jak głosi legenda) przy stoliku *Piazzetty* w stanie nietrzeźwym. Musiał cieszyć się większą sympatią Wyspy, niż Graham Greene, Signor Grini samotnie wydreptujący dróżki i ścieżki Anacapri.

Gwiazda Greene'a, kiedyś uważnie śledzona i podziwiana, zbladła nagle po *A Burnt-Out Case.* Miano go (ja też) za pisarza, który swój kontrowersyjny, „jansenistyczny" katolicyzm uwolnił od szelestu papieru, nadał mu wymiar rzeczywistego dramatu duszy. Powieść albo jest czymś więcej od literatury, albo skazuje się sama na los jętki jednodniówki. Dramat w leprozorium w Kongo, podejmujący świadomie wątki *La Peste* i *La Chute* (długo przed ukazaniem się *A Burnt-Out Case* napisałem szkic *Dwie świętości: Greene i Camus),* okazał się melodramatem. Być może od tego cienia, który przesłonił naraz i dawną twórczość Greene'a, szuka daremnie ucieczki Signor Grini.

28 marca

Księga o Togliattim, siedemset stronic, autorem jest Giorgio Bocca. Nie komunista, partia jednak dopomogła mu w pracy (dostęp do niektórych archiwów, rozmowy ze starymi notablami), spodziewając się przypuszczalnie pomnika; z zastrzeżeniami tu i ówdzie, może nawet z burżuazyjnymi dąsami, lecz w sumie pomnika. Teraz obraza, prasa komunistyczna odmówiła druku płatnych ogłoszeń wydawcy, zbyt wylewnym notablom robi się wymówki. A przecież *jest* to swoisty pomnik, tyle tylko że sławiący „pragmatyzm" polityczny modela kosztem jego „rysów ludzkich". Potomkowie rewolucyjni *segretario fiorentino* są również wychowankami De Amicisa: cenią wysoko przebiegłość, zręczność w grze, umiejętność wystrychnięcia na dudka naiwnego partnera, brak skrupułów, bezwzględność siły i siłę jezuityzmu, wzdychając zarazem w duchu do sentymentalnej retoryki. Ideałem byłaby symbioza szczwanego lisa i męczennika, zimnego kalkulatora i przywódcy o „gorejącym sercu", ale nie łatwo o nią w stuleciu jednoznacznych opcji. Próbowano po wojnie w partii odlać medalion Gramsci-Togliatti, nie wyszło; wiadomo że od słynnego listu ostrzegawczego Gramsciego do towarzyszy sowieckich, którego Togliatti nigdy w Moskwie nie doręczył adresatom, nastąpiło między preceptorem i pupilem zerwanie; tak głębokie, że partyjna szkoła obmowy nakazywała, bez wątpienia za wiedzą Togliattiego, izolować i bojkotować Gramsciego w więzieniu.

Togliatti był stuprocentowym zwierzęciem politycznym, wyznawcą „realizmu", gotowym poświęcić wszystko dla dopuszczenia do Wielkiej Gry. Spory o to, czy stał się stalinistą z musu czy z wyboru, są infantylne. Po rozgromieniu kolejnych opozycji politykę „realistyczną" można było uprawiać wyłącznie pod komendą Stalina, reguły Wielkiej Gry dyktował Wielki Gracz. Wolno raczej, jeżeli się już koniecznie chce, pytać o lata po Dwudziestym Zjeździe. Według mnie (Bocca dostarcza tu obfitego materiału dowodowego) Togliatti dochował „kultowi jednostki" wierności do końca, zabawiając się pod naciskiem sytuacji i na użytek skonfudowanej gawiedzi w „rewizjonizm". Chruszczowem gardził, znał stalinowski aparat władzy w Rosji dostatecznie dobrze, by przewidywać nadejście reakcji. Sławetny *Memoriał Jałtański* był bardziej usiłowaniem podstawienia nogi Chruszczowowi w manewrach i spiskach pałacowych, niż „platformą" większej elastyczności systemu. Większej elastyczności Togliatti domagał się na własnym włoskim podwórku, i to mu jako „realiście" koncedowano, ale tylko na benefis zachodniej Europy. Mieszanie się do spraw Centrali przejmowało go zgrozą,

odkąd pod sukno schował list Gramsciego. Tę politykę kontynuują w gruncie rzeczy, z odchyleniami zależnymi od okoliczności, jego następcy. Okresowe rozdzieranie szat nad „błędami" w Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji, uchodzi tutaj za najlepszą metodę „wytrącania argumentów przeciwnikom", w Moskwie już się z nią pogodzono i nikomu ona na Kremlu nie spędza zanadto snu z powiek. Potrzeby drobne rynku włoskiego okupuje nadrzędna i milcząca zasada: nie powinno nas obchodzić co dzieje się TAM. Zdarzają się czasem odstępstwa od niej, na przykład (dowiaduję się z księgi) towarzysz Lajolo miał Togliattiemu za złe podpisanie wyroku śmierci na KPP. „Gdybym był nie podpisał, zabiliby mnie. Historia orzeknie czy lepiej było umrzeć, czy żyć dla ocalenia partii". Wyobrażam sobie że „realista", mówiąc to, położył uroczyście rękę na sercu.

6 kwietnia

W *Goethe-Institut* wyświetlano niemiecki film telewizyjny o zamachu na Hitlera 20 lipca 1944.

Kiedy pułkownik Stauffenberg nastawił mechanizm zegarowy bomby w teczce pod stołem i wyszedł z baraku, w którym zasiadła Najwyższa Rada Wojenna, Hitler zerwał się nagle z miejsca i pomaszerował do ściennej mapy. Wybuch bomby nastąpił za daleko od niego. Ale Stauffenberg, już w samochodzie za bramą „wilczej jamy", usłyszał detonację i zameldował w głównej kwaterze spiskowców wykonanie zamachu. W tym momencie cała machina spisku, zamiast wziąć rozpęd, zacięła się po paru zgrzytliwych obrotach i stanęła. Generałowie, którym Beck w charakterze nowego kanclerza Rzeszy zaczął wydawać rozkazy, żądali dowodów śmierci Hitlera, gwarancji powodzenia puczu, nalegali na zwłokę przerażeni własną śmiałością. W ciągu kilku godzin, które dzieliły fałszywą lecz w praktyce zupełnie wystarczającą wiadomość o śmierci Hitlera od jego „zmartwychwstania", mogło się było stać coś nieodwracalnego. Nie stało się. Spiskowcy przypominali gromadkę somnambulików, poruszających się w transie na skraju przepaści. Lunatyczność poronionego puczu została w filmie świetnie uwydatniona.

Rozmaicie się to tłumaczy: „magiczną" władzą *Führera,* niewiarą generałów w ostatnią szansę uchylenia miecza „bezwarunkowej kapitulacji", słabym zgraniem spiskowców. Działała przede wszystkim absolutna próżnia totalitarna. *Bis zum bittern Ende* było niejako wpisane w hitleryzm, bo poza nim nie istniało nic, dosłownie nic, lunatycy poruszali się na skraju przepaści pod

stalowym kloszem z którego wypompowano powietrze. Ernst Juenger, przedstawiciel czystego nurtu nihilistycznego w rewolucji hitlerowskiej, pytał w 39 roku: „Jakąż korzyść przynieść może ludzki rozum lub ludzka wola, jeśli zapadł wyrok klęski?". Dwudziestowieczny nihilizm („posthumanistyczny i pochrześcijański", według określenia samego Juengera) wprowadził mistykę „totalnego zwycięstwa" albo „totalnej klęski"; i zaraził nią nawet pruskich generałów.

15 kwietnia

Apolog Kafki *Przed Prawem*. Stoi przed Prawem odźwierny, przychodzi do niego człowiek i prosi o wpuszczenie. Odźwierny odpowiada, że nie może go chwilowo wpuścić. A później? Później się zobaczy, chwilowo nie można. Petent decyduje się czekać. Czeka miesiąc, rok, dwa, trzy, usiłuje to przebłagać odźwiernego, to przekupić go podarkami, na próżno. Lata płyną, wpatruje się nieustannie w odźwiernego, przeklina swój los. Starzeje się, bolą go oczy, nie wie czy świat ogarnęły ciemności, czy po prostu nie dopisuje mu wzrok. Widzi jednak za bramą Prawa jarzące się ciągle światło. O krok od śmierci i prawie głuchy, daje znak odźwiernemu by się zbliżył, nie jest już w stanie podnieść się o własnych siłach. Ułożył sobie dawno ważne pytanie, chce je koniecznie zadać. „Jesteś nienasycony" — zrzędzi odźwierny, ale podchodzi, przykłada ucho do jego ust i słyszy szept: „Wszyscy starają się dotrzeć do Prawa, więc jak to jest że przez tyle lat ja jeden tylko błagałem o wpuszczenie?". Odźwierny ryczy w odpowiedzi: „Nikt inny nie mógł być tutaj wpuszczony, bramę zrobiono wyłącznie dla ciebie. Zamknę ją ledwie umrzesz".

Uwspółcześnienie przypowieści Kafki. Stoi przed Prawem odźwierny, czeka miesiąc, rok, dwa, trzy, nikt nie przychodzi. Lata płyną, wpatruje się nieustannie w drogę, złorzeczy losowi. Starzeje się, bolą go oczy, nie wie czy świat ogarnęły ciemności, czy po prostu nie dopisuje mu wzrok. Również za bramą Prawa przygasa wolno światło. Pewnego dnia, bliski śmierci i prawie głuchy, czuje że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. „Żyjesz jeszcze?" — rozlega się w ciemnościach głos. „Żyję i czekam żeby cię wpuścić do Prawa, tę bramę zrobiono wyłącznie dla ciebie". Przybysz nachyla się nad nim, wytęża głos: „Jesteś nienasycony. Ta brama nie służy już do niczego, zrobiono ją niegdyś byś miał przy czym stróżować. Zamknę ją ledwie umrzesz, klucz oddam twojemu następcy". Odźwierny dziwi się: „Jeżeli nikt teraz nie stara się dotrzeć do Prawa, po co ma tu czekać mój następca?". Przybysz macha tylko ręką i chichocze cicho, tak cicho że umierający odźwierny nie słyszy na swoje szczęście jego chichotu.

Maisons-Laffitte, 5 maja

Napis *Dio c'è*, „Bóg jest", wysmarowany białą farbą na przydrożnej skale, zauważyłem miesiąc temu w okolicach Pompei. Myślałem, że to wyskok lokalny; podczas podróży do Paryża, między Grosseto i Pisą, mignęło mi z okna pociągu kilka jego replik. Słychać w tym jakiś krzyk, ale nie łatwo odgadnąć co wyraża. Zaklęcie przeciw „jeśli Boga nie ma, wszystko wolno"? Szukanie twardego gruntu pod nogami na osypujących się wydmach piaszczystych? Czy już tylko nadzieję, że odpowie przynajmniej echo?

7 maja

„Egotyzm, dopóki jest szczery, daje do rąk narzędzie odmalowania serca ludzkiego". Stendhal w *Souvenirs d'égotisme*. Okłamywał się sam i kokietował odrobinę przyszłych czytelników, zdumiony galopem swego pióra w Civitavecchia. Co nazywał „szczerością", było wyobraźnią z autobiograficznym motorkiem: *Souvenirs* są bardziej kadłubem mimowolnej powieści o sobie, niż brulionem zamierzonego pamiętnika. Powiedziano trafnie o Stendhalu, że był człowiekiem nerwowo chorym, który leczył się opowiadaniem. Nerwy, nerwy, chce się być kimś innym od odbicia w lustrze, komponuje się *ex post* własne doświadczenia i uczucia. Dzienniki i pamiętniki egotyczne bywają zachwycające (jak *Souvenirs),* lecz nie należy oczekiwać po nich „szczerości"; wykorzystują rozluźnione rygory formalne, by w swobodniejszy sposób „iść za marzeniem". Albo (wypadek Gombrowicza) są walką o siebie, w której więcej od dylematu kłamstwo-szczerość znaczy „przemycić smak blady mojego ja uwięzionego". Szczery był Pepys w dzienniku zaszyfrowanym na cztery spusty; gdy groziła mu ślepota i musiał szyfr zastąpić dyktowaniem, postanowił wpisy ograniczyć do „rzeczy i spraw, które mogą być wiadome całemu światu". W trzecim tomie *Dziennika* Lechoń odnotowuje mój szkic o Pepysie, wyciągając z niego wniosek że „analiza a zwłaszcza samoanaliza prowadzi do jałowości". Nie, nie o to chodzi, Pepysowi udało się namalować wspaniały autoportret sekretny. Jałowa w dziennikach jest choroba buchalteryjności, taka właśnie jak u Lechonia.

A dzienniki nie egotyczne? Powstają z potrzeby kronikar-

skiego dystansu wobec świata, są próbą znalezienia osłoniętego miejsca w jego chaosie.

11 maja

Siniawski po powrocie z łagrów do Moskwy, opisany przez jednego z najbliższych przyjaciół, historyka sztuki Igora Gołomsztoka (przed laty wspólnie opracowali monografię Picassa, w zeszłym roku Gołomsztok wyemigrował z Rosji). Skończyły się dawne całonocne rozmowy przy wódce w pokoju przepełnionym gośćmi, nie chce prawie nikogo widywać, nie odpowiada na telefony, od rana do wieczora stuka na maszynie, bardzo rzadko wybiera się na wystawy lub do kina, tłum wprawia go w popłoch. Jeżeli założono mu w mieszkaniu podsłuch, dyżurni kagebiści muszą się piekielnie nudzić: monotonny stukot maszyny, co jakiś czas dzwonek w pustce, wieczorami obojętne pogwarki rodzinne. Należałoby sfotografować książkę, ale przy takim trybie życia jej autora zadanie nie należy do dziecinnie prostych zabiegów policyjnych. W rękach policji natomiast znajduje się, według wszelkiego prawdopodobieństwa, sfotokopiowany materiał do książki. Dwa razy na miesiąc, zgodnie z regulaminem obozowym, Siniawski wysyłał do żony długie listy pisane nocą na pryczy: uzbierało się tego za okres odsiadywania wyroku tysiąc pięćset zeszytowych kartek; ogromny surowiec, opakowany dla niepoznaki w skąpe i zdawkowe akcenty osobiste. *Głos z chóru* (tytuł książki, którą Gołomsztok zdążył przeczytać przed wyjazdem z Rosji) jest wielkim przemieszaniem gatunków: dziennika, autobiografii, narracji powieściowej, eseju literackiego, traktatu filozoficznego. „Ja" piszącego, rwący strumień świadomości, to głos. Wszystko dokoła, Rosja majacząca językiem „zeków", to polifoniczny chór. Na fali głosu płyną opowiadania, refleksje, strzępy spowiedzi, wywody, obserwacje, chór wpada jak gdyby dla ilustracji swym wielorejestrowym hukiem, czasem przytakując głosowi, kiedy indziej tocząc z nim spór. Stopniowo zmienia się intonacja obu elementów. Głos jest zmęczony brakiem samotności, chór traci świeżość i bogactwo, staje się koszmarną kaszą dźwięków. Wreszcie milknie; głos wewnętrzny trwa dalej, słaby lecz uparty. I pyta: „Co bym robił na wyspie bezludnej, bez żadnych szans opuszczenia jej?". Odpowiedź brzmi: „Pisałbym".

Jedynym celem twórczości jest twórczość, konkluzja do której trzeba skrajnej niewiary w człowieka uwikłanego w międzyludzkie. Nowy Siniawski ma teraz dwóch świętych patronów pisarskich, Gogola i Swifta. Choćby był najświetniejszy, obawiam się że nie będzie mi tak bliski jak niegdyś.

13 maja

List z Poznania uprzytomnił mi że wśród inteligencji w kraju, uważanej lub uważającej się za opozycyjną, wyklarowały się definitywnie trzy postawy: „dobrej roboty", „ochrony substancji narodowej", „pracy organicznej".

W złej wierze powstały dwie pierwsze. „Dobrą robotę" do karykatury sprowadza sama istota ustroju, w którym brak swobodnych form życia społecznego. Strażnicy „substancji narodowej" muszą przyjmować, że wyobrażalny jest naród bez artykułowanego społeczeństwa. Tak rozumiana „substancja narodowa" przypomina raczej lotnego ducha zwabionego do butelki i szczelnie w niej zakorkowanego, niż żywą i zdolną do rozwoju wspólnotę kulturalną. Ale i to bodaj jest interpretacją na wyrost. U większości „substancjonalistów" główną rolę odgrywa zapewne szczątkowy odruch moralności narodowej: pragnienie podparcia się we własnym sumieniu godziwym alibi.

Poważniej nieco wygląda „praca organiczna", skoro zakłada istnienie jakiegoś zakresu samodzielnego sądu i wyboru. „Organicznik" stara się troszczyć wyłącznie o to, co ma dla niego charakter wartości bezspornej, niezależnej od panującego systemu i obcej kurateli. Uprawia ogródek na swoistej, dozwolonej „działce przybarakowej", nie płacąc za licencję *każdej* ceny. Ze wszystkich trzech jest to postawa najbardziej opozycyjna i, w teorii przynajmniej, otwarta: przewiduje opór na wypadek wzmożonej presji, albo przejście do śmielszego działania w okolicznościach większego luzu. Jej słabością jest odrzucenie z góry wszelkiej nielegalności. Mnożenie się, zwłaszcza na prowincji, grupek w rodzaju *Ruchu* wolno chyba odczytać jako dowód niecierpliwości młodszych wobec ostrożnego „organicznikowskiego" minimum.

14 maja

Ktoś, przeczytawszy w ostatniej *Kulturze* esej Orwella, orzekł że jego aktualność jest znikoma. Pokazano mi dziś wycinek z *American Poetry Review*. Poetka (podobno znana) Denise Levertov ma za złe Josifowi Brodskiemu osiedlenie się w Ameryce. „Przyjazd Brodskiego do tego kraju jest aktem politycznym, cokolwiek by on sam mówił dla przekonania nas że jest osobą apolityczną. Jest to akt aprobaty wyrażonej krajowi, który popełnia straszne okrucieństwa w Azji. Mogę zrozumieć wyjazd Brodskiego z Rosji, w samej rzeczy wydaje się (!) że był tam *persona non grata*, ale jeśli nie pociągał go Izrael, pozostawały przecież

inne jeszcze części świata". Brodski w odpowiedzi nazwał amerykańską elitę „mafią", trafnie pod warunkiem że się pamięta jak Hess definiuje prawzór mafii sycylijskiej: mentalność subkulturalna. Dokładnie to miał na myśli Orwell, rozprawiając się z rodzimą elitą intelektualną.

Jest jednak w odpowiedzi Brodskiego i takie zdanko: „Przyjechałem do Ameryki, ponieważ przywykłem żyć w wielkim kraju". Nic u pisarzy z prawdziwego zdarzenia nie drażni mnie bardziej, niż zadęcie „planetarne" implikujące pogardę dla „prowincjonalizmu". Polscy przybysze do Stanów też już zdaje się ulegli tej magii patrzenia z lotu ptaka na rozkręcony globus, nie zdając sobie sprawy że ukoronowaniem wizji „planetarnej" jest *Rok 1984*. Ginie się albo co najmniej nijaczeje bez miłości do miejsc, zakreślonych wąskim rzekomo horyzontem.

15 maja

Przeglądałem wydany w Amsterdamie po rosyjsku przez Fundację Herzena *Politiczeskij Dniewnik,* antologię „samizdatowskiego" miesięcznika pod tym tytułem, krążącego w Rosji w latach 1964-1970. Obszerne i ciekawe sprawozdanie z „narady-seminarium pracowników ideologii". Pięciodniowe zbiegowisko odbyło się w Moskwie w połowie października 1966 roku, brało w nim udział tysiąc osób. Po zagajeniu przemówił sekretarz KC Gruzji, Sturua: „Określa nas się jako stalinistów, szczycimy się tym mianem, jesteśmy stalinistami". Siedemdziesiąt procent sali powitało deklarację *burnymi apłodismentami.* Z wystąpieniem Gruzina zsolidaryzowali się sekretarz KC Azerbejdżanu, Kurbanow, oraz sekretarz KC Białorusi, Stanisław Piłotowicz. Późniejszy ambasador sowiecki w Warszawie odznaczył się również w dyskusji nad *Nowym Mirom:* „Czas wezwać Twardowskiego i zapytać: linię jakiej partii wprowadzacie w życie, towarzyszu, naszej czy jakiejś innej?". Jego białoruski poprzednik nad Wisłą, Ponomarenko, emablował po Październiku „liberalizmem". Po Grudniu dość głupich żarcików.

◆

Byłem już na wyjezdnym z Neapolu, gdy Giulio Seniga podarował mi swoją nową książkę. Seniga wsławił się w partyzantce komunistycznej w Piemoncie, po wojnie upatrzył go sobie na sekretarza osobistego Pietro Secchia, rywal Togliattiego. Młody człowiek bryknął w roku 1954, Bocca w tomisku o Togliattim uważa jego zerwanie z partią za punkt zwrotny w rozgrywce

Wodza z Secchią. W nowej książce Senigi ubawiła mnie krótka notatka o postoju włoskiej delegacji partyjnej (Togliatti i Secchia z sekretarzami) w Warszawie w roku 1949, w drodze powrotnej z Moskwy. Gospodarze obwozili cały dzień Włochów po stolicy, zamęczając ich topografią związków biograficznych Rokossowskiego z Polską. Wieczorem Cyrankiewicz wydał bankiet. Podchmielony Rokossowski wypił ostatni kieliszek do Togliattiego: „Pamiętajcie, drogi towarzyszu, że w razie potrzeby mogę być także generałem włoskim". Gospodarze zarechotali, blady Togliatti mamrotał pod nosem po rosyjsku: *da, da, da.* W niczym nie umniejszając zasług współczesnych „politologów", zapisuję to w moim dzienniczku jako przyczynek do znacznie ambitniejszej nauki przyszłości: psychopolitologii.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

WILLE I PARCELE W HISZPANII

- DO NABYCIA -

w pięknym polskim „GARDEN CITY LOS BALCONES" nad morzem Śródziemnym o 45 km od Alicante.

Idealny klimat i ładne otoczenie.

Informacje w sprawie zakupu i katalogi można otrzymać pisząc do:

P.O.Box 21005 MADRID (Spain).

Prosimy zawiadamiać o przyjeździe, a zorganizujemy transport z lotniska w Alicante celem zwiedzenia osiedla i zapoznania się z rodakami stale tam zamieszkałymi.

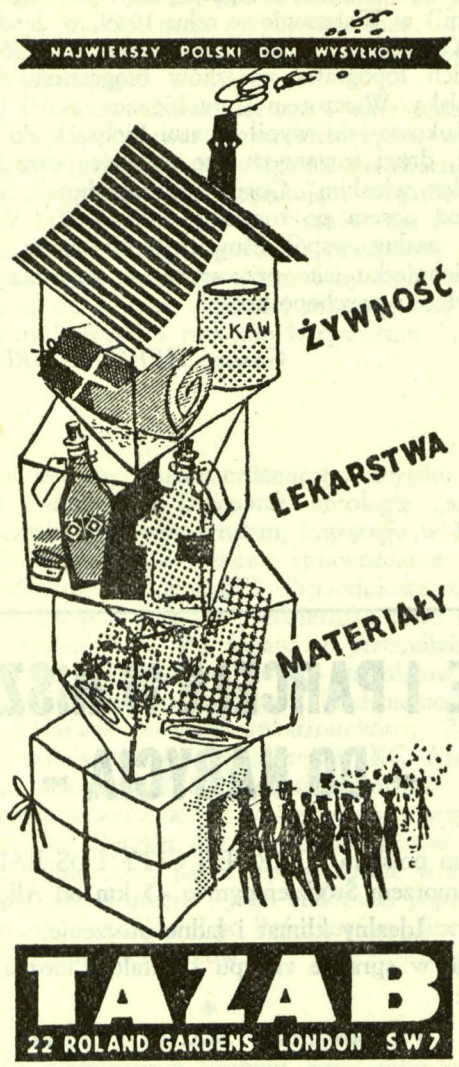

Oddział w Stanach Zjednoczonych:
TAZAB OF LONDON
16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003
Telefon: ALgonquin 4-4160

Poezja i fakty

Niewielki jeszcze dorobek twórczy najmłodszej poezji nie uprawnia do mówienia o pokoleniu, jednak różni się ona od swych bezpośrednich i dalszych poprzedniczek tak dalece, pozostając tego — jak się wydaje — świadoma, że próba uchwycenia jej jednolitości i cech wspólnych może być usprawiedliwiona. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o poetów, lecz raczej o to, w jakim stopniu są oni przejawem świadomości pokolenia młodzieży, pokolenia nie rozumianego jednak jako całość generacji (wyznaczonej według daty urodzenia). Pokolenia tworzą wspólne podstawy, problemy, które przyszło rozwiązywać, stawiane pytania. Obejmować może ono stosunkowo niewielki procent członków danej generacji, tak jak np. stereotyp „kolumba" lub „pryszczatego" odpowiada tylko niewielkiej ilości biografii ludzi określonych roczników. Lecz owe wyidealizowane stereotypy pokoleniowe są ważne przez to, że pozwalają uchwycić to, co było w postawach ludzkich jakiegoś okresu nowe i choć może nie rozpowszechnione, to jednak dobrze charakteryzujące pewne przemiany społeczne, lepiej niż to by np. można uczynić przez opisanie postaw najpowszechniejszych lub w jakimś tam sensie przeciętnych. Myślenie pokoleniowe ma jeszcze tę zaletę, że pozwala prześledzić wewnętrzną dynamikę przemian postaw społecznych, zwłaszcza w grupach tak nielicznych, jak elity intelektualne, kształtowanych skomplikowanym systemem trudno uchwytnych relacji nieformalnych, dla których różnica nawet dwóch, trzech lat może być czymś znacznym.

Przemawiają za tym i inne względy. Świadomość wąskiej grupy ludzi może doskonale odzwierciedlać zjawiska o szerokim zasięgu, które się dopiero rodzą, odzwierciedlać zresztą w sposób niekoniecznie bezpośredni, np. postawa buntu jakiejś małej grupy może dowodzić tezy o prymitywnym konformizmie spo-

łeczności, której są częścią. Jeżeli więc mówimy o świadomości poetów i poezji, to tym samym poruszamy zagadnienie szersze — świadomości tych wszystkich, przez których poezja ta jest czytana i przeżywana. Nie wszyscy mogą ją rozumieć, a przede wszystkim ci, którzy w poezji widzą tylko poezję oraz ci, którzy nie tylko nie mają odwagi działać, ale nawet myśleć.

W warszawskim STS obejrzeć można było niedawno ciekawą imprezę. Zainscenizowano tam zerwanie przedstawienia. Było ono celowo słabe, aby przerwanie go wydawało się czymś uzasadnionym, choć operowało całym zespołem chwytów stosowanych powszechnie. Jego nonkonformizm i buńczuczność objawiały się głównie w ostrej krytyce zjawisk dalekich i nas osobiście nie dotyczących. Zrywający zaproponowali publiczną dyskusję w teatrze spodziewając się, że dalej wszystko powie widownia, sprowokowana przedstawi krytykę tego, co bliskie i ważne. Milczała jednak, patrząc z aprobatą na najodważniejszych, pozostawała bierna.

Było w tym coś symbolicznego: dopiero gwałtowne zerwanie ze wszystkimi ciążącymi schematami pokazuje, że w gruncie rzeczy tylko bardzo nieliczni potrafią poza nie wykraczać, wtedy gdy chodzi już nie tylko o krytykę, ale o nowy sposób myślenia. Jest on niegotowy jeszcze w głowach nawet tych, co się już zdecydowali — jest ich garstka i nie zawsze wiedzą, jak powiedzieć to, co myślą.

Do STS-u należało może zaprosić młodych poetów, ale nie po to, by mówili wiersze, lecz by mówili prozą to co napisali w wierszach. Poeci bowiem to ci, którzy pierwsi formułują myśli. Spór najmłodszego pokolenia w poezji z formacją lat sześćdziesiątych polega głównie na tym, że ci ostatni twierdzą jakoby poezja posiadała wartość sama w sobie, niezależnie od przekazywanej treści, że poezja to coś z dziedziny estetyki, a nie etyki.

Najmłodsi natomiast postanowili rozpocząć swą twórczość od opisu faktów, poezja jest dla nich narzędziem, a nie celem.

I nie od opisu przeżyć w dziedzinie czystej poezji zaczynają swoją twórczość młodzi poeci. Mając niewiele więcej niż dwadzieścia dwa lata, zaczynają od opisów swych pierwszych, młodzieńczych martyrologii, konfliktów i klęsk.

U końca wojny dwudziestoletniej
gdy zapomniałeś nazwisk i adresów
grzebałeś zaginionych zmarłych i zabitych

Spójrzmy prawdzie w oczy: w nieobecne
oczy potrąconego przypadkowo
przechodnia z podniesionym kołnierzem

(Barańczak)

To one uczą ich patrzeć na najbliżej otaczającą ich rzeczywistość. Raz pobudzona nieufność nie zmienia się w zadufanie, domaga się bacznej obserwacji i odsłania swe nowe oblicze. Rzeczywistość.

pobożna jak partyjny dziennik [...]
i cierpliwa jak oficer śledczy
i bolesna jak gdyby w połogu [...]
i prawdziwa jak gumowa pałka
matka dobra jak piwo żywieckie
i troskliwa jakby bufetowa

(Wojaczek)

Zrozumiałe, że w interesach religijnych zastój —
natomiast coraz większy tłok przed kioskami z piwem.

(Moczulski)

„Zastój w interesach religijnych" — to atmosfera, w której się wychowywali, indeferentyzmu ideowego i małej stabilizacji, zamętu w sprawach światopoglądowych, kiedy jedni myśleli, że z czasem młodzież nie mając innych dróg wyboru przybliży się do nich, a drudzy, choć stała za nimi tradycja i obyczaj, w części z braku środków, w części z powodu nieznajdowania odpowiednich metod, pozostawiali młodzież osamotnioną, zdaną na własne, niekiedy zbyt trudne poszukiwania.

Boga nie ma
powiedział po raz drugi
prelegent
i potrącił Feurbachem
zasypiającą kobietę
z pierwszego rzędu
Boga nie ma
otwieram dyskusję
wyrostek z kąta sali zapytał
czy już nie będą odprawiali mszy

(Zagajewski)

... chociaż kościół inny i w nim jednogłośnie dzwonią. Na podniesienie donosu. Jednogłośnie jednogłowi.

(Krynicki)

Pozostali więc pokoleniem bez wychowawców, bez mistrzów. Mistrzów odnaleźli później — Camus, Fromm, autor „Traktatu poetyckiego", Herbert, Brecht. Jednak był to już wybór, którego

dokonali świadomi, dowód na to, że w jakimś stopniu przestali dojrzewać, stając się dojrzałymi. Mistrzów, którzy wychowują, których się nie dobiera, lecz których się ma — nie posiadają. O nich, uzurpujących sobie do tego prawo — piszą:

daleko od mistrzów oszustów
którzy opanowali sztukę krzyczenia
z rękami zaciśniętymi na gardło

po których

nosimy używane słowa wzniosłość i rozpacz
zjedzone przez cudze usta

(Zagajewski)

Kokietowano ich zresztą w najrozmaitszy sposób: kokietowano ich zadziorność, nonkonformizm, lecz tę dwuznaczną buntowniczość kokietujących nazwali „protezami buntu" („Zlot" Kronholda). Patrzyli na dewaluację i agonię słów.

Patrzyłem na agonię słów w milczeniu
NIE stało przed plutonem egzekucyjnym bez opaski na oczach
Prawda długo żegnała się ze sprawiedliwością
Miłość starała się wszystko zrozumieć
Wszystkie wielkie słowa
Przekazane przez kolejne pokolenia rewolucjonistów.

(Bierezin)

Są zarazem pierwszym chyba powojennym pokoleniem, nie znajdującym się pod presją doraźności historycznej. Nie oznacza to, by byli w mniejszym stopniu zdeterminowani wydarzeniami historycznymi niż ich poprzednicy. Podejmują odpowiedzialność, narzuconą im przez wydarzenie, nie przymuszani do niej z zewnątrz, jak dawniej bywało, mając też przed sobą alternatywę wyboru małej stabilizacji — ideologii mającej już lat kilkanaście, którą wybrało w dużej swej części poprzedzające pokolenie. Nie znajdują się pod presją doraźności historycznej, ponieważ odrzucili postawę służebną wobec historii, zdołali zdobyć się na dystans do jej wydarzeń, przestali reagować na zasadzie odruchów warunkowych, działać podług praw psychologii zbiorowej. Zdali sobie sprawę ze złożoności sytuacji i wielości możliwych rozwiązań. Pragną nawrócić do tradycji swobody i praw do buntu, do protestu w poezji, tradycji zapomnianej wskutek partykularnego widzenia jej w świetle schematów jednego systemu.

Dostrzegli utopijność haseł i nawoływań. Państwo platońskie stało się dla nich symbolem fałszywych i niezrealizowanych idej, groźnych przez abstrakcyjny, nieludzki charakter i apodyktyczność,

z jaką są wypowiadane (wiersze: „Platon" Bierezina, „Poeta współczesny" Wita Jaworskiego, „Państwo Platona" Zagajewskiego).

To więc pesymizm i rozczarowanie stały się przeżyciami najpierwotniejszymi. W „ojczyźnie smacznej jak piwo żywieckie" potencjalni rewolucjoniści mogli stanąć pod budkami z piwem (patrz: wiersze Karaska) i przezwyciężyć swe troski alkoholem.

Poeta pisze wiersz o ojczyźnie
(Mała wódka)

(Wojaczek)

Postanowili wyciągnąć „własne wnioski". Stali się „pokoleniem bez złudzeń", nie poddającym się powszechnym mitom łatwego optymizmu, przestali wierzyć w tymczasowe naprawiactwo beznadziejnych sytuacji. Ich decyzje mogły się stać dzięki temu bardziej samodzielne, a ich poezja nie poganiana batem historii.

Oto ich punkt wyjścia. Spytajmy teraz, co postanowili uczynić. Jedno rozwiązanie jest tragiczne. Jego autorem jest Wojaczek. To, że jego twórczość i śmierć ma wymiar metafizyczny, wymiar spraw ostatecznych, niech nie ukrywa przed nami jej społecznej wymowy.

Barańczak proponuje nieufność. Oznacza ona stałe przeciwstawianie się schematom, ciągłe pogotowie intelektualne, nie kończącą się demaskację. To, co oryginalne w jego propozycji, to twierdzenie, że zadanie to winna wziąć na siebie poezja, mało tego, że posiada ona ku temu najlepsze w naszej sytuacji środki. Struktura systemu odpowiada strukturze języka, którego używa. Zdemaskować system, to zdemaskować jego język, ukazać jego wewnętrzny mechanizm i kłamstwo, którym się posługuje. Każde kłamstwo jest z grubsza ciosane — zdaje się mówić Barańczak — tekst jest kłamstwem, jeżeli go rozumieć wprost, bezmyślnie. Świadoma analiza treści uchwyci to, co mówi on naprawdę między liniami, uchwyci delikatną siatkę znaczeń, uchwyci to, co wyrażone poza tekstem, przez całą jego strukturę. Zdemaskowane wartości lub pseudowartości zmieniają znak, prawda nazywać się będzie teraz kłamstwem, postęp zastojem itd. W tym sensie poezja jest próbą przekładu czarnobiałej skóry gazety na białoczarny naskórek papieru.

Do tego samego sprowadzają się propozycje grupy „Teraz" (choć w planie techniki poetyckiej poeci grupy „Teraz" pragną się od Barańczaka różnić). Bagatelizacja mitu, odrzucenie pewności jako kategorii wartościującej — oto niektóre z propozycji Kornhausera.

Bierezin wybiera postawę bardziej heroiczną. Dla niego poezja

powinna być sceptyczna i etyczna. Poezja niech ma prawo wątpić. Inspirowany w wielu miejscach przez Camusa dowodzi, że sceptycyzm nie oznacza bierności, jest buntem, że broni on wartości świadomie przez siebie wybranych.

Skoro nie wybrałeś na przykład walki
— wybrałeś bierność
Skoro nie wybrałeś na przykład prawości
— wybrałeś strach

Sama forma wierszy Bierezina podkreśla, że wszelki wybór ma charakter osobisty, jest samodzielnie podjętą decyzją.

Tego wieczoru wysokim wyrokiem sumienia
odebrałem sobie prawo do wewnętrznej emigracji
nie bez wysiłku zamknąłem za sobą ciężkie drzwi
jedynego niemożliwego wyjścia

Sądzę, że Barańczak, Kornhauser, Zagajewski, Bierezin jako przedstawiciele różnych grup i ośrodków poetyckich wzajemnie sobie nie przeczą. Nieufność i sceptycyzm są im wszystkim wspólne, mają one przywrócić wartość samodzielnym poszukiwaniom, przywrócić godność jednostce, nie dającej się wciągnąć bezmyślnie w tryby społecznych mechanizmów.

Jest to postawa trudna, jeśli nie ma ona kończyć się obojętnością i milczeniem, ale właśnie ono spotyka się z najsilniejszym protestem.

Dosyć zagipsowanego w ustach krzyku
Dosyć martwego powietrza
(Moczulski)

Nie tylko kontynuacja tej postawy, ale utrzymanie jej nie jest łatwe. Stawia przed tymi, którzy ją wybrali, problemy moralne, wymaga wyboru, domaga się dyskusji o metodach, a przede wszystkim o moralności. Od tego właśnie miejsca młoda poezja może stawać się nie tylko jednym z wielu dokumentów epoki, lecz sięgnąć także w wymiar uniwersalny, nawiązując do twórców miary Camusa, odwołując się do własnej tradycji i nowo wytworzonej świadomości historycznej, a przede wszystkim ukazać człowieka w perspektywie wyborów trudnych, jego tragedii i szczęścia. Ważne jest, że te uniwersalne tematy nie będą podjęte w sposób abstrakcyjny, oderwany, lecz jako wynik obserwacji zwykłego życia zaczną się od podejmowania spraw konkretnych i dotyczących wszystkich, właśnie przez swą banalność i codzienność, a nie przez nieumotywowaną wzniosłość. Są to znamiona wielkiej sztuki. Jak pisaliśmy na początku, nie sposób przewidywać, czy stanie się nią młoda poezja, o której wszelkie sądy dzisiaj są pewną nadinterpretacją, to jednak winna, jak sądzę, taką stać się, o ile pozostanie wierna dzisiejszym ideałom, a przede wszystkim zdecyduje się wiernie towarzyszyć ludziom swego pokolenia.

Kazimierz WÓYCISKI

W artykule wykorzystano fragmenty wierszy drukowanych w następujących zbiorkach poezji lub tygodnikach i miesięcznikach literackich: St. Barańczak: *Dziennik poranny*, Poznań 1972; J. Bierezin: „Lekcja liryki", Łódź 1972; L. A. Moczulski: „Nawracanie stracha na wróble", Kraków 1971; R. Wojaczek: „Nieskończona krucjata", Kraków 1972; J. Kronhold: „Samopalenie", Kraków 1972, a także wiersze i manifesty młodej poezji i artykuły jej poświęcone, drukowane w następujących czasopismach: *Literatura, Nurt, Odra, Poezja, Student, Więź, Życie Literackie.*

◆

NOTA BIOGRAFICZNA

Kazimierz WÓYCICKI, ur. w 1949 r. W latach 1967-70 studiował matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, później filozofię w KUL'u, którą kończy w bież. roku pracą magisterską o Jean Grenier.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI
Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Radziecki czy sowiecki?

Publicystyce krajowej bezpośrednio po wojnie narzucono termin „radziecki" zamiast „sowiecki". Przez wiele lat emigracja tego terminu nie stosowała. Potem został on jednak wprowadzony na Zachodzie przez ośrodki masowej propagandy, którym się wydawało, że będzie to bardziej zrozumiałe dla słuchacza w kraju. Nie pierwszy to wypadek podświadomego przyjmowania wzorców PRLowskich nie tylko w dziedzinie filologicznej ale często i politycznej (by wymienić popieranie odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie, zamiast skoncentrowania się na zabezpieczeniu polskich ośrodków kulturalnych na Zachodzie, jak np. POSK). Dziś bodaj jedynie Kultura *konsekwentnie używa terminu „sowiecki", z wyjątkiem, ma się rozumieć, cytowanych tekstów czy dokumentów krajowych.*

W roku 1950, w nr. 33-34, zamieściliśmy artykuł nieodżałowanej pamięci Stanisława Westfala pt.: „Radziecki czy sowiecki". Wydaje się nam celowe przypomnienie tego artykułu, który po upływie prawie ćwierćwiecza nie stracił na aktualności. Nigdy nie byliśmy zwolennikami puryzmu językowego: wręcz przeciwnie: każda nowa adaptacja jest wzbogaceniem języka, a korygowanie języka np. obu Mackiewiczów uważaliśmy za zwykły akt barbarzyństwa. Natomiast trzeba bronić się przeciwko terminom narzucanym przez biurokrację PRL czy ZSSR. Termin radziecki czy sowiecki nie jest dla nas jedynie sporem filologicznym.

Redakcja

I

Komunistyczny nowotwór RADZIECKI na tle tradycji polskiej i usus'u innych języków

Jak wie każdy czytelnik pism drukowanych w Polsce, prze-

jęte z rosyjskiego terminy *Sowiety*, sowiecki[1], zostały usunięte z oficjalnego użytku przez rządzące sfery komunistyczne. Wprowadzono natomiast ukuty w okresie rewolucji rosyjskiej (1919 ?) termin *radziecki*, będący przekładem z rosyjskiego przymiotnika *cobémckuú*, „związany z radą, z radami" *(cobém*, „rada").

W kierunku rodzimości poszedł komunizm również na Ukrainie przyjmując już na samym początku rewolucji termin z charakteru i „z materii" podobny: радянський, Радянський Союз por. ukr. рада z polskiego *rada*.

Ideą przewodnią ukucia swego czasu „rodzimego" terminu *radziecki* było przekonanie kół komunistycznych, iż system, który zmierza do powszechności (hasło rewolucji światowej), winien mieć wszędzie nazwy rodzime.

Wprowadzenie po r. 1944 przymiotnika *radziecki* było zaprzeczeniem dwudziestokilkoletniej tradycji polskiej: do owej daty terminy *Sowiety, sowiecki* były — komunistów nie licząc — wyłączne. Nie kłóciło się to z duchem języka polskiego — od kilku stuleci polszczyzna, mimo fal uzasadnionego lub nieuzasadnionego puryzmu, „czyścicielstwa", wykazuje wyrazistą skłonność do przejmowania słów obcych dla zawartej w nich barwy stylowej lub kolorytu lokalnego. Na tym tle ustalenie się w Polsce terminów *Sowiety, sowiecki*, było całkowicie zrozumiałe, tym bardziej, iż komunistom nigdy administracyjnie nie zabraniano stosowania terminów *Związek Rad, radziecki*, co dawało dostateczny wyraz tradycyjnemu liberalizmowi.

Podobna sytuacja panowała w sąsiadującym z polszczyzną — języku litewskim, gdzie obok niekomunistycznego *Sovietu Sąjunga*, „Związek Sowiecki" (przym. *sovietiškas)*, istniał termin komunistyczny *Tarybu Sąjunga* (pierwszy człon jest dopełniaczem liczby mnogiej od rzeczownika *taryba*, „rada").

Stosowanie terminów rodzimych, przekładowych, takich jak *radziecki* w języku polskim, nie zawsze było wyrazem ideologii komunistycznej. Estonia i Łotwa wyrosły po pierwszej wojnie światowej w walce z bolszewizmem i przez cały niemal okres „międzywojnia" były przez propagandę sowiecką atakowane jako „szańce wypadowe kapitalizmu światowego". A jednak, wskutek tendencji purystycznych, właściwych przede wszystkim językom cywilizacyjnie młodym, i w estońskim i w łotewskim przymiotnikowi *cobémckuú* odpowiadały twory rodzime, przekładowe. Tak np. po estońsku Związek Sowiecki nazywał się przez cały czas *Nõukugude Liit* (pierwsze słowo jest dopełniaczem liczby mnogiej od rzeczownika oznaczającego „radę").

Z drugiej strony, prawie wszystkie języki europejskie, z angielskim i francuskim na czele, przyjęły termin rosyjski (ang. *Soviet*, fr. *soviétique*, czes. *sovětsky*, słow. *sovietsky* itd.) Posługują się tymi terminami tak niekomuniści jak i komuniści.

1. Po rosyjsku советы w niedbałym języku mówionym mogą oznaczać również i kraj.

Dlatego wprowadzenie przymiotnika *radziecki* po roku 1944 było w Polsce aktem zgoła zbędnym.

II

Droga wiodąca ku przymiotnikowi RADZIECKI i ocena tegoż przymiotnika

Przy pierwszym zwłaszcza zetknięciu się z przymiotnikiem *radziecki* każdy Polak o subtelniejszym nieco poczuciu językowym wyczuwa zgrzyt. Negatywny stosunek do komunizmu może oczywiście wrażenie zgrzytu wzmóc ale nie jest jego przyczyną. Przyczyna leży w pewnych momentach strukturalnych, wiążących się z budową tego przymiotnika, oraz w znaczeniu dwóch przymiotników pokrewnych. Celem niniejszego artykułu jest właśnie przedstawienie tych momentów.

Ustrój sowiecki był i jest ustrojem *rad*, wobec czego komunista, który swego czasu ukuł nowotwór *radziecki*, miał za zadanie utworzenie przymiotnika od rzeczownika *rada*. Z pewnych względów, które, tak dla uproszczenia zagadnienia jak i dla oszczędności miejsca, pomijamy, nie mógł posłużyć się typem przymiotników, zbudowanych przy pomocy sufiksu *-n-* (por. *kościół:* państwo *kościel-n-e* — powstałby wówczas „ustrój *rad-n-y*"), ani typem na *-ow-* (por. *sejm:* ustrój *sejm-ow-y* — otrzymalibyśmy wtedy zgoła niemożliwy „ustrój *rad-ow-y*" !). Jedynym typem przymiotników, jaki pozostawał, były przymiotniki zbudowane przy pomocy sufiksu *-sk-* (por. *ziemia: ziem-sk-i)* lub przy pomocy któregoś z „rozszerzeń" tego sufiksu.

1) Dlaczego nie mógł powstać przymiotnik *radzki?*

Zastosowanie do rzeczownika *rada* sufiksu *-sk-* dałoby w rezultacie przymiotnik *radzki*. Przymiotnik taki niegdyś istniał. *Słownik warsz.* zna go np. w użyciu rzeczownikowym z L. Krzywickiego (ur. w r. 1859): Dębski i Świdwa są burmistrzami, Jan Rawa wójtem, Domanowski *radzkim*. Jest to martwy termin historyczny, szczupło w dziejach języka zaświadczony.

To, że *radzki* już niegdyś istniał, nie dawało podstawy samo przez się, aby przymiotnik taki ponownie utworzyć. Wznowieniu sprzeciwiała się dzisiejsza martwota tego typu przymiotnikowego, o czym zaraz, szerzej.

Rzeczownik *rada* jest rodzaju żeńskiego, typu samogłoskowego (pierwszy przypadek kończy się na samogłoskę: *rad-a-* w przeciwieństwie do żeńskich rzeczowników spółgłoskowych, takich jak np. *jesień).* Przeciętnej wielkości słownik zawiera około 5 tys. rzeczowników żeńskich na *-a-*. Owóż tylko 14 spośród nich ma przymiotniki na *-sk-*. Są to:

5 oznaczeń kobiet „jako takich": *baba: babski; białogłowa: białogłowski* (i rzeczownik i przymiotnik to żartobliwe archaizmy); *dama: damski; dziewczyna: dziewczyński* (Sienkiewicz — przymiotnik ten ma zabarwienie dialektyczne, występuje jedynie w języku pisanym); *panna: panieński;* można by również dodać przymiotnik *żeński,* gdyby nie to, że jego wyraz macierzysty, *żona,* już dawno znaczeniowo odbiegł od przymiotnika, nie oznacza bowiem 'kobiety', lecz 'żonę';

4 oznaczenia formacji wojskowych: *artyleria: artyleryjski; biała gwardia: białogwardyjski; gwardia: gwardyjski; kawaleria: kawaleryjski.*

3 terminy z zakresu życia społecznego: *gromada: gromadzki; szlachta: szlachecki; wieś: wiejski;*

2 terminy geograficzne: *góra: górski; ziemia: ziemski.*

Kategoria przymiotników tworzonych przy pomocy sufiksów *-sk-* od rzeczowników żeńskich samogłoskowych[2] jest typem martwym, o czym świadczy już sama nikła liczba tworów tego typu (14 na 5 tys.). Nowe przymiotniki tego typu są wzięte z dialektów (jak *dziewczyński),* albo wzorowane na obcych (jak wyżej wymienione cztery przymiotniki „wojskowe"[3]). Dlatego nawet mimo istnienia w dzisiejszym języku np. przymiotnika *gromadzki* utworzonego od zbiorowego rzeczownika *gromada,* rymującego z *radą,* która również jest rzeczownikiem zbiorowym (oznacza zespół ludzi), ponowne uformowanie przymiotnika *radzki* było niemożliwe.

2) Czy mógł powstać przymiotnik *radziecki?*

W dawnym języku takiego przymiotnika nie było. Podobny przymiotnik występuje w ukraińskim: радянський 'sowiecki'. W polszczyźnie dzisiejszej typ przymiotników utworzonych przy pomocy sufiksu *-ań-sk-* (tj. jednego z uprzednio zapowiedzianych rozszerzeń sufiksu *-sk-*) od żeńskich rzeczowników pospolitych samogłoskowych ograniczony jest do książkowego *puszczańskiego* (od *puszczy,* por. Sienkiewicz: droga była ciężka, nie tak jednak, jak czasami bywała w tych *puszczańskich* krainach) oraz do potocznie używanego *republikańskiego,* od rzeczownika *republika.* Ewentualny *radziański* nie byłby tak niezdarny jak *radziecki* (o czym niżej), ale oparcie miałby równie szczupłe.

Uboczną zaletą *radziańskiego* byłoby to, że względnie gładko powstać mógłby *radzianin,* na oznaczenie 'mieszkańca kraju o ustroju rad'. Typ *-an-in-,* któremu *nota-bene* sufiks *-ań-sk-*

2. W przeciwieństwie do rzeczowników żeńskich męskie bardzo chętnie tworzą przymiotniki na *-sk-*.

3. Przymiotniki te są wzorowane na odpowiednich rosyjskich артилерийский, (бело)гвардейский, кавалерийский. Dowodem ich rosyjskości jest z jednej strony to, iż Słownik Lindego, wyd. w r. 1807-1812 a obejmujący materiał z XVI-XVIII w., kiedy to o językowych wpływach rosyjskich w polszczyźnie nie mogło być mowy, przymiotników nie zna, zna natomiast m.in. wyszły już z użycia przymiotnik *artyleryczny.* Z drugiej strony — przymiotniki na *-sk-* są w rosyjskim nieporównanie częstsze niż w polskim, i taki np. артилерийский ma bardzo szerokie tło wielu innych przymiotników podobnej budowy.

zawdzięcza swoje *-ań-*, obejmuje nazwy mieszkańców krajów, miast, wsi itd. *(Amerykanin, Korsykanin, Rosjanin, Słowianin, warszawianin, łobzowianin* itd.), lub wyznawców-członków pewnych religii *(chrześcijanin, purytanin)* czy też ideologii społecznych *(republikanin). Radzianin,* acz dość niezwykły, doskonale by tu pasował. A potrzebę utworzenia rzeczownika oznaczającego 'mieszkańca kraju o ustroju rad' stwierdza fakt powstania wzgardliwego *sowieciarza* (por.: który widok tak oburzył wspomnianego *sowieciarza, Wiadomości,* Londyn, dn. 31 lipca 1949, z art. Z. Nowakowskiego) oraz niepoprawne stosowanie rzeczownika *sowiet* w znaczeniu osobowym (A nafty tak zwani *sowieci* rzeczywiście przywieźli dużo, tamże, 3 lipca 1949, w art. J. Mackiewicza). Jakiś *radzieczczanin,* od przymiotnika *radziecki,* byłby stanowczo bardziej niezdarny, bardziej niemożliwy, od *radzianina.*

Wracając do przymiotnika *radziański* należy orzec, że nie mając tych wad, które ma *radziecki* (p. niżej), nie byłby *radziański* bynajmniej czymś prostym, oczywistym i naturalnym.

3) Ocena nowotworu *radziecki.*

Przeciętny Polak nie zdaje sobie sprawy, że w polszczyźnie istniał i w pewnym sensie istnieje jeszcze nadal inny, dawny przymiotnik *radziecki.* Mimo iż najdawniejsza cytata słownikowa pochodzi z XV wieku, słowo to (wywodzące się nie od *rady,* lecz od *radźcy-radcy)* mogło powstać już w XIII wieku, kiedy to reorganizowano miasta polskie na modłę niemiecką dając im autonomiczne *rady* złożone z *radźców.* Zgodnie ze swoim pochodzeniem, ów dawny *radziecki* oznaczał 'należącego do radcy, radców'. I tak np. w *Złocistej przyjaźnią zdradzie* A. Korczyńskiego z roku 1698 jest na stronie 100 (Bibl. Pis. Pol., nr 89, Kr. 1949) mowa o „żonie radcy":

> Dokąd ci ludzie jadą i czy ustrojona
> Podróżno jest *radziecka* czy gościowa *żona.*

Obecnie przymiotnik *radziecki* występuje jako archaizm w tekstach traktujących o historii:

Jan Sobieski ustanowił w roku 1680 trzy porządki miasta: *radziecki,* ławniczy i pospólstwa przysięgłego (strona 17, J. Rokoszny, *Przewodnik po Sandomierzu,* III wyd., Sandomierz, 1925); Księgi *radzieckie* kazimierskie, 1369-1381 (po łac.: Acta *consularia* casimieriensia), opubl. przez A. Chmiela w *Wydawnictwach Archiwum Aktów Dawnych Miasta Krakowa,* 1933.

Słowo to nie ma nic wspólnego z nowoczesnym *radzieckim.* Po pierwsze, znane jest jedynie szczupłej garstce fachowców. Po drugie, i ci fachowcy traktują je jako archaizm. Po trzecie, wiąże się z członkami rady miejskiej, nie jakiejkolwiek innej. Po czwarte, nie z *radą,* ale właśnie z *radcami,* co uwidocznione jest w budowie. *Radźca -radca* wywodził się od *radzić — radzić* od *rady* — dlatego średniowieczny *radziecki* oparty był na szeregu: *rada-radzić-radźca-radziecki,* podczas gdy *radziecki* nowoczesny na szeregu: *rada: radzi-eck-i,* uwydatniającym sufiks *-eck-.*

Dlatego ocena strukturalna nowoczesnego *radzieckiego* wymaga ustalenia, czy i w jakim sensie istnieje w dzisiejszej polszczyźnie sufiks *-eck-.*

Typ rzeczowników pospolitych na *-c-a,* które mogły dać początek sufiksowi *-eck-,* nie przekracza zbytnio 160 (rzeczowniki na *-eck, c,* por. *jeniec: obóz jeniecki* — przymiotników takich jest osiem — nie tracą nigdy związku z rzeczownikami macierzystymi, wskutek czego nie dają podstawy do wyodrębnienia się sufiksu *-eck-).* Spośród owych 160 tworów na *-c-a-* jedynie cztery mają przymiotniki utworzone przy pomocy sufiksu *-sk-* który wraz z elementem *-c-* daje zakończenie *-eck-:*

Łowca: konkurs *łowiecki; radca* (miejski): *radziecki* (archaizm); *zbójca:* napad *zbójecki; zdrajca: zdradziecki* napad.

Przymiotniki na *-sk-* (tj. o zakończeniu *-eck-)* od rzeczowników męskich osobowych na *-c-a* są typem martwym. Wskazują na to również i komplikacje w stosunku między rzeczownikami na *-c-a* a wywiedzionymi z nich niegdyś przymiotnikami. *Zdradziecki* powstał w średniowieczu od dawnego *zdradźcy* — zdrajcy, utworzonego od *zdradzić,* które z kolei powstało ze *zdrady.* Rozwój dźwiękowy, który *zdradźcę* przemienił w *zdrajcę,* rozbił związek przymiotnika *zdradziecki* z człowiekiem, nawiązał zaś z jego czynem, ze *zdradą.* Ten właśnie związek miał szczególną wagę dla powstania nowoczesnego *radzieckiego,* gdyż ustaliła się tu, jako jedyna, więź: *zdrada: zdradzi-eck-i,* uwydatniająca sufiks *-eck-.* Zbójecki łatwiej da się dziś ująć jako przymiotnik oparty na częstszym znaczenie rzeczowniku *zbój* niż na zanikającym *zbójcy,* ale oba powiązania są możliwe.

W świetle tych rozważań da się ustalić, że sufiks *-eck-* tworzący przymiotniki od rzeczowników istotnie istnieje. Głównym uzasadnieniem *istnienia* tego sufiksu jest podzielność przymiotnika *zdradziecki* wiążącego się dziś tylko ze *zdradą: zdradzi-eck-i.* Drugim pod względem ważności — alternatywna (bo związku ze *zbójcą* przymiotnik nie zatracił) możność odniesienia przymiotnika *zbójecki* do *zbójca (zbój: zbój-eck-i).* Podstawy istnienia sufiksu *-eck-* są więc szczupłe i dwoiste. Jedynym tworem, świadczącym o żywotności tego szczupłego w swych podstawach i dwoistego w swych związkach sufiksu *-eck-* byłby właśnie nowoczesny przymiotnik *radziecki,* utworzony od *rady.* Wszystkie te okoliczności sprawiają, że przymiotnik ten odczuwamy jako twór niezgrabny, niezdarny, sztuczny.

Na tym sprawa się nie kończy. Najbliżej z nowoczesnym *radzieckim* spokrewnione przymiotniki *zdradziecki*[4] i *zbójecki*

4. *Zdradziecki* jest szczególnie bliski *radzieckiemu,* bo *zdrada,* z której się ostatecznie wywodzi, jest złożona z prefiksu *z-* oraz tejże samej *rady,* między które wtrącono *-d-* (podobnie z dawnej *zazrości* powstała *zazdrość).*

Nazwy miejscowe zachowują się w języku polskim bardziej archaicznie niż rzeczowniki pospolite, dlatego np. nazwy miejscowe żeńskiego rodzaju tworzą jeszcze dość swobodnie przymiotniki przy pomocy (nie rozszerzonego) sufiksu *-sk-: Jaffa:* pomarańcze *jaffskie; Panama:* kanał *panamski.* Ten moment w ocenie twierdzeń artykułu należy wziąć pod uwagę.

reprezentują sobą pojęcia mało pochlebne, co wybitnie pomnaża ujemną wartość nowotworu.

Założenie, z jakiego wyszedł twórca nowotworu, było jak wiemy, założeniem purystycznym. Przypatrzmy się kwestii, jak się z nowego założenia wywiązał. Oczywiście absurdem byłoby wyrzucanie mu, iż użył niemieckiego z pochodzenia rzeczownika *rada* (niem. *Rat)*, gdyż słowo to było jedyne, jakim w ogóle mógł dysponować, a ponadto przynajmniej chyba 700 lat obywatelstwa w języku polskim i dźwiękowe stopienie się z polszczyzną (rzeczownik *rada* brzmi dokładnie tak samo jak słowiański z pochodzenia przymiotnik *rada*, 'uradowana'), niemieckość słowa sprowadziły do bladego wspomnienia historycznego. Sprawą, jaką w związku z purystycznym założeniem warto zbadać, jest tylko to, czy i o ile *radziecki* wzoruje się na rosyjskim.

Twory na *-sk-* od rzeczowników żeńskich są w rosyjskim znacznie obfitsze niż w polskim. Widzieliśmy to już w związku z czterema „wojskowymi" przymiotnikami wzorowanymi na rosyjskim[3]. Ponieważ twórca nowoczesnego przymiotnika od *rady* nie mógł budować w ramach typów przymiotnikowych na *-n-* lub *-ow-*, zastosowanie jednego z wariantów typu *-sk-* nie było jeszcze aktem poddania się wpływowi rosyjskiemu — tym bardziej, iż przymiotniki narodowe, państwowe *(polski, francuski* itd.) tworzy się i po polsku przy pomocy sufiksu *-sk-*. Ale twórca rozpatrywanego nowotworu mógł pójść drogą wybraną przez swego kolegę z Ukrainy i *od biedy* ukuć pozbawiony momentów negatywnych przymiotnik *radziański*. Ku *radzieckiemu* pociągnął go rym z rosyjskim *cobémckuû* (por. także pol. *niemiecki)* i na tym właśnie polega cień rosyjskości zwisający nad *radzieckim*.

Rozwiązanie trudnej sytuacji słowotwórczej doprowadziło więc do utworzenia przymiotnika o szczupłym i dwoistym uzasadnieniu strukturalnym, o niepochlebnych skojarzeniach, częściowo wzorowanego na rosyjskim. Trudno o lepszy przykład błędnych i w pewnym stopniu wewnętrznie sprzecznych dróg puryzmu, z którym w ostatnich latach stowarzyszył się nacisk i przymus. Pozostańmy przy *Sowietach* i *sowieckim*. Chyba, że potrzebna ironia, połajanka, koloryt.

Stanisław WESTFAL

Kuracja antyszokowa (I)

Każda ideologia, choćby najbardziej zwariowana, jest mniej niebezpieczna od racjonalizmu, który nie widzi dalej niż koniec swego nosa. Ponieważ taki racjonalizm jest ślepy.

Dostojewski.

Przeglądając w *Kulturze* relację Brońskiego* z książki Tofflera „Szok Przyszłości" zauważyłem, że jestem reprezentantem „nielicznej jeszcze grupy ludzi przyszłości: technikiem, naukowcem, coraz prędzej zmieniającym stanowiska, kontynenty i przyjaciół", a jednocześnie odległym zaledwie o kilka lat reprezentantem świata przeszłości: cywilizacji pastersko-rolniczej. Ten zbieg okoliczności w połączeniu z faktem, że udało mi się w mej biografii ominąć nieomal zupełnie świat przemysłowy, zachęca do porównywania tych obu skrajnych cywilizacji.

Od dłuższego już czasu intrygowała mnie tutaj rzecz dość ważna dla mnie: dlaczego moja działalność „przyszłościowa", oprócz zdobywania środków do życia, nie ma dla mnie żadnej wartości, podczas gdy ten świat przeszłości, który mam zniszczyć przy pomocy technik rozwijanych przeze mnie samego, wabi mnie dość przyjemnymi wspomnieniami i jego wartości zarówno materialne jak i duchowe wydają się jedynymi jakie są warte zachowania i kontynuacji.

To dziwne uczucie bycia jednocześnie katem i ofiarą nasunęło mi podejrzenie, że to co nazywamy „postępem" jest w swej

1. *Kultura* nr 5/1971. Cytaty w tym artykule będą pochodzić z tego 12-stronicowego streszczenia, które polecam przy tej okazji powtórnie przeczytać, gdyż wydaje się ono zupełnie wystarczające dla uchwycenia sensu i wartości tej książki.

istocie procesem samo-zabijania. Taka hipoteza jest jednak kompletnie intuicyjna i subiektywna; wielu ludzi, np. wymieniany Toffler, twierdzi odwrotnie, że to właśnie już niedługo, dzięki hiper-technice, zaleje nas fala nieustającego szczęścia i oszałamiającego bogactwa „komórek do wynajęcia", w których każdy znajdzie interesujące go miejsce.

Dlatego, by otrzymać bardziej „obiektywny" obraz tego zjawiska, postanowiłem skonstruować model „człowieka przyszłości" na podstawie materiału zgromadzonego w czasie trzyletniego pobytu w krainie, gdzie przyszłość jest już teraźniejszością. Za podstawę przyjąłem „człowieka przeszłości" *(Homo Sapiens)* i spróbowałem zobaczyć jak w myśl teorii ewolucji winny przeewoluować jego narządy, które części jego ciała ulegną zanikowi, a które rozkwitną.

Zacznijmy jego opis od głowy, bo ta w czasach dawnych, zwłaszcza w okresie powstawania naszej cywilizacji — w czasach greckich — była przedmiotem nieomalże kultu. Od razu możemy stwierdzić że nasze zmysły, aby się zaadaptować muszą ulec przytępieniu: człowiek przyszłości winien być przygłuchy — aby zaadaptować się do odgłosów wydzielanych przez przyszłość i nieco przyślepy, nie tylko z nadmiaru czytania i oglądania programu telewizyjnego, ale również po to, by nie odróżniać kwiatków sztucznych od naturalnych.

Co z najszlachetniejszą częścią głowy — umysłem? Ormiańskie powiedzenie mówi: „jeśli masz rozum to nie masz pieniędzy, jeśli masz pieniądze, to nie masz rozumu". Ponieważ przyszłość jest niewątpliwie bardzo zasobna materialnie, więc tak zwany rozum będzie nam też coraz mniej potrzebny. Potwierdza tę teorię spostrzeżenie pewnej Amerykanki pochodzenia polskiego z którą niedawno rozmawiałem w Wiedniu: „Ameryka jest to kraj dla tych co pracują rękami, a nie dla tych co pracują mózgiem". Sam sposób mówienia (zresztą w zupełnie dobrej wierze) o „tych z mózgiem" insynuował, że z nimi coś jest nie w porządku i w ogóle najlepiej by było odesłać ich od razu do psychiatry.

Co z dalszymi częściami ciała? Cygańska piosenka mówi: „zdobędziesz pieniądze, nie będziesz miał miłości, zdobędziesz zaś miłość, nie będziesz miał pieniędzy", zaś działalność człowieka przyszłości polega głównie na zdobywaniu pieniędzy, więc by się zaadaptować, czujnie pozbawił się on także serca.

Henry Ford, obserwując robotników snujących się po swych zakładach, odkrył że: *Pedestrianism cannot be highly paid* (chodzenie piechotą nie może być dobrze płatne), więc by być dobrze płatnym, człowiek przyszłości stara się także używać jak najmniej nóg.

Cóż zatem pozostało ludziom przyszłości? Żołądek, który niszczeje pod wpływem chemicznych trucizn, którymi się go napycha i akcesoria poniżej pasa, których funkcjonowanie wydaje się dlań być czymś niesłychanie pasjonującym: mianowicie Phallus, stanowiący podnietę dla urzekającej go swą mechaniczną metafizyką działalności seksualnej, choć i to coraz bardziej platonicznej, bo człowiek przyszłości, by wytrzymać postęp, wydaje mi się być coraz bardziej wykastrowany. No i nareszcie dochodzimy do podstawy. Parafrazując słowa wieszcza moglibyśmy powiedzieć: „Bez serc, bez głów, bez nóg to są siedzeń ludy". Człowiek przyszłości posiada siedzenie czyli d..., którą — by nie wulgaryzować języka polskiego — będę w dalszym ciągu tego artykułu nazywał Wyżej Wymienioną Częścią Ciała (WWCC).

Do tego samego elementu naszej struktury fizycznej możemy dojść także z innej strony przez proste rozumowanie: Jak twierdzi Toffler, człowiek przyszłości jest istotą racjonalną. Z punktu widzenia bilansu energetycznego najbardziej racjonalną pozycją życiową jest siedzenie, więc siedzenie staje się zasadniczą częścią ciała ludzi przyszłości.

Otóż właśnie, jak zauważyli to moi znajomi, nabawiłem się w Ameryce prawdziwej obsesji siedzenia. Ale popatrzmy na to racjonalnie: przecież to jest rzeczywistością, że wszystkie wspaniałe przygody nowoczesne odbywają się na siedzeniu: pasjonujące loty kosmiczne — kosmonauci siedzą, operatorzy w Huston siedzą i telewidzowie siedzą. Igrzyska Olimpijskie: parę tysięcy durni się męczy po to aby miliard telewidzów mogło przeżywać sportowe przygody na siedzeniu. Nawet wojna w Wietnamie, o której mówią wszystkie siedzenia, polega coraz bardziej na tym, że siedzący rycerze krainy przyszłości próbują przysypać Wietnam produktami WWCC.

Popatrzmy na nowoczesne tzw. klasy wyższe: *businessmen*'i — ich racjonalna umiejętność myślenia siedzeniem złamała potęgę niezbyt siedzącej arystokracji; biurokracja — która ze swej definicji jest li-tylko siedzeniem; sekretarze partii komunistycznych, politycy, uczeni — ich sukcesy życiowe i statusy określa się wysokością stołka czy fotela, jakich się w życiu dosiedzą.

Jeśli się zgodzimy na materialistyczną tezę Feuerbacha, że „człowiek stworzył Boga na obraz i podobieństwo swoje", to człowiek przyszłości winien czcić siedzenie. Popatrzywszy w ten sposób na kraj przyszłości, ze zdumieniem odkryłem coś, na co nie wpadł chyba jeszcze żaden z socjologów: że najpotężniejsze mocarstwo na świecie opiera się na najbardziej śmiesznym, a jednocześnie najbardziej prymitywnym i niebezpiecznym kulcie jaki istniał w historii ludzkości — po prostu na kulcie d... (po ame-

rykańsku to się tłumaczy *ass* — co oznacza nie tylko WWCC ale także osioł, dureń).

Zaważyć to już można wjeżdżając do Ameryki. Zwykłe ustępy, toalety, W.C. czy wulgarne francuskie *urinoire* przybierają poetyczno-eufemistyczne nazwy *bathroom* — miejsce kąpieli, *restroom* — miejsce odpoczynku, nadające Wyżej Wymienionym Czynnościom (WWC) zgoła transcendentalne wymiary. Wszystkim znane są zwyczaje podkreślania zasobności domu ilością łazienek, dumne zachwalanie przez hotele swych możliwości ustępowych. To, iż ta część ciała pełni jakieś niezwykle ważne zadanie, można poznać także po tym, z jaką przyjemnością młodzi Amerykanie naszywają sobie na siedzeniu flagi narodowe. Jak wiadomo, sztandary wywiesza się zazwyczaj w miejscach najbardziej dostojnych.

Poniżej podaję kilka charakterystycznych przypadków kultu WWCC. Na autostradzie koło San Rafael natknęliśmy się na *trailer-park,* na którego bramie ogromny napis obwieszczał światu: *The best bathrooms in U.S.* (najlepsze ustępy w Stanach Zjednoczonych). Moi amerykańscy towarzysze podróży zastanawiali się nad tym, jak też można się wybić na tym polu? — Może w czasie wykonywania Wyżej Wymienionych Czynności przygrywa tam orkiestra? W kasynie gry „Harrah", gdzie usługi dla ludności osiągnęły wręcz nieporównywalny poziom, za każdym zwiedzającym „miejsce odpoczynku" biegnie obsługa, zacierająca skrzętnie ślady jego działalności.

Na miejscach pikników i w miejscach widokowych ustępy stoją dumnie w najbardziej eksponowanych miejscach — bo czymże jest widok morza czy gór wobec metafizyki Wyżej Wymienionych Czynności.

Kiedyś, po całodniowym przedzieraniu się przez dzikie góry Sierra Nevada, dotarliśmy nad piękne jezioro, gdzie nie było żywego ducha, ale za to lśnił w słońcu plastikowy sedes. Kiedy indziej, w czasie wycieczki do estuariów Point Reyes koło San Francisco odkryliśmy przy ścieżce, odległej od najbliższych osiedli o kilka mil, prawdziwy „szok przyszłości" — przenośną toaletę wyposażoną w trzy rodzaje papieru toaletowego, a za naciśnięciem pedału spływała perfumowana woda. Podnieceni tym odkryciem sfotografowaliśmy się przy nim. Niedawno pomyślałem, że przecież nie było się czemu dziwić: w Polsce na rozdrożach też stoją kapliczki i wszyscy uważają to za normalne.

Przyglądając się bliżej znanemu wszystkim „kultowi pieniądza" można stwierdzić, iż jest on tylko jedną z manifestacji kultu WWCC. Solidne konto w banku daje bezpieczeństwo i zezwala na zaspokojenie wszelkich marzeń o komforcie dla WWCC. (Niedawno w Genewie oglądałem nową willę za 4 mln dolarów:

reprezentacyjny parter składał się głównie z dużej pływalni i wręcz zatrzęsienia ustępików. Pomyślałem wtedy, że pewnie *businessman*'i w czasie przyjęcia moczą ciałka w wodzie, a potem biegną do WC gdzie zamierają z rozkoszy na kryształowych sedesikach).

Warto zauważyć, że kult WWCC nie jest kultem zamkniętym i narażonym na skostnienie w obrzędach. Wręcz przeciwnie, przybiera on ciągle nowe, coraz bardziej podniecające formy. Opisywane przez Tofflera przejście od cywilizacji przemysłowej do super-przemysłowej może być traktowane jako przejście od biernego, statycznego kultu siedzenia (ustępy, ustabilizowane posady i statusy społeczne, solidne konta bankowe), do aktywnego dynamicznego kultu siedzenia, polegającego na komfortowym potrząsaniu siedzeniem przy pomocy specjalnych urządzeń ASS *(Ass Shaking System),* efemeryczne posady, karty kredytowe i hochockrację.

Urządzenia ASS już od kiku lat podbijają rynki, serca i siedzenia ludzi we wszystkich bardziej rozwiniętych krajach świata. Dlatego warto im się bliżej przyjrzeć. Każde z tych urządzeń posiada pokryty chromami i inkrustacjami, gigantycznych rozmiarów motor, seksualnie eksponowany na zewnątrz, podkreślający zarówno siłę phalliczną jak i walory siedzenia swego pana. Motor ten służy do wydawania ryku naśladującego odgłosy Cyklopa, wykonującego Wyżej Wymienioną Czynność, ewentualnie imitujący zwielokrotniony ryk osła.

Omawiane urządzenia można podzielić z grubsza na kilka typów, w zależności od sposobu poruszania się: jednośladowy, dwuśladowy i gąsienicowy. Istnieją także środki ASS do poruszania siedzeń po wodzie i w powietrzu a przypuszczam, że wkrótce urządzeń tych przybędzie więcej dzięki sławnej inwencji ludzi przyszłości. Najbardziej pospolite pojazdy jednośladowe używane są zazwyczaj do zwiększania „eksplozji informacji" w miastach, ewentualnie do potrząsania siedzeniem w laskach podmiejskich.

Urządzenia dwuśladowe są to różnego rodzaju *duny-buggies,* używane głównie na pustyniach i plażach. Dzięki nim, znalezienie spokojnego miejsca na plażach Meksyku staje się powoli niemożliwością. Co pewien czas pojawia się warczący żuczek z gromadką trzęsących siedzeniem szczęśliwców.

Pomińmy napełniające jeziora rykiem czterystukonne motorówki i skoncentrujmy się na *snowmobiles* (sanie motorowe). Dzięki nim udało się ludziom przyszłości dokonać najwspanialszej rzeczy, o której zawsze marzyli, a przedtem się jej trochę bali: uzyskali oni wprost nieograniczoną możność poruszania swych siedzeń w przeogromnych kniejach i lasach Ameryki. Tych

urządzeń jest już w akcji około trzech milionów i, jak podają raporty służby leśnej, dzikiej zwierzynie Ameryki grozi zupełna zagłada, bo będące na niższym szczeblu rozwoju zwierzęta źle znoszą „szok przyszłości" ich delikatna tkanka mózgowa ulega zniszczeniu od ryku *snow-mobiles* i pojawiają się u nich oznaki obłędu, w przeciwieństwie do stojących na szczycie drabiny ewolucyjnej ludzi przyszłości posiadających korę mózgową zbudowaną z drucików i płytek (hybryda biologiczno-mechaniczna), którym ryk nie tylko nie przeszkadza, ale nawet sprawia niewysłowioną przyjemność.

Ponieważ potrząsanie jest rzeczą świętą, odbywa się ono głównie w dni odświętne i w czasie wakacji. Każdego *weekend*'u autostrady zapełniają się ludźmi przyszłości ciągnącymi za sobą na lorach i ciężarówkach oszałamiające bogactwo środków ASS, by nasycać potem lasy, pola jeziora i góry odgłosami misterium potrząsania.

Jest rzeczą oczywistą, że świat tak nasycony informacją nie pozostanie w miejscu. Wymieńmy za Tofflerem kilka perspektyw na nieodległą przyszłość:

— opanowanie oceanów jako surowca i przestrzeni życiowej dla potrząsających siedzeniem, wynalezienie specjalnych maszyn ASS pracujących w głębinach, powstanie podmorskich kolonii potrząsaczy siedzeniem, przystosowanie siedzeń do życia w tym nowym świecie.

— rewolucja w biologii: możliwość „projektowania" genów, zmiany „naturalnych cech" człowieka; zacieranie się granicy między *science-fiction* a rzeczywistością: możliwość sztucznej hodowli zaprogramowanych embrionów, produkcji homunculusów o żądanych własnościach fizycznych i psychicznych, tworzenie hybryd mechaniczno-biologicznych, ewolucyjne zacieranie się różnicy między głową a siedzeniem.

— dalszy rozwój informatyki: budowa dostępnych dla każdego urządzeń ASS o mocy ponad 200 decybeli, wręcz nieograniczony rozwój automatów myślących, por. istniejące już urządzenie *BIOFEEDBACK system* — rodzaj podręcznego komputera-ASS, w odpowiednich momentach nadającego miłe dla mózgu wiby ASS; możliwość przekształcenia go w zminiaturyzowane alter-ego, które wszczepione pod skórę siedzenia, zaopatrzone w wymienialne taśmy, przekazywałoby bezpośrednio do układu nerwowego wibracje związane z potrząsaniem w każdych warunkach ziemsko-kosmicznych.

W części poświęconej relacjom człowiek — rzecz, człowiek — człowiek, Toffler słusznie zauważa, że „coraz mniej istotna staje się (metafizyczna) 'esencja' przedmiotu, a coraz bardziej jego (racjonalna) funkcja". Tę samą logikę stosuje on i do ludzi.

Poprzednie cywilizacje kulminowały zazwyczaj w metafizycznej działalności intelektualnej (model grecki), irracjonalnych potrzebach serca (chrześcijaństwo), bądź też w bardziej prozaicznych potrzebach żołądka (model francuski), czy też w końcu w zupełnie phallicznej przyjemności utrudniania ludziom życia dla samej zasady (komunizm). Cywilizacja, której istotą jest tylko racjonalna „funkcja" wydaje się być podobna do tej części ciała, która poza funkcjonowaniem nie posiada żadnego innego znaczenia.

Zresztą zastawienie atrybutów życia w „krainie przyszłości" samo narzuca to skojarzenie: niewątpliwie jest tu wygodnie, dostatnio i bezpiecznie, ale za to hałaśliwie, smrodliwie i mało estetycznie, a poza racjonalną czynnością robienia sobie komfortu, nie ma żadnej innej przyczyny w życiu.

Toffler nazywa cywilizację przyszłości „cywilizacją rzeczy do wyrzucania", i choć się przed tym nielogicznie broni, zachwala ją także jako cywilizację „ludzi do wyrzucenia". Wszyscy wiemy jaką to rzecz człowiek wyrzuca z siebie najczęściej. Dlaczego nie nazwać po imieniu wizji świata proponowanej nam przez kraj przyszłości. Jest to DOSKONAŁE GÓWNO.

◆

***„Jeśli już raz wlazłeś w to gówno, to masz w nim pozostać i tak długo je miesić, aż się z niego zrobi dobre ciasto".* — prywatne powiedzenie Piotra Wojciechowskiego zgodne w swej idei z „Tezami o nadziei i beznadziejności" Leszka Kołakowskiego.**

Toffler z niezachwianą pewnością twierdzi, że „ten amerykański chleb stanie się powszedni na skalę globalną prędzej niż się spodziewamy". Wszyscy, gdziekolwiek byśmy się poukrywali, staniemy wkrótce przed problemem adaptacji.

Tak już się złożyło, że cywilizacja pastersko-rolnicza, z której się wywodzę, wyposażyła mnie w osobowość, której najsilniejszymi atutami są głowa i nogi, a piętą Achillesową siedzenie. W tej sytuacji, zgodnie z prawem ewolucji, winienem się zaadaptować — to znaczy wyrobić sobie siedzenie, albo zginąć. Toffler daje mi także możliwość chwilowego przyjęcia jednej z czterech postaw obronnych, a zginięcia, względnie adaptacji, dopiero trochę później. Przyjrzawszy się im pobieżnie, zauważyłem, że żadna z tych postaw mi nie odpowiada: nie mam zamiaru wycofywać się z tematyki przemian współczesnych, ani chować głowy w specjalizacji, nie interesują mnie metody „policyjno-zamordystyczne", ani nie marzę o „dawnej prostocie", nie chodzę boso, nie noszę

drucianych okularów, Mao mnie nudzi, astrologię znam słabo, a już tyle razy poczułem na swym grzbiecie skutki rozmaitych rewolucji, że samo to słowo jest dla mnie czymś podejrzanym.

Zresztą, jak to już chyba wszyscy zauważyli, ja w ogóle nie mam zamiaru tracić czasu na obronę. Lekceważąc prawo ewolucji, ja mam zamiar atakować. W mojej poza-racjonalnej cywilizacji pastersko-rolniczej śpiewano: „zabije mnie ktosi, albo ja kogosi". Zamiast zatem grzeczniutko czekać, aż mnie ludzie przyszłości wykończą, postanowiłem wykończyć „ludzi przyszłości". W dodatku mam zamiar to zrobić przy pomocy tego samego aparatu logiczno-empirycznego, którego posiadaniem chwali się Toffler i znanego już całkiem nieźle cywilizacji pastersko-rolniczej, która w przeciwieństwie do cywilizacji współczesnej potrafiła sięgnąć swym racjonalizmem nieco dalej niż przysłowiowy koniec nosa, który widzą amerykańscy „uczeni".

Czy wolno mi atakować? Niezbyt racjonalna Księga Święta cywilizacji pastersko-rolniczej zabrania wprawdzie zabijać (co człowiek przyszłości wydaje się lubić pasjami — wynika to od razu z definicji ewolucji: jako procesu zabijania słabszego przez silniejszego), ale Biblia nic nie mówi o tym aby nie bić silniejszego, wprost odwrotnie, nawet pochwala takie postępowanie — np. Dawid i Goliat.

Sprawdźmy więc czy gra będzie *fair* z obiektywnego punktu widzenia (a tylko taki się stosuje w naszym zracjonalizowanym świecie). Ja sobą reprezentuję około półtora kilo niskiej jakości mięsa (móżdżek), trochę kości i mniej więcej wszystko to co w encyklopedii medycznej znajduje się pod hasłem *Homo Sapiens*. Przeciwko sobie mam miliony ton biomasy, wyposażonej w najpotężniejsze środki zagłady jakie kiedykolwiek istniały, całą potęgę Nauki i Techniki, komputery, środki ASS i projekt OLIVER *(ON-Line Interactive Vicarious Expedier and Responder:* rodzaj podręcznego komputera-sekretarki, przypominającej o urodzinach przyjaciół, zapłaceniu rachunków i włożeniu ciepłych skarpet).

Każdy mi więc musi przyznać, że chyba nie zamierzam znęcać się nad słabszym. No, ale jak tu przymierzyć się do silniejszego? Prawo Newtona mówi, że „siły proporcjonalne są do masy", więc jak ja, chudzina, mogę sięgnąć swoimi, skądinąd całkiem silnymi i długimi nogami, siedzenia taaakiego Goliata (mówiąc z polska po amerykańsku — koniecznie przez trzy a). Na wszelki wypadek sprawdźmy jednak to prawo. Gdy Newton je wymyślał, miał w głowie masy fizyczne, wkrótce jednak potem uczeni odkryli, że prawo to można będzie zastosować także do organizmów żywych, ludzi, i otrzymaliśmy nowoczesną demokrację, która w ten sposób została oparta na empirycznych podstawach naukowych.

Ponieważ sam jestem człowiekiem Nauki, więc zainteresowałem się jak to uczeni (np. wymieniany Toffler), badają przyrodę ożywioną posługując się doskonałym aparatem logiczno-empirycznym wymyślonym dla potrzeb nauk ścisłych. Po krótkim zapoznaniu się z tą tematyką, zauważyłem, że uczeni ci nie potrafią odróżnić żywego od martwego!

Zastanowiło mnie to, bo tak na pierwszy rzut oka można dopatrzeć się podobieństwa między na przykład mną a szczurem, czy nawet drzewem, ale różnica między mną a kamieniem wydawała mi się dość zasadnicza, choćby tylko z tego powodu, że ja, szczur czy drzewo w pewnym momencie możemy umrzeć i zamienić się w przyrodę nieożywioną, natomiast kamień, czy trup potrafią się tylko rozkładać i to w sposób dość precyzyjnie określony przez prawa fizyki i chemii. W dodatku, jeśli skosi się trawę, da po tyłku smarkaczowi, czy poćwiartuje państwo, to jak wskazuje doświadczenie, potrafią się one potem odrodzić, czasem jeszcze silniejsze niż poprzednio, podczas gdy raz rozbitego kamienia żadne prawo fizyczne nie połączy z powrotem, chyba że zrobi to człowiek (natura ponoć ożywiona)[2].

Te wszystkie rozważania prowadziły do jednego wniosku: że coś jest źle w Nauce, albo ze mną, albo z uczonymi. Przypominam sobie jak na pierwszych latach fizyki zastanawiałem się czy nie udałoby się przedstawić modelu mózgu ludzkiego jako skomplikowanego układu elektronicznego — ale od dawna zarzuciłem już te próby. Fakt, że obecnie zajmują się tym najsławniejsi na świecie uczeni, potwierdzałby czyjąś teorię o „zdziecinnieniu dorosłych".

Na wszelki wypadek spróbowałem jeszcze wysondować mego profesora historii nauki, także z wykształcenia fizyka, co on prywatnie, nieoficjalnie, sądzi o tym problemie (jak słusznie zauważa Toffler, w Ameryce nie powinno się mieć prywatnych, osobistych kontaktów z ludźmi, z którymi współpracujemy: „kończymy naszą 'relację międzyludzką' z chwilą wyjścia z sali wykładowej na ulicę" — tak, tak, dużo rzeczy nie wolno w najwolniejszym na świecie kraju). W końcu, siedząc ze mną na ławce na campusie, znienacka powiedział: „ŻYCIE TO METAFIZYKA" — zrobił to prawie szeptem, oglądając się czy nas nikt nie słyszy. Później pomyślałem, że tak właśnie musieli czuć się kacerze, którzy kilkaset lat temu, po długich studiach Pisma Świętego dochodzili do wniosku, że Boga wymyślił sobie człowiek.

Skutki tego kacerstwa, dokonanego na ławce campusu w Ber-

2. Dokładniejsze rozważania na ten temat zostały przedstawione w pracy „The Not Too Divine Comendy", by Marek Glogoczowski, Berkeley, April 1972 (maszynopis).

keley przez dwóch mężów nauki, są tak niesłychane, że niektórzy czytelnicy powinni zamrzeć od razu z przerażenia, albo już myśleć gdzie by to kupić opał na stos dla bluźniercy.

Przede wszystkim pojawia się możliwość istnienia struktur metafizycznych, na czele z Panem Bogiem, chórami anielskimi i buntownikiem Szatanem. Ponieważ, według Biblii „Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje", materialna, doczesna ziemska struktura winna być niedoskonałym odbiciem tej niebieskiej. Z mroków dziejów wraca do nas niezachwiana potęga Kościoła, kapłani utrzymujący lud w ciemnocie, owieczki które pobłądziły, błazny wyśmiewające głupotę i powagę kapłanów, błędni rycerze walczący z wiatrakami, uczeni zliczający ilość aniołów na główce od szpilki i taki to zakon, który tak się przejął nawracaniem pogan na prawdziwą wiarę, że ich całkiem wyrżnął. Poza tym — co jest najważniejsze dla naszych empirycznych rozważań — z tego kacerstwa myślowego wynika, że człowiek, jako istota ponoć żywa, jest utworem niezupełnie racjonalnym i wszystkie próby wytłumaczenia jego zachowania w sposób doskonale racjonalny, stają się *ex-definicio* zupełnie irracjonalne.

Jak zatem obserwować człowieka, bądź też w ogólności biologię? Zacznijmy od analizy tego dobrze znanego, naukowego spojrzenia na wszechświat. Tym razem skoncentrujmy się nie na obiekcie eksperymentu, ale na samych uczonych. Początki nowoczesnej nauki sięgają Renesansu, prac Galileusza i Kopernika. Galileusz by odkryć, że wahadło się waha nie według jakiejś mistycznej duchowej „tendencji do wahania", ale według ściśle określonych relacji czasowych, musiał przez pewien czas zamrzeć w bezruchu, po to aby te relacje zauważyć i zmierzyć. Podobnie Kopernik nigdy by nie dokonał swego odkrycia, gdyby sobie hasał po łąkach i lasach i widział subiektywnie, jak słońce porusza się nad jego głową, ze wschodu na zachód. Istotą jego odkrycia było „obiektywne" spojrzenie na tę sprawę, chwilowe oderwanie się od rzeczywistości, sięgnięcie wyobraźnią w kosmos, skąd widać ziemię krążącą dookoła słońca. Patrząc historycznie na uczonych, można stwierdzić że prawie wszystkie odkrycia polegały na izolacji od codziennego życia, zwiększającego się z czasem przesiadywania nad książkami i eksperymentami. We współczesnym świecie „rewolucji naukowo-technicznej", ta metoda dokonywania postępu doszła nieomal do perfekcji, wszędzie na świecie, zwłaszcza w Ameryce, można widzieć miliony uczonych siedzących nieruchomo. W pewnym sensie siłą pędną nauki stała się empiryczna prawda: „wszystko da się wysiedzieć". (Ponieważ jak wiadomo, „Nauka to Potęga", dochodzimy jeszcze raz do sławnej zasady świata nowoczesnego „W Siedzeniu Potęga").

Uczeni w naukach społecznych już od dość dawna zaczęli się zajmować obserwacją życia także w sposób naukowy, tzn. odcięciem się od codziennego życia, naukowym męczeniem szczurów, siedzeniem nad statystykami. I okazało się, że patrząc w sposób naukowy (tzn. obiektywnie, z racjonalnej pozycji siedzącej) nie da się odróżnić żywego od martwego. Ja zaś przypuszczam, że dlatego oni nie potrafią odróżnić tej najprostszej rzeczy, bo przebywając zbyt długo w pozycji siedzącej, sami zaczynają to siedzenie przypominać, a w racjonalnej działalności WWCC to i ja nie mogę się dopatrzeć żadnej metafizyki.

Aby zrozumieć co to jest życie, trzeba osobiście je „poczuć" (czucie jako pochodzące z domeny doznań emocjonalnych jest według Tofflera niedozwolone w krainie przyszłości). Trzeba wrócić do łąk i lasów i widzieć jak słońce się kręci dookoła ziemi i nie jest to tak, jak nauczono nas zamkniętych w szkole.

Zdefiniujmy zatem dwa podejścia do otaczającego nas świata:

— naukowe, obiektywne, racjonalne podejście — świat widziany jest z pozycji siedzącej *(Sitz Weltanschaung)* — w ten sposób należy obserwować przyrodę nieożywioną, w zamkniętych laboratoriach, studiując podręczniki etc.
— humanistyczne, subiektywne, osobiste, emocjonalne podejście do świata świat widziany jest z pozycji człowieka żywego *(personal Weltanschaung)* — tak należy starać się widzieć realny świat w którym żyjemy.

Teraz nareszcie możemy wyjaśnić tę ciągłą i zasadniczą rozbieżność poglądów, między na przykład mną i Tofflerem: on widzi ten „obiektywny" świat fikcji z gazet i telewizji, ja zaś staram się widzieć subiektywną rzeczywistość — i widzę znieruchomiałych durni wpatrzonych w pudełko. Jeśli samochód stał się „ruchomym symbolem ruchliwości", to subiektywnie (w rzeczywistości) ludzie nie poruszają się wcale, zamknięci w tych skrzyneczkach. Jak naprawdę się poruszają — najlepszy obraz tego dają *hippies:* ledwie, że ledwie.

Jeśli obiektywnie Nauka jest wspaniałą przygodą i w ogóle kwitnie, głównie w Stanach Zjednoczonych, to subiektywnie — wypisując na najsławniejszym uniwersytecie Ameryki karteczki dla komputera z ilością przepracowanych godzin, czułem się jak Lejzorek Rojtszwanc z opowiadania Illi Erenburga, rozmnażający króliki w Związku Sowieckim (tym razem za dolary).

Jeśli pan Toffler, czy pan Byrski, po obejrzeniu telewizji odkrył, że w Stanach Zjednoczonych jest „niesłychane spiętrzenie kontrastów, zróżnicowania, zmian i w ogóle", to subiektywnie, dla mnie jest to kraj największego na świecie spiętrzenia hałasu; ludzie w Polsce wydają się kilka razy bardziej zróżnicowani niż

Amerykanie, a jak to stwierdził mój amerykański kolega: „od dwustu lat tu przecież nic się nie zmieniło".

Skoro dopracowaliśmy się już metody poznawczej naszego świata, warto by przy jej pomocy przeanalizować problem, któremu Toffler poświęcił swą książkę: Jak będzie wyglądać przyszłość?

Dokąd idziemy, jaki jest kierunek ewolucji? Zacznijmy od dokładnego zbadania zjawiska „przyspieszania ewolucji". Jak wiemy jest ono pochodną „eksplozji informacji", czyli stale rosnącego bogactwa maszyn do powielania informacji. Jeśli jeden matołek wymyśli i wysłowi coś co pozornie jest prawdą oczywistą i co drzemie już w podświadomości większości, to po zakomunikowaniu tego milionom innych matołków, wywołuje tym wibracje o odpowiedniej częstotliwości w ich główkach, rozgrzewając ich do czynu. Ponieważ matołków jest zazwyczaj o wiele więcej niż ludzi myślących, więc opozycja zostaje mechanicznie zagłuszona i ewolucja zaczyna przyspieszać. W ten sposób, przy pomocy książek i gazet, Francuzi kiedyś odkryli, że jak utną głowę królowi to będą szczęśliwsi, Niemcy przy pomocy głośników zrozumieli, że jak zagazują ostatniego „wieczystego Żyda" to powstanie raj na ziemi.

Jak taki „układ samowzbudny matołków" działa, może ładnie zilustrować reakcja na tchnącą mistycyzmem matematyczno-fizycznym książeczkę Tofflera: Czytając francuski *La Montagne*[3] z pewnym zdumieniem odkryłem, że prezes Francuskiego Klubu Alpejskiego, pan Claude Maillard, po przeczytaniu „Szoku przyszłości" wyraźnie dostał szoku, nareszcie przejrzał i zrozumiał, że to jest właśnie to, co zawsze kołatało mu się w łepetynce, a nie potrafił tego, jak dotąd, dobrze wysłowić. Chcąc się czymś przyszłościowym wykazać, kazał zbudować schronisko z prefabrykatów, o architekturze będącej czymś pośrednim między funkcjonalnym baraczkiem oświęcimskim a hotelem robotniczym w PRL. Na otwarciu zaś tego schroniska, palnął płomienną mowę, w której raził struchlałe alpejskie owieczki słowami Objawienia:

„Przyszłość pędzi naprzeciw nam ze straszliwą szybkością. Możemy już mówić o „szoku przyszłości". Będąc twarzą w twarz z tym wzbudzającym trwogę czy też niszczące pasje, wprost oszałamiającym przyspieszeniem ewolucji nie wolno nam już więcej marzyć. Osobnik ma się zaadaptować lub zginąć.

Francuski Klub Alpejski także wybrał dynamizm... Tak jak rakiety i komputery, tak też i schroniska Klubu Alpejskiego możemy podzielić na generacje... Nigdy dotąd człowiek nie wszedł z taką siłą w równania myśli ludzkiej... Upraszczając: funkcja + technika = wydajność, implikująca estetykę... Tradycja nie powinna być deformacją informacji w czasie przejścia przez wiele ogniw łańcucha... Nasze realizacje architektoniczne winny się otworzyć w przyszłość a nie zamykać na przeszłości... Stopień cywilizacji narodu osądza się po jakości budynków, które pozostawia on dla przyszłych pokoleń..." etc. etc.

3. *La Montagne* nry 1/2, 1972.

Po przeczytaniu tego wzbudzającego trwogę i niszczące pasje przemówienia pokazującego głębię myślową czołowych ludzi Zachodu, czym prędzej, wraz z kilkoma alpinistami amerykańskimi, skleciliśmy list do pana prezesa Francuskiego Klubu Alpejskiego, w którym zawiadamialiśmy go, iż doceniamy francuski wysiłek adaptacyjny, ale jednocześnie donosimy, że tak jak w rakietach i komputerach, tak i w dziedzinie urządzeń socjalnych Amerykanie górują nad Francuzami, i od dawna już produkują takie domki, *mobile homes*, w których to: funkcja + technika = wydajność, implikująca estetykę. Jeśli by zaś Klub Alpejski zechciał, to Amerykanie chętnie (naturalnie za niewielką opłatą), ustawiliby po takim sraczyku na każdej górce we Francji i nareszcie Francuski Klub Alpejski zaadaptowałby się dynamicznie pełną gębą (albo d...). List ten cytuję, dlatego iż prawdopodobnie nie doszedł on adresata, gdyż ten kto miał go doręczyć, Andrzej Mróz zaraz potem zginął w Alpach. (Pewnie za karę, że się niedość dynamicznie adaptował).

Teraz, gdy już wiemy na czym polega proces przyspieszania ewolucji, warto by się zastanowić jaki jest jej kierunek, czego chce większość. Jak wszystkim wiadomo na Zachodzie większość chce zarobić więcej pieniędzy. Po co? Jakto, przecież to oczywiste:

„Większość najada się już do syta i ma przyzwoity dach nad głową. Teraz po zrealizowaniu tego odwiecznego marzenia ludzkości szukają nowych satysfakcji. Pragną podróżować, odkrywać, korzystać z większej niezależności co najmniej fizycznej".

Zobaczmy zatem jak to podróżują, odkrywają, ludzie przyszłości. Niewątpliwie szczytem rozwoju technik podróżniczo-odkrywczych są środki ASS, ale tym razem skoncentrujmy się na mniej wyrafinowanych sposobach spędzania wolnego czasu.

Kilka miesięcy temu włóczyłem się wraz ze studentami francuskimi po wybrzeżach Meksyku koło Puerto Vallarta. Oglądając gigantyczne, super-luksusowe hotele, którymi coraz dokładniej obudowane są brzegi Oceanu, zauważyliśmy, że o wiele mniej nudne od hotelu za 20 dolarów jest mieszkanie w meksykańskim hoteliku za 2 dolary, zwłaszcza, że to co realnie się liczy — plaża, przyroda — jest za darmo. Analizując sposoby spędzania wolnego czasu dość szybko doszliśmy do porozumienia, że najciekawsze wakacje kosztują bardzo niewiele: chodzenie po gó-

rach, żeglowanie niewielką żaglówką jest o wiele przyjemniejsze od kosztownego zwiedzania miast, czy też nudzenia się na dużym jachcie.

Koło Cabo San Lucas, na samym cyplu Baja California, oglądałem turystów wielkiego hotelu dokonujących przygody zalecanej im przez prospekty: polowania na delfiny (koszt 30 dolarów). Co chwila odpływa od brzegu motorówka z „łowcą", by za mniej więcej pół godziny powrócić ze zdobyczą, którą usłużnie złowili mu krajowcy. Ogromne, kilkumetrowej długości delfiny, rekiny o głowie podobnej do kilofa i inne dziwne stwory morskie zwisały szybko na czymś w rodzaju szubienicy. Oparty o nie reprezentant rasy panów, wyglądający zazwyczaj jak kubeł na śmieci, pozował niedbale z puszką piwa do fotografii — tak jak w prospekcie. Zaraz potem rybki wyrzucano, nadjeżdżała nowa motorówka, delfiny wędrowały na szubienicę, bęcwał z puszką piwa, pstryk, 30 dolarów. I tak co kilka minut. Przyglądając się zwisającym bezwładnie ciałom tych zwierząt o pięknych proporcjach i muskulaturze zastanawiałem się jak to się dzieje, że takie zewłoki ludzkie mogą zabijać bezkarnie tak wspaniałe zwierzęta. Oglądający wraz ze mną tę „przygodę" płetwonurek amerykański w pewnym momencie nie wytrzymał: „Chodźmy stąd, nie mogę na to patrzyć, to zbrodnia co tutaj się dzieje". Zbrodnia? Jaka zbrodnia? Dzięki turystom Meksyk staje się coraz bardziej nowoczesny, podnosi się stopa życiowa i dochód narodowy. A jak wiadomo ryby głosu nie mają, a kto będzie słuchał niepoważnego trzpiota?

Kiedyś, koło Sewilli, w Hiszpanii, w pewnym momencie zatrzymano ruch na drogach wlotowych do miasta: szosa zapełniła się karawaną kilkudziesięciu „Airstreamów" ciągnionych przez potężne Cadillac'i. Będąc chwilowo na urlopie z Ameryki, poczułem wewnętrzne rozdrażnienie — więc i tu szok przyszłości mnie dopadł. Po co oni wiozą za sobą te poczwarki? Nie wystarczy im ich kraj, który już zamienili w pustynię wypełnioną asfaltem i baraczkami na kółkach? Urok Hiszpanii polega na pięknie starych miast, w których hotele są tanie i bardzo porządne, a do których nie można nawet wjechać tymi czołgami. W ogóle ta cała „inwazja troglodytów" wyraźnie wyglądała na to, że odkrywanie Hiszpanii polega głównie na wyrafinowanym przesuwaniu pod nosem Hiszpanów niezmierzonego bogactwa swego kokonu. Skądinąd, ta metoda działa silnie na wyobraźnię ludu i wkrótce on też chętnie zajmie się głoszeniem swojej potęgi przy pomocy ruchomych ustępów. Pamiętam, że wtedy zamazałem napis U.S.A. na swojej torbie. Wstydziłem się tego, że mam coś wspólnego z tym krajem.

W ciągu ostatnich 200 lat, dochodziło czasami do skokowego

przebiegu ewolucji, gwałtownego wyzwolenia się uczuć większości poprzez rewolucję. Jak wiadomo, zasadą każdej rewolucji jest mordowanie, ale tylko po to, aby mordować. Jak zauważył to Zygmunt Krasiński w „Nieboskiej Komedii", rewolucja ma tylko destrukcyjne znaczenie. (Tą umiejętnością spojrzenia Krasiński pobił chyba na głowę wszystkich myślicieli zachodnich). Toffler odżegnuje się od tych „ekstremistów, dla których słowo 'rewolucja' jest magicznym kluczem do wszystkich trudności", ale z kolei sam wykrzykuje co chwila w podnieceniu (niedozwolone!) rewolucja! — Rewolucja w biologii, rewolucja w dziedzinie odwiecznych stosunków międzyludzkich, etc.

Dzięki rewolucji naukowo-technicznej udało się nam już zniszczyć całkiem pokaźną część globu, rewolucja w stosunkach międzyludzkich polega na zaniku tych stosunków, więc rewolucja biologiczna winna polegać na zniszczeniu biologii. Wystarczy jeszcze przed rewolucją biologiczną popatrzeć na współczesnych obywateli amerykańskich, aby zauważyć, że coś jest z nimi nie w porządku. Prawie zupełny zanik doznań estetycznych (emocjonalne, więc niedozwolone), wprost niesamowita ilość chorób psychicznych, alergie z jakimi nigdy się nie spotykałem w Polsce, tragiczny poziom szkolnictwa średniego (gdyby za dużo wiedzieli, to nie kupowaliby śmiecia), ogólna apatia i nieruchawość moich rówieśników. W Meksyku prawie wszyscy Amerykanie przechodzili istne katusze żołądkowe, gdy nam, Europejczykom, nic się nie działo (jest na to rada: wysterylizować Meksyk). Doświadczenia na zwierzętach wskazują, że trudne warunki życiowe w młodym wieku (głód, straszenie etc.) powodują, że w wieku dojrzałym zwierzęta są bardziej odporne i lepiej rozwinięte, natomiast komfort i łatwizna doprowadzają do ogólnej degrengolady.

Jednak już na całym świecie uczeni mówią o nadchodzącej rewolucji biologicznej, od czego cierpnie mi skóra. Znając rozmach amerykański, obawiam się, że jak zabiorą się oni do „ulepszenia rasy", to zastosują takie rozwiązania techniczne przy których piecyki oświęcimskie okażą się dziecinnymi zabawkami.

Podsumowując te wszystkie doświadczenia można wysnuć ogólny wniosek: większość chce zabijać, niszczyć wszystko co jest lepsze, piękniejsze od niej. Ta cecha ludu jest ładnie ujęta w satyrycznej piosence polskiej: „Chłop żywemu nie przepuści". Ponieważ „Chłop potęgą jest i basta", więc wydaje się że ta potęga jest tego samego typu co potęga Cadillaca, w którym on lubi się wozić: ślepa i destruktywna.

Warto się przyjrzeć dokładniej temu, w jaki sposób większość zabija. Z tego co napisałem wynika, że robi to zazwyczaj w sytuacjach gdzie sama czuje się pewnie i bezpiecznie, od tyłu,

tak by otępiałe od blasku telewizyjnych reflektorów oko opinii publicznej tego nie zauważyło. Bowiem większość posiada jeszcze jedną ważną cechę: strach.

Wpisany on już jest w samą definicję ewolucji: „jeśli się nie zaadaptujesz to...", to co? Spotka cię gniew Boży? Może umrze się z głodu w krajach gdzie wymiotuje się z nadmiaru wszystkiego? Hippisi niezbyt zdają się przejmować prawem ewolucji i jakoś żyją.

Ten dość pogardliwy stosunek do ludzi przyszłości mieli także demokratyczni Grecy. Xenophon kiedyś pisał:

„Zawody tak zwane niewolne (rzemiosło, praca przemysłowa) wydają się szkodliwe dla ciała i osłabiać ducha. Najlepszym przykładem tego może być zachowanie się dwóch grup ludności, rzemieślników i rolników, w obliczu inwazji nieprzyjacielskiej. Jeśli by przeprowadzić w każdej z tych grup głosowanie nad tym czy pozostać w kraju, czy też opuścić go i ukryć się w twierdzy, to należy się spodziewać, że ci którzy zajmują się uprawą ziemi będą głosować za tym by jej bronić, natomiast rzemieślnicy za tym by nie walczyć, ale pozostać w pozycji siedzącej, tak jak ich nauczono, z daleka od bólu i niebezpieczeństwa".

Warto zauważyć, że tę obserwację, uczynioną ponad dwa tysiące lat temu można zastosować, nie zmieniając ani słowa, do realiów drugiej wojny światowej: kraje rolnicze, jak Polska, Jugosławia i Republiki Sowieckie walczyły z zaciętością, natomiast uzbrojone po zęby kraje przemysłowe jak Francja i Czechosłowacja, stawiały relatywnie nikły opór. Tłumaczy ona także, dlaczego Amerykanie, poza dewastacją przyrody nie zdziałali wiele w Wietnamie. Ta sytuacja, którą widzieli Grecy, a czego nie potrafią w żaden sposób zauważyć współcześni socjologowie, jest najlepszym przykładem ileśmy się to od tych czasów naewoluowali.

Skądinąd nie ma się czemu dziwić: odwaga jest sprawą metafizyczną i nie może być w kraju przyszłości tolerowana, zwłaszcza że posiadają ją tylko marginesowe jednostki. Strach jest natomiast rzeczą zupełnie racjonalną i jednoczącą zdecydowaną większość społeczeństwa, co zostało uwidocznione w prawie ewolucji. Przyglądając się bliżej zauważyłem, że oni chyba już od urodzenia boją się tego, że mają umrzeć, ciągle mówią, że „walczą o byt" (śmierć jest zjawiskiem nieracjonalnym). Ich „funkcyjna" część życia, tzn. czas gdy mogą się jeszcze na coś przydać w społeczeństwie, kończy się gdy mają 40-50 lat, a potem zajmują się głównie naukowym odwlekaniem swojej śmierci (możliwość nabywania gotowych dzieci na starość, tanie sztuczne serca). Chwilami nawet przypuszczam, że czekają niecierpliwie na cud (rewolucję w biologii) kiedy to nareszcie staną się nieśmiertelni, podobnie jak kamienie i skały.

Teraz nareszcie możemy określić dokładnie kierunek ewolucji: Z jednej strony polega ona na niszczeniu wszystkiego co żyje, z drugiej strony zwycięzcy sami kamienieją ze strachu. Wydaje się zatem, że do opisu zjawisk społecznych należy wykorzystać modele pochodzące z przyrody nieożywionej, np. z fizyki ciała stałego, w czym ja jestem, z wykształcenia, specjalistą.

Nad tym problemem zastanawiałem się już od dość dawna. Oglądając ogromne magazyny gdzie sprzedaje się wszystko co niepotrzebne, od plastykowej marchewki począwszy, na czekoladkach nadziewanych szkiełkami skończywszy, zauważyłem jak chętnie ludzie przyszłości czytają popularno-naukowe książeczki z zakresu krystalografii. Pamiętam jak w kilka miesięcy po tym, jak przedstawiłem w Berkeley pracę mówiącą o „marzeniu ludku o kryształowym ogródku", moi znajomi zawieźli mnie do gigantycznego magazynu „Parly 2" pod Paryżem. Przed wejściem powiedziałem: tu będzie kryształowy ogródek — i rzeczywiście wewnątrz drzewka miały liście wykonane z kryształków.

Jak może wyglądać ta „krystaliczna struktura społeczna"? Na pierwszy rzut oka wydaje się ona całkiem nieruchoma, statyczna, doskonale uporządkowana, atomy znajdują się w ściśle określonych pozycjach, elektrony poruszają się dokładnie, zgodnie z prawem, tylko w pasmach dozwolonych *(law and order)*. Jak się kryształom bliżej przyjrzeć, to okazuje się, że w wyższych temperaturach (przyspieszenie ewolucji), kryształ posiada całkiem bogatą strukturę dynamiczną. Atomy w sieci krystalicznej uzyskują większą ilość stopni swobody i dość wyraźnie, zgodnie z prawem fizyki, wibrują (trzęsą siedzeniem), a co pewien czas skaczą hoc-hoc, z jednej „komórki do wynajęcia" do drugiej (hoc-hockracja).

Gdy ewolucja będzie dalej przyspieszać, może dojść do przewidywanego przez Tofflera przejścia fazowego, kryształ utraci swą sztywną strukturę i powstanie nowa, homomorficzna półciekła substancja, szczęście powszechne czyli omawiane „doskonałe gówno". Charakteryzuje się ono: efemerydą, zmiennością i innowacją. Te trzy cechy są bowiem charakterystyczne dla struktury cieczy. Zwolnione z poprzednich ograniczeń, atomy wykonują drgania kopulacyjne w efemerycznych grupach lub oddzielnie, bez przerwy zmieniają swoje pozycje, napotykają nowe atomy, obdarzone ogromną innowacyjnością jony ciągle się kombinują i rekombinują, hippisi wędrują poprzez świat ruchami Browna.

Gdyby przypadkiem i w tym układzie ewolucja ciągle przyspieszała, to powinna nastąpić rzecz przez Tofflera jeszcze nie przewidziana. Z gówna zaczną się unosić opary, posiadające wolność już absolutną i nasza cywilizacja powinna się zamienić

w smrodliwą chmurkę, przypominającą grzybek atomowy, ewentualnie tę wiszącą już obecnie nad każdym większym miastem na świecie. To jest precyzyjna, naukowa odpowiedź na pytanie „do czego dążymy". Jak przepowiedział to nie znający się na krystalografii Witkiewicz: „Wszystko zakończy się w przenikliwym zapachu kiszonej kapusty".

Marek GŁOGOCZOWSKI

Wznowienia

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY

★

Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704. **Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £. 5,25)**

◆

TOM 228 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Wydanie drugie

Str. 480. **Cena F. 40 (dol. 8,50; £ 4.30)**

List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze,

Idylla maleńka taka: ostatniej soboty stoję sobie w polskim sklepie „delikatesowym" (o ile delikatesem można nazwać kwaśną kapustę, śledzia z beczki i furmański salceson). Przy ladzie starszy pan staluje sobie to i owo, bardzo głośno i po angielsku, a ta angielszczyzna dziwnie znajoma i drze za uszy, że prawdziwy Anglik chyba by uciekł z obrzydzenia. Widać jakiś głuchowaty cudzoziemiec z gustem do naszych delikatesów. Ekspedientka, pani Zosia, odpowiada mu, też oczywiście po angielsku. Dostrzegł serdelki i chce wiedzieć co to jest i jak się je, więc ona mu cierpliwie wyjaśnia: wiadomo — nasz klient, nasz pan. Wreszcie obładował się i poszedł, kolej na mnie. Zgłaszam zamówienie, a ona zdziwiona: — To pani przyznaje się, że Polka? — A czemu miałabym się nie przyznawać? — No bo widziała pani tego, co tu właśnie był. To Polak, mieszka tu niedaleko i wygłupia się za Anglika. Nazywa się Jankowski, to zrobił się na Johnsona i od tej pory po naszemu nie rozumie. Ilu tu takich przychodzi, że po angielsku ledwie co wystęka, a przed ludźmi się puszy, że jego dziecko po polsku, broń Boże, ani słowa nie rozumie. Postałaby tu pani cały dzień jak ja, to by się takich błazeństw nasłuchała, że aż mdli. Tak dziś ludzie zdurnieli, że nic tylko chcieliby drugim imponować!

Otóż to — imponować. Chociażby Johnsonem i podłą angielszczyzną — w Londynie! Żeby choć w Warszawie, to byłyby w tym możliwości. Parę lat temu jestem ze znajomymi na kolacyjce w warszawskim lokalu, aż tu słychać, jak w kącie jakiś typ awanturuje się coraz głośniej, angielszczyzną z piekła rodem. Zbiegli się kelnerzy i stoją bezradnie: jakby był Polak, to by go

zwyczajnie obili, ale z zagranicznym lepiej ostrożnie. Wreszcie jeden zwraca się do publiczności: — Czy ktoś z państwa mówi po angielsku i mógłby nam pomóc z tym cudzoziemcem? — Podnoszę się i proponuję swe usługi. Tamtego zatkało, aż zdjął spod brody po szlagońsku zawiązaną serwetę, i milczy. Wreszcie cichutko powiada, najczystszą polszczyzną, że nie ma się czym przejmować, tylko z zakąską wyszło nieporozumienie. Ciekawam co to był za jeden, może nasz Johnson z „delikatesów" — nie mam pamięci do twarzy, więc nie powiem. Co zaś do odwalania Anglika, to i mnie krajowi znajomi radzili, żebym w hotelach i knajpach nie umiała po polsku, to będą mnie po ludzku traktować. Pewno to i dobra rada, ale nie próbowałam. I tak by się nie udało, bo jakby przyszło co do czego, to bym usiadła ze śmiechu.

Co zaś do potomstwa naszych Johnsonów, to miałam kiedyś do czynienia z młodzieńcem, który szykował się do egzaminu z polskiego na angielską maturę i chciał wiedzieć jakie jest najlepsze angielskie tłumaczenie *Pana Tadeusza.* — A po polsku pan nie czyta? — *Well,* to jest *difficult,* ale moi rodzice byli Polacy. — Byli, ale nie są? A pan? Czy z jamnika może być pudel? — Spoglądał pytająco i nie rozumiał. — Nie, proszę pana, wszystkie tłumaczenia są gorsze od oryginału. *Pana Tadeusza* czyta się po polsku, a już zwłaszcza do egzaminu z polskiego. — I może Pan powie, Panie Redaktorze, jak głoszą nasze tu katony, że jednak młody człowiek patriota, skoro zdaje z polskiego? Ależ nic podobnego, wielu tu się kręci takich bubków, którzy zdania nie potrafią sklecić, ale uważają, że zdanie z polskiego należy im się z racji urodzenia. Po prostu chodzi o to, żeby na maturę zgłaszać więcej przedmiotów niż przepisane, na wypadek że się coś obleje. Ja np. gdy robiłam angielską maturę, to wzięłam nadprogramowo robótki ręczne, żeby mieć rezerwę jeśli co zaryję. Wracając zaś do Johnsona juniora, to wcale bym się nie zdziwiła, gdybym go ujrzała na scenie zdobnej — jakżeby inaczej? — we flagę i Orła, jak w „stroju narodowym" odwala siarczystego krakowiaka — bo to ludzie gapią się i klaszczą, przyjemnie im imponować. Bo żeby uczciwie wyrzekł się rzeczy polskich i zadem na nie wypiął, to bym powiedziała „mała strata" i żadnych pretensji nie zgłaszała. Tylko co to, to nie: zadem to on się wypina, ale chciałby coś przy tym skorzystać. Taka to jest, Panie Redaktorze, skretyniała specyfika naszego tu bytowania. *Difficile satiram non scribere.*

Zanim powiem *good-bye* naszym pseudo- Rodakom, muszę jeszcze wspomnieć Rodaka z Francji. Siedzimy kiedyś w paryskiej kawiarni i rozmawiamy, aż tu kelner ucieszył się: — To wy Poloki? — Tak, i pan Polak? — E nie, ja tutejszy. Moje starzyki byli Poloki. Ale jak my byli małe, to matka po dupie tłukła jak my w domu mówili po francusku. To się i nauczyli. — Prosta to widać była kobiecina, ale dzieci nauczyła jak umiała swego języka-dialektu. I gdzie się z nią równać naszym tu damulkom i ich partnerom z pretensjami do „lepszego towarzystwa", których potomstwo poluje na *Pana Tadeusza* po angielsku, by nim oszukać egzaminatora?

Ale zaczęłam mówić o imponowaniu i tak mnie zniosło na bezdroża. Otóż przez wiele lat obserwując Rodaków na tej Wyspie osiadłych, zarówno w stolicy, jak i na prowincji, doszłam do wniosku, że naczelną pasją ich życia (uczciwszy chwalebne wyjątki, których wszędzie dość się znajdzie) jest nie seks (ach ten wojenny mit pożeraczy serc!), nie dotąd w Ojczyźnie tradycyjne obżarstwo i pijaństwo (które tu jest za drogie, a gotówkę można rozsądniej umieścić) i nawet nie bogacenie się, tylko właśnie to — imponowanie bliźnim. Zawsze, nade wszystko i czym się tylko da, albo i nie da. Tubylców olśnić trudno, a stosunkowo jeszcze najłatwiej, jeśli się obwiesić herbami i zacząć kursować za hrabiego. Nie bez kozery jeden tu polski jubiler ogłasza w gazecie, że robi sygnety herbowe i herbarz ma na miejscu — pewno żeby klient mógł sobie bez fatygi coś efektownego podebrać. No i korzystają. Kiedyś mi przedstawiono jednego Anglika, który ledwo usłyszał moje nazwisko i zaraz pyta czy jestem z tych hrabiów. Nie wiedziałam jak zareagować, bo od nieznajomych osób głupich żartów nie lubię, więc pytam: — Z jakich hrabiów? — A bo na studiach miałem przyjaciela o tym nazwisku. Był polskim hrabią, nosił herbowy pierścień i herby na spinkach do mankietów, a nad łóżkiem miał wielkie drzewo genealogiczne swego rodu, całe z herbami. — Zapewniłam go solennie, że hrabiów o tak pospolitym nazwisku nigdy w Polsce nie było. Był zawiedziony i próbował oponować — żal mu widać było tych herbów i tytułów. Tak oto straciłam okazję wejścia w szeregi arystokracji.

Ale że ponad tubylców wystrzelić trudno i hrabią nie każdy potrafi być, a okazji do podkreślania naszego pokrewieństwa z Kopernikiem i Madame Curie, do wypominania żeśmy im „dali" Conrada i króla Kanuta, nie ma tak znów wiele, to *gros* tych zbożnych wysiłków kieruje się ku własnym Rodakom. Osoby pochłonięte budową mitu o własnej wspaniałości można podzielić na dwie kategorie: tzw. ludzi szarych oraz lepsze towarzystwo. Możliwości tych pierwszych z natury rzeczy są ograniczone, zwłaszcza że chwalenie się posiadaniem kamienicy i samochodu stało się już rekwizytem historycznym. Tj. spospoliciało tylko na tym terenie, bo na urlopie w Polsce nadal służy do popisywania się swą wspaniałością. Tu zaś, jeśli chodzi o przedmioty martwe,

to miejsce limuzyn i kamienic zajęła obecnie kolorowa telewizja — choć oczywiście od tamtych tańsza niewąsko, to jednak ciągle jeszcze ostatni krzyk bogatej mody, na którą byle hołota nie bardzo może sobie pozwolić.

Ogólnie biorąc, człowiek szary psuje krew bliźnim innymi rzeczami, przede wszystkim urlopami (kto dłużej, drożej i dalej), a szczytem jego marzeń jest oglądanie swego nazwiska w gazecie. Dla dodania sobie powagi posługuje się on ojczystym językiem w duchu angielskim, w czym są spore możliwości, skoro mechanik przedstawia się jako inżynier *(engineer),* dziewczątko zgłębiające tajniki maszynopisania opowiada, że *studiuje,* a chłopczyk z kursu kreślarskiego ogłasza się za studenta. Wracając do oglądania swego nazwiska w druku, to szlachetnej tej pasji służą sprawozdania z lokalnych opłatków, zebrań, akademii i święconych jajek, w których wylicza się skrupulatnie, kto zasiadł do smacznie zastawionego stołu, które panie przygotowały artystyczne kanapki, czyj Psipsiunio deklamował patriotyczne wierszyki i kto pół roku temu na akademii plótł jak na mękach czyli wygłosił wzniosłe przemówienie — a Bóg niech strzeże sprawozdawcę, który kogoś pominął, i niech strzeże nas, którzy dla dobra przyszłych historyków musimy potem czytać uroczyste sprostowania. Osobniki bardziej przedsiębiorcze mogą też sobie zafundować frajdę nie z tej ziemi: umieścić w gazecie rodzinne fotki z okazji „pobłogosławienia ich związku" lub chrzcin dwunastej dzieciny. Można mieć z tych różnych lektur godziwą rozrywkę, zwłaszcza jeśli zna się bliżej opisywany ośrodek i wie, co w trawie piszczy. Taką uciechę miałam onegdaj czytając rzewny opis wizyty dygnitarza kościelnego w świetnie mi znanej parafii na prowincji: kto zagajał, wygłaszał, deklamował i odstawiał tańce „narodowe", kto jest aktualnie prezesem czego i kto świadczył honory publicznie, a kto w wyselekcjonowanym kółku, które potem zasiadło z dostojnym gościem do smacznie (jakżeby inaczej?) zastawionego stołu. Otóż okazało się, że bieżącymi filarami parafii są cztery małżeństwa, co do których mogę autorytatywnie stwierdzić, że z katolickiego punktu widzenia jest bez zarzutu tylko *jedno.* Ale mniejsza o to, grunt że *stojało* w gazecie i świat podziwia, a już zwłaszcza znajomych krew z zazdrości zalewa. I to zalewa tym gorzej, że jeśli o kimś *stojało,* a zwłaszcza jeśli była przy tym fotka i imponujący opis osób, koligacji i odnośnych uroczystości, wraz z ekspensem takowych (np. z podkreśleniem, że sto osób piło szampana), to bohater tych wspaniałości zakupuje wielką ilość egzemplarzy i rozsyła gdzie może. Gazety na tym oczywiście nieźle zarabiają, i gloria familii rośnie. A że obdarowanym zagra się na nerwach, da prztyczka w nos, tym lepiej — właśnie o to chodzi.

Dalsze możliwości zabłyśnięcia w druku i nadprogramowej sprzedaży stu egzemplarzy daje sławetny „Tylon", ów wybitny rozsadnik ohydnej polszczyzny, jakby i bez tego nie było jej dosyć. Informuje on nas regularnie, jakie to sprawy nurtują pod powierzchnią Emigracji: że pani Gienia kupiła mężowi czerwone skarpetki, państwo Psipsikowscy opaleni wrócili z Majorki, pani Mizia na dożynkach (oczywiście „tradycyjnych") miała suknię z materiału po 30 funtów jard, pani Lola przyszyła sobie do pupy lusterko od Diora, a pan Pikutko ma cztery domy i sprzedaje kiełbasę. I jaki rezultat? Psipsikowscy i Mizia z Lolą puchną z dumy, a tysiące rozproszonych Rodaków, którzy ich na oczy nie widzieli, oddają się grzechowi zawiści, że o tamtych piszą, a czym my gorsi?

Wreszcie ostatnim sposobem na oglądanie siebie w druku jest wpłacenie składki na jakiś cel, o czym za chwilę. Na razie poświęćmy troszkę uwagi wojażom zagranicznym (krajowe się nie liczą). Pójść tylko w jakieś miejsce, gdzie schodzą się Rodacy, a nabierze się pełne uszy rozhoworów o odległych krainach (z przewagą Rimini, Majorki i Costa Brava), hotelach o „ekskluzywnych" nazwach, samolotach i prywatnych limuzynach, przy czym starają się mówić tak głośno, by i w pobliżu siedzący nieznajomi koniecznie usłyszeli. Do korzyści, jakie z tych wojażów mogą wyniknąć dla ojczystej kultury, powrócimy przy Pisarzach i Dziennikarzach, a na razie chcę zaznaczyć, że aby *być zaimponowanym,* nie musi się aż przesiadywać w ogniskach i innych POKach. Można znaleźć we własnej dalekiej dzielnicy, jak się niedawno przekonałam. Że to szła wiosna i trzeba było pomyśleć o ogrodzie, udaliśmy się na miejscową szkółkę popatrzeć co nowego w botanice. Krążymy wśród tłumku i omawiamy, aż tu pod bokiem jakaś matrona, holująca za rączkę małą dziewczynkę, wybucha entuzjastycznie: — Słuchaj, Dzidziulko, wiesz że babunia wkrótce jedzie do Hiszpanii. Co ci, dziecinko, przywieźć, no powiedz, co? Babcia ma dużo pieniążków, a w Hiszpanii można kupić różne piękne rzeczy — i dalej w ten deseń. Oczywiście pobledliśmy z zazdrości i wstydu, że my nigdzie nie jedziemy, i już miałam niechcący zaznaczyć, że do Hiszpanii w tej porze roku jeżdżą same dziady, ale nic. Mrugnęliśmy do siebie i zaczynamy: — Spójrz na tę roślinkę, jaka nędzna! A przecież to rośnie jak drzewo — pamiętasz miesiąc temu na Bahamach? — Teraz ona zmartwiała, tylko uszy jej latają jak u królika, a my piejemy coraz piękniej. I zaraz uszła zgnębiona, nurknęła między ludzi i więcej się nie pokazała. Tu zwierzę Panu w ścisłej tajemnicy, że oczywiście nasza noga nie stanęła w promieniu tysiąca mil od Bahamów, ale co to ma do rzeczy? Ubliżyć sobie nie damy!

Wreszcie dobroczynność — ten punkt styczny między szarymi i lepszym towarzystwem. Celów na Emigracji jest mnóstwo, począwszy od zawrotnych kosztów beatyfikacji i kanonizacji, poprzez wnuki dzieci polskich w Niemczech, pomniki aktualne i zapomniane („ach ten pomnik, ten Szopena, gdzie on, gdzie? / Biedne serce utęsknione smutek drze"), aż po cele społeczne i kulturalne z prawdziwego zdarzenia i (podobno wkrótce) Oblęgorek dla Wielkiego Myśliciela, Historyka, torreadora i Poety Emigracji. Każdy może sobie coś w tym tłumie podebrać wedle gustu i kieszeni, począwszy od paru szylingów na powiększenie pocztu Świętych Pańskich, poprzez różne „zamiast życzeń" i „kwiatów na trumnę", aż po imponujące datki ludzi bogatych na cele kulturalne. Ponieważ jesteśmy narodem żarliwie katolickim i tzw. Przedmurzem, nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie, co o tych sprawach mówi Ewangelista. A mówi tak: „Strzeżcie się, abyście sprawiedliwości waszej nie czynili przed ludźmi, abyście byli widziani od nich, bo inaczej zapłaty mieć nie będziecie u Ojca waszego, który jest w niebiesiech. Gdy tedy czynisz jałmużnę, nie trąb przed sobą jak to obłudnicy czynią w bóżnicach i po ulicach, aby byli czczeni od ludzi... Ale gdy ty czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni, aby jałmużna twoja była w skrytości". I tu ogarnia zaduma, chciałoby się spytać: do kogo ta mowa? Bo główną bodajże zaletą Emigracyjnej jałmużny jest to, że nazwiska ofiarodawców ogłasza się w gazetach, albo je nawet ogłaszają sami — aby byli czczeni od ludzi, bo nigdy po co innego? — przy czym często ogłoszenie kosztuje więcej, niż złożona jałmużna. Szczególnie niesmaczne wydaje mi się tak tu popularne „zamiast kwiatów na trumnę", bo to za jednym zamachem i załatwia nieboszczyka i pomnaża chwałę swej hojności. Przypuszczam, że mało kto by składał zamiast tych kwiatów, gdyby mu zabroniono ten fakt opublikować i nakazano koszt ogłoszenia dołączyć do jałmużny, a żałobną rodzinę poinformować o tym w cztery oczy. Ba — nawet organizacje, które urządzają zbiórki na swoje cele i rozsyłają apele na prywatne adresy, obiecują tytułem przynęty, że „nazwiska ofiarodawców będą ogłaszane w prasie". A po co? Po to, żeby się puszyć, imponować i być podziwianym, że dało się kilka szylingów „zamiast życzeń", ogłoszenie czego ze szczegółami kosztowało dwa funty. Często zresztą koszta ogłoszeń ponoszą obdarowane instytucje, tak że można się zastanawiać, ile im zostało na właściwy cel i czy w ogóle było warto. A niech by spróbowały nie ogłosić, nie oddać publicznie hołdu Dobrodziejom! Wiem coś o tym, bo znam kilka osób, które zajmują się zbiórkami. Choć z urzędu wysyłają pokwitowania indywidualne (tak że nie zachodzi potrzeba wyjaśniania, czy datek

doszedł do celu), to na porządku dziennym są telefony żądające informacji, kiedy Czcigodne Nazwisko ukaże się w prasie, a także osobiste wizyty Dobrodziejów z pretensjami, że przecież on wysłał dwa dni przed kolegą Iksińskim i Iksiński był już wczoraj w gazecie, a on jeszcze nie. Co zaś do wspomnianych pokwitowań, to powstają dodatkowe komplikacje, jeśli w komitecie zbiórkowym są osoby bardziej i mniej utytułowane. Wtedy sprawą pierwszej ważności jest kto podpisał kwit i zdarza się, że Dobrodziej odnosi ten z „gorszym" podpisem, żądając wymiany na „lepszy". Nie wierzy Pan? Ależ fakt, mogę przysiąc na dzieło wspomnianego Ewangelisty!

Jak więc się rzekło, na polu dobroczynności spotykają się wszystkie warstwy Emigracji i każdy płaci co łaska, choć oczywiście czym więcej tym lepiej. Organizacje na tej licytacji mogą skorzystać, ale na mój gust etyczna strona zagadnienia brzydko pachnie: że Ofiarodawcom chodzi przede wszystkim o popierany cel, a nie o Własną Wspaniałą Osobę, uwierzę dopiero wtedy, gdy jałmużnę swą będą czynić po cichu, bez trąbienia po bóżnicach i rogach ulic.

Cześć zaoczna, w gazetach, to jeszcze nie szczyt możliwości, bo w wypadkach wyjątkowych czci się Złotego Cielca tłumnie i osobiście, i organizuje istne nabożeństwa z zaproszeniami, które wyglądają dostojniej niż np. świadectwa oxfordzkich doktorantów, z przemowami, kadzidłami, niespodziankami artystyczno-intelektualnymi itp. A jeśli jeszcze zdarzy się przy tym bufet, to już w ogóle nie wiadomo, na co wpierw patrzeć. Przypomina mi się tu wspomnienie, bodajże Zygmunta Nowakowskiego, o przyjęciu rządowym wydanym dla Horthy'ego na Wawelu, które zasłynęło z tego, że dygnitarze zachowali się jak stado zgłodniałych chamów, a górale jak arystokracja. My tu też nie gorsi, bo kiedyś się zdarzyło, że zanim gospodarze zgromadzenia odkoncelebrowali kilkanaście odpowiednio długich mówek z towarzyszącą oprawą liturgiczną i zdecydowali coś przekąsić, to powitały ich smętne resztki i brudne szkło. Osłabli z głodu goście (za specjalnymi zaproszeniami — sami wyborowi) przed ucieczką do domu musieli posilić zwątlone siły. Jak więc Pan widzi, my też mamy swoje Wawele i Elity.

Należy zaznaczyć, że jak szary człowiek dla wywyższenia się używa ojczystego języka na sposób angielski, tak i tu nasza Elita ma na swe usługi specjalny rodzaj polszczyzny, który jej czynnościom dodaje blasku, i w całej krasie występuje w opisujących te rzeczy panegirykach prasowych. A więc sfera ta nie ma żon tylko małżonki, i te małżonki nie rodzą, tylko powijają. Nie jedzą ani nie chodzą spać, tylko spożywają posiłki i udają się

na spoczynek. Nie otwierają (np. wystaw, klubów, POKów), tylko dokonują uroczystych otwarć (poświęceń, wręczeń, dekorowań orderami). Nie wygłaszają mów oraz kazań zwykłych, tylko przepiękne i podniosłe. Nie odprawiają nabożeństw, tylko je celebrują, albo (jeszcze lepiej) koncelebrują i przy tych okazjach chóry nie śpiewają, tylko wykonują pienia, a my, Wierny Lud, nazywamy się wtedy (cóż za przepiękne słowo!) laikatem. No i z różnych okazji obejmują Łaskawe Protektoraty, których praktyczna wartość jest dla mnie niezgłębioną tajemnicą. Jak wśród „szarych" mechanik biega za inżyniera, tak tu każdy belfer jest profem, a każdy recenzent akademii — redem. Tu też przynależy osobna gromadka panów publicznych, którzy nie schodzą z łamów kronik towarzyskich i kulturalno-politycznych. Wszędzie są, wszystko widzą i nic, tylko zagajają, wygłaszają i przewodniczą. Nie wiadomo, czy w ogóle istnieją w oderwaniu od tych czynności i czy mają jakieś życie osobiste. W każdym razie nie mają tego, co Anglosasi nazywają widzialnymi środkami utrzymania. Należy podkreślić ich wspaniałą wszechstronność na miarę krakowskiej matrony: nie ma spraw i tematów, o których nic nie mają do powiedzenia i których nie podjęliby się rozstrzygać w sposób nieodwołalny, z monopolem na patriotyzm włącznie.

Przejdźmy teraz do lepszego towarzystwa w szerokim znaczeniu tego słowa. Najpowszechniej wywyższa się ono i imponuje szarym masom przez tworzenie w tym celu (bo chyba nie dla obrony — przed kim? — swych interesów) czegoś w rodzaju związków zawodowych. Są one trojakie: „twórczościowe" (pisarze, dziennikarze, plastycy, naukowcy), „przeszłościowe" (legioniści, uczestnicy wojen światowych, członkowie różnych rodzajów broni i oddziałów, mężowie stanu o wygasłych urzędach i wiecznie żywych tytułach, oraz przywódcy partii o niewiadomej ilości członków), oraz „przyszłościowe" (młody narybek oficerski przyszłego Wojska Polskiego, ze Szkołą Oficerską na szczycie, a także statyści i myśliciele polityczni, którzy na South Kensington zaprawiają się do przyszłego przywództwa Narodowi Polskiemu). Z braku lepszego określenia nazwijmy te trzy grupy razem fachowcami. Zanim bliżej się im przyjrzymy, trzeba jeszcze zaznaczyć, że po peryferiach tego świata krążą trzy dalsze kategorie osób:

1. Panie przynależne członkom wzmiankowanych stowarzyszeń: sympatyczne, nijakie oraz te najważniejsze — muzy ekskluzywne a melancholijne. U tych ostatnich jedyna możliwość zabłyśnięcia ogranicza się do „Po Kawiarniach Mówią" oraz szalenie kosztownej sukni na szalenie ekskluzywnej potańcówce, „zaproszenie" na którą każdy może nabyć jak bilet do kina. Przedstawia się je światu nie tylko nazwiskiem, ale i imieniem męża, z końcówką dzierżawczą, bo same przez się są zero, aczkolwiek z fumami,

2. Osobnicy uparcie uważani za młodych, których przedstawia się jako synów pułkownika itp., bo sami takoż zero, aczkolwiek ciągle jeszcze ogromnie obiecujący,

3. Osoby fachowo nieokreślone, choć zdecydowanie przynależne do śmietanki: które w podkreślaniu swej wyższości osiągnęły szczyt wyrafinowania dzięki snobowaniu się na ubóstwo. Jest ono w tym wypadku szalenie nobliwe, oznacza bowiem, że swej wyższości nie sprzedają ordynarnie za pieniądze. Postronni mogą się wprawdzie dziwić, że mimo tego można żyć całkiem szykownie i rozjeżdżać po świecie, należy ich więc pouczyć, że to wszystko odbywa się okazyjnie, dzięki zaproszeniom, hojności przyjaciół, darmowym biletom itp., bo z własnych ubożuchnych środków nie dałoby się nawet marzyć.

Przejdźmy teraz do stowarzyszeń i przede wszystkim spójrzmy na nasze militaria. Znam tu jednego lotnika, który w *Battle of Britain* zebrał rany, ordery i awanse, a wtedy (jak wiadomo) nie dawano takich rzeczy dla zabawy, jak dziś. Otóż po niedawnym powrocie ze świata, ten pan zapragnął nawiązać zerwane kontakty i ożywić stare znajomości. Rozejrzawszy się jednak wokół zdecydował, że w odnośnych związkach nie ma co do roboty, tyle tam nawłaziło kibiców ze śmiesznych roczników, którzy bardzo by chcieli mieć bojową przeszłość, ale że nie mają, to celebrują jakby mieli. Podobnie, jak wieść niesie, sprawy się mają w innych wojennych zrzeszeniach, które swe liczebne braki wyrównują przez rekrutację niewiast i nawet dziatwy — że to niby chodzi o tradycję i takie-tam rzeczy. A czterdziestopięcioletni towarzysze bojów Piłsudskiego, to niby co? Każdy chce być czymś innym, wyleźć nad tłum profanów i ubrać w cudze piórka. Kiedyś w uczęszczanym przez Rodaków lokalu obserwowałam niespodziane, jak widać, spotkanie dwu starszych panów, którzy się dawno nie widzieli: — Powiedz mi Kaziu, jak u ciebie z rangą? — Pamiętasz chyba z wojska: porucznik. — Jak to, jeszcze porucznik?! Zaraz złożę wniosek i wymianujemy! — Znam również poważnego pana, który przed laty przestał płacić na któryś Skarb Narodowy, w odpowiedzi na co w kilkanaście miesięcy z kapitana awansował na podpułkownika — tytułem zachęty, ale daremnie, bo nawet ta błyskawiczna kariera nie potrafiła go skłonić do płacenia. A skoro, Panie Redaktorze, już jesteśmy przy awansach, to warto jeszcze dodać, że mamy z tym swoje kłopoty. Chodzi o wojowników, którzy w kolejnych wymianowaniach osiągnęli pułap i dalej już nie mogą postąpić, co jest krzycząco niesprawiedliwe wobec faktu, że niższe szarże dalej mogą się wspinać po drabinie służbowej. Otóż, jak głosi

wieść między ludem, znalazła się rada i podobno wkrótce (na Święto Żołnierza) otrzymamy pierwszą grupę marszałków. Ja też nie tracę nadziei, że znajdzie się dla mnie choćby stopień kapitana i order — niech się Pan nie śmieje, to wcale nie takie głupstwo jak się zdaje. Mam ku temu lepsze dane, niż poniektórzy, choćby już dlatego, że aczkolwiek w małoletnim cywilu, to jednak wojnę oglądałam na własne oczy, czym nie każdy Kombatant może się dziś pochwalić. Tak, tak, gdzie nie spojrzeć — dewaluacja. Dewaluują się nie tylko ludzie, ale i niegdyś poważne instytucje. Czy zna Pan niesłychanie w krajach anglosaskich popularny epos heroiczny Tolkiena *Lord of the Rings?* Autor wspomina tam, że hobbitowie mają coś w rodzaju muzeum zwanego *mathom house*. Służy ono do przechowywania przedmiotów, których nie chce się mieć w domu, a szkoda wyrzucić. Otóż my też mamy takie *mathom houses,* a w nich różne *cziczka* śmieszne i dziwne, na czele z obiektami naszpikowanymi w ostatnich latach pamiątkowymi gwoździami. No i te liczne na Emigracji nagrody też się mocno zdewaluowały. Ścigają kandydatów, bo przecież *muszą* być dane, przy czym wartości literackie czy inne może zastąpić płodność laureata i żelazna wytrwałość w uprawianiu swej sztuki. Skutek taki, że nawet osoby, które je otrzymały całkiem słusznie, już ich chyba nie biorą na serio, a te, co niesłusznie — ze śmiertelną powagą.

A związki „twórczościowe"? Przede wszystkim należy podkreślić, że (jak wśród wojskowych) tu też można znaleźć fachowców z prawdziwego zdarzenia, ale giną oni w powodzi kibiców i amatorów, którzy jak ta żaba podstawiają łapę gdzie kują konie. Dlatego ci fachowcy nie decydują o obliczu swych organizacji i stąd jest ono niesłychanie tandentne. Cóż jest zresztą pisarz, dziennikarz, malarz czy uczony? Czy każdy, kto coś pisze, choćby prywatny list, jest pisarzem? Są przecież ludzie, którzy dzięki takim listom zdobyli trwałe miejsce w literaturze. Czy każdy, kto coś wydrukował w gazecie, np. propozycję matrymonialną, czy spis osób, które w POKu bawiły się ochoczo przy dźwiękach orkiestry, jest już dziennikarzem? Czy każde dziecko i dama, która „lubi" malować kwiatki i portrety z fotografii, jest malarzem w sensie artystycznym, i to zwłaszcza tam, gdzie wszelkie mankamenta można wygodnie zwalić na „nowoczesność"? Albo czy jest naukowcem każdy, kto księgi chętliwie czyta i coś z nich odwala, by podać dalej za swoje, oraz specjalista od badania genetycznego dziedzictwa osób zmarłych przed ośmioma setkami lat? Gdzie jest ta linia, która głupstwo oddziela od świata rzeczy serio? Jak zaklasyfikować autora jedynej, wydanej przed laty i zresztą nieszczególnej książki, który nie da ludziom ani na chwilę o niej zapomnieć, łowcę podejrzanych „poloników", albo

autora przenudnych trawelogów, z których niewiele dowiemy się o opisywanych miejscach (a jeśli, to ściągnięte nieporządnie z jakiegoś bedekera i żadnych w tym własnym spostrzeżeń, świeżego spojrzenia), a za to dowiemy się, gdzie z żoną pił kawkę czarną, a gdzie z mleczkiem, co ona powiedziała do niego, a on do niej, i jak się targowali o suweniry. Każdemu oczywiście wolno pisać, ale żeby zaraz uznawać się za pisarza, to już — jak powiada lud — trza nie mieć smaku w gębie. Co jak co, ale speców od autoreklamy mamy przednich. Chodzą w glorii mistrzów, sami siebie celebrują, pompatycznie odmieniają przez przypadki „moja twórczość", z szumnymi dedykacjami rozdają swe płody (w tym specjalnie sporządzone odbitki z czasopism) i potem maltretują obdarowanych o wrażenia, oraz na znajomych wymuszają recenzje (rzecz jasna pochwalne) na zasadzie usługi towarzyskiej. Dlatego każda recenzja pozytywna, nawet ta zasłużona, staje się podejrzana i zaraz zaczyna się dociekać, co autora łączy z recenzentem, a jeśli negatywna — to co on do niego ma? Takie figle ośmieszyłyby nawet Mickiewicza, a co dopiero Pikutkowskiego. Patrząc na tę krzątaninę nie potrafię sobie wyjaśnić jednej rzeczy: dość przecież mamy ludzi oświeconych i inteligentnych, z każdym z osobna można ciekawie i z korzyścią dla siebie porozmawiać, a niech się tylko zorganizują czy zejdą w jakimś celu, to zaraz robi się dno, frazes i tandeta. Czemu, Panie Redaktorze, czemu??? Czy dlatego, że zaraz wpada na nich stado kibiców, rozpycha na boki i wrzeszcząc „my też" łapę do kucia podstawia? Kiedyś przypisywałam te bufonady degeneracji spowodowanej emigracją, ale ostatnio przeglądnęłam zbiory przedwojennych felietonów Słonimskiego i Nowaczyńskiego, i przekonałam się ze zdumieniem, że wtedy było to samiutko, w każdym razie w życiu literacko-artystycznym. I zresztą teraz w Ojczyźnie jest to samo, skoro członkostwo Związku Literatów wyraża się liczbą czterocyfrową, a na niedawno odbyty zjazd poetów zwaliło się ponad 300 chłopa. Trzy setki — na kraj o 32 milionach ludności! Przecież to musi przerażać. Tak, Panie Redaktorze, to nie wina emigracyjnej degrengolady. To jest WIELKI NARODOWY KOMPLEKS PAPKINA.

Można także rzecz ująć intelektualnie: że tacy są z Rodaków praktyczni egzystencjaliści — chcą czymś być, więc są. Jankowski (onże Johnson) chce być Anglikiem — no i jest. Czterdziestopięcioletni Pikutko chce być legionistą i pewno by nim był, gdyby się urodził we właściwym czasie. Ale że się nie urodził, to zapisuje się gdzie trzeba — i staje się legionistą. Bo to nieprawda, jak wierzyliśmy dotąd, że można sobie wybrać tylko przyszłość. Przeszłość też można u nas wybierać. Kwiatkowski z Malinowskim chcą być pisarzami, dziennikarzami czy plasty-

kami, a więc staną się nimi przez wstąpienie do odpowiedniego związku. Można by ich łatwiej zadowolić przez nadawanie czegoś w rodzaju doktoratów *honoris causa* — godności pisarza, Anglika, legionisty, genetyka historycznego *in partibus infidelium,* a dla statystów i myślicieli politycznych wskrzesić tytularne urzędy dawnej Rzeczypospolitej jak wojski, cześnik, stolnik i kasztelan, ale tego stopnia rozwoju naszych hierarchii jeszcześmy nie osiągnęli.

Obserwując tę krzątaninę, wspominam z rozrzewnieniem swe szczenięce lata, gdy chciałam (i co ważniejsza, wierzyłam że jest to zupełnie możliwe) być różnymi rzeczami: psem, baletnicą, księdzem, lotnikiem i ułanem. I rzeczywiście *byłam* tym wszystkim, w każdym razie na krótki przeciąg czasu gdy: szczekałam i właziłam do budy, tańcowałam jak pijany szaman, odprawiałam mszę, bucząc latałam w kółko z rozkrzyżowanymi ramionami i w czaku z gazety ujeżdżałam na oklep ławkę. Gdybym była wtenczas dorosła i mieszkała w Londynie, oszczędziłabym sobie kłopotów z realizowaniem mych marzeń, oraz kpin chłopaczków z sąsiedztwa, wstępując do odpowiedniej organizacji, przez co moje zabawy stałyby się o wiele bardziej serio, zyskując oficjalne zatwierdzenie i pieczętowaną legitymację.

Tak więc, Panie Redaktorze, nasze „polskie" życie odbywa się tu na niby. Jest ono chceniem być czymś, czym się nie jest, bo jak się jest, to się nie musi chcieć. Jest bujdą, amatorszczyzną i kibicowaniem, lataniem z rozkrzyżowanymi ramionami i w papierowym czaku ujeżdżaniem ławki. A jeśli jeszcze wda się w to fachowiec z prawdziwego zdarzenia, to jego udział nobilituje te zabawy, podobnie jak moim igraszkom w ułana dodawał niegdyś prestiżu udział w nich pewnego znudzonego ordynansa w mundurze.

Czy w tej atmosferze należy się dziwić, że za wydanie fachowej opinii o czyjejś „twórczości" można być — wyzwanym na pojedynek? Tak, tak, proszę nie zezować na kalendarz: naprawdę mamy rok Pański 1973. Obawiam się, że i mnie to może spotkać za me bluźnierstwa, więc ostrzegam: próżna fatyga. Znam (jakże by inaczej?) Boziewicza i wiem, że kobiety są niezdolne honorowo. I spokrewnionych ze mną mężczyzn (pod których „opieką", jak twierdzi Boziewicz, każda kobieta musi „pozostawać") też czepiać się nie pozwolę, mimo że honorowo są całkiem sprawni, albowiem zdobyli średnie wykształcenie. Więc, Panie Redaktorze, proszę się o mnie nie martwić. Na żadne głupstwa nie mam ochoty, a gdyby kto zechciał nachodzić mój dom i posyłać sekundantów, to niehonorowo zadzwonię na policję.

Grażyna NOWAK

Inwokacja do powiatu Latyczowskiego

Ludzie Wielkiej Emigracji, obdarzeni na pociechę poetyckim arcydziełem nie mogli jednak pogodzić się z inwokacją tego eposu: Litwo! Ojczyzno moja! Brzmiało im to partykularzem. Nawet Zygmunt Krasiński, obruszony, suponuje że brakowałoby tylko jeszcze inwokacji do Powiatu Latyczowskiego.

Każdy z nas wywodzi się z jakiegoś „praiłu", każdy pozostawił za sobą wody które kiedyś „czerpał w niemowlęce dłonie", każdy zapatrzy się we wspomnieniach w te dawne tonie. By posłużyć się przykładem z nauki o ewolucji gatunków, wywodzimy się od stworzeń wylęgłych z wody, i dźwignąwszy się wypełzliśmy na suszę, skrzela nam przetransformowały się w oskrzela płazów, potem w płuca ciepłokrwistych ssaków, byśmy, rozwinąwszy się i pod innymi względami mogli ewentualnie wyemigrować do Stanów, Wenezueli czy Australii. Tu, ocaleni już i syci możemy pozwolić sobie na sentyment odwiedzenia miejsc pochodzenia, Powiatu Latyczowskiego.

Chciałbym przypomnieć tu niezwykłą książkę Güntera Grassa, „Die Blechtrommel", i rozdział w niej zatytułowany: „Die polnische Post". W nim bohater tej powieści, karzełek Oskar, znalazł się we wrześniu 1939 roku na polskiej poczcie w Gdańsku, przeczekując tam jej oblężenie w koszu na listy. *„Ich schlief in einem Wäschenkorb voller Briefe",* pisze autor w imieniu Oskara, *„die nach Łódź, Lwów, Toruń, Kraków und Częstochowa hinwollten...* Ale nie marzyłem tam ani o Matce Boskiej Częstochowskiej, ani o Czarnej Madonnie,... ani nie marzyłem o mym wciąż jeszcze niezreperowanym bębenku..."

Francuzka, Pani Rose Bailly była innym znowu fenomenem wśród obcych, których polskość oczarowała, i miała także dar widzenia rzeczy i spraw na które my sami byliśmy ślepi i głusi.

W swych wędrówkach po Podolu i Wołyniu, od Dniestru, Skały po Podkamień, Zbaraż, Krzemieniec, z wizyt na wsi, w Matwijowcach, w klasztorach, w Podkamieniu, Poczajowie, rozbrzmiewają tam u niej w tych wspomnieniach niezliczone imiona miejsc, jak drogowskazy.

Czytelnika polskiego ujmie akuratna, jak to nazywa się naukowo? toponomastyka, nazewnictwo miejsc tamtejszych u tych obcych pisarzy. Już to jednak toponomastyka może nam dać dobrego łupnia! Jak zasłuchać się w imiona rzek, dolin, lasów, szczytów górskich, wsi miasteczek i miast, to jedne swym brzmieniem przywołują całe panoramy światów zagrzebanych na cmentarzyskach pamięci, a znowu inne zaskoczą nieznanym odkryciem, nigdy nie zasłyszanym czemuś echem. Rumienimy się ze wstydu, że jak można tak było zapomnieć, roztrwonić, porzucić albo zagłuszyć w sobie, kiedyś nie przyswoić bogactwa, które dopiero przypadek, dobry los potrafi nam dzisiaj przywrócić.

Właśnie taki dobry los przyniósł mi ostatnio w upominku aż cztery naraz książki które tyczą się Powiatu Latyczowskiego. Stanisława Lema, wielce utalentowanego zresztą autora tak modnych dzisiaj fantazji naukowych *science fiction,* książkę o młodości we Lwowie, zatytułowaną „Wysoki Zamek". Podobną, innego bez pretensji pisarskich pana o nazwisku Witold Szolginia, z tytułem „Dom pod żelaznym lwem". Andrzeja Kuśniewicza powieść-autobiografię „Strefy", Andrzeja Chciuka „Ziemię księżycową".

Te dwie ostatnie mówią głównie o stronach wprawdzie nie rodzinnych mi ale znajomych, i to nawet dobrze znajomych, a to z wypraw tam w góry, wakacji na wsi i służby wojskowej i stąd to nasiąkłem tamtejszością. Niezwykłością tego podgórza karpackiego były przede wszystkim góry. Ich sąsiedztwo sprzyja jakby odosobnieniu, bo są jakby naturalną przeszkodą, przegrodą, wałem, w którym każda dolina jest osobnym światem, w każdym z ogniw tego łańcucha gór zachowuje się osobny język, obyczaj, strój, kultura materialna. A znowu paradoks chce że te same góry, będąc barierą, w jakiś nielogiczny sposób wciągają, kuszą do wędrówki szukających w nich przejścia, albo na przekór właśnie każąc im wędrować swymi grzbietami. Stąd, pomimo odmienności tych Hucułów, Bojków, Łemków, Beskidziaków, Podhalan, Spiszaków, Orawian, język ich ma wiele wspólnego, przetkany słownictwem ruskim, polskim, węgierszczyzną, rumuńszczyzną, od Czarnohory, przez Gorgany, Bieszczady, Beskidy, Podhale, Beskid Wyspowy, po Beskid Zachodni, Babią Górę i Karkonosze. Powiadają że aż na Podhalu zachował się ślad po Owidiuszu, bo Obidowa to nie co innego jak Owidowa! Czyżby wygnany do Dacji Owidiusz, wbrew ekstradycyjnym zakazom podróżował wzdłuż Karpat, spekulował w handlu realnościami gdzieś aż pod Giewontem?

O tamtej ziemi... Inna jest niż inne okolice. Z dolin widać tam, z daleka widać jak sinieje piła, sierra Karpat, od przełęczy użockiej po pantyrską. Stokami gór zbiegają lasy ku wodom Świcy, Łomnicy, Czeczwy, Bystrzycy. Świecą pośród tych lasów białym drzewem wyślizgane koryta „ryzarni", których stromością spływają w dół pnie jodeł górskich. Słyszy się cienki świst lokomotywy, kiedy pracowicie, po wąskim torze ciągnie długi ładunek pni do broszniowskich tartaków, gdzie zetrą je w niebotyczne usypiska złotych trocin.

A w dołach ziemia ta przechodzi w pola, łąki, wsie, osiedla pochowane w gęstwach drzew. Osmołoda, Synowódzko Wyżne, Bolechów, Sołotwina. Nad nimi gonty i blacha bani cerkiewnych, na zielonych wygonach nad stojącą wodą czeredy gęsi, pasy rozciągniętego tam bielonego płótna, weret. Kalina rośnie tam „liściem szerokiem", jarzębina, dereń, czereśnia, leszczyna, głóg. Czółno szoruje swym dnem o żwir dniestrowy kiedy podchodzi do zarosłych wikliną brzegów Kochawiny, Żydaczowa.

Tamtejsza ziemia jest inna niż zwyczajne okolice. Puchnie i wzdyma się od wzbierających w niej gazów, poci się i ocieka nadmiarami soków, żywic, przesiąknięta ropą, tłusta od wosków, fosfatów, słona od soli. Wody jej mienią się tęczowo cieniutką błoną porozlewanych na nich olejów i nafty. Na stokach wzgórz stoją tam lasy czarnych wież wiertniczych, „kanadyjek", szybów, cystern a po nocy buchają gejzery pary i świecą konstelacje lamp elektrycznych Tustanowic, Borysławia, Daszawy, Staruni, Kałusza. Wyrzuca ta ziemia ze swego łona potwory i dziwadła, szkielety smoków i ciała dyluwialnych gadów.

Powstają z tej ziemi jak upiory by zaprzeczyć pozornej jej słodyczy i sielskości. Tu przecież niedawno jeszcze temu paliło się, trzeszczał ogień pepeszy „partyzanów", stukały zderzaki wagonów transportów i wywózek. A przedtem jeszcze? Ułani szarżowali pod Krechowcami na Niemców. A jeszcze przedtem? Dziki ryją w starych okopach legionowych biegnących grzbietami gór, w gęstwicie kosówki („Major Roja, chłop morowy, nie dał Mochom Rafajłowej... Buffalo Bill!") A jeszcze dawniej? Rabacja w Horożance... A jeszcze, jeszcze dawniej?

Władysław Łoziński, w swym „Prawem i lewem", opartym na aktach grodzkich tamtejszych stron w XVI i XVII wieku pisze o Sabatach siedmiogrodzkich, których naprowadził Diabeł Stadnicki. Zbrojni w półhaki i topory przyszli „tą dziurą ku Samboru", jak mówił Żółkiewski. „Bandy te rozłożyły się w Husnej, Krywce, Żupaniu, Rykowej, Jabłonce i Wysocku Wyższym... po czym powiedli w głąb kraju, najpierw do Topolnicy... stam-

tąd ruszyły ku Samborowi Staremu, a po drodze obrabowali klasztor bazyliański w Spasie. W Starym Samborze podzielili się Sabaty na dwa skrzydła: jedno poszło na Sozań, Bereźnicę, Taranowice, drugie na Kobło, Straszewice i Błażów, zajmując całą okolicę od Soli do Sambora. Gdzie tylko stanęła ich stopa, tam znaczyła się krwią i pożogą... W Taranowicach (dziś znanych pod nazwą Torhanowce) zjechała się była właśnie szlachta okoliczna na pogrzeb dziedzica tej majętności, cześnika halickiego Taranowskiego. Sabatowie napadli na dwór podczas żałobnego aktu, wielu ze szlachty zabili, młode mężatki i panny pogwałcili, całą wieś z dworem spustoszyli, zabierając ze sobą wszystko. Wśród rozbojów i mordów i wzniecanych zbrodniczo pożarów posunęli się dalej w drohobyckie i stryjskie ku Tuchli i jeszcze dalej, a podzieliwszy się bogatym łupem, powrócili na Węgry...".

Ale z tegoż Siedmiogrodu przyszedł także jeden z największych królów i wojowników polskich. A był także, okazuje się i wielkim pedagogiem, bo któż nie pamięta jego świetnej rady: *Disce puer latinae — ego te faciam Mości Panie!*

W książkach które wymieniłem powyżej uderza także ten wspólny im temat, pedagogii, reeminiscencje z czasów szkolnych, „ferdydurkizm", o czym rozpisują się autorzy wspomnień galicyjskich: Stanisław Lem, Witold Szolginia, Andrzej Kuśniewicz, Andrzej Chciuk. W retrospekcji dawne pretensje do pedagogów zbladły u nich, poszły w niepamięć (wbrew znanej, sztubackiej, nieporadnej piosence: „On mnie zapytuje czy ja umiem greki, ja mu odpowiadam, kocham ją na wieki", z nieodzownym refrenem: „Oj juchy, juchy, belfry psiajuchy, łotry, gałgany, psy!").

Ale tu o tym zapomniano. Pozostał wyraz wdzięczności, wspomnienia w których przekazują nam i mądrość tych wychowawców i dobrodusznie ukazują ich śmieszności. Czcigodne postacie, sztywne kołnierzyki, binokle czyli galicyjskie „cwikiery", krawaty-plastrony, entuzjazm młodych nauczycieli, stetryczałość starych.

To pod ich światłym kierunkiem, w długie godziny szkolne czytało się historie z Homera, o tym jak na rzemieniu przeciągniętym przez ścięgna stóp i uczepionym do wozu wojennego wleczono ciało bohatera. To z pomocą niezawodnych „bryków" i nieocenionych w trudach nad przekładem wydawnictw Zuckerkandla ze Złoczowa i Księgarni Westa w Brodach poznawało się złowrogie dzieje wojen peleponeskich. To uczony traktat Stagiryty z „Poetyki" mówił nam jak należy objaśniać przestrogi zazdrosnych bogów, byśmy uniesieni pychą nie doznali kary większej niż ta na jaką zasłużyliśmy, byśmy naszym przykładem nie musieli wzbudzać w widzach tragedii współczucia i trwogi.

Stanisław Vincenz poprzedza swe studium o Iliadzie dedykacją: „Pamięci Zachariasza Dembicera nauczyciela greki w I Gimnazjum Kołomyjskim"; ktoś z dawnych przyjaciół pisze mi z kraju, wspominając swego profesora „od polskiego" w Złoczowie, Rzepeckiego; wiemy o Bemie który w kieleckim gimnazjum natchnął do pisania jedną z ofiar najcięższych „syzyfowych prac". Ja sam nie zapomnę dwu swych takich nauczycieli, profesora Komenzy w jarosławskim gimnazjum, który był tak chudy, że jak sam o sobie powiadał „nie utyłbym nawet gdyby mnie przy połciu słoniny powiesili", i niezapomnianego Wincentego Kubika w I Gimnazjum Lwowskim, który wydał drukiem swój heroikomiczny epos szkolny, zapoczątkowany klasyczną oczywiście inwokacją: „Nudo! Patronko szkoły! Wszechwładna Bogini!".

Właśnie w tym lwowskim gimnazjum ćwiczyłem, wraz z tysiącami uczniów innych gimnazjów tamtejszych do monstre-występu jakim miało być oddanie przez te tysiące Cantaty specjalnie napisanej i skomponowanej dla uczczenia bodajże 150 rocznicy (ach te rocznice!) ustanowienia Komisji Edukacyjnej. Co ze strony galicyjskiej dykasterii było bardzo bezinteresownym gestem, jako że dobrodziejstwo reform nauczania tego pierwszego w świecie ministerstwa wychowania nie dosięgło już Galicji, po pierwszym rozbiorze „rewindykowanej" przez Marię Teresę. Do dzisiaj brzmią mi słowa tej uroczystej Cantaty, wyciąganej tysiącami głosów:

„Słyszcie o Cienie, Wyyy Doostojne,
Głos naszych serc i pacierz dusz,
Z Szatanem mroku wieczną wooojnę
My Wam ślubujem — Polska Młódź
Hosanna, Hosanna, Hooosanna Wam!"

Z czasem i oni, ci nasi nauczyciele, profesorowie stali się Dostojnymi Cieniami, i to o nich rozpisują się autorzy wspomnień galicyjskich.

Na stare lata zdarzyło mi się także powrócić na ławkę szkolną, a to dzięki temu że, szczęśliwiec, znalazłem jeszcze jednego profesora, nauczyciela, który przychylnie, z cierpliwością i zamiłowaniem udzielał mi lekcji na odległość, drogą korespondencji. Był nim Jerzy Stempowski.

Mówił mi w swych listach:

„... To, co Pan pisze o roli kraju pochodzenia w twórczości literackiej, odnosi się także do wielu pisarzy literatury światowej... Kraj pochodzenia ma swe miejsce także w tym, co można by nazwać talentem czytelniczym. Pochodzę wprawdzie z innych stron, z dalszej Ukrainy, bliższej Morza Czarnego, ale bywałem w Galicji Wschodniej i uległem też do pewnego stopnia urokowi tego kraju...

Świetny krytyk francuski René Dumesnil poświęcił całą obszerną książkę elementom normandzkim u Maupassanta. Zdaniem jego Maupassant traci połowę talentu, gdy oddala się od tematów normandzkich.

Jeszcze bardziej uderzający jest przykład Sacher-Masocha, który był prawdziwym piewcą Galicji Wschodniej. Pisarz ten został całkowicie i niesłusznie zapomniany na skutek spisku niemieckich profesorów, którzy nie mogli mu darować powieści satyrycznej o Berlinie z czasów Bismarcka... Sacher-Masoch figuruje dziś tylko w traktatach o patologii seksualnej. To też da się znaleźć w jego książkach, i „Venus im Pelz" uchodzi słusznie za alfę i omegę masochizmu. Ale, zwłaszcza dla nas, nie to jest w jego dziełach najbardziej interesujące. Sacher-Masoch, ściślej mówiąc Leopold Ritter von Sacher-Masoch, urodził się w 1835 we Lwowie jako syn tamtejszego dyrektora policji. Znał na wylot okolice Stanisławowa i Kołomyi i, około 1860 ogłosił swe pierwsze „Galizische Erzählungen". Potem był docentem historii w Gratzu, bardzo wziętym pisarzem... zmarł w 1895... Jakkolwiek nigdy już nie wrócił do Galicji Wschodniej, bredził nią przez całe życie... kiedy oddalał się od Galicji Wschodniej, tracił talent...

... Pisał dla pieniędzy i miał niebezpieczną łatwość pisania, prowadzącą go przy pisaniu do nieprzyjemnej zamaszystości...

... Według mego zdania dzieła S.-M. zawierają teksty, przy pomocy których można by rozważyć zagadnienie sentymentalizmu. Od 150 lat literatura i sztuka uciekają wciąż na próżno od sentymentalizmu, wpadając tylko w nowe jego odmiany, coraz bardziej nieznośne. I. A. Richards w „Principles of literary Criticism" mówi, że sentymentalizm jest rozbieżnością między wyrazem uczuć i okolicznościami motywującymi te uczucia. Jest więc, powiada, sentymentalizm płaczący bez dostatecznego powodu i sentymentalizm krzepy, nie wiadomo czemu spluwający, wzruszający ramionami i klnący siarczystym słowem. Jako przykład tej drugiej odmiany przytacza Hemingwaya. W obawie przed łzami nasi współcześni wpadli w manieryzm krzepy. S.-M. jest typem wybitnie uczuciowym, jak można wnosić chociażby z jego fanatycznego przywiązania do Galicji Wschodniej, ale pisząc, mimo zamaszystości pióra, zatrzymuje się przed nieopatrznym słowem. Te elipsy, litotes, understatements dają mu najlepsze efekty artystyczne. Zachęcałem pannę Saternus do uwzględnienia tej strony jej dziada, ale nie wiem czy profesorowie Sorbony, pod których kierunkiem pracowała, aprobowali takie dochodzenia. Jak mogłem wnosić z jej słów, S.-M. był dla nich przede wszystkim rodzajem pendant do Markiza de Sade. Dla mnie i zapewne dla Pana będzie przede wszystkim piewcą Galicji Wschodniej, co dla Francuzów jest 'du grec'...".

Trapią się jakoby dzisiaj co zrobić z jedną pozostałością skraweczka Powiatu Latyczowskiego jaki ostał się po stronie zachodniej, tamtejszymi cerkwiami i kaplicami. Czy pozwolić im gnić i próchnieć w tamtejszym zdziczałym pustkowiu? Przenieść je wraz z ludźmi gdzieś daleko, na północ, jakoś nie licowało. Jakoś nie pasowałyby wpośród żarnowca wydm nadbałtyckich, czy między sosnami Szwajcarii Kaszubskiej. Pomysł przeniesienia ich w jedno miejsce, gdzie odlakierowane i chronione stałyby się skansenowskim pokazem pod gołym niebem, muzeum, wydaje się zbyt skandynawskim.

Co zrobić z tym uporem martwych rzeczy?

Zygmunt HAUPT

Moje spotkania z Władimirem Kazakowem*

Pierwszy raz spotkałem go, zdaje się, w roku 1956. Znajomość była całkiem przypadkowa. O mało nie najechał na mnie czyjś samochód. Przechodzący tamtędy Władimir Kazakow w porę odciągnął mnie za płaszcz. Obejrzałem się i zobaczyłem młodzieńca lat osiemnastu. Zawarliśmy znajomość i zaczęliśmy się często widywać. Podobała mi się jego umiejętność słuchania. Samemu też wolę słuchać, niż mówić. Siadywaliśmy więc razem i słuchaliśmy się nawzajem. Potem gdzieś nagle znikł. Jedni mówili, że jest na Kubaniu. Inni — że nad Donem. Po kilku latach nieoczekiwanie pojawił się i to nie sam, lecz z żoną-Estonką. Uczyła, zdaje się, muzyki. Z tego powodu nie mogliśmy się z nim tak często spotykać, a z biegiem czasu całkiem straciliśmy się z oczu. Co

* Mieszkający w Moskwie Władimir KAZAKOW urodził się w 1938 roku, zaczął pisać w 1965 roku; ponieważ podziwiani przez niego Welimir (Wiktor) Chlebnikow (1885-1922) i Daniel Charms (1905-1942) zmarli w 37-ym roku życia, przypuszcza, że umrze w 1975 roku. Miejmy nadzieję, że nie. Władimir Kazakow jest świadomym i entuzjastycznym kontynuatorem rosyjskiego futuryzmu. Znajomość z teoretykiem i przedstawicielem tego kierunku Aleksiejem Kruczonych (1886-1969) zalicza Kazakow do najważniejszych wydarzeń swego życia. O swej twórczości powiada: „Nie stawiam sobie za zadanie demaskowania jakiegokolwiek ustroju społecznego. W ogóle nie stawiam sobie żadnego zadania. Chodzi mi jedynie o wyrażenie siebie". Jego groteski czerpią jednak siłę z kontrastu i zamierzonego niewątpliwie dystansu wobec oficjalnej — i nieoficjalnej — współczesnej twórczości rosyjskiej. Jest to więc zjawisko oryginalne i odświeżające.

Oryginały przytoczonych poniżej tekstów ukazały się w zbiorze: Vladimir Kazakov — *Moi vstreczi s Vladimirom Kazakovym — Proza. Sceny. Istoriczeskije sceny (1967-1969)*; Carl Hanser Verlag, München 1972.

M. B.

się z nim teraz dzieje? Chodzą słuchy, że Władimir Kazakow jest znowu nad Donem. Ale nic w tym wszystkim konkretnego! Pamiętam, jak raz powiedział do mnie: „Zobaczysz, że umrę wcześniej od ciebie". Co tam wiadomo!...

PRZECHADZKA

Dwóch spacerowało. On i on. Skręcili w wąską uliczkę. Pierwszy: „Hm...". Drugi: „Dobrze, że tu tę lampę postawili! Gdyby nie to...". Był późny wieczór. Pod nogami tajało. Nagle w jednym z okien — światło i wołają. Po wąskich schodach, po ciemku, ledwo znaleźli. Pokój pusty, na stole — ogarek świecy, złoto, karty. A ludzie gdzie? Kartka: „O moją śmierć proszę nie winić nikogo, zwłaszcza podporucznika księcia Chyłkowa". Trup. Zgrał się?... Nie wiedzą, co robić. Nagle wchodzi hrabina. Pobladła z piękności. Okazuje się, że to portret. Bije zegar. Przybysze spostrzegają jakichś dwóch. Okazuje się, że to lustro. Pierwszy: „Trzeba jak najszybciej zabrać złoto, tylko nie wiem, w co je wziąć". Drugi: „Słusznie. Hm...". Zsypują złoto do czterech kieszeni. Resztę — do kapelusza. Trup. Zwlekają. Trup: „A wy co za jedni?". Oni: „Psss...t!". Cisza. Wychodzą. Hrabina: „Wyszli". Trup: „Hę?". Hę?: „Trup".

METAMORFOZA

Wszystkie samochody w Moskwie zamieniły się nagle w powozy. Na bulwarze rozcmokali się stangreci, powożący dorożkami — luksusowymi pojazdami, ciągnionymi przez konie w cugowej uprzęży. Akurat tego wieczoru musiałem gdzieś pojechać. Byłem zaproszony. Wybiegam z domu i siadam do dorożki. „Na Mjasnicką — powiadam. — Dom wicegubernatora znasz?". — „Znam, co bym nie znał, wielmożny panie", odpowiada. A ja rzeczywiście stałem się w międzyczasie wielmożnym panem. Wyrosły mi wąsy i ostrogi. Pędzimy galopem. Za nami i przed nami sznury powozów. Za szybą jednego z nich dostrzegłem nawet znajomych — rzeczywistego tajnego radcę Tieljatnikowa z żoną. Ot, dziwy!... Zajechaliśmy pod dom wicegubernatora, wbiegam i wzburzony nieomal rzucam się na szyję szwajcarowi. — „Samochody znikły! — krzyczę — ani jednego bracie!". A on do mnie z kamienną twarzą: „Że jak, proszę?" — „Samochody" — powtarzam. On tylko ramionami wzruszył. — „Jak szybko ludzie zapominają!" — pomyślałem i paradnymi schodami ruszyłem w górę. Na spotkanie wychodzi hrabina. Ucałowałem jej

dłoń i spytałem z miejsca, co sądzi o przedziwnej metamorfozie. Nie zrozumiała. A słowo „samochód" wzięła za kalambur. Zacząłem się gorączkować, wyjaśniać, ale ona powiedziała tylko: „Doprawdy, jest pan dzisiaj niemożliwy" i zostawiwszy mnie podeszła do księżny Światopołk-Mirskiej. Kiż diabli!... Zbliżyłem się do grupy starszych, poważnych mężczyzn i zacząłem się przysłuchiwać. Rozmawiali o winach, kartach i tancerkach. W końcu rozmowa zeszła na konie. Mówili i mówili, ale o przemianie ani słowa. Wtedy już nie wytrzymałem i wybuchnąłem: „A samochody to gdzie się podziały, panowie?!". Wszyscy spojrzeli na mnie, a potem porozumiewawczo na siebie. Akurat zaczęła grać orkiestra, rzuciłem się uciekać. Wypadłem na ulicę, przywołałem dorożkę. — „Na Mieszczańską!". Ruszyliśmy galopem. Galopujemy, a ja wrzeszczę dorożkarzowi w same ucho: „Samochody pamiętasz?!" — „Nie! — odkrzykuje. — Skądże!". Nie pamięta! Nikt nie pamięta! Więc i ja zapomniałem. A na drugi dzień dali mi Włodzimierza 3-ej klasy.

CARSKOSIELSKA NOC

Wartownik (myśli): Raz-dwa! Raz-dwa!
Raz-dwa! Raz-dwa!
Mikołaj I (myśli): Raz-dwa! Raz-dwa!
Raz-dwa! Raz-dwa!
(spostrzegając żołnierza)
No, jak tam?!
Wartownik: Melduję się, Wasza Cesarska Mość!
Mikołaj I: Stoisz?
Wartownik: Stoję, Wasza Cesarska Mość!
Mikołaj I (odchodząc): No, to stój!

ARESZTOWANIE

L. N. Tołstoj: Dzień dobry, szeregowy!
Wartownik: Melduję się, jaśnie panie!
L. N. Tołstoj: Jaki ja tam jaśnie pan! Mów do mnie po prostu: Lew Nikołajewicz.
Wartownik: Wybaczenia proszę, Lwie Nikołajewiczu!
L. N. Tołstoj: O, to to...! Jak tam idzie, szeregowy?
Wartownik: Kiepsko, Lwie Nikołajewiczu.
L. N. Tołstoj: Cóż tam? Służba tak dojadła?
Wartownik: To nie, Lwie Nikołajewiczu! Ale na warcie postawili, a tu do ustępu się zachciało, strasznie! Ot i męczę się.

L. N. Tołstoj: Ech, ruski człowieku! Bieda z tobą! No cóż, postoję za ciebie z karabinem, a ty biegaj.
Wartownik: Lecę! Ja zaraz!... *(wybiega)*
Oficer (ukazując się): Ty kto?
L. N. Tołstoj: Ja? Wartownik.
Oficer: To czemu nie salutujesz oficerowi jak należy? Odpowiadaj!
L. N. Tołstoj: Wy-wybaczenia proszę, *wasze błagarodie!*
Oficer: Bałwan!
L. N. Tołstoj: Hm...
Oficer: Co?!
L. N. Tołstoj: Tak jest, *wasze błagarodie!*
Oficer: A broda czemu nieregulaminowa?!
L. N. Tołstoj: Ja... tego... mnie...
Wartownik (wracając): Wasze błagarodie, wybaczenia proszę! To ja prosiłem Lwa Nikołajewicza, żeby postał za mnie, a ja do ustępu na chwilę...
Oficer: Co za Lew Nikołajewicz?! Co za ustęp?!
L. N. Tołtoj: Pan pozwoli...
Oficer: Nie pozwolę! Każę natychmiast aresztować! Hej, Kaplenko, Biełoszapka! Aresztować! *(do wartownika)* A ciebie, ścierwo, zgnoję na wartowni!
L. N. Tołstoj: Jak śmiecie mnie aresztować?! Jestem hrabią!
Oficer: Hrabią?... Kaplenko, Biełoszapka, puścić!... A pan, panie hrabio, od razu powinien był powiedzieć, kim pan jest. Pardon! i żegnam!
L. N. Tołstoj (do oficera): Żegnam! *(do wartownika):* Żegnam, szeregowy!
Wartownik: Żegnam, jaśnie panie!

Władimir KAZAKOW

(Tłumaczył z rosyjskiego M. Broński)

Największy proces w historii

Tym razem gazety nie przesadzały — był to naprawdę największy proces w historii ludzkości. Trybunał liczył siedemnastu sędziów, trzystu trzydziestu trzech przysięgłych, czterdziestu siedmiu oskarżycieli i tyleż samo obrońców. W chwili rozpoczęcia procesu były włączone wszystkie bez wyjątku telewizory na świecie, sprawa bowiem dotyczyła wszystkich na świecie ludzi.

Solenność tego zgromadzenia zamącał tylko bohater procesu. Był to chłop o twarzy pełnej zmarszczek, w wypożyczonym ciemnym garniturze; pocił się, nie wiedział gdzie podziać ręce, nie miał dość odwagi by rozluźnić duszący go krawat. Wieku jego nie można było określić ani na podstawie wyglądu, ani według dokumentów, nigdy bowiem żadnych papierów nie posiadał. Kwestia jego wieku, narodowości oraz przynależności państwowej była przedmiotem wieloletnich dociekań, które nie dały rezultatów. Nawet prostego faktu jego istnienia nie można było udowodnić. Jego fizyczna obecność była wprawdzie bezsporna, nie posiadała jednak znaczenia prawnego.

Chodziło o sprawę zasadniczej wagi, sędziowie zdecydowali się więc zrezygnować z formalnego sprawdzania tożsamości. Musiano wprawdzie w tym celu zmienić cały kodeks postępowania prawnego, nie było jednak innej rady: postanawiając po wielu latach dyskusji wznowić sprawę, zalegającą nieomal od sześciu tysięcy lat, trybunał międzynarodowy nie mógł drobiazgowo przestrzegać przepisów.

Dostojni prawnicy woleli nie patrzeć na tego, o którego winie lub niewinności mieli decydować. Wstydzili się go. Już nie raz w swojej praktyce musieli udawać, że to właśnie człowiek na ławie oskarżonych jest powodem, dla którego się zebrali. Tym razem jednak rzecz była wyjątkowo trudna — ów prostak w luźnym ubraniu groteskowo kontrastował z powagą i c h sprawy.

„Oskarżony nazywa się Kain, syn Adama?"

„A tak".

„Czy oskarżony przyznaje się, że tępym przedmiotem, prawdopodobnie dyszlem, zabił swego brata Abla?"

„No tak".

Oskarżony patrzył na sędziego ze zdziwieniem, te sprawy były przecież wszystkim dobrze znane.

„Dlaczego to oskarżony zrobił?"

„Bo to drań był, panie sędzio. Jego owce mi wciąż w jęczmieniu szkodę robiły, chociaż dookoła trawy było do licha. A jakem na święta chciał kawałek mięsa, tom musiał za owcę, co to same kości miała, pięć worków najlepszej pszenicy dać. Toż panie, ileż ja to kamieni musiałem się nataskać, zanim pole pod pszenicę oczyściłem. A on mi jeszcze potem przygadywał, placki bez tłuszczu pieczone, powiada, to tylko dla mnie dobre, powiada, i dla bydła. Już nie raz miałem ochotę dać mu w łeb. No i teraz ta historia z tą ofiarą. Abel się wciąż ze mnie naśmiewał, Pan Bóg nie chciał twojej ofiary, powiada, bo potem cuchnie...".

Zerwał się jeden z prokuratorów:

„Oskarżony przyznaje się więc, że swojego brata nienawidził, że zazdrościł mu jego dostatku i że już od dawna planował zabójstwo?"

Zanim oskarżony zdążył odpowiedzieć, poprosił o głos obrońca prof. Watters.

„Wysoki Sądzie, oskarżenie usiłuje przedstawić sprawę jako mord z premedytacją".

„Mord bratobójczy", przerwał mu ten sam prokurator.

„Obrona może udowodnić, że w tym wypadku nie ma mowy o bratobójstwie, ani o morderstwie w ogóle. Kain i Abel, będąc pierwszymi braćmi w historii rodzaju ludzkiego, nie mogli znać pojęcia stosunku pokrewieństwa. Więzi rodzinne powstały dopiero później, kiedy rodzina stała się instytucją ochronną w stosunku do innych komórek społecznych. Dalej: Według zgodnego orzeczenia teologów chrześcijańskich i żydowskich, Abel był pierwszym człowiekiem, który zmarł. Kain nie mógł więc popełnić morderstwa, to znaczy innego człowieka pozbawić umyślnie życia, nie wiedział bowiem, że można w ogóle kogoś pozbawić życia i że następstwa takiego czynu są nieodwracalne. Kain nie pogwałcił również obowiązującego prawa, albowiem pierwsza norma prawna o karalności przelewu krwi ludzkiej — 'Kto przeleje krew człowieczą, przez człowieka krew jego przelana będzie' ustanowiona została dopiero w czasach Noego, a więc mniej więcej tysiąc lat później, patrz 1. Księga Mojżeszowa, rozdział IX., werset 6., natomiast zakaz *expressis verbis* 'Nie będziesz zabijał' dopiero w czasach Mojżesza — patrz 2. Księga Mojżeszowa, Rozdział XX., wers. 13.".

Msgr. Terracini uważał moment za stosowny do zakwestionowania kompetencji sądu, oświadczając że Kain został już skazany przez Boga, Najwyższego Sędziego, którego decyzji sąd ludzki — jako instancja niższa — rewidować nie ma prawa. Sąd wiedział z góry, że Monsignor zgłosi protest, tak jak Terracini

z góry wiedział, że trybunał protest odrzuci, powołując się właśnie na werset 6. IX. rozdziału 1. Księgi Mojżeszowej, z którego wynika, że Najwyższy Ustawodawca oddaje wymiar sprawiedliwości w wypadkach przelewu krwi w ręce ludzkie, czyli w tym wypadku nie chodzi o rewizję wyroku w trybie apelacyjnym, lecz o wytoczenie sprawy w pierwszej instancji.

Właściwie protest uczonego biskupa miał na celu tylko pozyskanie alibi dla Kościoła. Ponad dwadzieścia lat trwały dyskusje nad tym, czy proces ma się odbyć. Zwolennicy różnych ideologii nie mogli uzgodnić, czy mają w nim wziąć udział. Najbardziej zażarte spory odbywały się w łonie Kościoła i wśród teoretyków marksizmu. Z początku przeważało w obu obozach stanowisko negatywne. Dogmatycy religijni operowali argumentem, że wyroki boskie są niezmienne, dogmatycy marksistowscy wychodzili z założenia, że Boga nie ma, nie ma więc także Kaina, czyli przedmiotu sporu. Teologowie nonkonformistyczni natomiast domagali się procesu oraz porzucenia teorii „Piętna Kainowego" i grzechu pierworodnego, twierdząc że determinizm niezgodny jest z misją moralną współczesnego Kościoła; nonkonformistyczni marksiści twierdzili, że sprawę determinizmu oraz roli gwałtu i przemocy w rozwoju społeczeństwa należy wyjaśnić bez względu na to, czy Kain w rzeczywistości istniał, czy nie.

Po obu stronach rzecznicy nowoczesnych prądów mieli przewagę w dyskusji, ale władza i prawo decyzji znajdowały się w rękach konserwatystów.

Udział komunistów oraz przedstawicieli Kościoła w procesie nie był wyrazem zwycięstwa argumentacji młodych profesorów. Po prostu czynniki kierownicze w obu obozach doszły do wniosku, że proces będzie wielką trybuną dyskusji o odpowiedzialności za gwałt i przelew krwi w świecie współczesnym, i że nie wolno tej trybuny pozostawić przeciwnikom.

Zmiany stanowiska nie ogłoszono oczywiście oficjalnie. Tylko na soborze biskupów afrykańskich jeden z kardynałów mimochodem wtrącił zdanie „Prawda Boża ludzkich sądów się nie obawia", a drugi Sekretarz KC KPZS wygłosił na konferencji politruków wojskowych tyradę przeciwko imperialistom i syjonistom, starającym się zwalić na komunistów winę za przelew krwi, za stosowanie gwałtu i przemocy, chociaż są to właśnie ich środki: „Nasza rewolucyjna przemoc, towarzysze, to przemoc szlachetna, dążąca do likwidacji wszelkiej przemocy!"

Aluzje wszyscy zrozumieli, prawnicy po obu stronach zaczęli się przygotowywać do procesu.

Obecny protest Monsignora Terraciniego miał na celu jedynie pozostawić Kościołowi wolną drogę odwrotu, na wypadek gdyby go nie zadowoliły wyniki procesu.

Po odrzuceniu protestu trybunał nie mógł w ciągu 1280 dni rozprawy powrócić do przesłuchania Kaina. Naukowe argumenty prokuratorów, adwokatów i biegłych zapełniły dziesiątki grubych tomów protokołu. Po kilku dniach trudno się już było rozeznać, kto Kaina broni, a kto oskarża. Zasadnicze rozbieżności w war-

tościowaniu spowodowały, że to co jeden uważał za obronę, inny traktował jako oskarżenie. Prokurator atakował prokuratora, adwokat adwokata, teolog teologa, rewolucjonista rewolucjonistę. Kiedy na przykład jeden z obrońców próbował udowodnić, że małorolny Kain, zabijając bogatego pasterza Abla, dokonał tylko — w myśl nauk przewodniczącego Mao Tse-tunga — aktu sprawiedliwości klasowej, odpowiedział mu inny adwokat, znany liberał, że nie wolno zwykłej waśni rodzinnej przypisywać niskich pobudek nienawiści klasowej oraz dążenia do rozbicia przez Boga ustalonego ładu społecznego; natomiast jeden z prokuratorów komunistycznych — wychodząc z tego samego faktu — oskarżył Kaina o wprowadzenie trockistowsko-anarchistycznych metod terroru indywidualnego.

Kiedy jeden z obrońców chrześcijańskich zwrócił uwagę sądu, że Bóg zabronił ludziom zabić Kaina (patrz 1. Księga Mojżeszowa, rozdział IV., werset 15.), uznając widocznie nieświadomość oskarżonego za okoliczność łagodzącą, zaoponował jeden z prokuratorów kościelnych, twierdząc, że zakaz zabicia Kaina jest przeciwnie zaostrzeniem kary, gdyż Bóg w ten sposób skazał go na żywot tułaczy i ciężkie roboty na czas nieograniczony (patrz wersety 11. i 12. tegoż samego rozdziału). Wywołało to kilkutygodniową dyskusję, czy życie na ziemi w jego obecnej postaci stanowi nagrodę dla człowieka stworzonego na podobieństwo Boże, czy raczej karę za grzech Adama i Ewy.

Trybunał, nie mogąc znaleźć wyjścia, powrócił do Kaina. Lecz i przesłuchanie oskarżonego do niczego nie doprowadziło.

Na pytanie:

„Czy oskarżony zdaje sobie sprawę, że swoim postępkiem dał zły przykład całemu rodzajowi ludzkiemu?", odpowiedział stropiony Kain:

„Ja się na takich rzeczach nie znam, proszę wielmożnych panów. Dałem draniowi w łeb, bo mi od śmierdziuchów przygadywał. Jak człowiek od wschodu do zachodu słońca do sochy wprzągnięty chodzi, kamienie dźwiga, rowy na wodę kopie, wiadomo, że nie będzie pachniał. On to se mógł pachnieć: rano opchnie kawał owczego sera z plackiem z mojej pszenicy, mleczkiem popije, na obiad se jagnię upiecze, wyleguje się cały dzień w trawie i dmucha w fujarę... Wyzywał mnie, żem śmierdziel, tom go walnął...".

Wreszcie jeden z obrońców przyszedł sądowi z pomocą. Przypomniał, że sąd nie posiada naocznego świadka mordu. Przyznanie się oskarżonego nie może być dla szanującego prawo sądu wystarczającym dowodem winy.

I rzeczywiście. Wszystkie strony stały zgodnie na stanowisku, że Bóg — jedyny świadek naoczny — nie zostanie przed sąd zaproszony. Ateiści nie mogli pozwolić na tak oczywisty dowód istnienia Boga, chociaż bardzo chętnie oskarżyliby Wszechmogącego o współwinę; mógł przecież udaremnić czyn Kaina, a nie uczynił tego. Wierzący natomiast właśnie o tym aspekcie sprawy woleli nie mówić. Stwierdzili więc tylko, że obecność Boga jako

Najwyższego Sędziego, tudzież najwyższego zwierzchnika sądu oraz równocześnie Najwyższego Ustawodawcy, którego słowo każde jest obowiązującą normą prawną, wywarłaby niedopuszczalny wpływ na sąd i uniemożliwiłaby mu samodzielną pracę.

Pisemnego zeznania Mojżesza, jako autora odpowiednich ksiąg Biblii, nie można było wziąć pod uwagę, albowiem opowiadał o tym, czego sam nie widział, o czym słyszał tylko od Osoby Trzeciej.

Z braku dowodów sąd uchylił oskarżenie. Pozbył się tym samym obowiązku podjęcia decyzji w pozostałych kwestiach spornych. A zatem pytanie czy ludzie mordują się wzajemnie i będą mordować dlatego, że jako potomkowie Kaina zostali przez Boga na to skazani, czy też mordują się i będą mordować, choć ich na to nie skazano, pozostaje nadal otwarte.

Gabriel LAUB

(Z czeskiego tłumaczył Autor)

NOTA BIOGRAFICZNA

Gabriel LAUB, ur. 24 10. 1928 w Bochni. 1939 — Lwów, później Ural i Samarkanda. Szkoła Polska w Samarkandzie, matura 1946 w Krakowie, studium dziennikarskie w Pradze (1946-51). Praca w różnych pismach czeskich — reportaż, felieton, dziennikarka filmowa, satyra, aforyzmy. Tłumaczenia z polskiego i rosyjskiego na czeski, m.in. Leca, Kołakowskiego, Sołżenicyna. Od sierpnia 1968 w Hamburgu jako wolny dziennikarz i pisarz Współpraca z *Die Zeit* oraz innymi pismami i rozgłośniami niemieckiej sfery językowej. Od trzech lat pisze przeważnie po niemiecku. Książki: „Zkuszenosti" (Doświadczenia), Zbiór aforyzmów. Czeskoslovensky spisovatel, Praha 1967; „Verärgerte Logik" Aforyzmy. Carl Hanser Verlag, München 1969, 4 wyd. 1973; „Enthüllung des nachten Kaisers". Satyry, Hanser 1970, wyd. kiesz. dtv, München 1972; „Najvetszi proces dejin", Satyry, INDEKS, Köln 1972; „Kof mi szechoszew" (Kto myśli, jest małpą) Aforyzmy, Ekked, Tel-Aviv 1972; „Ur-Laub zum Denken", Satyry, Hanser 1972.

Wiersze

Anna ACHMATOWA

U SAMEGO MORZA

Brzegi poryły zatoki,
żagle uciekły na morze,
a ja suszyłam słone włosy
z dala od ziemi na płaskim kamieniu.
Przy mnie pływała zielona ryba,
przy mnie krążyła biała mewa,
a ja byłam harda, zła, i wesoła,
i nic nie wiedziałam o szczęściu.
Kraciastą suknię grzebałam w piasku,
by jej nie porwał wiatr, włóczęga;
daleko w morze wypływałam,
na ciemnych, ciepłych falach leżałam,
kiedy wracałam, już latarnia
ze wschodu rzucała przelotne błyski,
mnich u bramy Korsunia pytał:
„Czemu się włóczysz po nocy?"

Że czuję wodę — wiedzieli sąsiedzi,
i, gdy kopali nowe studnie,
prosili: „pokaż, gdzie kopać mamy,
abyśmy próżno się nie trudzili".
Francuskie kule zbierałam,
tak jak się zbiera grzyby, jagody,
rdzawe odpryski ciężkich kartaczy
nosiłam w podołku do domu.
Mówiłam siostrze gniewnie:
„Kiedy zostanę carycą,
sześć wybudują korwet
i sześć kanonierek,
by zatok moich broniły

stąd aż hen po Fijolent".
Wieczorem klęcząc przed łóżkiem
prosiłam ciemnej ikony,
by grad nie pobił czereśni,
by gruba łowiła się ryba,
i aby szczwany włóczęga
nie dostrzegł mojej sukni.

W rybakach miałam przyjaciół.
Pod przewróconą łodzią
kryłam się z nimi w ulewę,
słuchałam powieści o morzu,
i wszystko spamiętywałam,
i w każde wierzyłam słowo.
Rybacy przywykli do mnie.
Jeśli nie było mnie na przystani,
starszy posyłał po mnie dziewczynę,
a ta wołała: „wrócili nasi,
teraz będziemy smażyli flądry".

Wysoki chłopak miał szare oczy,
młodszy ode mnie o jakieś pół roku,
przyniósł mi raz białe róże,
muszkatołowe białe róże,
spytał nieśmiało: „Czy można
posiedzieć z tobą na kamieniach?"
Ja się zaśmiałam: „Na co mi róże?
Nic z nich, a tylko kolą".
„Więc co mam zrobić z sobą — zapytał —
kiedy się w tobie tak zakochałem?"
A ja mu gniewnie: „Durnyś", odrzekłam,
spytałam: „Czy ty carewicz?"
A był wysoki, szare miał oczy,
pół roku ode mnie młodszy.
„Chcę, żebyś była moją żoną
kiedy dorosnę,
pojadę z tobą na północ".
Rozpłakał się malec wysoki,
że róż nie chciałam od niego,
ani z nim jechać na północ.
Jakże go źle pocieszałam:
„Pomyśl, ja będę carycą,
co mi z takiego męża?"
„To ja zostanę mnichem
u ciebie w Chersonezie".

„No, to lepiej nie można,
mnisi nic, tylko mrą.
Co przyjdziesz, jakiegoś grzebią,
a po umarłych — nie płaczą".
Bez pożegnania odszedł malec,
zabrał róże muszkatołowe,
a ja mu nawet nie powiedziałam:
„No, posiedź sobie ze mną".
I skryty żal rozłąki,
piszczy jak biała mewa
nad szarym, piołunnym stepem,
nad pustym, wymarłym Korsuniem.

II

Brzegi poryły zatoki,
dymiące słońce zapadło w morze.
Wyszła cyganka z pieczary,
palcem przyzwała:
„Cóż ty, ślicznotko, chodzisz bosa.
kiedy wesoła, bogata będziesz,
godnego gościa ku Wielkiej Nocy
czekaj, jemu się kłaniać będziesz.
Ani pięknością, ani miłością,
lecz samą pieśnią gościa sprowadzisz".
Dałam cygance łańcuszek
i złoty krzyżyk chrzestny.
Myślałam szczęśnie: „Oto mój miły
pierwszą o sobie wieść mi posyła".
Lecz zaraz z trwogi swoje zatoki,
swoje pieczary kochać przestałam.
Więcej w sitowiu węży nie płoszę,
krabów na wieczerz już nie przynoszę,
przez południowy biegnę parów
za winnicami w kamieniołomy —
długa do nich tam droga.
Nieraz mnie woła z chutoru kobieta,
kiwa i krzyczy z daleka:
„Czemu nie zajdziesz, wszyscy mówią,
przynosisz szczęście".
Odpowiadałam: „Szczęście przynoszą
tylko podkowy i księżyc w nowiu,
jeżeli z prawa zaglądnie w oczy".
Nie chciałam zachodzić do domów.

Ze wschodu dęły suche wiatry,
z nieba padały wielkie gwiazdy,
w niższej cerkwi odprawiano modły
za marynarzy wychodzących w morze,
i przypływały w zatoki meduzy —
prawdziwie nocą opadłe gwiazdy,
w głębinach wody błękitniały.
Jakie klangory w niebie żurawi,
jak niespokojnie świerszczą cykady,
jak w żalu śpiewa żona żołnierza —
wszystko łowiłam czułym słuchem,
a tylko takiej pieśni nie znałam,
żeby carewicz ostał się ze mną.
Często mi śniła się dziewczyna
w ciasnych obrączkach, w krótkiej sukience,
z brzozową dudką w chłodnych dłoniach;
siada spokojnie i długo patrzy,
ale o żal mój nic mnie nie pyta,
ale o żalu swym nic mi nie mówi,
tylko ramiona łagodnie gładzi.
Jakże rozpozna mnie mój carewicz?
Czy on pamięta jak wyglądam?
Kto jemu dom nasz stary wskaże?
Dom nasz daleko stoi od drogi.

Jesień zmieniła się w dżdżystą zimę,
w białej komnacie wieje od okna,
powój na murze zwisa sadu,
w podwórze wchodzą cudze psy,
pod moim oknem wyją do świtu.
Ciężkie nastały czasy dla serca.
I tak szeptałam, wpatrzona w drzwi:
„Boże, my mądrze będziemy panować,
Wznosić nad morzem wysokie cerkwie,
stawiać na skałach morskie latarnie,
wodę i ziemię będziemy chronili,
nigdy nikomu nie robiąc krzywdy".

III

Wypogodziło się ciemne morze,
jaskółki wróciły do swoich gniazd,
ziemia stanęła w krasie maków,
radość wróciła nad morski brzeg.

Za jedną noc dojrzało lato,
wiosnyśmy nawet nie widzieli.
I ja się zbyłam swojej obawy,
że mnie ominie nowy los.
W niedzielę palmową wieczorem,
z cerkwi wróciwszy, rzekłam do siostry:
„Oto świeca i różaniec,
I biblię zostawiam w domu,
za tydzień nastanie pascha,
a mnie dawno czas się zbierać,
niechybnie, carewicz już w drodze,
morzem on do mnie przybędzie".
Milcząc, dziwiła się siostra mym słowom,
tylko wzdychała, mając w pamięci,
co mi mówiła w pieczarze cyganka.
„Czy on przywiezie ci naszyjnik w darze
i kamieniami wysadzany pierścień?"
„Nie — powiedziałam — nie wiemy jaki
sposobi mi podarunek".
Byłyśmy z siostrą rówieśnicami,
i tak podobne do siebie,
że matka maleńkie rozpoznawała
tylko po naszych znamionach.
Siostra od dziecka chodzić nie mogła,
leżała jak kukła z wosku,
nigdy nikomu nic złego nie rzekła,
i Chrystusowi całun dziergała,
mówiła o tym nawet przez sen,
nieraz słyszałam jej szept:
„Bogarodzicy suknia granatowa,
Boże, dla apostoła Jana
gdzież ja pereł na łzy dostanę..."
Podwórze porosło komosą i miętą,
osiołek trawę szczypał u kołatki,
na długim, plecionym krześle
Lena leżała, rozpostarłszy ręce,
i wciąż o swojej robocie marzyła.
Grzech w takie święto pracować.
Od Chersonezu dźwięki dzwonu
niósł do nas słony wiatr,
i każdym dźwiękiem uderzał w serce,
a krew w tętnicach dźwięki nosiła.
„Lenko — rzekłam do siostry —
ja idę na morski brzeg,
gdyby przyjechał carewicz,

ty mu objaśnij drogę.
Niech mnie dogoni na stepie,
dzisiaj zachciało mi się na morze".
„Gdzieś ty pieśń taką zasłyszała,
co carewicza ci sprowadzi?"
oczy przymknąwszy, Lena spytała.
„W mieście ty przecież nigdy nie bywasz,
a tu śpiewają nie takie pieśni".
Ja, pochyliwszy się do jej ucha,
szepnęłam: „Leno, ja pieśń stworzyłam,
nie ma jej równej na świecie".
Ale mi wiary nie dała, i długo,
długo z wyrzutem milczała.

IV

Słońce pławiło się na dnie studni,
na głazach grzały się skolopendry,
po wydmach katurlał się lotny łyszczec,
jak pajac garbaty, który się natrząsa.
A niebo wzniesione w zawrotną wysokość
jak płaszcz Bogarodzicy błękitniało.
Jeszcze takiego nieba nie było.
Lotne żaglowce ścigały się w słońcu,
leniwych żagli tłoczyło się mrowie
przy działobitni konstantynowskiej.
Widać, że wiatry dzisiaj sprzyjają.
Cicho ruszyłam wzdłuż wody na cypel,
ku czarnym, ostrym, postrzępionym skałom,
pokrytym pianą przypływu.
Nuciłam nową pieśń.
Wiedziałam, z kim by nie był carewicz,
pieśń moją słyszy, i jest wzruszony,
i każde słowo, jak boży podarek
było mi miłe.
Pierwszy żaglowiec — nie płynie, leci,
tuż za nim podąża drugi,
a te na końcu ledwo co widać.
Kiedy przy wodzie zasnęłam — nie pomnę,
bo gdy ocknęłam się, widzę, żagiel
przy mnie łopoce,
a koło żagla, po pas w jasnej wodzie
staruch ogromny gmerze rękami
w szczelinach głębokich przybrzeżnych skał,

głosem ochrypłym wzywa pomocy.
Głośno zaczęłam odmawiać modlitwy,
tak, jak uczono mnie, gdy byłam dzieckiem,
aby przed marą obronić się w nocy,
żeby nie spadły na dom nieszczęścia.
I powtarzałam: „O, orędowniku!"
I właśnie starzec coś wydobył z wody
białego. We mnie zamarło serce.
Wynosił z wody marynarz tego,
co ster miał w dłoni skrzydlatych żagli
wesołej łodzi,
na ciemne położył go głazy.

Długo swym oczom wierzyć nie chciałam,
i gryzłam palce, żeby się ocknąć:
smagły, łagodny mój carewicz
leżał tak cicho, i patrzył w niebo.
I jego oczy, zieleńsze niż morze,
ciemniejsze niźli nasze cyprysy,
gasnące jego oczy widziałam.
Lepiej mi było urodzić się ślepą.
A on przez łkanie wyszeptał głucho:
„Jaskółko, jaskółko, jaki wielki żal".
Widocznie ptakiem mu się wydałam.

Szarą godziną wróciłam do domu.
W ciemnej komnacie było cicho.
Z lampki wystrzelał cienki, wysoki,
szkarłatny języczek ognia.
„Carewicz dzisiaj twój nie przyjechał",
słysząc me kroki, rzekła Lena.
„Oczekiwałam go do wieczerzy,
dzieci posłałam aż do przystani".
„Nigdy on do mnie już nie przyjedzie,
Nigdy się nie powróci,
Umarł dziś mój carewicz".
Siostra znak krzyża robiła długo,
Twarz odwróciwszy do ściany, milczała.
Odgadłam, że płakała.

Słyszę, śpiewają nad carewiczem:
Chrystus zmartwychwstał!
Niewysłowionym światłem goreje
cerkiew kolista.

Anna ACHMATOWA

(Przełożył Bogdan Czaykowski)

Archiwum polityczne

Materiały do refleksji i zadumy

W czasie wizyty prez. Nixona w ubiegłym roku w Moskwie — proklamowana została doktryna równości pomiędzy obu super-mocarstwami. Owa równość polega na tym, że tak Sowiety jak i Ameryka są władne zniszczyć się nawzajem. W dziedzinie gospodarczej, stopy życiowej obywateli itp. — o równości nie ma mowy.

Jak wiemy Moskwa przywiązuje ogromną wagę do statusu równorzędnego partnera Stanów Zjednoczonych i od czasów Chruszczowa i wystrzelenia w orbitę pierwszego Sputnika — słyszymy o doścignięciu a nawet prześcignięciu Ameryki.

Komentatorzy zachodni wnioskują, że doktryna równorzędności była nieodzownym warunkiem „odprężenia" — ponieważ „odprężać" wzajemnie stosunki mogą tylko równy z równym. „Odprężenie" pomiędzy partnerami o nierównych potencjałach siły musi oznaczać kapitulację — czy częściową kapitulację — słabszego partnera.

Należy podkreślić, że tak w prasie sowieckiej jak w prasie krajów satelickich pełno jest nawoływań do wzmożenia czujności ideologicznej, ponieważ „odprężenie" oznacza *de facto* zaostrzenie walki klasowej. Oczywiście współpraca z kapitalistami nie może oznaczać uległości wobec burżuazyjnej ideologii. Sowieckiej partii komunistycznej nic by nie przyszło choćby z najbardziej lukratywnej współpracy z kapitalistami jeżeli owa współpraca miałaby zagrozić komunizmowi. To jest rozumowanie z punktu widzenie Moskwy całkowicie logiczne.

Mimo nieufności, która po inwazji Czechosłowacji znacznie się pogłębiła — Zachód pragnie „odprężenia", ponieważ ludzie zachodni przez „odprężenie" rozumieją ustabilizowany pokój. Lecz co Sowiety chciałyby kupić za cenę „odprężenia", które — sądząc po głosach prasy bloku wschodniego — zawiera element ideologicznego ryzyka? Sowiety mogą mieć pokój nie ryzykując

niczego, ponieważ ani od Zachodu ani od Wschodu w dającej się przewidzieć przyszłości nic im nie zagraża.

Sowietom nie potrzebne są również rozmowy na temat redukcji sił wojskowych w Europie, ponieważ Zachód akceptuje *status quo* i nie zamierza go zmieniać. Jedyny ważny punkt, który istotnie może interesować Sowiety — to są wojska amerykańskie w Europie. Lecz to jest problem, którego Moskwa nie może załatwić po swojej myśli w rozmowach z Londynem czy z Paryżem, ponieważ decyzja w tej sprawie należy wyłącznie do prezydenta i Kongresu Stanów Zjednoczonych.

4 maja bież. roku gdy kryzys prezydencki wywołany aferą Watergate osiągnął punkt szczytowy — H. Kissinger wylądował w Moskwie jak gdyby się nic nie stało. Prasa sowiecka do chwili gdy piszę te słowa (druga dekada maja) — w stosunku do afery Watergate wykazuje zdumiewającą powściągliwość. Podobnie zareagowały Sowiety ubiegłego roku na zaminowanie portów północno-wietnamskich. Moskwa mogła rozedrzeć szaty i odwołać wizytę Nixona w Moskwie — tak jak w maju bież. roku z uwagi na skandal Watergate mogła odwołać wizytę Kissingera.

Robert Kaiser — moskiewski korespondent *Washington Post* — słusznie podkreślił, że oficjalna nota rządu sowieckiego zawiadamiająca Waszyngton o zniesieniu „podatku emigracyjnego" w stosunku do Żydów zamierzających wyjechać do Izraela stanowi sensacyjne *nowum* w polityce sowieckiej. Do tej pory nie zdarzyło się by na skutek nacisków z zewnątrz władcy Kremla cofnęli czy zmienili jakiekolwiek zarządzenie wewnętrzne.

Byłoby przesadą twierdzić, że prasa sowiecka prezentuje czytelnikom „kapitalizm o ludzkim obliczu". Niemniej faktem jest, że oszczercza kampania przeciwko Ameryce została zredukowana do minimum. Wszystko to wskazuje, że Breżniewowi i przemeblowanemu ostatnio Biuru Politycznemu — na czymś istotnym bardzo zależy. Na czym im tak zależy? Wydawałoby się, że w Europie Sowiety połknęły więcej niż są w stanie strawić.

Z jednej strony mówi się w prasie Bloku Sowieckiego o konieczności wzmożenia czujności na froncie ideologicznym — z drugiej strony, prasa sowiecka i sam Breżniew mówią o „obopólnych i wzajemnych korzyściach odprężenia".

Wydaje mi się, że wielki zamysł Breżniewa nie dotyczy wyłącznie polityki zagranicznej. Innymi słowy, nowemu Politbiuru nie chodzi tylko o spowodowanie ewakuacji wojsk amerykańskich z kontynentu europejskiego. Breżniewowi chodzi niewątpliwie o coś innego i o coś więcej.

W maju bież. roku minął rok od wizyty prezydenta Nixona w Moskwie i proklamowania równości pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Sowieckim. Nie tylko dla „uprzedzonych" Polaków, lecz również dla Amerykanów i zachodnich Europejczyków jest oczywiste, że owa równość jest fikcją. Nie można nawet porównywać stopy życiowej obywateli sowieckich ze stopą życiową Amerykanów. Obywatele sowieccy — podobnie

jak Indusi i inni mieszkańcy tzw. „Trzeciego Świata" — nie wyzwolili się jeszcze z poddaństwa przyrody i wystarczy jeden rok nieurodzaju by trzeba było kupować miliony ton zboża za granicą. W przeciwnym wypadku w wielu prowincjach kraju nastąpiłby głód.

Tylko technologia może wyzwolić człowieka z „niewoli" przyrody. W Ameryce klęski żywiołowe jak powodzie, susze, huragany — występują częściej i na większą skalę niż w Sowietach — niemniej ziarna różnego rodzaju nigdy nie brak.

Nie jest prawdą, że Rosjanie tak czuli w kwestiach prestiżu — nie pragną zatknąć flagi sowieckiej na księżycu obok kilkunastu flag amerykańskich. Jeżeli tego do tej pory nie zrobili to nie z oszczędności tylko z braku *know how*.

Rozpętanie totalnej wojny atomowej kryje tyle niewiadomych, że w gruncie rzeczy nie jest to propozycja w stu procentach wiarygodna. Gdyby — powiedzmy dla przykładu — Rosjanie zatopili kilka amerykańskich podwodnych łodzi atomowych — prezydent USA nie byłby wolny od wątpliwości czy rozkaz odpalenia w odwecie wszystkich broni atomowych w jego dyspozycji — nie spowoduje katastrofy o tak gigantycznych rozmiarach, że konsekwencje owej katastrofy zagrożą również i Stanom Zjednoczonym. Podjęcie masowego odwetu atomowego jest decyzją straszliwą i bez precedensu historycznego. W rezultacie Rosjanie mogą szantażować Amerykę w przypuszczeniu, że prezydent nie zdobędzie się nigdy na decyzje totalnego odwetu atomowego.

Amerykańscy stratedzy zdawali sobie sprawę z powyższego stanu rzeczy i wypracowali nową doktrynę opartą na nowej technologii. Pentagon dysponuje dziś „czystymi" taktycznymi pociskami atomowymi, które mogą być naprowadzone na cele z matematyczną precyzją. Ujawniając ową nową doktrynę prez. Nixon w swoim przemówieniu w dniu 3 maja bież. roku powiedział m.in.: „żaden prezydent USA nie powinien nigdy znaleźć się w sytuacji w której jedyną jego możliwością byłoby wydanie rozkazu masowego ataku atomowego".

Innymi słowy Amerykanie ujarzmili apokalipsę i tym samym przemienili ją w wiarygodny instrument strategii i polityki.

Ktoś może powie, że Rosjanom tego typu „czyste", strategicznie precyzyjne pociski atomowe nie są potrzebne — ponieważ gdy raz podejmą decyzję — bez żadnych skrupułów moralnych rozpoczną — powiedzmy przykładowo — przeciwko Chinom masowe i „brudne" bombardowanie atomowe.

Sowieckie Politbiuro nie miałoby prawdopodobnie skrupułów moralnych — lecz nawet stratedzy sowieccy musieliby być świadomi faktu, że masowe atomowe bombardowanie Chin zagroziłoby radioaktywnym opadem nie tylko Indiom, południowo-wschodniej Azji i Japonii lecz również Związkowi Sowieckiemu.

Miniaturyzacja broni atomowych w formie rakiet średniego zasięgu i artyleryjskich pocisków atomowych — otwiera nową erę w strategii wojny nuklearnej. Pociski o sile wybuchu równej

50 tonom DNT — lub mniej, są nie tylko „czyste" lecz umożliwiają regulowanie natężenia ciepła i podmuchu przy eksplozji zależnie od zadania taktycznego.

Rosjanie nie mają tego typu broni, które są owocem wysoko zaawansowanej technologii. Niewątpliwie byłoby bardzo korzystne gdyby siły NATO zostały wyposażone w zminiaturyzowane i „czyste" pociski nuklearne — lecz byłoby niekorzystne gdyby Amerykanie uznali, że wyposażywszy NATO w nowe bronie mogą spokojnie wycofać swoje wojska z Europy.

Miniaturowe „czyste" bronie atomowe pomogłyby nam — być może — powstrzymać inwazję sowiecką. Natomiast obecność wojsk amerykańskich wyklucza inwazję Europy Zachodniej przez Sowiety. Państwom EWG opłaciłoby się stokrotnie ponosić nie tylko część lecz całość kosztów utrzymania wojsk amerykańskich stacjonowanych w Europie. Albowiem obecność tych wojsk stanowi najbardziej pewną i efektywną formę asekuracji przed zakusami Moskwy, ponieważ podstawowym kanonem polityki globalnej jest niedopuścić do bezpośredniej konfrontacji sowiecko-amerykańskiej.

Możemy Amerykanów krytykować, możemy oburzać się z powodu skandalów, które w regularnych odstępach czasu wstrząsają Waszyngtonem — musimy jednak zawsze pamiętać, że na naszym kontynencie bezpośrednio zagraża nam nie Ameryka tylko Sowiety.

Lecz wróćmy do głównego nurtu tych rozważań. Zarówno wypowiedzi prasy sowieckiej jak i wypowiedzi prasy satelickiej zdają się wskazywać, że tym razem Breżniew i jego nowe Politbiuro pragną naprawdę „odprężenia" i „wzajemnie korzystnej współpracy z Zachodem" (słowa Breżniewa). Wydaje mi się, że Breżniew i jego ludzie w Politbiurze zdali sobie sprawę, że bez „korzystnej dla obu stron współpracy" — Związek Sowiecki nie tylko nigdy nie doścignie Ameryki lecz przeciwnie, przepaść pomiędzy Sowietami a Stanami Zjednoczonymi będzie powiększać się z każdym rokiem.

Statystyki i cyfry budżetowe w Sowietach są tak skonstruowane, że trudno z nich wyłuskać prawdę. W rezultacie nie wiemy ile dokładnie wydaje Moskwa na zbrojenia. Według prof. Sacharowa Sowiety wydają na zbrojenia 40 % swojego budżetu. Może wydają więcej niż 40 %, a może wydają mniej. Faktem jest, że Sowiety wydają na zbrojenia tak wiele, że już nie ma pieniędzy na rozbudowę „sowieckiej Ameryki".

Specjaliści na Zachodzie i w Ameryce wymieniają dziesiątki sektorów gospodarki sowieckiej, które nadają się do „korzystnej dla obu stron współpracy".

W Sowietach nie brak polityków, którzy sądzą, że „odprężenie" i współpraca z Zachodem — choć materialnie korzystna — przedstawia jednak zasadnicze zagrożenie ideologiczne. Prestiż i władza partii nie opierają się na samochodach i produktach konsumpcyjnych lecz na niezachwianym monopolu ideologicznym.

Za czasów Stalina życie w Sowietach było znacznie bardziej spartańskie niż dzisiaj a przecież w tym właśnie okresie Związek Sowiecki zagarnął pół Europy i przekształcił się w światowe super-mocarstwo.

Imperium opiera się na trzech elementach: 1) totalnej ideologii; 2) siłach zbrojnych i policji oraz 3) przestrzeni.

Imperium nie może stać w miejscu tylko albo się poszerza i powiększa albo się kurczy i słabnie. Każde imperium jest formacją ofensywną i dynamiczną. Sprężyna owej dynamicznej ofensywności jest ideologia, która musi uważać wszystko co obce za wrogie. Totalizm można utrzymać za cenę nieustannej czujności i mobilizacji w imię walki z imperializmem, z kapitalizmem, z wrogiem klasowym, z nacjonalizmem, z syjonizmem itp.

Na Zachodzie studiujemy komunizm i całe armie specjalistów skupione w licznych instytutach co roku produkują setki książek i uczonych studiów o Sowietach.

W Rosji i w państwach satelickich istnieją również liczne instytuty poświęcone badaniom spraw międzynarodowych. Większość tych instytutów produkuje bibułę propagandową w rodzaju broszury, którą wspomniałem w jednym z poprzednich artykułów pt. „Co każdy Aktywista Partyjny Powinien Wiedzieć o Dywersji Ideologicznej".

Sądzę jednak, że KGB, która posiada tysiące agentów we wszystkich stolicach zachodniego świata jak również sztaby rzeczoznawców amerykańskich, brytyjskich, francuskich, i niemieckich pracujących w Moskwie — opracowuje analizy przeznaczone wyłącznie dla najwyższego sowieckiego aparatu kierowniczego.

Od czasów Berii — po raz pierwszy szef KGB jest obecnie członkiem Politbiura co zdaje się wskazywać, że z jednej strony KGB popiera politykę „odprężenia" Breżniewa — z drugiej strony uwypukla fakt, że Breżniew zdecydowany jest zgnieść wszystkie ruchy dysydenckie tak w Sowietach jak i w imperium.

Osobiście wydaje mi się, że obawy tych polityków sowieckich, którzy sądzą, że zbliżenie i kooperacja z Zachodem mogą czymkolwiek zagrozić systemowi sowieckiemu — są całkowicie bezpodstawne.

Można by zacząć od stwierdzenia, że kapitalizm z upadkiem kolonializmu i imperializmu utracił polityczną nadbudowę. Nie organizuje się nowych imperiów — nie dąży się do hegemonii nad światem — nie mobilizuje się tzw. wolnego świata. Z polityki „wyzwolenia", z polityki *containment*, z ideologicznej krucjaty przeciwko komunizmowi nie pozostało nic.

Równocześnie w Anglii i w innych krajach Zachodu jest dziś nieporównanie mniej *fellow-travellers*'ów niż było ich w latach 1942-45. Orwell nie miałby dziś żadnych trudności z wydaniem „Folwarku Zwierzęcego". Przeciwnie, wydawcy zachodni wydają dziś wiele pozycji antysowieckich motywowani nie tyle polityką

ile nadzieją, że natrafią na *best-seller*'y klasy Orwella, Weissberg-Cybulskiego, Miłosza czy Herlinga-Grudzińskiego.

Dziś to nie jest wojna ideologiczna tylko zwyczajny *business*.

W okresie kiedy Orwell miał trudności z wydaniem „Animal Farm" w Anglii wielu opowiadało się gwałtownie za Sowietami — wielu równie gwałtownie opowiadało się przeciwko Sowietom a znaczny procent liberałów uważał, że „nie wypada" krytykować pierwszego socjalistycznego państwa świata.

Dziś wszystko to uległo zmianie. Nikt nie jest gwałtownie za Sowietami ani nikt nie jest gwałtownie przeciwko Sowietom. Komunizm sowiecki jest całkowicie zdemaskowany a liberałowie prześcigają się w potępianiu Moskwy za jej politykę w stosunku do Żydów. Rosja przestała być dla ludzi Zachodu zagadnieniem ideologicznym. Ideologami w oczach Zachodu są Mao Tse-tung i Czu En-lai lecz nie Breżniew czy Andropow. Chiny Ludowe mają doskonałą prasę na Zachodzie i tak jak niegdyś „nie wypadało" być „antysowieckim" tak dziś nie wypada być „antychińskim".

Rosjanie w rozmowach z Amerykanami podkreślają zawsze, że od dziesiątków lat przywykli do twardego życia i jeżeli będzie trzeba zdecydowani są przez następne dziesięciolecia zadawalać się tylko koniecznym minimum. To są jednak w gruncie rzeczy puste przechwałki, ponieważ współpraca przemysłowa pomiędzy Rosją a głównymi państwami kapitalistycznymi Zachodu jest tak zaawansowana, że nagłe wycofanie się kapitalistów spowodowałoby w Sowietach znaczny wstrząs i dezorganizację.

Przez Kongres muszą jeszcze przejść odnośne ustawy (US-Soviet Trade Bill) — lecz Breżniew liczy, że wszystkie legalne klauzule i subtelności zostaną załatwione przed jego „historyczną" wizytą w Waszyngtonie.

Sowiety są potencjalnym wrogiem Zachodu i jego partnerem. Ludzie Zachodu wnioskują, że wrogość będzie maleć proporcjonalnie do wzrostu partnerstwa. Można przyjąć niemal za pewne, że Sowiety w roku 1973 nie zaryzykowałyby inwazji Czechosłowacji na wzór roku 1968 — ponieważ Kongres w takiej sytuacji nie uchwaliłby „US-Soviet Trade Bill" i panowie na Kremlu musieliby odłożyć *ad acta* plany zamerykanizowania technologii i przemysłów sowieckich.

Wnioskuje się dalej, że za 10 czy 15 lat Sowiety będą związane z Zachodem setkami projektów przemysłowo-technologicznych a tym samym staną się od Zachodu uzależnione. Zachód zyska w ten sposób nową sankcję bezpieczeństwa, ponieważ tylko szaleniec mógłby grozić bombami atomowymi swojemu gospodarczo-handlowemu partnerowi.

Powyżej przedstawione wnioskowanie jest logiczne i poprawne lecz nie kompletne. Zakładając, że stosunki przemysłowe pomiędzy Zachodem a Sowietami będą się rozwijać i pogłębiać — nie tylko Sowiety staną się zależne od Zachodu lecz i Zachód stanie się zależny od Sowietów. W takim układzie osłabienie i upadek *establishment* sowieckiego nie leżałoby w interesie Zachodu.

Amerykanie i Anglicy życzyliby sobie przemian w Związku Sowieckim prowadzących do większego usamodzielnienia się państw satelickich. Prasa amerykańska broni Sołżenicyna i nadaje duży rozgłos wszelkim przejawom intelektualnego buntu wymierzonego przeciw sowieckiemu *establishment*. To samo dotyczy państw satelickich. W okresie sowieckiej inwazji Czechosłowacji nikt nie mógł mieć wątpliwości po czyjej stronie opowiada się prasa, radio i telewizja wolnego świata.

Lecz 5 lat temu handel z Sowietami był tak minimalny, że nie dawał Moskwie możliwości odwetowych. O „US-Soviet Trade Bill" nikt nawet nie marzył ani w Waszyngtonie ani w Moskwie. Innymi słowy, Zachód potępiając inwazję Czechosłowacji — finansowo i gospodarczo niczego nie ryzykował.

Partnerzy mogą zawsze na siebie wzajemnie wywierać nacisk. W Sowietach istnieją już koncerny mieszane w których 51 % udziałów należy do Sowietów a 49 % do kapitalistów zachodnich. Gdy ten model współpracy gospodarczej okaże się atrakcyjny dla kapitału zachodniego — mogą powstać nie dziesiątki lecz setki tego typu koncernów. Rosja stanowi ostatni „dziki zachód" dla ekspansji amerykańsko-europejskiego kapitalizmu.

Podpisany w dniu 19 maja bież. roku układ w Bonn pomiędzy Breżniewem a Brandtem zakłada współpracę na podstawie wymiany zachodnio-niemieckiej technologii w zamian za surowce na Syberii. To jest wzorzec dla wszystkich innych tego typu układów pomiędzy Sowietami a Zachodem: import technologii w zamian za eksport surowców.

Gdybym był politykiem sowieckim głosiłbym tezę, że należy szeroko otworzyć bramy dla kontrolowanej ekspansji kapitalizmu zachodniego — ponieważ to jest nie tylko jedyna droga do zdobycia technologii amerykańskiej, lecz również jest to najpewniejsza metoda asekuracji obecnego *establishment* w Sowitach.

Z chwilą gdy handel a przede wszystkim inwestycje zachodnie w Sowietach osiągną pewien poziom — kapitalizm stanie się zainteresowany w utrzymaniu ciągłości obecnego systemu w Rosji. Wówczas przywódcy sowieccy powiedzą swym zachodnim partnerom: jeżeli chcecie by kontrakty były dotrzymane i dla obu stron zyskowne, nie podkopujcie naszej władzy — tak jak czyniliście to w okresie zimnej wojny. Tylko władza sowiecka może gwarantować wykonanie umów i układów. Wojna ideologiczna prowadzona przez Zachód byłaby wodą na młyny takich ludzi jak Szelest i Woronow, którzy są przeciwnikami współpracy Sowietów z Zachodem. Swobodna wymiana myśli i idei wzbudziłaby gwałtowną reakcję frakcji anty-zachodniej a gdyby politycy pokroju Szelesta i Woronowa doszli do steru zlikwidowaliby całą współpracę sowiecko-amerykańską.

Grozi nam sytuacja, że Breżniew i jego nowe Politbiuro przekonają Zachód, że Sowiety muszą prowadzić propagandę antydemokratyczną i utrzymać szczelną „żelazną kurtynę" by nie dostarczać argumentu zatwardziałym stalinowcom, że za miskę amerykańskiej soczewicy sprzedali marksizm-leninizm.

Równocześnie, gdy partnerstwo sowiecko-amerykańskie w dziedzinie wymiany przemysłowej zacznie produkować poważne zyski — Breżniew i jego ludzie będą domagali się od Amerykanów by nie podrzynali szyi kurze, która znosi złote jaja. Nie można mieć wszystkiego... i gazu ziemnego na Syberii i Radia Free Europe w Monachium.

W sumie, należy stwierdzić co następuje. Im inwestycje kapitałowe Zachodu w Sowietach będą większe — im partnerstwo sowiecko-amerykańskie będzie lukratywniejsze — tym odwetowa i przetargowa polityka Breżniewa w stosunku do Zachodu będzie silniejsza. Ponieważ cały *business* związany będzie z obecnym sowieckim reżymem — jakakolwiek zmiana — rewolucja, wojna domowa czy powstania — nie będą leżały w interesie kapitalistycznego Zachodu. Przeciwnie, w interesie Zachodu będzie leżało by obecny sowiecki partner siedział mocno w siodle.

Breżniew może odejść — może stracić poparcie większości w Komitecie Centralnym. Wszystko jest możliwe, wydaje mi się jednak, że bez względu na osobę Breżniewa w Rosji i osobę Nixona w Ameryce — w najbliższych latach w Sowietach ścierać się będą dwie orientacje. Jedni będą za polityką zapoczątkowaną przez Breżniewa, którą w skrócie nazwijmy partnerstwem. Drugą orientację tworzyć będą przeciwnicy partnerstwa, którzy uważają, że kumanie się z Amerykanami i Niemcami zagraża ideologicznej spoistości imperium.

Zwolennicy partnerstwa z Breżniewem na czele — sądzą, że ich polityka nie tylko przyniesie Sowietom olbrzymie korzyści technologiczne i gospodarcze, lecz również zbliżając Stany Zjednoczone do Rosji oddali je tym samym od Chin.

Osobiście uważam, że gdyby nadzieje zwolenników partnerstwa ziściły się w całej pełni — gdyby istotnie Ameryka i Niemcy zachodnie związały się gospodarczo, handlowo i technologicznie z Rosją silniejszymi, liczniejszymi więzami niż z Chinami — Pekin wyciągnąłby z takiej sytuacji odpowiednie konsekwencje. Chiny nie mogłyby przypatrywać się biernie technologicznej rozbudowie Sowietów przez kapitalizm wolnego świata.

Jeszcze raz podkreślam, że partnerstwo nie ułatwi lecz utrudni jakąkolwiek antykomunistyczną działalność ze strony Zachodu. Wszystkie kolejne fazy zimnej wojny oparte były na założeniu, że ponieważ z komunistycznymi Sowietami nie można handlować — należy je zwalczać. Kapitał zachodni nie był zaangażowany w Rosji sowieckiej więc uprawiając antysowiecką propagandę nie ryzykował utraty zysków i zerwania kontraktów.

Z perspektywy Pekinu wygląda to wszystko nieco inaczej. Nawet gdyby pomiędzy Rosją a Chinami istniały nie wrogie, jak dziś — lecz poprawne stosunki — Pekin nie mógłby sobie życzyć układu w którym Rosja dzięki współpracy ze Stanami Zjednoczonymi stałaby się w rzeczywistym tych słów znaczeniu równorzędnym partnerem Ameryki. Każdy wzrost potęgi Związku Sowieckiego stanowi automatycznie wzrost zagrożenia Chin. W tej sprawie Chińczycy nie mają żadnych złudzeń.

Nie można przewidzieć lecz również nie można wykluczyć, że Chińczycy szukać będą kontaktu z opozycją „anty-partnerską" w Sowietach. Oczywiście partnerstwo sowiecko-amerykańskie musiałoby być znacznie bardziej zaawansowane niż obecnie. Mimo całej nienawiści do Sowietów — Chińczycy są bardzo zainteresowani tarciami i rozgrywkami wewnątrz Związku Sowieckiego. Chińczycy w danym momencie mogą dać do zrozumienia, że gotowi są znormalizować stosunki sowiecko-chińskie jeżeli rządy w Związku Sowieckim obejmą przeciwnicy bliskiej współpracy z amerykańskimi imperialistami.

Gdyby Chińczycy w pewnym momencie wysunęli dyskretnie swoją propozycję — podzieliliby partię sowiecką w sprawie kardynalnego znaczenia: czy szukać partnerstwa z potęgą kapitalistyczną czy z potęgą komunistyczną?

Celem operacji z punktu widzenia Pekinu byłoby spowodowanie rozłamu a może otwartego konfliktu wewnątrz Związku Sowieckiego.

Przyzwyczailiśmy się uważać, że tarcia w ramach sowieckiej partii komunistycznej dotyczą zawsze zagadnień wewnętrznych jak modele gospodarki, rewizjonizm itp. Wydaje mi się jednak, że w przyszłości w coraz większym stopniu problemami istotnymi będą zagadnienia polityki zagranicznej. Na wewnątrz Breżniew jest takim samym stalinowcem jak Szelest. Różnią tych panów tylko poglądy na partnerstwo i związane z tym zagadnienia polityki zagranicznej.

Wystarczy przeczytać kilka poważnych studiów o Chinach by sobie zdać sprawę, że terminowi „maoizm" nadajemy treść znaczeniową, którą przejęliśmy żywcem z propagandy sowieckiej. Jednak jedno z rzymskich pism katolickich związanych z Watykanem wyraziło pogląd, że w maoizmie można dopatrzeć się przebłysków chrześcijaństwa. Trudno byłoby to powiedzieć o sowietyzmie. Niemniej, ponieważ na ogół wiemy daleko więcej o sowietach niż o Chinach — patrzymy na Chiny — często nieświadomie, przez okulary sowieckie.

Polskiemu emigrantowi — któremu słusznie i nie bez przyczyn — każda odmiana komunizmu jest wstrętna — trudno pojąć, że istnieją miliony ludzi w Azji, w Afryce, w Ameryce Południowej dla których komunizm jest najistotniejszym problemem dwudziestego wieku.

Dramat komunizmu nie zostanie rozwiązany pomiędzy komunistami a antykomunistami. O losie komunizmu zadecyduje walka ideologiczna pomiędzy Pekinem a Moskwą. Gdyby Rosjanie w okresie ubiegłego półwiecza nadali komunizmowi formę radykalnego, europejskiego socjalizmu — ich los byłby zabezpieczony. W rzeczywistości jednak obecny ustrój sowiecki jest bardziej „azjatycki" niż ustrój Chin.

Proces dialektyczny sowietyzmu, maoizmu, kapitalizmu — daleki jest jeszcze od swego finału.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Widziane z Brukseli

Wacht am Rhein

„Ulbricht ma raka i w ogóle z nim koniec. A potem załatwimy sprawę NRD". Tymi mniej więcej słowy zakończył swój toast Aleksy Adżubej, redaktor naczelny dziennika *Izwiestia* i zięć Nikity Chruszczowa. Rzecz działa się w pewnym intymnym lokalu w Warszawie latem 1964 roku. Adżubej, znawca dobrej wódki i amator pięknych dam (i odwrotnie), uważał Polskę — jak każdy światły człowiek sowiecki — za kraj pełen uciech i wolności wszelakiej i ubóstwiał tu wpadać w drodze *na* lub wracając z Zachodu. Tym razem też wracał, z Bonn mianowicie.

Oficjalnie Adżubej udał się tam na zaproszenie aż trzech naraz redakcji zachodnio-niemieckich. Od początku ta podróż wydawała się nieco podejrzana. Zaproszenie czekało bowiem od lat i było już prawie zapomniane, kiedy nagle Adżubej zadzwonił, że przyjmuje, i to od razu, natychmiast... Oczywiście, było wiadomo, że Adżubej jest specjalnym wysłannikiem nie gazety a swego teścia, i że jego właściwa misja polega nie pisaniu tasiemcowatych i nudnych artykułów a na utorowaniu teściowi drogi do NRF. Pewne zdziwienie wywołały natomiast niektóre detale jego podróży.

W rozmowie z kanclerzem Erhardtem mianowicie, Adżubej miał zasugerować możliwość pewnego złagodzenia nieustępliwego poparcia Kremla dla NRD za cenę wydatnej pomocy gospodarczej i technicznej NRF dla ZSSR. Nie wiadomo, czy on to rzeczywiście zasugerował w Bonn, wiadomo natomiast, że sugestie te nieostrożnie ujawnił w czasie wspomnianej na wstępie libacji w Warszawie. Jasne, że wdzięczni słuchacze natychmiast o toaście Adżubeja donieśli gdzie trzeba. W dzień czy dwa później Ulbricht (zdrów jak ryba) i Gomułka byli już w Moskwie, poruszając niebo i ziemię i wbijając ostatni prawie gwóźdź do trumny Chruszczowa, jego zięcia oraz idei wymiany części suwerenności NRD na marki zachodnio-niemieckie. Choć Chruszczow musiał wówczas odejść oficjalnie ze względu na zły stan zdrowia, to jednak przyjmując duńskiego kolegę Kraaga, min. Gromyko mógł z pewną dozą racji powiedzieć: „Dlaczego Chruszczow upadł? Dlatego, bo chciał pojechać do Bonn".

Pacht am Rhein

Nie była to odpowiedź ani pełna ani jasna. Sam byłem kilkakrotnie w Bonn i ani razu nie upadłem. Ba, sam Gromyko pojechał do Bonn i też nie upadł, a nawet wprost przeciwnie. Prawda jednak, że on (i ja także) pojechał w towarzystwie Leonida

Breżniewa. Można więc na razie sformułować prawo naukowe następujące: Do Bonn jeździć można, trzeba tylko wiedzieć kiedy, z kim i po co.

Najważniejszy jest aspekt ostatni. Odpowiedź na to pytanie „po co?" została ostatecznie sformułowana w ZSSR wiosną tego roku, kiedy Breżniew, na kwietniowym plenum KC, zaakceptował faktycznie tezy prof. Sacharowa o bezwzględnym i względnym zacofaniu ZSSR w stosunku do USA czy Zachodu w ogóle, widocznym zwłaszcza na tle zeszłorocznej katastrofy rolnej. W XXI wieku kolejne wydanie Wielkiej Encyklopedii ZSSR wspomni zapewne, że Breżniew był to urzędnik partyjny, który żył w czasach Sacharowa, ale na razie Sacharow uważany jest za szkalownika i wroga, a Breżniew za genialnego przywódcę.

Otóż, po zaakceptowaniu tez Sacharowa, pozostało już tylko wysnuć wnioski odnośnie środków przezwyciężenia zacofania, oraz podjąć odpowiednie decyzje. Mówiąc niefachowo ale przystępnie, Breżniew miał do dyspozycji trzy kategorie środków. Po pierwsze — usprawnienie planowania i zarządzania, decentralizacja, zmniejszenie roli nadzorców partyjnych i podział władzy oraz przywilejów z menadżerami. Po drugie — szerokie zastosowanie bodźców materialnych w produkcji przemysłowej i rolnej więc zwiększenie wydajności i jakości pracy, odbiurokratyzowanie myśli naukowej, swoboda eksperymentu, rehabilitacja odwagi cywilnej. Po trzecie — zmiana polityki dogmatycznej, rezygnacja z rewolucji światowej, otwarcie granic ZSSR przed zachodnią myślą i sprzętem technicznym. Już klasycy ekonomii politycznej socjalizmu nauczali nas, że należy myć i ręce i nogi, i że aby zacofanie ZSSR nadrobić trzeba stosować wszystkie trzy kategorie naraz.

Ba, łatwo powiedzieć, ale spróbujcie w ZSSR usprawnić planowanie, skończyć ze wszechwładzą biurokratów z partii, spróbujcie zastosować zastrzyk prawdziwych bodźców itd. Nieśmiałe pomysły rasowo nieczystych profesorów Birmanna czy Libermanna spotkały się nieufnym przyjęciem i słusznie pozostały na papierze. Jasne więc, że postanowiono przede wszystkim stosować środek trzeci. Już Lenin nauczał, że wroga trzeba bić jego bronią. Jedziemy, towarzysze, na Zachód, robimy *Drang nach Westen*, powiedział Breżniew, ale zabrał się do tego zupełnie inaczej niż jego poprzednik.

Po pierwsze, zabezpieczył sobie tyły. Biuro Polityczne stało się wprost monolitem. Ponieważ i przed ostatnimi zmianami było monolitem, więc teraz jest już takim monolitem zupełnie nadzwyczajnym. I odmłodzonym. Wylecieli (jak o tym pisał Kruczek w poprzednim numerze *Kultury)* na emeryturę Szelest i Woronow, obaj nieco po sześćdziesiątce, a weszli do Biura Gromyko i Andropow, nieco bardziej po sześćdziesiątce, oraz Greczko, rześki siedemdziesięciolatek. Tak odmłodzone Biuro Polityczne ma jednak tę zaletę, że skupia szefów całej władzy: partię, państwo, dyplomację, bezpieczeństwo i wojsko. Breżniew ma w ten sposób zabezpieczone już nie tylko tyły, ale nawet boki. Na

Kremlu czuje się zupełnie jak w swym mieszkaniu prywatnym. Mieszka z rodziną i dwoma psami przy Prospekcie Kutuzowa 24 na piątym piętrze między Andropowem (KGB), który mieszka na szóstym i Szczełokowem (MSW), który mieszka na czwartym. Mógł więc spokojnie wyjechać do Bonn. Psami zajmowała się żona, bo podróż była bez małżonki, Związkiem Sowieckim zajmowali się młodzi członkowie Biura Politycznego, ludzie nie tylko potężni, ale i wierni.

Po drugie, mimo pozbycia się Szelesta i Woronowa, Breżniew nie lekceważył satelickiego *lobby* w Moskwie. Chociaż był w okropnym niedoczasie (cztery pełne doby spędził wszak z Kissingerem na daczy w Zawidowie), Breżniew pojechał jednak do Warszawy i do Berlina wschodniego. Podróż wyglądała wprost komicznie, tak była fatalnie wyreżyserowana. Widać było gołym okiem, że chodzi o odfajkowanie pozorów suwerenności i o ostentacyjne podkreślenie różnicy w porównaniu do brutalnej ale szczerej procedury Chruszczowa. Breżniew był w Warszawie 24 godziny, włączając w to pocałunki na lotnisku, odwzajemnianie entuzjazmu tłumów wzdłuż trasy, taniec solo i parademarsz w wykonaniu własnym gościa, dekorację Edwarda Gierka orderem Lenina, bankiety, przemówienia, przejazdy do i z Wilanowa, oraz senne marzenia. Podobnie było w Berlinie wschodnim. Z tą tylko różnicą, że na audiencję do Ulbrichta Breżniew wybrał się nie tylko w towarzystwie premiera, ale i wypchanego niedźwiedzia naturalnej wielkości, ofiarowanego mu przez Berlińczyków wschodnich, wdzięcznych za postawienie muru. W obu stolicach nie było mowy o polityce, bo nie o to przecież chodziło, nikt natomiast nie miał wątpliwości, że Breżniew pragnął oznajmić gospodarzom i światu: „Nic o was bez was, my was w Bonn nie sprzedamy".

Fracht am Rhein

Po trzecie, zamiast wysyłać zięcia czy syna na przetarcie śladów (syn od Warszawy woli Paryż, gdzie dał się poznać jako amator szampana i streap-teasu w Crazy Horse (ja go rozumiem), ale w odróżnieniu od Adżubeja, nie rozmawia tam z paniami o polityce) załatwił wszystko po kolei sam, jak należy.

Definicję, że dobry Niemiec to Niemiec martwy, Breżniew zamienił na „dobry Niemiec to Niemiec bogaty". W propagandzie szeptano-mówionej zaczął nawiązywać do raczej dobrych niż złych wspomnień z przeszłości. Zamiast przypominać „dyktat brzeski", przypominano układ w Rapallo, który dał początek takiej przyjaźni, że przetrwała ona okres nazizmu. Pominięto milczeniem nieprzyjemne skojarzenia z okresu „scementowanego krwią" sojuszu lat 1939-1941, kiedy to kilka tajnych załączników sowiecko-niemieckich podzieliło Europę, rozebrało Polskę, wymazując tego „bękarta powersalskiego" (Mołotow, „Dzieła zebrane"), z mapy świata, przypomniano natomiast słowa Stalina o tym,

że „hitlerzy przychodzą i odchodzą a naród niemiecki i państwo niemieckie pozostają". My możemy dodać, że pozostały nawet dwa, ale mniejsze. Breżniew, dobry psycholog, wiedział jak mówić do Niemców. Mołotow, w 1941 roku w dniu wybuchu wojny powiedział z wyrzutem do ambasadora hitlerowskiego: „Czymżeśmy na to zasłużyli". Breżniew, w wywiadzie, do którego za chwilę wrócimy szerzej, dał w podobny sposób wyraz swemu zaskoczeniu z powodu wybuchu wojny. Spotkała go bowiem jakby osobista przykrość, kiedy w dniu agresji przypatrywał się w Dniepropietrowsku całym pociągom z towarami przeznaczonymi dla Rzeszy". Jak to — mówił Breżniew — przecież mieliśmy traktat". A czy to ładnie łamać traktaty? Naturalnie, że nieładnie, odpowiedzieli Niemcy, albowiem oni lubią porządek.

Przemilczmy okres 41-45. Od Poczdamu polityka sowiecka wobec Niemiec była dwuznaczna, a nawet wieloznaczna. Początkowo Stalin wierzył, że uda mu się płomień rewolucji przenieść na całe Niemcy i głosił wobec tego zasadę jedności nowego Reichu. Ale kiedy rewolta z czerwca 1953 roku w Berlinie (20 lat mija właśnie jak z bicza strzelił) ostatecznie przekreśliła szanse rewolucji i pęknięcie Europy stało się nieuniknione, Kreml porzucił zamiary całościowe i zaczął konsolidować „własne" Niemcy czyli NRD. Na kilka tygodni przed odejściem na zasłużony odpoczynek Chruszczow pieści ucho Ulbrichta wołając z Moskwy: „Jeżeli NRF chce zjednoczenia to musi wejść w kontakt z NRD" i dodaje, że sprawa jest skąd inąd przesądzona, albowiem, „socjalizm i tak zatriumfuje w całych Niemczech, jakoże nikt nie jest w stanie powstrzymać marszu ludzkości".

Jak widać z tego proroctwa Chruszczowowi rzeczywiście należał się odpoczynek Jeżeli natomiast chodzi o pierwszą część cytatu, to Chruszczow był widocznie wypoczęty, nie mylił się bowiem. NRF musiała rzeczywiście poszukać kontaktu z NRD, choć nie w sprawie zjednoczenia, a wprost przeciwnie, w sprawie ostatecznego uznania istnienia dwóch państw jednego narodu niemieckiego.

Streszczając — w 1969 roku spotkały się dwie polityki. Brandt nastał w Bonn, a wraz z nim *Ost-politik*. Breżniew przeprowadził w Moskwie analizę przytoczoną na wstępie i tak powstała *West-politik*. Dodajemy obie — a otrzymamy *Real-politik*. W 1970 roku Brandt podpisuje w Moskwie traktat, w którym gwarantuje nienaruszalność... polskiej granicy zachodniej, odwiedza potem Warszawę (w ostatniej chwili przed zejściem Gomułki) i pomnik getta, zawiera układ międzyniemiecki, otrzymuje czteromocarstwowy układ w sprawie Berlina (kolejność obojętna). Resztę już znamy: Helsinki, Wiedeń, jednostronnie dziurawy mur, nirwana...

Pracht am Rhein

Po czwarte wreszcie, psychologiczne przygotowania objęły

nie tylko NRD i PRL, ale także ZSSR i NRF. Jeżeli chodzi o ZSSR to sprawa nie była taka prosta jak się to może wydawać. Biuro Polityczne odwołało naturalnie 25-letni alarm z powodu rewanżystów, Niemcy z zachodu przestali być wyłącznie źli, coraz więcej odnajdywało się tam porządnych socjal-demokratów. Ale mimo wszystko operacja ta zabrała Breżniewowi dobrych kilka lat sprytnego manewrowania. Malenkow, Beria, Chruszczow... wszystkim im przecież dopisywano do aktu oskarżenia paktowanie z rewanżystami. Decyzja wymazania przeszłości i nawiązania prawdziwego kontaktu z Bonn wymagała więc od Breżniewa nie tylko zręczności, ale także pewnej odwagi cywilnej i politycznej.

Mniej dramatyczny, ale bardziej zabawny był wielki *show* w NRF, w którym w roli gwiazdy wystąpił sam Breżniew. Żadnych, tam, niedźwiedzi naturalnych wymiarów, a porządna robota *public relations*, w stylu amerykańskim. Bombą sezonu stał się wywiad Breżniewa udzielony tygodnikowi *Stern*. Fachowo biorąc, wybór był prawidłowy. *Stern* ma kolosalny nakład i wolny jest od jakichkolwiek lewicowych podejrzeń. Dodatkową gwarancją popularności pisma jest fakt, iż p. Nannen, redaktor naczelny *Stern*'a, który osobiście *(noblesse oblige)* przeprowadzał wywiad z Breżniewem, ma pewne haczyki w życiorysie, był w jakimś niewinnym *Propaganda-Abteilung* SS we Włoszech (nazywało się to „Süd-Stern", stąd rzekomo nazwa pisma), miał nawet jakiś proces itp. drobiazgi. Mniejsza.

Faktem jest, że w pewien dzień majowy Breżniew z Brandtem zastąpili na okładce *Stern*'a cotygodniowe nagie *pin-up girls*'y i że p. Nannen stał się pierwszym w historii dziennikarzem, a może nawet człowiekiem, który publicznie, na zdjęciu w *Stern*'ie siedzi półdupkiem na biurku Breżniewa, podczas gdy sam „herr general-sekretär" siedzi grzecznie, w fotelu, przy tym samym biurku. Szkoda, że *Kultura* nie drukuje zdjęć. To jedyne w swoim rodzaju przeżycie, ten portret Breżniewa odmalowany przez Nannena i sensacyjny reportaż, słowny i fotograficzny, z sanktuariów kremlowskich, o dostępie do których normalnie nawet nie marzą dziennikarze, i to nie tylko ci z *Propaganda-Abteilung Italien*, ale nawet z różnych organów wszystkich możliwych KC. Od Nannena więc dowiedzieliśmy się jak i gdzie pracuje generalny sekretarz, gdzie i kiedy sypia, co wisi na ścianie, co ma na biurku, gdzie i kiedy zbierają się Biuro Polityczne (odmłodzone), rząd, sekretariat KC i co ma Breżniew w garażu i na ręku. Co ma w garażu? Trzy Rolls-Roysy, Mercedesa 600, Maserati... A co ma na ręku? Japoński złoty zegarek na krokodylowym pasku.

Nannen był i sfotografował gabinet, gdzie Breżniew podejmował Brandta, de Gaulle'a, oraz Dubczeka (w 1968 roku) oraz odkrył na biurku (nic dziwnego, bo na nim siedział), dziwne pudełko z dwoma słuchawkami i piętnastu guzikami. „A do czego to", zapytał wścibski dziennikarz. „A nie wiem", odpowiedział skromnie generalny sekretarz. Ale Nannen nie taki frajer, on wiedział: jeden telefon, to czerwona linia z Waszyngtonem, reszta

guzików to dzwonki na sekretarzy wszystkich partii komunistycznych państw Paktu Warszawskiego. Ale dlaczego 15? Pączkują?!

Zmęczony tymi odkryciami Nannen został poczęstowany ciastkami z kombinatu cukierniczego im. Klary Zetkin (to był zapewne gest wobec gościa z Niemiec, albowiem pani Zetkin była komunistyczną posłanką do parlamentu weimarskiego), a potem wprowadzony został na intymne zaplecze władzy dyktatury proletariatu. Za szafą, która sprytnie kryła drzwi, znajdował się mianowicie buduar, gdzie generalny sekretarz wypoczywa kiedy nie ma czasu na sjestę w domu. Mały pokoik, biurko, tapczan, telewizor, skromnie, ale gustownie, na stoliku tylko jedno zdjęcie: Breżniew podpisuje legitymację partyjną nr 000.000.01 na nazwisko Włodzimierza Lenina. Biorąc pod uwagę pewną abstrakcyjność opisywanego wydarzenia, nie rozumiem dlaczego nie ma drugiego zdjęcia, na którym Lenin podpisywałby legitymację partyjną nr 000.000.02 na nazwisko Leonida Breżniewa...

Ale zejdźmy na ziemię. Wywiad miał trwać 15 minut, trwał w rzeczywistości ponad 2 godziny. Na odejście, ściskając prawicę Nannena Breżniew westchnął: „Powinniśmy się byli spotkać 20 lat wcześniej". Dlaczego 20? Z Nannenem trzeba się spotkać 30 lat wcześniej. We Włoszech naturalnie!

Nacht am Rhein

I tak doszło do wizyty w Bonn. Jej znaczenia nie należy mierzyć ani konkretnością uzyskanych rezultatów, ani, tym mniej, oklaskometrem czyli entuzjazmem tłumów. Nie było bowiem ani jednego, ani drugiego. Konkretów nie było, bo Breżniew nie przyjechał kupować obrabiarek ani dolarów na czarno, a przyjechał aby zakończyć pewien okres historyczny i stworzyć psychologiczne i polityczne podstawy długotrwałej i konkretnej współpracy, czyli ogromnej pomocy technologicznej NRF dla nowego NEP-u w ZSSR.

Entuzjazmu nie było, bo Bonn to nie Warszawa czy Moskwa i tłumów na siłę na ulicę wypędzić się nie da. Zresztą, nawet gdyby wyszły, to i tak nic by nie widziały, albowiem festiwal policyjny był taki, że nawet dziennikarze, z wyjątkiem wyselekcjonowanych przez KGB i przebranych za dziennikarzy agentów KGB, nie mogli się dostać w pobliże dostojnych gości. Wszystkim zresztą kierowali eksperci z Moskwy, nie mający — od czasu kompromitującej tragedii w Monachium — zaufania do Niemców. Przybyli oni do NRF grubo przed Breżniewem, dla zbadania trasy, dołączyli nawet dyskretnie do eskorty bawiącego wówczas w NRF prezydenta Austrii Jonasa, i przede wszystkim zażądali... zalutowania włazów kanałowych w kolicy rezydencji Breżniewa. A zamieszkał on na Petersbergu, w ogromnym hoteliszczu, odnowionym przez rząd kosztem 250.000 dolarów, gdzie mieszkali przed nim już królowa Elżbieta, De Gaulle, a także

Chamberlain, który w 38 roku spotkał się po drugiej stronie Renu, w hotelu „Dressen", z Hitlerem. Mniejsza o analogie historyczne, ważne, że Petersberg leży o 400 m. ponad poziomem Bonn, dzięki czemu Breżniew miał nareszcie Niemców u swych stóp.

Strzegło go 26.000 policjantów, *Grenzschuz*'ów, nie licząc ochrony własnej, flotylli reńskiej, psów, helikopterów i pancernego Mercedesa 600. Zaufanie było tak pełne, że mimo obstawienia lotniska większością sił lądowych NRF, „Air Force One" czyli osobisty Ił-62 Breżniewa czekał na szefa nie w Kolonii, a w... Berlinie wschodnim. Trasy przejazdów były tak odcięte od świata, że Breżniew musiał pomyśleć, iż Bonn to bezludna oaza na kamiennej pustyni, i że ludność Bonn jest koczownicza, albo składa się wyłącznie z agentów KGB, policji niemieckiej, Jekateriny Furcewej oraz rodziny kanclerza Brandta. Aby zatrzeć to wrażenie, władze niemieckie, po wyaresztowaniu goszystów, pozwoliły a nawet chroniły demonstrację komunistów pro-sowieckich, którym udało się osiągnąć naprawdę wielki sukces. Nie było bowiem łatwo, nawet przy pomocy policji, spędzić do Bonn w pogodny *week-end* 20.000 osób z całej NRF, a może i z dalej...

Jeżeli jednak znaczenie tej wizyty nie polega ani na interesach ani na uczuciach, to na czym jej historyczność polega? Na tym, że się w ogóle odbyła. Mówiąc w skrócie, bez tej wizyty nie byłoby ani dalszego postępu w Ost-polityce Brandta, ani w West-polityce Breżniewa, ani w globalnej Real-polityce. To właśnie w Bonn Breżniew został ostatecznie pasowany na szefa wielkiego pokojowego europejskiego państwa, a Brandt uzyskał patent szefa mocarstwa już nie tylko gospodarczego, ale i politycznego. Brandt uwolnił Breżniewa z ciężaru wspomnień czechosłowackich, Breżniew wymazał rewanżyzm z hipoteki NRF.

Schlacht am Rhein

To w ogóle. W szczególe natomiast mimo ostrych dyskusji dwa podstawowe problemy pozostały w sferze mgławicowych obietnic i tylko przyszłość wykaże jakie konkretne znaczenie miało spotkanie laureatów nagród pokojowych Nobla i Lenina.

Breżniew spotkał się z największymi rekinami kapitalizmu zachodnio-niemieckiego. To był prawdziwy popis kuszenia. Żadne tam drobne interesy, my ofiarowujemy wam Syberię, płaćcie i bierzcie, bo inni czekają. Miliard dolarów dla kombinatu w Kursku, to drobiazg, nie warto się zatrzymywać. 30, 40, 50 lat — oto perspektywa. Ale panowie, których nazwiska jeszcze niedawno starczyły aby odebrać sen 240 milionom ludzi sowieckich, wykazali entuzjazm nieco sceptyczny. Rosjanie przesadzają, powiedzieli, skąd my weźmiemy na to wszystko pieniądze? Obiecali, że się zastanowią, jakoże projekty, choć olśniewające, są tak kosztowne że aż wyobraźni brak: nafta, gaz, uranium w Rosji, a z tej strony szkoda nawet wyliczać cała produkcja przemysłu

ciężkiego NRF i jeszcze byłoby tyle miejsca, że można by Ruhrę za Ural przenieść. Kiedy w 1939 roku Stalin położył miękko rękę na ramieniu Ribbentropa, prasa niemiecka zaśpiewała: „Przyjaźń Niemców z Rosją jest warunkiem ich dobrobytu". Mieli chyba rację, jakoże Breżniew, kładąc miękko rękę na ramieniu von Amerongena czy Beitza, powiedział dosłownie to samo. Niestety, trzeba było przerwać spotkanie, albowiem nazajutrz o świcie ta sama delegacja przemysłowa musiała już być na lotnisku, udawała się bowiem do... Chin, na zaproszenie Czou En-laia.

Wracając do Bonn, układ tam zawarty o 10-letniej kooperacji kreśli wystarczające ramy dla rzeczywiście burzliwego rozwoju pomocy NRF dla ZSSR. Jedyne pytanie, które zadali sobie (dlaczego sobie?) przemysłowcy zachodnio-niemieccy brzmiało: a jak Rosjanie chcą za to wszystko zapłacić? Na odpowiedź nie starczyło już czasu. Domyślam się, że chcą kredytów długoterminowych i tanich, zwłaszcza, że w chwili kiedy Breżniew lądował w Bonn, statystyka w Moskwie wykazała pierwszy w historii deficyt w handlu zagranicznym ZSSR i to na ponad miliard dolarów...

W tym samym czasie Brandt wojował o tzw. klauzulę berlińską, czyli o potwierdzenie w deklaracji końcowej praw NRF do reprezentowania Berlina zachodniego i w ogóle o uznanie specjalnych stosunków z tym miastem. Uzyskał mniej więcej tyle co Breżniew u przemysłowców, to znaczy obietnice nie ujęte w żadnym jawnym konkretnym zobowiązaniu. W deklaracji końcowej, liczącej 1.800 słów, Berlin zachodni nie jest ani razu nazwany, ale po raz pierwszy ZSSR wspomniał o czteromocarstwowym traktacie berlińskim we wspólnym dokumencie sowiecko-niemieckim. Reszta była na buzię. Co naprawdę obiecał Breżniew okaże się niedługo, bo już w chwili przyjmowania obu państw niemieckich do ONZ, gdzie oczywiście wypłynie sprawa reprezentacji Berlina zachodniego przez Bonn.

W sumie, jak to określił Brandt, dopracowano się form „współistnienia produktywnego", albo, jak to jeszcze lepiej określił Jean Wetz, który kończy właśnie pobyt w Bonn i jedzie — ciągle dla *Le Monde* — do Londynu, chodzi o zmianę leninowskiej formuły „Komunizm to władza sowietów plus elektryfikacja" na breżniewowską formułę: „Komunizm to władza partii plus technologia zachodnia".

Macht am Rhein

Niezależnie od aspektów europejskich, w tej chwili drugorzędnych, podróż Breżniewa do Bonn była próbą generalną jego podróży do USA. Próba ta wypadła pozytywnie. Chruszczow pojechał do Stanów w 1959 roku i zapowiedział bliski i nieuchronny pogrzeb kapitalizmu. „Już niedługo was pogrzebiemy", powiedział. Breżniew jedzie do USA aby temu kapitalistycznemu nie-

boszczykowi zaproponować 50-letnią współpracę i życzyć wszystkiego najlepszego. Stalin i Chruszczow chcieli „dogonić i przegonić", Breżniew, wie, że to niemożliwe i chce już tylko nie pozostawać bardziej niż obecnie w tyle. Jest paradoksem, że może to osiągnąć jedynie przy pomocy zachodniej, jest paradoksem, że Zachód skłonny jest w tym uczestniczyć, mimo, iż wie, że pozwala w ten sposób Sowietom na utrzymanie na jakim takim poziomie stopy życiowej mimo kolosalnego — sięgającego 40 % dochodu narodowego — budżetu wojskowego, ale największym paradoksem jest to, że Zachód uważa, iż przez granice otwarte dla maszyn, zboża i masła przedostaną się również zachodnie idee.

Ciekawe, że Breżniew też na to liczy, tylko w przeciwnym kierunku. On też wydaje się uważać, że przez granice otwarte na Zachód wydostaną się jego idee, nie socjalizmu naturalnie, ale finlandyzacji i neutralizacji Europy. Sądząc z faktu, że jedyne ostre naboje w międzypaństwowym konflikcie w powojennej Europie zostały wystrzelone przez korwetę islandzką do kutra angielskiego, że główny wróg Francji to obecnie USA, że niektóre kraje zachodnio-europejskie chcą likwidować służbę wojskową i że jedynym krajem, który stara się utrudnić sowieckie manewry na konferencji w Wiedniu jest... Rumunia, pogląd Breżniewa jest mniej śmieszny niż jego zachodnich kolegów.

Jasne, że w tych warunkach nikt na Zachodzie nie zwraca uwagi na coraz większą śrubę w krajach socjalistycznych, na najostrzejszy od czasu Stalina kurs represyjny w ZSSR, na cenzurę głupszą niż kiedykolwiek, na przetrzymywanie w obozach Amalryków itp., na pacyfikowanie Ukrainy, Gruzji. Nie mamy czasu, powiadają na Zachodzie, na zajmowanie się wewnętrznymi sprawami innych krajów. Rzeczywiście, nie mają, zajęci bowiem wszyscy są dorabianiem ideologii do kupczenia.

Schmach am Rhein

Ta moralna dymisja Zachodu była tak bezwzględna, a fascynacja kryteriami *Real-politik* tak natrętna, że sami Niemcy zorientowali się, że coś tu nie klapuje, i że właśnie w Niemczech, krótka pamięć jest szczególnie oburzająca.

W komunikacie o spotkaniu Breżniewa z Heinemannem wspomniano więc delikatnie o „zagadnieniach ludzkich" (chodziło przypuszczalnie o Niemców znad Wołgi), a rzecznik sowiecki Zamiatin dostał sporą porcję pytań o los Żydów sowieckich. To był bardzo dziwny rzecznik ten Zamiatin, taki nowy minister „niet". Obaj rzecznicy w Bonn byli w trudnej sytuacji, nic przecież konkretnego nie mogli powiedzieć. Jednak Freiherr, a jakże, von Wechmar próbował ratować sytuację przynajmniej dowcipem (ciężkim, ale zawsze) oraz szczegółowym wyliczaniem menu, prezentów itd. Zamiatin, natomiast (w cywilu dyrektor TASS i przyszły ambasador w USA — pogratulować Ameryce),

bimbał sobie zupełnie z prasy, zgodnie zresztą ze zwyczajami socjalistycznymi. Prasa w Bonn nie była jednak wyłącznie socjalistyczna, więc wyśmiała Zamiatina, kiedy ten z pijackim uporem, ale na trzeźwo powtarzał, że problem berliński nie istnieje, nie może więc być dyskutowany, chociaż wszyscy żeśmy wiedzieli, że właściwie tylko o to chodzi i tylko o tym dyskutują kochankowie z Oreandy. Mniej się śmiano, kiedy Zamiatin oświadczył, że nie istnieje także problem Żydów sowieckich.

Ja rozumiem, że nie jest przyjemnie Rosjaninowi inkasować lekcję moralności akurat w Niemczech. Zamiatinowi jednak należała się, nie wolno mu bowiem było w odpowiedzi na nieprzyjemne pytania wykrzyknąć wobec prasy światowej, a nie tylko niemieckiej: *„Ordnung muss sein,* także w ZSSR, u nas wszyscy mają równe prawa, nawet jeżeli się to niektórym na tej sali nie podoba". Zamiatin ordynarnie odtrącił podawane mu listy w sprawie Żydów czy Niemców i warknął: „Ja nie jestem ministrem poczty, tylko informacji".

Oczywiście, nie brakło potem komentarzy i uwag, w prasie i w kuluarach, ale prawdziwej rehabilitacji opinii niemieckiej dokonał dopiero II program telewizji zachodnio-niemieckiej. Oficjalna część pobytu Breżniewa kończyła się w poniedziałek 22-go maja wieczorem, podpisaniem deklaracji końcowej, kolacją na 150 osób (30 kg kawioru, łosoś, wódka, szampan etc., wszystko przywiezione z Moskwy czekało w zalutowanych skrzyniach) oraz odtworzeniem z taśmy przemówienia Breżniewa do zachodniej części narodu niemieckiego.

Otóż dyrekcja telewizji postanowiła przedzielić transmisję z podpisania deklaracji od przemówienia Breżniewa projekcją filmu „L'Aveu", nakręconego według książki Artura Londona, jednego z trzech oskarżonych, którym udało się przeżyć proces Slansky'ego. Film kończy się zdjęciami dokumentarnymi z inwazji Pragi w 1968 roku. Ostatnia scena to mur w Pradze ze słynnym sloganem: „Leninie, obudź się, Breżniew zwariował!"

W takim zaprogramowaniu wieczoru nie może być mowy o gaffie, choć nic naturalnie oficjalnie nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że wszyscy zrozumieli aluzję...

Krach am Rhein

„Kiedy jestem za kierownicą, czuję, że nic złego nie może się wydarzyć", powiedział Breżniew w Bonn kiedy mu przekazano prezent od kanclerza — Mercedesa 450 SHL — najnowsze cudo przemysłu NRF. Breżniew stał się w ten sposób pierwszym beneficjentem tej pomocy technologicznej, której pragnie dla wszystkich ludzi sowieckich. Cóż, kiedy od razu, już w czasie pierwszej próby na Petersbergu, Breżniew opętany demonem szybkości, nieostrożnie włączył wsteczny bieg, trzepnął o kamień i rozwalił karter olejowy. Facet z protokołu zimno wtedy oświadczył dziennikarzom: „Nie można powiedzieć, aby karter był *ganz*

kaputt, nie można jednak powiedzieć, aby był w zupełnym porządku...".

Wielkiego zmartwienia nie było, Breżniew bowiem dostał natychmiast innego 450, a tylko kolor jego zamiast szaro-srebrnego był metalizowany niebieski.

„Kiedy jestem za kierownicą..." Hm... Nie ma jednak tego złego, co nie wyszłoby na dobre. Breżniew, wielki mistrz oportunizmu zwanego pragmatyzmem, wysnuje zapewne wnioski i z tej lekcji historii. Miejmy więc nadzieję, że będzie bardziej ostrożny włączając wsteczny bieg w Moskwie...

BRUKSELCZYK

Pisane 8 czerwca 1973.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 226 — ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Praca przedstawia dzieje Dwudziestolecia Polski Niepodległej, specjalnie szczegółowo naświetlając przygotowania Stalina i Hitlera do rozbioru Polski. Książka nie mogła ukazać się w kraju.

Str. 456. Cena F. 35 (dol. 8,00; £.stg. 3.00)

◆

TOM 227 — KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

Powieść młodego ale już znanego pisarza malująca stosunki Polski prowincjonalnej.

Str. 180. Cena F. 20 (dol. 4,50; £.stg. 1,75)

W sowieckiej prasie

Rzadko można spotkać w prasie sowieckiej tak bezsilną rozpacz, taką beznadziejność. Szkic N. Mielnikowa, zamieszczony 16 maja br. w *Litieraturnoj Gaziecie* ma neutralny tytuł: „GUM. U Fontana". Podtytuł wyjaśnia natomiast o czym chce opowiedzieć pisarz, mianowicie: „Jak uczeń trafił na ławę oskarżonych". Niezwykle prosto — ograniczając się jedynie do najbardziej niezbędnych faktów — N. Mielnikow referuje „sprawę". 14-letni Andriej Matwiejew, uczeń z miasta Wozniesieńska, przyjechał do Moskwy. W GUM-ie — największym moskiewskim magazynie — wyciągnął z kieszeni obywatela Suworina 2 ruble 16 kop. Matwiejew został zatrzymany na miejscu przestępstwa i dostawiony do komisariatu milicji. Przyznał się do winy. Pieniądze zostały zwrócone poszkodowanemu. Andriej Matwiejew był oskarżony z § 144 — o kradzież.

„Podsądny Matwiejew był w szkolnym mundurku. Gdy siedział opuściwszy głowę, to zza balustrady widać było jedynie czubek jego ostrzyżonej głowy. Był małego wzrostu, a balustrada wysoka. — Wstać! Sąd idzie. Matwiejew wstał, wstała kobieta siedząca w pierwszym rzędzie i ja. Nie było nikogo z postronnych — oprócz mnie. Kobieta z pierwszego rzędu okazała się matką oskarżonego. Nie było ani prokuratora, ani obrońcy. Rodzice oskarżonego nie zaangażowali adwokata, a prokurator nie uważał za potrzebne brać udział w rozprawie. Sprawa była zresztą jak najbardziej jasna".

Rozpoczyna się rozprawa. Obojętny, apatyczny sędzia. Obojętna, apatyczna matka, która oczekuje, że syna „zrobią człowiekiem" w więzieniu.

„Sędzia spojrzał na oskarżonego. — Masz ostatnie słowo. — Matwiejew się nie poruszył. — Wstań Matwiejew. — Wstał.

— Przysługuje ci ostatnie słowo. Czy zrozumiałeś?

— Zrozumiałem.

— Mów tedy.

Matwiejew patrząc w podłogę poprosił: — Dajcie jak najmniej".

§ 144 Kodeksu Karnego RSFSR brzmi: „Potajemne przywłaszczenie własności osobistej obywateli (kradzież) jest karana pozbawieniem wolności na okres lat dwóch, lub robotami poprawczymi na okres jednego roku". Sędzia nie wziął pod uwagę prośby Andrieja Matwiejewa: „Dajcie jak najmniej" — dał mu najwyższy wymiar kary — dwa lata.

Pod koniec rozprawy przyszedł i ojciec Andrieja, nie mieszkający z rodziną. Dowiedziawszy się o wyroku zwrócił się do sędziego z niepokojącym go pytaniem: „Jak będzie teraz z alimentami? — Nie będą chyba ich obecnie potrącać?"

N. Mielnikow kończy swój szkic tak: „Nie, sąd jak sąd. Myślę o Matwiejewych starszych, o tych którzy w biały dzień zaprzedali chłopca". Częściowo można się zgodzić z pisarzem: rodzice sprzedali syna. Ale czy tylko rodzice? A państwo — które skazało dziecko za dwa ruble na dwa lata? Państwo socjalistyczne, niegdyś występujące przeciwko własności osobistej, a teraz chroniące ją nie gorzej niż Anglia Dickensa. Zresztą cała ta historia niezmiernie przypomina sceny opisane przez Dickensa — Anglię z początku XIX wieku.

Do szkicu N. Mielnikowa znakomicie by pasował tytuł książki Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi", dziwi tylko jedna rzecz w jaki sposób ten szkic znalazł się w gazecie.

30 maja br. *Litieraturna Gazieta* wyjaśniła zagadkę, zamieszczając oświadczenie „Od redakcji". W oświadczeniu tym jest powiedziane: „W nr. 20 *Litieraturnoj Gaziety* został zamieszczony szkic N. Mielnikowa „GUM. U Fontana". Fakty przytoczone w nim po ich skontrolowaniu nie zostały potwierdzone. Redakcja przeprasza czytelników. Współpracownicy pisma, odpowiedzialni za opublikowanie materiału bez uprzedniego sprawdzenia, zostali ukarani".

Nie wiem czy pracownicy pisma, a w tej liczbie i autor szkicu, zostaną osądzeni ostrzej niż Andriej Matwiejew. Ważne, że zostaną ukarani. Ważne, że *Litieraturnaja Gazieta* przeprosiła czytelników za to, że — przypadkiem — powiedziała prawdę.

◆

Nowym pozytywnym bohaterem prasy sowieckiej jest kapitalista. Przy czym im kapitalista jest większy, tym bardziej jest pozytywny. Milionera — nafciarza Armanda Hamera witano radośnie gdyż „znał osobiście Lenina" i podpisał umowę na budowę przedsiębiorstw chemicznych w Związku Sowieckim na 8 miliardów dolarów, a potem zostały podpisane umowy na budowę gigantycznego gazociągu za 10 miliardów dolarów. Ale oto pojawił się w Moskwie David Rockefeller, który wprawdzie nie znał Lenina, ale — jak z dumą piszą *Izwiestia* — kieruje „trzecim z kolei największym bankiem świata kapitalistycznego". Czasopismo *Niedielia*, które zamieściło z nim wywiad, nie zapomniało

poinformować czytelników, że aktywy banku na 31. 12. 1972 roku wynosiły 25 miliardów dolarów, i bank ten (Chase Manthattan Bank) otwiera swój oddział w Moskwie, akurat na przeciwko Kremla. Rockefeller nie zdążył jeszcze wyjechać, gdy zjawił się w Moskwie prezes „największego w kapitalistycznym świecie" Bank of America — A. W. Lausen. Oprócz amerykańskich miliarderów cieszą się poważaniem jeszcze i zachodnioniemieccy.

Czytelnik sowiecki dowiaduje się z prasy, że zachodni kapitaliści potrzebują sowieckiego rynku i marzą o rozwoju handlu ze Związkiem Sowieckim. „Dla USA — Związek Sowiecki to najbardziej obiecujący rynek ogromnych rozmiarów" — oświadczył korespondentowi *Izwiestii* amerykański adwokat Sam Pisar, autor wysoko w Moskwie cenionej — „znakomitej pracy": „Koegzystencja i handel". Prasa sowiecka stara się przekonać swych czytelników, że bez handlu ze Związkiem Sowieckim świat zachodni w najbliższym czasie zachwiałby się, zginąłby na skutek kryzysów, bezrobocia itd. Nadmiar zachodnich kapitalistów, którzy rzucili się do Moskwy, ich radosna gotowość mówienia wszystkiego, o co ich poproszą dziennikarze, ich starania by za wszelką cenę dogodzić sowieckiemu kierownictwu (w Paryżu, na pierwszej w historii sprzedaży dzieł sowieckich malarzy socrealistów, 65 najbardziej koszmarnych obrazów zostało rozchwytanych przez amerykańskich milionerów, z którymi mógł konkurować jedynie Signor Agnielli) — dają prasie sowieckiej wystarczającą ilość argumentów dla podbudowania tezy o zbliżającej się zagładzie zachodniego świata. Na pytanie dlaczego pierwsze w świecie państwo socjalistyczne musi ratować walący się świat kapitalistyczny, prasa sowiecka nie daje bezpośredniej odpowiedzi. Pośrednie odpowiedzi na to pytanie — sąsiadujące z tradycyjnymi, marksistowskimi banałami — robią wrażenie, że pisma sowieckie są redagowane przez schizofreników. Na tej samej stronicy można znaleźć informacje o kryzysie gospodarki amerykańskiej, wzroście bezrobocia i cen, a jednocześnie i artykuły o osiągnięciach amerykańskiej technologii, niezbędnych dla Związku Sowieckiego. Nigdy dotąd taka ilość amerykańskich słów i określeń nie weszła, w tak krótkim okresie czasu, do języka rosyjskiego. W ostatnich miesiącach np. określenie *know how* stało się dla sowieckich czytelników tak bliskie jak *walka o urodzaj*.

Sowiecka prasa z ostatnich miesięcy swą bezmyślną niekonsekwencją, swoją schizofrenią, znakomicie oddaje nastroje zakłopotania, które ogarnęło moskiewskich przywódców. Powstaje wrażenie, że nagle zrozumieli iż każdy dzień odrzuca Związek Sowiecki coraz bardziej i bardziej w tył, że pogłębia się kryzys ekonomiczny. Długa seria kosmicznych niepowodzeń, jak również tragiczna katastrofa samolotu Tupolew-144, w czasie salonu lotniczego Le Bourget, są dowodem że sowiecka technologia osiągnęła swoje granice. Aby zrealizować NTR (obecnie najbardziej modny skrót sowiecki: Naukowo-Techniczna Rewolucja) potrzebna jest pomoc Zachodu. Można jednak przypuszczać, że nie wszyscy

sowieccy kierownicy to zrozumieli. Ledwo został otwarty lotniczy salon Le Bourget zastępca sowieckiego attaché lotniczego, ppłk Jewgienij Nikołajewicz Mironkin, został zatrzymany przy wyjściu, gdy próbował wynieść w kieszeniach niektóre interesujące go przyrządy. Mironkin chciał starym sposobem pomóc swojej ojczyźnie w osiągnięciu NTR. Był czas, kiedy to się udawało. Złośliwi Francuzi, ujrzawszy na niebie sylwetkę Tupolewa-144, z miejsca go nazwali „Concordsky" lub „Concordov" — do tego stopnia sowiecki samolot przypominał francusko-angielski Concorde. Staje się coraz bardziej jasne, że droga ppłk. Mironkina do NTR jest bezpłodna, chociaż w Moskwie nie chcą tego otwarcie stwierdzić.

Tych, którzy próbują o tym mówić, prześladuje się coraz bardziej bezlitośnie. Bez względu na to, że komisja lekarska uznała gen. Piotra Grigorienko za całkowicie zdrowego, organy bezpieczeństwa odmówiły swej zgody na jego uwolnienie z kliniki psychiatrycznej, w której przebywa od trzech lat. Sąd specjalny skazał Piotra Grigorienko na dożywotnie przebywanie w byłej pruskiej twierdzy, przekształconej przez władze sowieckie na szpital psychiatryczny, w mieście Czerniachowsku, koło Kaliningradu — dawnego Koeningsbergu. Organy bezpieczeństwa odmówiły również uwolnienia Andrieja Amalrika, który odcierpiał trzyletnią karę i został zatrzymany w obozie na Kołymie. Według dochodzących informacji pociągnięto go znów do odpowiedzialności karnej z § 70 za „agitację lub propagandę, prowadzoną w celu poderwania lub osłabienia państwa sowieckiego... rozpowszechnianie w tym celu oszczerczych wymysłów, szkalujących sowiecki ustrój państwowy i społeczny..." Kara z tego paragrafu wynosi do siedmiu lat łagrów.

Akademik Andriej Sacharow zwrócił się do światowej inteligencji z apelem, by wystąpiła w obronie Andrieja Amalrika i innych ofiar nowej fali prześladowań w Związku Sowieckim.

Aresztowania, zamykania w łagrach i szpitalach psychiatrycznych to jedna strona ideologicznego nacisku, który narasta w Związku Sowieckim. Drugą stroną jest przebudowa polityki kulturalnej. Najbardziej jasno wyłożył nowe zadania postawione przed sowiecką kulturą — a przede wszystkim literaturą — sekretarz Związku Pisarzy Sowieckich, Witalij Ozierow. W czasopiśmie *Znamia* (nr 4, 1973) opublikował programowy artykuł zatytułowany „Duchowa elita, czy bojownicy partii?" Pytanie to dotyczy pisarzy, to ich właśnie zapytuje Ozierow — kim są. Ale dla ogółu czytelników jest jasne że jest to pytanie retoryczne. Biorąc słowa „duchowa elita" w cudzysłów autor artykułu od razu daje do zrozumienia jaki jest jego stosunek do pisarzy uważających się za „właścicieli myśli", do ich aspiracji by poruszać tematy polityczne. Główną myślą artykułu jest to, że pisarze nie powinni, nie mają prawa, mieszać się do polityki. Ozierow odwołuje się przy tym do najwyższego autorytetu — do Lenina. „W 1917 roku, oceniając pacyfistyczny apel Gorkiego do Rządu Tymczasowego o zawarcie „demokratycznego pokoju", Lenin raz

jeszcze podkreślił znaczenie talentu Gorkiego, ale zaraz potem zapytał: Ale po co Gorkij zajmuje się polityką?"

Polityka — to sprawa partii. Pisarze powinni pisać to, co im zleci partia. Nawet Gorkij popełniał błędy, gdy brał się do polityki. Jeszcze gorzej wyszło gdy „wzięli się za politykę" czescy pisarze. Koszmarnym skutkom mieszania się czechosłowackich pisarzy do polityki Ozierow poświęca trzecią część artykułu. Zaraz potem, z dużym uznaniem, cytuje polski tygodnik *Panorama* (Ozierow nie podaje daty, ale wskazuje, że cytowany numer wyszedł po XVIII zjeździe polskich pisarzy, wiosną 1972). W *Panoramie* Ozierowowi spodobał się następujący ustęp: „W ciągu wielu stuleci pisarze byli traktowani u nas jako żywe wcielenie sumienia narodowego. Taki punkt widzenia był całkowicie zrozumiały przy braku jakichkolwiek innych społecznych instytucji, które mogłyby się przeciwstawić polityce ciemiężycieli. Dziś stało się to anachronizmem". Ozierow, komentując cytat, pisze: „Zwróćmy uwagę na słowa 'przy braku jakichkolwiek innych społecznych instytucji'...". Teraz — stwierdza taka instytucja istnieje — taką instytucją jest partia. Wynika z tego, że obecnie pisarz nie musi już być „sumieniem narodowym" — na odwrót, jest to szkodliwe.

„Pod kierunkiem partii — triumfalnie formułuje Ozierow — na swoim odcinku... artyści mogą i powinni jak najwszechstronniej oddziaływać na życie narodu. Opozycyjność wobec socjalistycznego społeczeństwa jest zgubna dla twórczości artystycznej".

W sformułowaniu zawiera się wszystko: pod kierunkiem partii, na swoim odcinku, opozycyjność — jest zgubna. Lepiej byłoby, co prawda, powiedzieć, że jest ona zgubna nie dla twórczości, ale dla twórcy. Ale Ozierow jest przekonany, że go zrozumiano.

W niedawno wydanym w Moskwie kolejnym, siódmym tomie krótkiej Encyklopedii Literackiej, obejmującym hasła od „Sowukraina" do „fiołki", daremnie szukać Aleksandra Sołżenicyna. Jak wiadomo nie uznaje on przywództwa partii i uważa, że jego obowiązkiem jest być „sumieniem narodu". Ozierow i jemu podobni zdecydowali wykreślić Sołżenicyna z literatury...

◆

W poprzednim przeglądzie prasy wyraziłem przypuszczenie, że będzie się wzmacniał sojusz oficjalnej ideologii z ideologią nacjonalistyczną. W ostatnim numerze (nr 106) wychodzącego w Paryżu *Wiestnika Russkogo Studienczeskogo Christianskogo Dwiżenija* zamieszczono tekst wywiadu, który Władimir Osipow udzielił dziennikarzom amerykańskim. Władimir Osipow jest redaktorem samizdatowego pisma *Wiecze*, „pierwszego — według jego słów — organu rosyjskiego narodowego kierunku, który ukazuje się w ZSSR". Stwierdziwszy, że „ani jedna redakcja w USA" nie ogłosiła wywiadu, udzielonego korespondentowi AP, Władimir Osipow przesłał tekst do Paryża. W liście do redakcji

Wiestnika S.S.Ch.D. Osipow bardzo zwarcie i jaskrawo przedstawia zasady ruchu skupiającego się wokół pisma *Wiecze.*

„Jestem całkowicie przekonany — pisze — że nie ma innego wyjścia z moralnego i kulturalnego impasu, w którym znalazła się Rosja, jak oparcie się na rosyjskiej narodowej świadomości — świadomości narodu licznego i mającego tradycje państwowe. Dzisiejszemu pijanicy trzeba powiedzieć: jesteś Rosjaninem. Masz wielką historię i wielką kulturę. Swoim zachowaniem się znieważasz pradziadów. „Wstań i umyj się". Nasz — tzw. „nacjonalizm" ochronny, to realizacja instynktu samozachowawczego ginącego narodu. Tak! To brzmi strasznie, ale rosyjski naród może zginąć. Po pierwsze moralnie i kulturalnie. Po drugie nasz naród zanika liczebnie: współczesna kobieta rosyjska ma nie więcej niż jedno — dwoje dzieci".

Władimir Osipow wyciąga z tego następujące wnioski: „Uważam, że nawet problem praw człowieka jest *mniej* (podkreślenie Osipowa) ważny w obecnej historycznej chwili, niż problem ginącego narodu rosyjskiego... Zniknięcie rosyjskiego pierwiastka z oblicza ziemi byłoby katastrofą dla całej ludzkości".

W odpowiedziach na zapytania amerykańskich dziennikarzy W. Osipow szczegółowo wykłada filozofię i zadania pisma *Wiecze.* W liczbie duchowo bliskich pisarzy i filozofów Osipow wymienia „w okresie po Dostojewskim" Wasilija Rozanowa, poetów Nikołaja Gumiliowa i Nikołaja Kliujewa, pisarza Andrieja Płatonowa, filozofa Pawła Florienskiego, „który zdumiewająco umiał połączyć zrozumienie naukowo-technicznej misji XX wieku z zazdrosnym prawosławiem", Nikołaja Bierdiajewa. Wśród filozofów zachodnich redaktor *Wiecze* uwypukla Martina Heideggera, określając go jako „wielkiego filozofa naszych i nie tylko naszych czasów".

Na zapytanie o rolę Sołżenicyna w społeczeństwie sowieckim W. Osipow odpowiedział, że „w latach sześćdziesiątych Sołżenicyn stał się moralną siłą, przeciwstawiającą się określonym początkom współczesnej państwowości. W ostatnich czasach Sołżenicyn, według nas, popełnił błędy, które mogą okazać się fatalne dla dalszego spełniania przez niego jego powołania".

W. Osipow przyznaje, że *Wiecze* i jego zwolennicy usiłują stworzyć ideologię niezbędną dla uratowania narodu rosyjskiego, gdyż w chwili obecnej zagrażają mu „komunistyczne Chiny i nieustająca wrogość kosmopolitycznego kapitału".

Terminologia Osipowa, to zbiór najbardziej używanych określeń w sowieckim, rosyjskim czarnosecinnym i hitlerowskim języku. „Dopóki istnieją światowe siły kosmopolityczne — stwierdza redaktor *Wiecze* — działacze jakiegokolwiek narodowo-kulturalnego ruchu nie mogą liczyć na bezpieczeństwo". Oskarżenia o antysemityzm — stwierdza Osipow — są wysuwane przeciwko każdemu ruchowi narodowo-kulturalnemu w każdym kraju, przy istnieniu żydowskiej diaspory. Żydzi są wiecznymi wrogami ruchów narodowych.

Dla Osipowa Rosja, to wszystkie narody wchodzące w skład państwa sowieckiego. Na zapytanie: „Jaką pomoc uzyskał pan dla pisma?", Osipow odpowiada: „Znaleźliśmy całkowite poparcie w narodzie rosyjskim... Z naszymi poglądami sympatyzują również liczni „tubylcy" (tak w carskiej Rosji nazywano wszystkich nie-Rosjan). I dodaje łaskawie: Ukraińców i Białorusinów nie odróżniamy od Rosjan. Myśl, że Ukraińcy i Białorusini chcą „odróżniać się od Rosjan" widocznie nie przychodzi mu do głowy.

Wywiad kończy się pytaniem: „Jaki ustrój państwowy najbardziej odpowiada celom waszej grupy?" — Odpowiedź Osipowa jest niezmiernie charakterystyczna: „Sowiecki ustrój socjalny i polityczny oparty na narodowych zasadach i rzeczywistym przestrzeganiu konstytucji ZSSR całkowicie nam odpowiada".

Można by przypuszczać, że ideologia pisma *Wiecze* coraz bardziej odpowiada sowieckiemu kierownictwu. Jednym z potwierdzeń tego punktu widzenia może być usunięcie ze stanowiska pierwszego zastępcy kierownika wydziału propagandy i agitacji KC KPZS Aleksandra Jakowlewa, który został mianowany posłem w Kanadzie. W grudniu ub. roku szczegółowo referowałem ogromny artykuł A. Jakowlewa w *Litieraturnoj Gaziecie,* który był poświęcony wzrostowi słowianofilskich nastrojów w kulturze sowieckiej. Zbyt krytyczny stosunek Jakowlewa do tych tendencji mógł go kosztować stanowisko w KC KZPS.

Adam KRUCZEK

Na Litwie

Prof. St. Westfal był nie tylko polonistą, ale również lituanistą. Podczas swego kilkuletniego pobytu w Kownie poświęcił jedną z pierwszych swych prac roztrząsaniu problemu używalności zwrotów „Na Litwie" i „W Litwie", wykazując statystycznie, ile razy Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" użył którego z tych zwrotów. O ziemiach b. W. X. Lit. będących częścią Rzeczpospolitej Obojga Narodów mówiło się „na Litwie", podobnie jak na Mazowszu. Mówiąc o Litwie „kowieńskiej", zdaniem prof. Westfala, można było używać obu form, ale wydaje się, że obecnie byłoby bardziej właściwe używanie formy „w sowieckiej republice litewskiej", a nie *na* sowieckiej Litwie.

Toteż tytuł, użyty powyżej znaczy, że będzie mowa o Litwie „z przyległościami". Ucisk kościoła nie ustaje i 47 księży archidiecezji wileńskiej przesłało petycję do władz sowieckich nie otrzymując naturalnie żadnej odpowiedzi. Wśród nich są 4 nazwiska o polskim brzmieniu, a jednym z nich jest również ostat-

nio zmarły proboszcz z Wilna, ks. Wieliczko. Czy tylko trzech polskich księży pozostało w archidiecezji wileńskiej?

◆

Sowiecka część Prus Wschodnich wraz z częścią dawnej diecezji warmińskiej, została włączona do diecezji kowieńskiej.

◆

Organ czerwonej armii *Krasnaja Zwiezda* z dn. 21. 12. 72 cytuje przemówienie sekretarza litewskiej partii komunistycznej, Snieczkusa (był dygnitarzem już w 1940 roku) o kursach przysposobienia wojskowego we wszystkich szkołach średnich, wyższych i zawodowych, jak też w wielu, ale jeszcze nie we wszystkich, klubach sportowych, fabrykach, zakładach itd.

Czasem więc Moskwa podaje Litwinów za przykład ducha bojowego, ale czasem karci za tendencje zgoła odmienne i karygodne. Sowiecki państwowy komitet dla spraw sportu zabronił organizowania gry w brydża. Zbyt wielkie zainteresowanie tą grą jest szkodliwe pod względem społecznym. Dozwolone jest granie w brydża jedynie w prywatnych mieszkaniach. Komitet się skarży, że istnieją kluby brydżowe w Wilnie, Tallinie, Kijowie, Lwowie i in. Doszło do tego, że federacje Litwy i Estonii zorganizowały wspólnie turniej brydżowy. (Trwałym następstwem napływu polskich uchodźców w 1939 roku oraz przyłączenia Wilna, było to, że Litwini zaczęli zdradzać swego „preferansiuka" na rzecz mało dotąd znanego brydża).

◆

Coś o dawnych rodach magnackich i ich rezydencjach. W historycznym pałacu w Werkach pod Wilnem mieści się Instytut badań chorób raka.

◆

Z rozczuleniem można było przeczytać na pierwszej stronie moskiewskiej *Prawdy* (czy też *Izwiestii?)* liryczne opowiadanie, jak to zespół artystyczny odegrał w tajgach Sybiru, na żądanie obecnych, „prześlicznego poloneza Ogińskiego". Pielęgnowanie tradycji i wpływów kulturalnych polskich zesłańców? Nie, to była raczej reklama nowego filmu, nakręcanego przez kinematografię republiki białoruskiej, a opartego na życiorysie Michała, Kleofasa Ogińskiego. Książę, podskarbi litewski, stał się postacią historyczną komunistycznej Białorusi.

◆

W Litwie sowieckiej nakręcono wielki film historyczny pt. „Herkus Mantas", o ostatnim wielkim powstaniu Prusów przeciw

zakonowi krzyżackiemu, w XIII wieku. Prusowie, aczkolwiek podbici, lecz nie wyginęli, toteż w litewskiej prasie emigracyjnej odzywają się głosy, że chociaż Polacy i Niemcy spierają się o Kopernika, to trzeba uwzględnić jeszcze trzecią alternatywę. Już przed stu laty dr Basanovicius stwierdził, że pod względem „etnograficznym i antropologicznym" Kopernik był typowym przedstawicielem plemienia staro-pruskiego.

◆

W okolicach Sejn i Puńska, w granicach PRL, zamieszkuje około 10 tys. Litwinów. Grupa ta jest szczodrze wspierana przez emigrację, prawdopodobnie pośrednicząc też w przesyłkach do Litwy sowieckiej. Ostatnio organizacje charytatywne wzmogły kontrolę nad tą akcją wobec ujawnienia malwersacji i kradzieży, jak również faktu, że niekiedy przesyłki otrzymywali Polacy.

◆

Litewskie organizacje w Polsce (90 % członków zarządu należy do partii) wydawały dwumiesięcznik, który ostatnio został zamknięty przez władze PRL. Fakt ten komentuje litewsko-amerykański *Draugas*, stwierdzając, że spośród wszystkich sąsiadów Litwa doznała najwięcej krzywd ze strony Polaków. Wobec tego, że Polska dzięki Litwie uzyskała nawet dostęp do Morza Czarnego itd. itd., winna teraz odstąpić Litwie okręg Sejn, a przynajmniej traktować Litwinów przychylniej.

Wątpliwe jest czy Litwini sejneńscy byliby z takiego przesunięcia granicy zadowoleni, bo np. okręg Ejszyszki-Soleczniki w Litwie Sowieckiej ma około 90 % Polaków a tylko 7 % Litwinów, to jest mniej niż przed wojną, gdyż część ich podając się za Polaków repatriowała się do Polski.

Działalność Emigracji

Aby przeciwdziałać niepomyślnym uchwałom konferencji w Helsinkach, Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy (VLIK) sfinansował kosztem 10 tys. dolarów wydanie zbioru 250 dokumentów „USSR-Germany Agression Against Lithuania", 543 stron, cena 15 dol. Wydawnictwo Robert Speller and Sons, Publishers, Inc., 10 East St., New York, N.Y. 10010. USA.

Skoro już mowa o dokumentacji, to warto nadmienić, że dr Dow Levin z Hebrew University, Jerusalem, zbiera materiały do dziejów żydowskiego ruchu oporu na Litwie i Łotwie w czasie okupacji niemieckiej.

◆

VLIK uruchamia swą delegaturę w Canberze, wobec przygotowań do otwarcia tam ambasady Chin komunistycznych. Litwi-

ni chcą zwrócić się do chińskiej ambasady, której rząd nie brał udziału w Jałcie i Teheranie, aby poruszył w Organizacji Narodów Zjednoczonych sprawę bezprawnej inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego.

◆

Niemcy Adenauera popierały Antybolszewicki Blok Narodów (ABN), a obecny kanclerz Brandt już w roku 1945 oświadczył, że włączenie polskich ziem wschodnich i państw bałtyckich do Związku Sowieckiego jest słuszne i sprawiedliwe.

◆

W prasie litewskiej odzywają się głosy, że wobec niemożności odzyskania niepodległości, należy dążyć do uzyskania statusu satelickiego, jak np. Polska czy Węgry.

◆

Redaktor kwartalnika *Metmenis* rzuca ciekawą koncepcję filozoficzną, czy też taktyczną, dla emigracji „Utrzymywanie i ożywianie kontaktów z Litwą, zwalczanie nie marksizmu, lecz antydemokratycznych elementów — tak w sowieckim marksizmie, jak też w strukturach innych systemów. Nie występowanie przeciw narodowi rosyjskiemu czy przyjaźni narodów, lecz przeciw elementom dominacji w stosunkach litewsko-rosyjskich jak też w ogóle między narodami. Wyrabianie światopoglądu opartego na koalicji krzywdzonych przez potęgi polityczne, ekonomiczne i ideologiczne. Taka koalicja winna być oparta na moralnym zobowiązaniu nie wyłączania z niej nikogo i nie służenia żadnej dominującej potędze. W praktyce uchodźczej „wyłączanie" i „służenie" jest zazwyczaj jednocześnie stosowane.

◆

W związku z tarciami i sporami ideologicznymi w łonie emigracji cytowany jest artykuł z *Die Welt*, omawiający dzieje rozkładu rosyjskiej białej emigracji. Akcja Moskwy poprzez sympatyków rewolucji nie dawała wyników, a dopiero gdy agenci zaczęli udawać ultra-patriotów anty-komunistów i zwalczać kierownictwo emigracji jako kolaborantów-krypto-komunistów — osiągnięto cel. Jesienią ub. roku jeden z czołowych działaczy emigracyjnych, V. Alsejka, wrócił na Litwę zabierając liczne dokumenty z długiego okresu swej działalności. Z jego rewelacji można wnosić, że był on od dawna sowieckim agentem.

Lecz jest to wypadek odosobniony. Na ogół litewska emigracja pracuje solidarnie, przy czym kierunek nadają — by użyć polskiej terminologii — tzw. Niezłomni.

E. ŻAGIELL

"Lituanus"

Wydawany od 1954 przez fundację o tej samej nazwie i redagowany przez litewskich profesorów i wykładowców na amerykańskich uczelniach (w ostatnich latach przez Ant. Klimasa z uniwersytetu w Rochester, Ign. K. Skrupskelisa z uniwersytetu Płdn. Karoliny i Tom. Remeikisa z kolegium św. Józefa w Indianie; uprzednio w skład redakcji wchodzili m.in.: Anat. Matulis z Purdue uniwersytetu w Indianie, Bron. Vaszkelis z kolegium Lafayette'a w Pensylwanii i Ant. Sužiedelis z katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, D.C.), *Lituanus* ukazuje się regularnie od prawie 20 lat w niedużych, przeważnie 80-stronicowych zeszytach, ostatnio w nakładzie nieco powyżej 4.000 egzemplarzy. Z nich około 3.800 otrzymują stali prenumeratorzy, zaś około 50 sprzedaje się oddzielnie.

Ogłaszany w każdym zeszycie program mówi, że jest to wydawnictwo artystyczno-naukowe, poświęcone omawianiu wszelkich zagadnień dotyczących krajów i narodów bałtyckich, ze specjalnym uwzględnieniem Litwy; przyjmuje jednak również artykuły o problemach ogólnych Europy Wschodniej oraz Związku Sowieckiego.

Poza niezbyt licznymi wyjątkami, artykuły w *Lituanusie* pisane są przez Litwinów i noszą charakter informacyjny. Czytelnicy dowiadują się z nich o litewskiej kulturze i historii. Wykorzystując amerykańskie możliwości techniczne, *Lituanus* poświęca sporo miejsca sztukom plastycznym. W kilku artykułach omawiał niezwykłą twórczość Czurlionisa, dając reprodukcje 10 jego obrazów, poza tym pisał o innych plastykach litewskich w kraju i na emigracji: malarzach, grafikach, rzeźbiarzach, zamieszczając zazwyczaj doskonale wykonane reprodukcje ich prac. Są wśród nich Paulius Augius, Rom. Bukauskas, P. Kiaulenas, Vit. Kaszuba, Vit. Kasiulis, Ant. Monczys, K. Raczkus, Zita Sodeike, Rom. Viesulis, Giedre Zumbakis i inni.

Przekłady wierszy poetów litewskich — niektórzy z nich, jak np. K. Bradunas, V. Macernis, J. Mekas, H. Nagys, H. Radauskas, nie są dzięki J. Kekstasowi obcy czytelnikom *Kultury* (zeszyty 61 i 96 z 1954-5) — krótkich opowiadań (Al. Baronasa, J. Jankusa) czy jednoaktówek (K. Saji, K. Ostrauskasa, Alg. Landsbergisa), względnie wyjątków z dłuższych dzieł V. Kreve, Mykolaitisa-Putinasa, czy Balysa Srougi, dają czytelnikom *Lituanusa* obraz

* *Lituanus*, the Lithuanian Quarterly, P.O.Box 9318, Chicago, Illinois, 60690.

literatury litewskiej. Rzadsze stosunkowo artykuły, głównie redoktora Klimasa i Williama R. Schmalstiega, informowały ich o szczególnych właściwościach litewskiego języka, zaś artykuły L. Szimutisa o litewskiej muzyce.

Wśród stosunkowo licznych artykułów na tematy historyczne, znajdujemy m.in. R. Misiunasa o cerkwi prawosławnej w państwie litewskim w 1315-1377; J. Jakstasa i Wandy Srouga o bitwie pod Grunwaldem; Al. Platerisa i tejże Wandy Srouga o kodyfikacji praw W. Księstwa i o Statucie Litewskim; J. R. Raczkauskasa o Komisji Edukacji Narodowej w 1773-1794; Pr. Cepenasa i V. Trumpasa o powstaniach na Litwie w 1831 i 1863, i inne.

Na pograniczu historii i polityki są liczne artykuły o sytuacji na Litwie w ciągu ostatnich lat 30-tu. Wśród nich: St. Lozoraitisa, b. ministra spraw zagranicznych, „A Case for Liberation"; posła V. Sidzikauskasa o sowieckim kolonializmie; Z. Ivinskisa o litewskim antysowieckim powstaniu w 1941; V. Rastenisa o Litwie w okresie „de-stalinizacji" i inne.

Szczególnie interesujące, choć niezbyt często w *Lituanusie* drukowane są materiały o charakterze dokumentacyjnym, jak np. o estońskich rozmowach w Moskwie na jesieni 1939 (w zeszycie 2 z 1968); listy Gedymina z lat 1322-4 (w zeszycie 4, 1969); o litewskich deputowanych i ich działalności w I i II Dumach rosyjskich (1971/2); o procesie o nauczanie religii w listopadzie 1971 w Kownie (1971/2) i wreszcie cały zeszyt 3 w 1972 r. poświęcony sprawie oddania przez Amerykanów w ręce sowieckie Wincentego Kudirki.

Jak z powyższego wynika, w ciągu ubiegłych lat treść *Lituanusa* była bardzo interesująca i różnorodna. W związku ze zbliżającym się jego dwudziestoleciem, należy mu życzyć dalszego pomyślnego rozwoju.

W. S.

Kronika czeska i słowacka

Nowe kodeksy

23 kwietnia 1973 roku parlament federalny Czechosłowacji przyjął szereg ustaw w dziedzinie ustawodawstwa karnego, które bez wątpienia przejdą do historii prawa karnego jako takiego a tzw. prawa karnego socjalistycznego w szczególności. (W okresie gdy szereg państw Europy, np. Szwecja, podejmują wysiłki w kierunku humanizacji prawa karnego, kiedy prawnicy i socjologowie poszukują nowych dróg w kierunku ulżenia doli więźnia, jego reedukacji i rehabilitacji nowe ustawy czechosłowackie dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Poza zaostrzeniem sankcji karnych

wprowadzono nowe przepisy karne stanowiące po raz pierwszy chyba w dziejach usankcjonowanie tego co nawet w ustawodawstwie stalinowskim nie było określane jako przestępstwo).

Pierwszą istotną zmianą jest podniesienie górnej granicy kary pozbawienia wolności z 15 do 25 lat. Przy czym nie sam fakt obostrzenia sankcji karnych zasługuje tu na uwagę. Ważne jest również uzasadnienie nowego projektu. Rządowy referent projektu wicepremier prof. Karol Laco stwierdził bowiem, że jest to krok na drodze zniesienia kary śmierci, z tym jednak, że ta ostatnia pozostaje nadal w mocy i nie wytyczono żadnych terminów co do jej ewentualnego uchylenia. Prof. Laco zaznaczył jednak, iż byłoby niesprawiedliwe, gdyby osoby zasługujące na surowszą karę otrzymywały „tylko" 15 lat. Czyli, że w okresie „przejściowym" (który trwać może bardzo długo) stosowane być mogą kary powyżej 15 lat a ponadto w „wyjątkowych" przypadkach można nadal orzekać karę śmierci.

Drugą zmianą jest uzupełnienie osławionego § 112 kodeksu karnego przewidującego kary więzienia za szerzenie „nieprawdziwych danych o stosunkach wewnętrznych republiki". Obecnie owe „nieprawdziwe dane" rozszerzone zostały na sferę stosunków międzynarodowych oraz polityki zagranicznej.

Dalsza zmiana dotyczy sfery wykonania kary pozbawienia wolności. Tu wprowadzono zupełnie nowe pojęcia przestępstw. Są to przestępstwa przeciwko dyscyplinie w zakładzie karnym. Są zatem przestępstwem: głodówka, odmowa wykonania powierzonej pracy, symulacja choroby, samookaleczenie się. A zatem stany, których nie znajdujemy nawet w stalinowskim kodeksie karnym z 1926 roku ani z lat późniejszych.

Następna reforma dotyczy prawa o wykroczeniach: można zamknąć na trzy miesiące człowieka, który „systematycznie, bez uzasadnienia opuszcza swą pracę powodując przez to zakłócenia w produkcji". W dyskusji toczącej się na temat projektu tej ustawy jeden z prokuratorów domagał się sprecyzowania pojęcia „systematyczny". Postulował on określenie minimum nieobecności w pracy dla zakwalifikowania jako czyn karalny, ale autorzy ustawy doszli do przekonania, że zawsze lepiej mieć przepisy niejasne, które można dowolnie interpretować.

Zmiany w procedurze karnej dotyczą takich zagadnień jak ekspertyza biegłych oraz kontrola korespondencji. Jeśli chodzi o pierwszą sprawę to zastąpiono stosowaną dotąd praktykę składania przez biegłych zeznań ekspertyzami wydawanymi przez uprawnione instytucje państwowe. Oznacza to zwiększony wpływ organów policyjnych na orzecznictwo sądów. Poza tym wprowadzono znaczne ułatwienia dla policji w zakresie dokonywania rewizji domowych czy kontroli korespondencji osobistej *bez* zezwolenia sądu czy prokuratora. Dalszą poprawką w procedurze karnej jest ograniczenie możliwości powoływania obrońcy z wyboru.

Ostatnia ustawa dotyczy nadzoru wobec osób zwolnionych z więzienia po odbyciu kary czy też zwolnionych warunkowo. Nadzór ten należy do kompetencji organów policyjnych i w niektórych przypadkach jest obligatoryjny.

Nowy czeski minister kultury

Pewnym zaskoczeniem była zmiana na stanowisku ministra kultury republiki czeskiej. Dotychczasowy minister, Miloslav Brużek, opuścił to stanowisko „na własną prośbę oraz na wniosek rządu republiki czeskiej". Nie wyjaśniono bliżej na czym polega ta niecodzienna formuła. Brużek — stary aparatczyk — objął stanowisko w lipcu 1969 i stał się jednym z głównych rzeczników „normalizacji" w dziedzinie kultury czeskiej. Nowym ministrem

został — również niespodziewanie — Milan Klusak, człowiek, który w kołach kulturalnych w ogóle jest nieznany jako że dotąd był zawodowym dyplomatą (ostatnio wiceminister spraw zagranicznych CSSR). Przypuszcza się, że nominacja Klusaka *(nota-bene* zięcia prezydenta Svobody), człowieka który z ramienia Czechosłowacji prowadził pertraktacje w sprawie normalizacji stosunków z Niemcami Federalnymi, ma na celu wywołania w świecie wrażenia, że polityka kraju staje się bardziej umiarkowana. Tak czy inaczej odwołanie Bružka, który zasłużył sobie na „serdeczną nienawiść" w szerokich kołach społeczeństwa jest raczej zjawiskiem pozytywnym.

◆

Rząd czechosłowacki wprowadził nowe stawki podatkowe od honorariów autorskich. Podatek od honorariów krajowych wynosi 2-5 %, natomiast od honorariów zagranicznych potrąca się 40 % na rzecz tzw. funduszów kulturalnych. Dla tych, którzy drukowani są w krajach „obozu" minister kultury może zastosować zniżki.

Karol SZWEDOWICZ

P. KORNEL KRZECZUNOWICZ
ogłasza przedpłatę na swoją książkę:

HISTORIA JEDNEGO RODU I DWU EMIGRACJI

Książka ta jest 1-szym tomem pamiętników Autora i historią jego rodziny ormiańskiej oraz rodzin z nią spokrewnionych.
Z braku wydawców polskich książka ukazuje się nakładem Autora, który prosi o nadsyłanie przedpłaty w wysokości £ 2.00 na adres:

K. KRZECZUNOWICZ,
4, Thanet Court, Queens' Drive,
LONDON, W.3. OHW, Great Britain.

z dołączeniem kwoty 15 p na koszty inkasa.

Książka zawiera ok. 250 stron i jest ilustrowana. Jej cena księgarska będzie wynosić ponad £ 4.00.

Sprawy i troski

Spełnione marzenia ?

Obiecałam, że napiszę po jakimś czasie o losie emigrantów z Polski do Niemieckiej Republiki Federalnej. Zostawiłam ich, po wyjściu z obozu we Friedlandzie, gdy starali się urządzić, znaleźć swe miejsce na tej ziemi, która, dla wielu z nich, wydawała się być ojczystą. Starali się znaleźć miejsce w społeczeństwie, konsumującym, bez tasiemcowych kolejek w sklepach, tak wymarzone pomarańcze i banany. Liczba tych przybyszy, w pogoni za dostatnim życiem, którego najwyższym symbolem było i jest — posiadanie własnego samochodu — przekroczyła 40 tysięcy w ciągu ubiegłych dwóch lat.

Straciłam ich z oczu. Wpletli się, jak mogli i umieli w nowe społeczeństwo. Rozsiani po niemieckich prowincjach i po dużych miastach — pracowali, uczyli się języka, a często i nowego zawodu, by znaleźć swe miejsce, nietyle pod słońcem, ile we mgle nadreńskiej i w dżunglach wielkomiejskich. Władze niemieckie i organizacje do tego celu powołane pomogły im zdobyć pracę i mieszkania. Młodzież opanowała niełatwy dla niej język w specjalnych szkołach i internatach. Nie sądzę, by pod względem organizacyjnym niemieccy gospodarze mogli sobie wyrzucić opieszałość, czy brak zainteresowania polskimi gośćmi. Najlepszy dowód, że większość osiągnęła już to, po co przyjechała: ma ładne i wygodnie urządzone mieszkania z niezbędnym dla życia w tutejszych warunkach telewizorem. Mają ci ludzie zapewnione jutro. Szczęśliwcy dochrapali się nawet własnego samochodu. Powinni zatem odczuwać zadowolenie, które daje każdemu człowiekowi osiągnięcie postawionego sobie celu. Nawet wtedy, gdy wspomnienia minionego życia, tęsknota za przeszłością, a może po prostu zmęczenie — spędzają czasem sen z powiek.

Tak przynajmniej oceniałam sytuację tych ludzi i, nie chcąc im „włazić butami w duszę", więcej o nich nie pisałam. Aż do 6 lutego 1973 roku, gdy o godzinie 20.15 w drugim programie

niemieckiej telewizji przemówili ci ustabilizowani już przesiedleńcy z Polski językiem ludzi zagubionych.

Erfüllte Träume? Spełnione marzenia? — otwarcie postawił problem autor audycji von Günter Höver, rozmawiając z emigrantami z Wrocławia i Olsztyna oraz z wiosek Prus Wschodnich.

Wywiady przeprowadził z przedstawicielami starszego pokolenia, które ma dobrą pamięć i z młodzieżą, która nie wyniosła prawie żadnych wspomnień i którą już tutaj wychowano. Rozmowy toczyły się w ładnych mieszkaniach przesiedleńców i podczas zabaw, gdy młodzi odpowiadali zadyszani po zakończeniu tańca.

Tragizm wszystkich odpowiedzi prześwietla do głębi sumienia. Nie tylko Polki, ale bardzo wielu Niemców, którzy audycję obejrzeli i o niej dyskutują. Najlepiej oddają ten tragizm słowa 18-letniej dziewczyny, którymi zakończono audycję: „Słyszałam często w Polsce określenie 'niemiecka świnia'. W Niemczech, do których rodzice jechali, jako do swej ojczyzny, dowiedziałam się, że istnieją też 'polskie świnie' *polnische Schweine*".

„W Polsce siedziałem przez 6 lat w więzieniu, jako Niemiec. Po przyjeździe, ludzie tutaj patrzą na mnie z niechęcią, jako na Polaka" — podsumował wrażenia ze swego dwuletniego pobytu emigrant z Prus Wschodnich.

Zakorzeniona nienawiść? Szowinizm? Podejrzenia — i często uzasadnione, że ci wysiedleńcy nie są naprawdę Niemcami? Zazdrość, że obcy przybysze osiągają łatwiej to wszystko, o co rodowity Niemiec musi walczyć w pocie czoła, pracując od 6-tej rano do 7-ej wieczór? Trudno powiedzieć. Bo na ogół przecież, takie przynajmniej odniosłam osobiste wrażenie, w zewnętrznych stosunkach wyczuwa się jakiś kompleks winy Niemców w stosunku do Polaków, czasem nawet żenujący, bo za bardzo manifestowany, co poddaje w wątpliwość jego szczerość. Ale odnosi się to do Polaków, którzy niczego Niemcom w codziennym życiu nie zabierają, którzy nie są ich gospodarczymi rywalami.

Ale chyba są sprawy istotniejsze. Słowiańska „inność", bardziej otwarty charakter, potrzeba dawania i brania ludzkiego ciepła separuje polskich przesiedleńców od mieszkańców rozwiniętego kraju Zachodu, których wyłącznym celem stało się poprawienie warunków życiowych, którzy w pogoni za nową maszyną do zmywania naczyń zapominają, że w bardziej skomplikowany sposób funkcjonuje ludzki organizm, którego siłą napędową jest serce.

Bo wszyscy bez wyjątku emigranci, młodzi i starzy, jeśli nawet nie zetknęli się ze zdecydowaną wrogością, są przeraźliwie samotni. Nie mają do kogo ust po pracy otworzyć. Brak im, już nie tylko przyjaciół, ale nawet normalnych sąsiadów, z którymi można by było pogwarzyć. Młodzi nie bywają zapraszani do domów niemieckich kolegów, w szkole nie nawiązują się żadne przyjaźnie. Nie ma dyskusji, wymiany myśli, jakaś pustka intelektualna. Zdani są więc ci ludzie na samotność w rodzinach, muszą się dusić we własnym sosie i spędzać wieczory przed

telewizją, której piękne i żywe barwy nie ułatwiają zrozumienia, a tym bardziej odczuwania oglądanych obrazów zupełnie obcego, ziejącego dla nich nudą, życia.

„Patrzymy co niedzielę z naszego balkonu na tutejszy kościół — opowiadają przesiedleńcy, zamieszkali w Dortmundzie Scharnhost — ale katolickie kościoły w Niemczech nie mają takich wież, jak u nas w Polsce".

„Owszem, dobrze nam się powodzi — mówi żona emigranta z Olsztyna — ale otaczający nas świat jest zimny, jak lód. Jesteśmy ciągle pod presją, zmęczeni pracą, zapomnieliśmy co to jest ciepło domowego ogniska, które dodawało blasku naszemu trudniejszemu życiu w Olsztynie, we Wrocławiu, w najmniejszej wiosce pomorskiej".

„Czujemy się, jak w ciemnym lochu, do którego nigdy nie dociera promień słońca" — skarży się inna emigrantka.

No bo istotnie, w Polsce, drzwi domów sąsiadów stały zawsze otworem, ludzie dzielili ich troski i radości. Kłócili się, plotkowali, kochali, żyli. Tutaj w super-rozwiniętym gospodarczo kraju, czują się jak na pustyni. Osiągnięte w pocie czoła dobra materialne tej wewnętrznej pustki wypełnić nie potrafią. Cóż za tym pozostaje? Spełnione marzenia? Czy też coraz bardziej drążąca serce gorycz, bezbrzeżne rozczarowanie i właśnie pustka?

Najsmutniejsze jest to, że w podobny sposób czują młodzi. Owszem, mówią dobrze po niemiecku, niektórych wysłano do internatów, ale nawet we wspólnym, studenckim życiu pozostali izolowani. Pokazany w telewizji ich taniec z niemieckimi kolegami, mechaniczne bezduszne ruchy, wykonywane bez uśmiechu — przypominały taniec „Chochoła" z „Wesela" Wyspiańskiego. Zresztą tak samo mogliby tańczyć w Polsce z kolegami, z którymi można pożartować i pośmiać się trochę. Więc wielu z tych młodych nie ukrywa, że gdyby tylko mogli wrócić...

Są na pewno przesiedleńcy polscy zadowoleni ze swego losu w NRF. Ale audycja telewizyjna jest dowodem, iż są to wyjątki, potwierdzające regułę. Bo nie ma wątpliwości. Marzenia nie zostały spełnione. Albo zostały spełnione wyłącznie materialnie. A tymczasem tęsknota pożera, wrogość i obojętność otoczenia mrozi do szpiku kości, nie ma ucieczki przed samotnością, nawet w gronie najbliższych.

Trzeba przyznać, że niemiecka telewizja odważnie dotarła do sedna problemu i nie zawahała się przedstawić go swojej opinii. Tak sobie myślę, że być może, kilku Niemców odwiedziło już swych polskich sąsiadów. Ale w ten sposób lody nie zostały przełamane.

Polscy przesiedleńcy cierpią na *mal d'adaptation*, na trudność przystosowania się, tym głębszą, iż dla wielu z nich Niemcy były i rajem utraconym i ziemią obiecaną i że za poczucie więzów z tym krajem, kazano im często w Polsce drogo płacić. Tym większe rozczarowanie. Trudność dostosowania się do nowych warunków prowadzi wielu tych ludzi do kompleksu mniejszej wartości, do zobojętnienia, jeśli nie do depresji.

Jakież jest więc wyjście? Skoro już wybrało się tę drogę, zwłaszcza młodzi, muszą nią iść, przeniknąć do nowych środowisk, starać się wnieść w nie nieco słowiańskiego ciepła, ogrzać je polskim sercem.

Na tę samą chorobę cierpią zresztą wszyscy „zaproszeni robotnicy", cała armia *Gast-Arbeiter*'ów innych narodowości: Turcy i Jugosłowianie, Hiszpanie i Włosi, Algierczycy i Marokańczycy. Ci południowcy, spędzający całe noce pod rozgwieżdżonym niebem, śpiewając i grając na gitarze, czują się jak w więzieniu, zamknięci po godzinie 6-tej wieczorem w zimnych i niezawsze wygodnych mieszkaniach. Bo w całych Niemczech, z chwilą, gdy zamykają się domy towarowe, życie zamiera, a ulice największych miast przekształcają się w bezludne pustynie na których słyszy się odgłos kroków spóźnionego przechodnia. Więc ci ludzie też cierpią. Z tą tylko różnicą, że będąc emigrantami *zarobkowymi*, wiedzą dlaczego. Za kilka lat wyrzeczeń i obcego, zimnego życia, wrócą do swych ciepłych krajów z wystarczającym kapitalikiem, który pozwoli im lepiej żyć u siebie, zgodnie z tym, jak dyktuje im serce i obyczaje. W przeciwieństwie do polskich przesiedleńców, mają drogę powrotu do ojczyzny.

Polscy przesiedleńcy natomiast muszą pozostać, ponieważ świadomie, lub nieświadomie, taki los wybrali i skazali się sami na niemiecką rzeczywistość.

Analizując teoretycznie ich problem, kierując się prawami zdrowej logiki, znalazłoby się dla nich wyjście. Są na świecie precedensy, choćby takie, jakie wybrały Stany Zjednoczone, czy Kanada. Ale żeby takie rozwiązanie losu setek tysięcy ludzi wybrać, trzeba mieć odwagę i chęć nazwać rzeczy po imieniu. Trzeba by było stwierdzić, że nie wszyscy emigranci z Polski są Niemcami, którzy przybyli tu, by połączyć się ze stęsknionymi rodzinami. Że duży procent spośród nich, zwłaszcza ostatni przybysze, którzy przyjechali na podstawie układu między PRL a NRF, ratyfikowanego w maju 1972 roku, są po prostu tym, co im wypomina ludność niemiecka: Polakami, mającymi jakieś luźne powiązania z niemieckością. Stanowią odmienną etnicznie grupę ludzi, mających te same potrzeby kulturalne, obyczajowe, religijne, które trzeba byłoby jakoś zaspokoić.

Jeśli by zatem chciało się spojrzeć prawdzie w oczy, można by było utworzyć grupę Niemców pochodzenia polskiego, rodzaj Polonii niemieckiej. Miałaby taka polityka dwie dobre strony: na krótszą metę ułatwiłaby moralnie proces integracji zwłaszcza młodych. W przyszłości ta Polonia mogłaby się stać jakimś pomostem między społeczeństwiem polskim, a niemieckim.

Wydaje mi się jednak, że dużo wody upłynie w Renie, zanim władze niemieckie zdecydują się na zastosowanie takiej polityki. W tej chwili z ich punktu widzenia jest to niemożliwe. Poważnym atutem Brandta w przeforsowaniu układów z krajami Wschodu, między innymi z Polską, był ich humanitarny charakter, argument, że dzięki Ost-polityce, biedni, prześladowani Niemcy z Polski będą mogli wreszcie wrócić do ojczyzny i połączyć się z rodzinami. Ten ludzki aspekt przemówił do niemieckich wyborców, którzy są dość sentymentalni. Ten moment zaważył na pewno w pewnej mierze 19 października 1972 roku w zwycięstwie wyborczym niemieckiego laureata pokojowej nagrody Nobla.

Jakże więc dziś przedstawić inaczej tę sprawę opinii publicznej? Jakże wytłumaczyć jej, że niemieckie rodziny odwracają się z niechęcią od polskich krewniaków, których istnienia nawet nie podejrzewali? Wiedzą o tym dobrze władze niemieckiego Czerwonego Krzyża, które wzięły na siebie obowiązek przyjęcia przesiedleńców. Wie o tym już część postępowej opinii, która nie zawahała się przedstawić ten smutny problem w audycji telewizyjnej. Ale ogromna większość tej opinii słucha uważnie słów przywódcy chadeckiej opozycji w Bundestagu Rainera Barzela. Nie tylko słucha, ale zgadza się z nimi. 15 lutego 1973 roku w nowym już parlamencie niemieckim Barzel — **którego matka** *nota-bene* nosi także polskie nazwisko — powiedział, iż nie chce być obywatelem Niemieckiej Republiki Federalnej, ale że chce być i pozostać *Niemcem*. A ci spośród jego rodaków, którzy tak myślą i czują, nie zawahają się w pewnym momencie wypomnieć *polnische Schweine*, iż zajęła jego mieszkanie i jego miejsce...

Tak więc, praktycznie rzecz biorąc, nie widzę w najbliższej przyszłości wyjścia dla ludzi, którzy, korzystając w dzień z nudnego, solidnego niemieckiego dobrobytu, śnią często po nocach o polskim niedostatku, wesołym, pełnym humoru i fantazji i co najważniejsze — odpowiadającym ich przyzwyczajeniom, w których wyrośli od dziecka.

Alicja ZAWADZKA-WETZ

Jeszcze o Muzeum polonijnym w Chicago

Gdzie jest ta słynna Polonia chicagowska? Gdzie jest to polskie Chicago — podobno drugie, po Warszawie, miasto z najliczniejszą ludnością polską? Pytania te stawia nieomal każdy Polak przybyły z Europy do Chicago, kiedy nadaremnie szuka kwitnącej Polonii w tym mieście, a znajduje — co najwyżej — jakieś anemiczne ślady polonijnego życia kulturalnego i społecznego.

Na pozór, z daleka, wszystko jest tu imponujące. Istnieją setki różnych organizacji polonijnych na czele ze Związkiem Narodowym Polskim i Zjednoczeniem Polskim Rzymsko-Katolickim, które za kilka miesięcy obchodzić będzie swoje stulecie. W Chicago istnieje 56 kościołów ufundowanych przez Polonię i tyleż „polskich parafii", wspomaganych materialnie przez polonijnych parafian. Piszę o tych parafiach „polskich" w cudzysłowie, bowiem kiedy papież zezwolił odprawiać msze św. w ojczystych językach, to „polskie" parafie z łaciny przeszły na angielski, ponieważ polonijny kler przeważnie nie zna mowy polskiej.

Długa jest tu lista instytucji związanych z polską kulturą. Taką czołową placówką jest Muzeum Polonii w Chicago, są kluby artystyczne, jest polski dziennik i kilka tygodników, są sobotnie szkółki języka polskiego. Jest pomnik Tadeusza Kościuszki a stanąć ma Kopernika.

Dodajmy, że jest parę ulic gdzie znaleźć można polskie sklepy, przedsiębiorstwa i restauracje — przeważnie małe i ledwo wegetujące. I wreszcie jest w Chicago polski cmentarz — jedyna instytucja doskonale prosperująca w Polonii.

W Chicago mieszka — podobno — 800 tysięcy Polaków. Tak uchwalił Kongres Polonii Amerykańskiej. Uchwalić łatwiej niż urodzić, co dawno już zauważył Juliusz Sakowski w swojej książce „Dawne i Nowe Lata", gdzie opisuje jak polska egzekutywa w Londynie „uchwaliła jednomyślnie" podnieść liczbę Polaków w Wielkiej Brytanii ze 140 tys. do 200 tysięcy. W Chicago tak samo jak w Londynie. Tylko tu dodaje się krocie.

Jeśli jednak zdejmiemy powiększające i różowe okulary — wówczas — to wszystko (bez mała), co ma wyobrażać polonijną żywotność w Chicago (i nie tylko w Chicago) da się porównać do sceny teatralnej po skończonym przedstawieniu. Dekoracje jeszcze stoją, ale aktorów już nie ma. Widownia dawno opustoszała. Snują się tylko funkcjonariusze strzegący starych rekwizytów i dekoracji. Publiczność, być może, czeka na nową premierę. Ale chyba nowego „Wesela" nie będzie. Bo nie ma Młodej Polski. Są natomiast młodzi Amerykanie pochodzenia polskiego, potrzebujący etnicznego *background* dla wyprostowania karków w pluralistycznym środowisku amerykańskiej społeczności. Nie łudźmy się, aby pokolenie Amerykanów polskiego pochodzenia mogło powrócić do getta polonijnego, którego mury dawno się rozsypały, ale którego tradycje i intelektualny wzorzec zachował się w poczynaniach starych organizacji polonijnych. Tych ongiś zasłużonych wielce dla Polski i dla Polonii, ale dziś niezdolnych już sprostać potrzebom i zainteresowaniom młodszych pokoleń. *Tempora mutantur...*

„Płonące światło polskiej kultury"

Na tle tych ogólnych rozważań o atrofii życia społecznego Polonii amerykańskiej wyraziście maluje się położenie Muzeum

Polonii, czołowej polonijnej placówki kulturalnej w Chicago, mającej dla polskiej diaspory podobne znaczenie co Biblioteka Polska w Paryżu, co Muzeum w Rappersvil, czy budujący się Polski Ośrodek Kulturalny w Londynie.

Muzeum Polonii w Chicago, o którym ks. prałat dr P. Iliński pisał jako o „płonącym świetle polskiej kultury" na ziemi amerykańskiej, powstało jeszcze przed drugą wojną światową w 1935 roku. Zapoczątkował je niestrudzony historyk polonijny Mieczysław Haiman, gromadząc materiały i pamiątki z życia Polonii Amerykańskiej, które stały się zaczątkiem Muzeum w siedzibie zasłużonego Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce.

Do pewnego czasu było to prywatne Muzeum Zj. Polskiego Rz.-Katolickiego, bowiem organizacja ta ofiarowała siedzibę, przekazała Muzeum własne archiwa organizacyjne i dawała skromne zasiłki na potrzeby bieżące.

Okoliczności — powiedzmy położenie narodu polskiego — sprawiło, że to prywatne Muzeum Zj.P.Rz.-K. stało się czymś więcej niż oświatową przybudówką Zjednoczenia, zyskało rangę skarbnicy naszych dóbr kulturalnych na ziemi amerykańskiej. Nie trudno to uzasadnić.

Kiedy wybuchła wojna w 1939 roku, w New Yorku odbywała się Wystawa Światowa, na której Polska miała swój pawilon pełen cennych dzieł sztuki, które nie mogły powrócić do okupowanego Kraju. Rząd polski zdecydował wówczas, aby znaczną część tych eksponatów oddać *w depozyt* Muzeum Polonii w Chicago. W podobnych okolicznościach (inwazja niemiecka na Francję) Biblioteka Polska w Paryżu oddała *w depozyt* Muzeum Polonii pamiątki po marszałku J. Piłsudskim (kolekcja szabel). W burzliwych latach wojny i tuż po wojnie do Muzeum Polonii napływały różne prywatne depozyty jak np. pamiątki po Ignacym Paderewskim, jak dokumenty, druki i pamiątki po różnych polskich formacjach wojskowych, walczących na frontach zachodnich itp. W czasach późniejszych Muzeum Narodowe w Warszawie przekazuje *depozyt* Muzeum Polonii w postaci obrazów współczesnych malarzy i grafików polskich, chcąc je uprzystępnić całej Polonii w USA. Do Muzeum Polonii trafiają eksponaty z Wystawy o Polskim Millenium, i wiele innych. Są to przeważnie depozyty, czasem dary, których beneficjentem miała być *cała Polonia amerykańska.* Muzeum przestało tym samym być prywatnym muzeum Zj.P.Rz.-K.

Zjednoczenie Polskie Rz.-Katolickie nie było zbyt hojnym patronem Muzeum, lecz w okresie początkowym przychodziło nieraz z pomocą, umożliwiając np. nabycie dla Muzeum cennych dokumentów i pamiątek po Tadeuszu Kościuszce. Przeważnie jednak, aby placówkę utrzymać, Zj.P.Rz.-K. odwoływało się do ofiarności społecznej, uznając tym samym, że Muzeum stało się dobrem całej Polonii.

W warunkach kiedy około 90 % zbiorów Muzeum Polonii stanowią depozyty i dary składane przez całą Polonię, a tylko 10 %

pochodzi z wczesnych donacji Zj.P.Rz.-K. i kiedy pomoc materialna Zj.P.Rz.-K. dla Muzeum zmalała do tego stopnia, iż zaczęło brakować na najbardziej nieodzowne wydatki — wówczas powstała myśl, aby uwolnić Zj.P.Rz.-K. od nadmiernego dlań ciężaru utrzymywania Muzeum, i ciężar ten przerzucić na całą Polonię. Powstała więc, z górą 10 lat temu, specjalna Korporacja p.n. Muzeum Polonii, do której weszli przedstawiciele większych organizacji polonijnych, deklarując gotowość przyczynienia się do budowy specjalnego gmachu dla Muzeum Polonii i do zebrania potrzebnych funduszów na konserwację i inwentaryzację zbiorów.

Wydawać się mogło, że z chwilą powstania Korporacji, przyszłość Muzeum Polonii i jego rozwój został zapewniony. Niestety, gdy mówi się tu o jednoczeniu wysiłków społecznych, to przeważnie myśli się o majoryzacji, o podporządkowaniu.

Zj.P.Rz.-K. zgadzało się na Korporację, ale — jak się w praktyce okazało — udział przedstawicieli bratnich organizacji polonijnych w zarządzie Muzeum polegać miał jedynie na poparciu zbiórki funduszów na cele Muzeum, natomiast ich wydawanie pozostało w dyspozycji osób reprezentujących władze Zjednoczenia w zarządzie Muzeum. I tak np. wieloorganizacyjny zarząd Muzeum występuje z apelem do Polonii, aby ofiarowała fundusze na budowę gmachu dla Muzeum Polonii, ale prowadzenie zbiórki funduszów na ten cel zostaje powierzone zaufanemu urzędnikowi Zjednoczenia, którego sprawozdanie końcowe tak się przedstawia: — zebrano na budowę gmachu dla Muzeum Polonii 32.000 dolarów; koszt prowadzenia zbiórki wyniósł... 34.000 dolarów! Strata 2.000 dolarów. Jakim sposobem? Bardzo prostym. Oto kwestarze ochoczo podróżowali po różnych ośrodkach polonijnych, nie żałując w tych podróżach czasu ani pieniędzy na uprawianie propagandy wyborczej, aby pomóc kandydatowi na prezesa Zj.P.Rz.-K. zdobyć stanowisko na Sejmie Z.P.R.K. Wiadomo, że rozjazdy wyborcze są kosztowne.

Niezależnie od specjalnej zbiórki na budowę gmachu Muzeum Polonii, społeczność polonijna służyła Muzeum pomocą finansową przy różnych okazjach i z tego źródła wpłynęło na potrzeby Muzeum około 100 tys. dolarów. Rzecz w tym jak je spożytkować? Czy na inwentaryzację lub konserwację zbiorów, czy też na pobory zarządców i opłacanie ich sekretarek?

Zbiorom grozi zniszczenie

Kiedy 5 lat temu zaczęły na ten temat chodzić różne słuchy w kołach Polonii chicagowskiej, poszedłem znów do Muzeum, aby na miejscu przekonać się o losach znajdujących się tam zbiorów i rezultatem tych dociekań był mój artykuł w *Kulturze* (Nr 1-2 z 1969 roku), w którym opisałem pożałowania godny stan Muzeum Polonii. Co to jest? — narzucało się pytanie. —

Muzeum czy antykwariat? Kolekcja hobbisty czy też skład różnej starzyzny, której nie ma komu przeselekcjonować? Nikt się nie troszczył o inwentaryzację zbiorów ani o zabezpieczenie ich przed zniszczeniem. Dzieła sztuki dużej wartości marniały na strychu a jakieś przedmioty pozbawione artystycznego smaku lub wartości historycznej zalegały gabloty.

Zaniepokojony tym stanem rzeczy, starałem się wówczas odpowiedzieć na pytanie — co stoi na przeszkodzie, że Muzeum Polonii, posiadające wiele cennych zbiorów niszczejących i nie odpowiednio wyeksponowanych, nie spełnia swej kulturowej roli? Wnioski były następujące:

a) Zjednoczenie Polskie Rz.-Katolickie w Ameryce nie okazuje zainteresowania rozwojem tak ważnej placówki kultury polskiej w Chicago. Ale równocześnie zazdrośnie strzeże przywileju zarządzania Muzeum, nie dopuszczając żadnej organizacji polonijnej do współrządów.

b) We władzach Zj.P.Rz.-K. zasiada wielu doświadczonych i zasłużonych działaczy polonijnych, ale to wcale nie oznacza, że tylko z tego grona trzeba mianować prezesa i większość członków dyrekcji Muzeum, bo do tego potrzebne są inne kwalifikacje.

c) Kustosz Muzeum bez potrzebnych środków materialnych i pozbawiony inicjatywy w zakresie selekcji zbiorów, jest raczej magazynierem niż kustoszem.

Czy to wystąpienie *Kultury* w 1969 roku w obronie Muzeum Polonii przyczyniło się do jakieś poprawy, do ożywienia tej placówki? Raczej nie.

Napisał ktoś w Londynie, że w polskiej diasporze rządzą „święte krowy", że ci, którzy stoją na czele różnych organizacji, uważają sami siebie za mężów opatrznościowych a każdy głos krytyczny o sobie traktują jako osobistą obrazę, jako szarganie świętości narodowych. Tak też potraktowano uwagi *Kultury* o położeniu Muzeum Polonii. Zaczęło się od gniewu na *Kulturę* i zapowiedzi druzgoczących sprostowań, a skończyło się na wstrzymaniu wysyłania zaproszeń na imprezy w Muzeum dla niżej podpisanego. Można i tak.

Ale w kilka miesięcy później, pod naciskiem opinii publicznej, przyszło jakby chwilowe ożywienie zainteresowania pracą Muzeum ze strony władz Zj.P.Rz.-K. Nastąpiła zmiana na stanowisku Kustosza Muzeum; dopuszczono na krótko stypendystę Fundacji Kościuszkowskiej, muzeologa dr. J. Wiesiołowskiego z Polski, do prac nad uporządkowaniem zbiorów. Starczyło tego animuszu zaledwie na parę miesięcy, po czym nastąpił nowy wybuch niezadowolenia, że zbyt wiele osób i instytucji zaczyna się mieszać do spraw Muzeum Polonii. Tym razem, kamieniem obrazy stała się sama Korporacja powołana do zarządzania Muzeum, ponieważ w jej łonie zaczęło narastać niezadowolenie z arbitralnych i pożałowania godnych rządów przedstawicieli Zj.P.Rz.-K. w Dyrekcji Muzeum. Zwołano więc „Zjazd Zarządu i Dyrekcji Muzeum Polskiego w Ameryce", który 26 kwietnia

1970, na wniosek radcy prawnego Zj.P.Rz.-K. poparty głosami urzędników Zjednoczenia, uchwalił... „rozwiązać Korporację Muzeum Polonii" a samo Muzeum oddać z powrotem Zjednoczeniu Pol. Rz.-Katolickiemu.

Wiceprezes Muzeum Polonii, dr A. Rytel, wydał w związku z tą uchwałą broszurę zatytułowaną — „Czyżby Pogrzeb Muzeum". Ks. J. Madaj, sekretarz gen. Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego wystosował list otwarty do prezesa Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego p. J. Pranicy, w którym protestuje przeciwko rozwiązaniu Korporacji.

Decyzja ta wywołała głośne protesty wielu przyjaciół Muzeum, którzy twierdzili, że władze Zj.P.Rz.-K. okazują zbyt mało zainteresowania losem polskich placówek kulturalnych, aby można im zawierzyć przyszłość tak ważnej placówki kultury polskiej na obczyźnie jaką jest Muzeum Polonii w Chicago.

Te smutne przewidywania znalazły potwierdzenie 7 maja 1971 roku, kiedy to nagle, w tajemnicy przed opinią polonijną, władze Zj.-P.Rz.-K. zleciły swojemu radcy prawnemu ogłosić bankructwo własnej spółki wydawniczej, co spowodowało likwidację ich własnego *Dziennika Chicagowskiego*, dwóch tygodników polonijnych i jedynej wówczas polskiej księgarni w Chicago, która miała pecha znaleźć się pod wspólnym dachem w domu wydawnictw Zjednoczenia.

Po pogrzebaniu 3 pism polonijnych, w gestii zarządu Zjednoczenia pozostało Muzeum Polonii. Jaki los czeka tę placówkę?

Oficjalnie głosi się, że wieloorganizacyjny zarząd Muzeum, jakim była Korporacja, nie zdołał zgromadzić potrzebnych funduszów na budowę własnego gmachu dla Muzeum Polonii, wobec czego Zjednoczenie Polskie Rz.-Katolickie znów przejęło Muzeum pod swój tylko zarząd i zamierza — w planowanej, nowej siedzibie Zjednoczenia, wybudować specjalne skrzydło, w którym wygodnie pomieści się Muzeum. Ówczesny prezes Zjednoczenia p. J. Pranica złożył oświadczenie, że zarząd wystąpi z takim wnioskiem na najbliższym Sejmie Zjednoczenia. Ta oficjalna wersja pomija fakt, iż Polonia ofiarowała już ok. 100 tysięcy dolarów m.in. na budowę gmachu dla Muzeum i chce wiedzieć czy zostały one wydane zgodnie z przeznaczeniem.

Istnieją jeszcze inne przesłanki budzące wątpliwość czy zarządowi Zjednoczenia tak bardzo zależy na zapewnieniu przyszłości Muzeum Polonii. Kiedy bowiem istniała jeszcze Korporacja, były podjęte starania o uzyskanie bezpłatnie, od zarządu miasta Chicago, terenu pod budowę gmachu dla Muzeum. Zdołano zainteresować tym projektem wpływowego mayora miasta Daley'a, który — przed decyzją w tej sprawie — chciał odwiedzić Muzeum, ale nie doczekał się zaproszenia ze strony Zjednoczenia.

W lutym 1973 roku autor tego opracowania, zainicjował spotkanie kilku poważnych działaczy polonijnych, interesujących się losami Muzeum z naczelnym dyrektorem oficjalnej placówki,

powołanej do popierania życia kulturalnego, który nam wyraźnie oświadczył, że dysponuje funduszami publicznymi i może dotować Muzeum Polonii, ale dodał... Muzeum Polonii nigdy się do nas o to nie zwracało.

Zamysły likwidatorskie

Oficjalna wersja Zarządu Zjednoczenia o nieokreślonych bliżej planach sfinansowania budowy odpowiedniej siedziby dla Muzeum Polonii, stoi w sprzeczności z projektami likwidacji Muzeum, jakie rozważał zarząd Zjednoczenia w latach 1971-72. Jeden z projektów zakładał przekazanie zbiorów Muzeum do chicagowskiego, amerykańskiego Muzeum Fielda. To Muzeum już raz przyjęło od Muzeum Polonii depozyt w postaci yachtu Bohomolca, aby po kilkunastu latach usunąć tę polską pamiątkę, jako niepotrzebną. W Zjednoczeniu liczono się z tym, że Muzeum Fielda — co nawyżej — przyjęłoby część zbiorów polonijnego Muzeum i że odrzuconą resztę musiano by odpisać na straty. Jest tu pytanie — czy Muzeum Polonii w którym ok. 90 % zbiorów stanowią depozyty prywatne i państwowe może przekazywać cudzą własność do innego Muzeum? Czemu nie oddać to Polonii?

Drugi projekt, rozważany przez Zjednoczenie, to plan przeniesienia Muzeum do Orchard Lake, w stanie Michigan, gdzie mieści się polskie seminarium duchowne i szkoła. Przede wszystkim Muzeum musi być tam gdzie jest liczna Polonia i gdzie jest zainteresowanie jej dorobkiem kulturalnym oraz jej etnicznym zapleczem. Muzeum na dalekiej prowincji, przy zakładzie naukowym, cenionym, ale mającym garstkę studentów (około setki) to grób dla Muzeum. A przy tym w Orchard Lake nie ma odpowiedniego pomieszczenia na zbiory. Są pustawe budynki szkolne. I są kłopoty finansowe.

Oprócz planów Zjednoczenia, przyszłością Muzeum interesują się poważnie działacze polonijni z innych organizacji. Publicznie dyskutowany jest projekt, aby w mającym powstać w Chicago dużym i nowoczesnym ośrodku polonijnym im. Kopernika wzniesiony został specjalny gmach dla Muzeum. Działacze, którzy projektują budowę ośrodka Kopernikowskiego, przewidują koszt budowy tego osiedla na ok. 5 milionów dolarów. Mają oni wpływy wśród polonijnych byznesmenów, finansistów i wśród wolnych zawodów. Ale pewności zebrania potrzebnych kapitałów — jak dotąd — nie mają.

Muzeum — to gmach i zbiory

Przyszłość Muzeum Polonii nie jest jasna, a stan obecny

nie może być dłużej tolerowany, pod groźbą dalszego zniszczenia i zaprzepaszczenia wielu cennych dzieł sztuki i dokumentów, które przechowywane są w warunkach urągających elementarnym wymogom konserwacji zabytków. Nie pomoże w tym przypadku zmiana kustosza, i największy wysiłek nowego kustosza, ks. D. Bilińskiego, aby ratować przed zniszczeniem cenne zbiory, gdy samo pomieszczenie nie ma zabezpieczeń klimatyzacyjnych, ani zabezpieczeń przeciwpożarowych, ani bezpiecznej instalacji elektrycznej. W okresie letnim temperatura w salach z eksponatami dochodzi do 104° F (38° C), gdy nie powinna być wyższa 68° F. Stan wilgotności w pomieszczeniach ze zbiorami dochodzi latem do 90 %, a w zimie, w skutek przegrzania, spada do 10 % i te wahania są zabójcze. W muzeach musi być stała wilgotność ok. 48 %.

Przechowywane w takich warunkach przedmioty szybko niszczeją. W 1970 roku usunięto z Muzeum kilkaset cennych książek, które rozsypały się w proszek — jak twierdzi członek Zarządu Muzeum dr A. Rytel.

Zbiory Muzeum do tej pory nie są skatalogowane, w tym ok. 20 tysięcy książek. Wiele cennych dzieł sztuki wymaga natychmiastowej konserwacji. Krąży w Chicago lista ponad 20 obrazów znanych malarzy polskich, ze zbiorów Muzeum Polonii, których nie można doszukać się w Muzeum.

W tak godnym pożałowania stanie przechowywany jest zbiór muzealny szacowany na dwa miliony dolarów wartości rynkowej. A przecież wartość niematerialna dokumentów, pamiątek historycznych i dzieł sztuki posiada dla nas większe znaczenie.

W kwietniu 1973 roku odwiedził Chicago wybitny uczony, historyk sztuki i muzeolog, prof. K. Estreicher z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego opinii o Muzeum Polonii również zasięgałem. Prof. Estreicher powiedział mi, że naukowcy w Polsce są zdania, iż zbiory Muzeum Polonii posiadają wiele cennych pozycji, zwłaszcza dla historyków i że podstawowym warunkiem zachowania tych skarbów jest umieszczenie ich w budynku, odpowiadającym potrzebom muzealnictwa, aby to co jest dla nas cenne nie uległo zniszczeniu.

Ważą się losy Muzeum

Zbliżający się, jubileuszowy Sejm na stulecie Zjednoczenia ma zadecydować o losach Muzeum Polonii. Jak przystoi na jubileusz — Zarząd Zjednoczenia przygotuje wnioski doprawione optymizmem, afirmujące dokonania, usuwające wątpliwości i nie wymagające refleksji. Zgodnie z tą recepturą, o wniosku w sprawie Muzeum można domniemać, że będzie bronił aspiracji Zjednoczenia do wyłącznego prawa rozporządzania Muzeum i jego dorobkiem. Będzie to patriotyczne ze stanowiska Zjednoczenia i nie patriotyczne ze stanowiska interesów Polonii i polskich

w ogóle. Usłyszymy, po raz któryś, że Zjednoczenie dało początek Muzeum, że się nim opiekowało troskliwie i że nie ma ochoty pozbywać się swej latorośli na rzecz całej Polonii.

Ale może na Jubileuszowym Sejmie Zj.P.Rz.-K. znajdą się delegaci, którzy nie zechcą patrzeć na działalność zarządów Zjednoczenia tylko przez różowe okulary. Ci delegaci mogą zapytać czemu zarząd Zjednoczenia dopuścił do bankructwa i likwidacji pism polonijnych, którymi miał się opiekować wespół z księżmi Zmartwychwstańcami? Mogą się zainteresować nie tylko tym ile Zjednoczenie łoży na utrzymanie Muzeum, lecz również tym kto z tych środków korzysta i z jakim pożytkiem dla placówki muzealnej?

Każda bardziej wnikliwa analiza opiekuńczej działalności zarządów Zjednoczenia, zarówno nad Muzeum, jak nad pismami polonijnymi, czy nad własnym archiwum, prowadzi do wniosku, że troska o dobro kultury polskiej nie należy do tych osiągnięć, władz Zjednoczenia którymi można się poszczycić. Być może, że ten ochoczy mecenat Zjednoczenia nad placówkami kultury polskiej w USA posiada pewne obwarowania, kreślone polityką kościelną w USA, poza które wyjść nie można. Byłoby to złowróżbne memento dla Muzeum Polonii.

Sto lat działalności Zjednoczenia Polskiego Rz.-Katolickiego — to wielka i piękna karta w historii Polonii Amerykańskiej. Zjednoczeniowcy nie tylko budowali kościoły na chwałę Bogu, lecz również, przy tych kościołach prowadzili polskie szkółki i rozwijali polonijne życie społeczne, pielęgnowali tradycje narodowe. Jednak czasy się zmieniają. Odwracają się karty historii. Tam gdzie przed laty były pełne żywotności ośrodki polskie, dziś spotykamy innych gospodarzy. Po wielu parafiach polskich w Ameryce pozostało tylko wspomnienie.

Reasumując: we wrześniu 1973 roku zbierze się w Detroit 51 Sejm Zjednoczenia PRK. Będzie to Sejm Stulecia, bowiem Zjednoczenie powstało w 1873 roku. Zjednoczenie zasłużyło swym dorobkiem społecznym, religijnym i narodowym na uznanie u całej Polonii i na pewno otrzyma tego dowody. Niechże na spotkanie tym uczuciom wyjdą członkowie zarządu Zjednoczenia i delegaci na ten sejm i potwierdzą wolę 47 Sejmu ZPRK, aby Muzeum — poczęte w murach Zjednoczenia — zostało przekazane całej Polonii, jak tego pragnął Mieczysław Haiman, Józef Kania i wielu innych zasłużonych działaczy Zjednoczenia. Muzeum może spełniać swą misję wówczas, gdy jego los nie będzie związany z losami żadnej organizacji, gdy troska o Muzeum Polonii spocznie na barkach całej zorganizowanej Polonii amerykańskiej.

Edward PUACZ

Korespondencja z Australii

Gdy prezydent Nixon swymi wizytami do Pekinu i Moskwy zakończył zimną wojnę, ugrupowania „zimno-wojenne" w kilku państwach sprzymierzonych z Ameryką straciły grunt pod nogami i wybory w końcu ub. roku przyniosły zwycięstwo zwolennikom koegzystencji, dialogu a nawet neutralności.

Może najradykalniejszy zwrot nastąpił w polityce australijskiej. Jeszcze niedawno Australijczycy walczyli wspomagając rząd Południowego Wietnamu, a obecnie ministrowie podejmują delegacje nie tylko Hanoi, ale i Wietkongu. Miodowe miesiące stosunków z Pekinem spowodowały już wymianę ambasadorów i delegacji handlowych, poprzedzoną zerwaniem stosunków z rządem Czang Kai-szeka na Formozie. Ten despekt dla byłego sojusznika z ostatniej wojny przypomina nam, że — jak opowiadał ostatni ambasador R.P. w Czunkingu, A. Poniński — Czang Kai-szek pośpieszył jeden z pierwszych z cofnięciem uznania rządowi polskiemu w Londynie, zawiadamiając ambasadę pismem przysłanym przez urzędniczkę niższego stopnia, nawet bez żadnego grzecznościowego *Sorry*.

Bombardowania amerykańskie Hanoi wywołały tu protesty i potępienie nawet na szczeblu ministerialnym, co spowodowało wielkie ochłodzenie niegdyś kordialnych stosunków amerykańsko-australijskich.

Były po temu i głębsze przyczyny. Zakończenie zimnej wojny spowodowało, że Australia stała się mniej potrzebna Stanom Zjednoczonym, a i amerykański parasol atomowy stał się mniej potrzebny i mniej godny zaufania. A poza tym nowy rząd lewicowy widzi w walce z kapitalizmem, potężnych przeciwników w amerykańskich firmach, które tu zainwestowały ponad 5 miliardów dolarów i prosperowały bardzo dobrze pod skrzydełkiem prawicowego rządu McMahona. Również 5 miliardów mają tu kapitaliści angielscy, poza tym królowa nadaje tytuły „Sir" politykom prawicowym i przemysłowcom. Anglia jednak przystąpiła do Wspólnego Rynku i obopólne preferencje celne wygasły, więc stosunki z rządem brytyjskim także bardzo ochłodły. Ogłoszono konkurs na nowy hymn australijski, mówi się o zmianie flagi itd. Chociaż to wygląda paradoksalnie, ale wrogiem numer jeden jest obecnie Francja z racji swych doświadczeń atomowych na Pacyfiku. Wydaje się, że przy takich czy innych konfiguracjach wojny na Pacyfiku na Australię może spaść bomba sowiecka, chińska, czy nawet amerykańska — ale francuska chyba nie. A jednak psychoza strachu przed skutkami wybuchów na Mururoa ogarnia mieszkańców tego kontynentu i powoduje bojkot okrętów, samolotów i nawet komunikacji pocztowej z Francją.

Stosunki z Japonią są oparte na wzajemnym uzależnieniu gospodarczym. Mocno upraszczając można by dorobek ostatniej dekady określić następująco: Tysiące emigrantów z Europy, zatrudnionych w firmach amerykańskich, wydobywają rudy żelazne, niklowe, boksyt i węgiel na wywóz do Japonii.

Australia z wielkimi obrotami handlu zagranicznego, z kilku miliardowym zapasem dewiz, z wysoką stopą życiową, gdzie wzrost bezrobocia do zaledwie 2 % jest już uważany za rzecz niedopuszczalną, staje jednak wobec grozy osamotnienia w okresie tworzenia się wielkich bloków gospodarczych.

Emigracja

Australia w roku 1945 miała 7 i pół miliona ludności, toteż rzucono hasło: „Zaludnić, lub zginąć". Obecnie zaludnienie wzrosło już do 13 milionów i zwolennicy wzrostu zerowego wołają: zaludnić i zginąć!

Pewien wzrost bezrobocia w ubiegłym roku i napływ przybyszów o nieco ciemniejszej skórze wywołał kampanię, aby zmniejszyć kwoty emigracyjne. W ostatnich trzech latach wynosiły one: 170 tys., 140 tys. a obecnie 110 tys. Partia pracy zapowiadała przed grudniowymi wyborami zniesienie sprowadzania emigrantów na koszt rządu (skorzystało z tego około 2 milionów osób, przeważnie Brytyjczyków) a przyjmowanie kandydatów „sponsorowanych" oraz innych, których kwalifikacje zawodowe, moralne i zdolności asymilacyjne będą odpowiadały wymogom. *Assisted passage* będzie jednak częściowo utrzymany. Wydaje się więc, że te zmiany nie dotyczą Polaków. Mówi się nawet, że po otwarciu ambasady australijskiej w Warszawie, emigracja może będzie ułatwiona.

Po wojnie przybyło tu około pół miliona Włochów, plus trochę Hiszpanów, Portugalczyków itd., około pół miliona uchodźców i emigrantów z krajów komunistycznych, wliczając w to i najliczniejszą grupy 186 tys. Jugosłowian, ćwierć miliona zachodnio-Europejczyków: Holendrów, Niemców, Skandynawów itd., około ćwierć miliona Greków, ponad sto tysięcy Maltańczyków i tyleż Arabów, Turków, Chilijczyków, Anglo-Indusów, Chińczyków itd., itd.

Dziwne były paradoksy polityki emigracyjnej. Na ogół utrudniano dopływ inteligencji z krajów śródziemnomorskich (i dawniej dipisów), natomiast dopływ Azjatów (Hindusi, Chińczycy z Malajów) ograniczono właśnie do absolwentów uniwersytetów anglo-językowych o uznawanych dyplomach.

Na uniwersytecie w Melbourne stwierdzono, że rodziny emigrantów wysyłają proporcjonalnie tyleż młodzieży na studia, co i ogół ludności australijskiej. Lecz wśród emigrantów z różnych krajów są ogromne różnice. Grupa śródziemnomorska ma znacznie mniej studentów, a wschodnio-europejska znacznie więcej.

Wniosek socjologów: „Inteligencja" uchodźcza, chociaż zdeklasowana, okazała jednak że była klasą średnią w stanie potencjalnym, która odradza się w następnym pokoleniu.

Jak jest z tym rasizmem w osławionej „Białej Australii"?

Pewna dziennikarka afrykańska określiła, że anty-rasizm australijski jest wprost proporcjonalny do odległości. Oburzają się tutaj na upośledzenie Murzynów w Ameryce i Południowej Afryce, interesują się nawet losem tubylców w rezerwatach australijskiej północy, ale tego, że w sercu Sydney mieszka dziesięć tysięcy czarnego upośledzonego proletariatu — tego nikt nie widzi. Trochę w tym jest prawdy. Australijczyk potrafi się narazić policji demonstrując przeciwko sportowcom południowo-afrykańskim — ale rodziny maltańskiej do siebie nie zaprosi.

Oblicze przedmieść sydnejskich bardzo „pociemniało". Trzeba być antropologiem by odróżnić Kopta egipskiego, od Chilijczyka, Anglo-Hindusa lub Turka. W pobliżu domu premiera Whitlama mieszczą się kluby powojennej emigracji: polski, niemiecki, ukraiński i chorwacki, a dalej wspaniały klub „Marconi" włoskich farmerów podmiejskich. Ale obecnie zdarzają się wypadki, że kościół protestancki w śródmieściu zostaje wykupiony przez Ormian, a w piłce nożnej na dalekim przedmieściu Macedończycy rozgramiają Assyryjczyków. Nie Syryjczyków, ale Assyryjczyków, którzy podrwiwają z Szacha perskiego, że obchodzi 2500-lecie, kiedy dla nich to był już początek historii nowożytnej — czasów „porozbiorowych".

Oficjalnie rząd partii pracy ma nie stosować dyskryminacji ze względu na rasę, religię, przekonania polityczne itd., ale jak to będzie w praktyce — przyszłość pokaże. Angielscy imigranci, zawsze tu pożądani, nie kryją się z tym, że wielką atrakcją Australii jest jej „białość", a z drugiej strony jeden z ministrów oświadczył, że duchowi spadkobiercy chorwackich „Ustaszi" nie byliby odpowiednim materiałem na przyszłych obywateli australijskich.

Chorwaci

Ostatnio o Chorwatach w Australii było bardzo głośno.

Przed zreferowaniem wypadków parę przypomnień: 1) Angielski oficer, zrzucony w czasie ostatniej wojny do Jugosławii, doradzał popieranie Tito, a nie gen. Michajłowicza. Jeden z powodów: lepiej ten kraj zostawić w sowieckiej strefie wpływów, bo kto nim władał, ten miał zawsze ogromne kłopoty. Rzym w Ilirii, potem Turcy, nawet Napoleon, a upadek Austrii wziął początek z Sarajewa. 2) Chorwaci w Australii w ostatnim dziesięcioleciu urządzili kilkanaście udanych, lub nieudanych, zamachów bombowych. Było kilku rannych Jugosłowian i jeden rodowity Australijczyk, więcej ucierpiały lokale, sztachety i nawet jeden pomniczek. 3) Egzekutywa australijskiej partii pracy,

jeszcze przed objęciem rządów, głosując nad wnioskiem o zniesienie policji bezpieczeństwa ASIO, była podzielona w stosunku 23 : 23. ASIO zajmowała się m.in. tropieniem komunistów i ich popleczników, a że lewicowy odłam partii miał poparcie komunistów ze związków zawodowych, więc zrozumiała chęć rozpędzenia tych tropicieli. 4) W ub. roku mała grupa chorwackich emigrantów dokonała zbrojnej demonstracji na terenie Bośni, byli wśród nich Chorwaci, posiadający obywatelstwo australijskie. 5) Rząd jugosłowiański obiecał spowodować zaproszenie australijskiego obserwatora na konferencję w Algierze państw tzw. niezaangażowanych. Gdy w marcu bież. roku została zapowiedziana wizyta w Canberze jugosłowiańskiego premiera, zarządzono niesłychane środki ostrożności, a minister sprawiedliwości (Generalny Prokurator) na czele 30 federalnych policjantów zrobił „nalot" (czy też złożył wizytę) na siedzibę ASIO opieczętowując szereg dokumentów.

Dnia pierwszego kwietnia o świcie 260 policjantów federalnych i stanowych zrobiło rewizję w 80 mieszkaniach chorwackich w Sydney, przeważnie nie posiadając wymaganych po temu upoważnień sądu. W następstwie rewizji 12 Chorwatów otrzymało wezwania do sądu pod zarzutem posiadania broni, środków wybuchowych, oporu wobec policji, itd. Jeden z aresztowanych chciał popełnić samobójstwo, sądząc że będzie wydany władzom jugosłowiańskim.

Bardzo dwuznaczną rolę w całej tej aferze odegrał rząd jugosłowiański. Datę wykonania wyroków na Chorwatach z Australii podawał kilkakrotnie inną, nie udzielał informacji o kilku zaginionych w Jugosławii, dostarczył tego rodzaju materiały oskarżające Chorwatów australijskich, że nie mogły być zebrane bez udziału agentów jugosłowiańskich działających w Australii. Ujawniono, że przynajmniej w jednym z dawnych zamachów na konsulat jugosłowiański policja podejrzewała prowokację.

Można przypuszczać, że rząd jugosłowiański mając trudności z chorwackim ruchem separatystycznym, obejmującym nawet członków partii, stara się wszystkich utożsamić z Ustaszi, którzy jako kolaboranci, mordercy Serbów i Żydów są zdyskredytowani na całym świecie. W pewnym sensie cel ten został osiągnięty, przynajmniej na tutejszym terenie, bowiem zamachy bombowe grupy terrorystów zdyskredytowały całą emigrację chorwacką w oczach większości Australijczyków.

Rząd australijski zapewnił (po niejakim czasie), że żaden obywatel australijski nie będzie deportowany, ale nie naturalizowani obywatele jugosłowiańscy — podobnie jak i obywatele innych państw, którzy popełnią przestępstwa kryminalne — mogą być deportowani. Jeżeli w grę będą wchodzić motywy polityczne, przestępcy mogą mieć prawo wyboru kraju deportacji (o ile znajdzie się państwo, które zechce ich przyjąć).

Sprawy te były przedmiotem burzliwej debaty w obu izbach ustawodawczych, a senat z większością opozycyjną uchwalił powołanie komitetu dla zbadania sprawy ASIO, ew. naruszenia

praw Chorwatów itd. Gdy odbędą się rozprawy kilkunastu aresztowanych Chorwatów, a komitet senacki zdoła przeprowadzić dochodzenie, może się coś wyjaśnić w tej bardzo zagmatwanej sprawie.

Nowy rząd a Polacy

Ci, którzy zaznali rządów komunistycznych mają pewien uraz i obawy, niekiedy przesadne, toteż gdy w telewizji ukazały się z kolei zdjęcia z obozu młodzieży ukraińskiej z jakimś nadpisem nawiązującym do U.P.A. (Ukraińska Powstańcza Armia) niejeden uchodźca zza kurtyny doszedł do wniosku, że zaczyna się nagonka na wszystkich anty-komunistów i trzeba się solidarnie bronić przeciw deportacjom itd.

Wobec alarmujących pogłosek, że np. kartoteki antykomunistycznych działaczy chorwackich zostały udostępnione policji jugosłowiańskiej, Rada Naczelna Polskich Organizacji w Australii wystosowała protest do premiera Whitlama, znany już czytelnikom *Kultury*.

Lecz wydaje się, że tutejsza Polonia nie jest zagrożona, nie prowadząc energicznej, a tym bardziej nielegalnej akcji politycznj. Jedyna demonstracja przed jedynym w Australii konsulatem PRL, mieszczącym się w Sydney, zaraz po wiadomościach o rozruchach na Wybrzeżu, była samorzutnie zorganizowana przez studentów australijskich. Później Polacy urządzili wiec protestacyjny, jak najbardziej legalnie, z udziałem polityków australijskich — co prawda zaproszony przedstawiciel partii Pracy akurat nie miał czasu...

Pewne światło na stosunek rządu do Polaków rzuciły obchody kopernikowskie. Na wielkie uroczystości w Melbourne przybył premier Whitlam w towarzystwie dwóch sekretarzy prywatnych dr. Wileńskiego i dr. Spigelmana, obu urodzonych w Polsce, toteż popularny tygodnik australijski dał tej notatce tytuł „Warsaw Nocturno".

Tutejsze *Wiadomości Polskie* już w lutym zakończyły krótki życiorys dr. Wileńskiego słowami „australijski Kissinger?" Zaczyna się to poniekąd sprawdzać, gdyż dla złagodzenia stosunków australijsko-amerykańskich i omówienia ewentualnej wizyty premiera Whitlama w Waszyngtonie, udał się tam dr Wileński i przeprowadził półtoragodzinną rozmowę z Kissingerem. Dr Wileński był wieloletnim reprezentantem studentów australijskich w organizacjach międzynarodowych. Skończył medycynę w Sydney, a potem uzupełnił swoje wykształcenie w innych dziedzinach na uniwersytetach Harvard, Oxford, w Kanadzie i w Canberze. Ostatnio był w służbie dyplomatycznej na placówce w Sajgonie. Dr Spigelman (prawnik) był przed paru laty prezesem „Bratniaka" uniwersytetu w Sydney.

Na innym znów obchodzie-bankiecie, gdy Polak wzniósł tradycyjny toast za królową, zaproszony minister miał wznieść toast

za Polską Republikę Ludową. Gdy mu wytłumaczono, że byłoby to dysonansem na tym zgromadzeniu, toast wzniósł jeden z profesorów „Za naród polski, który wydał Kopernika".

Za poprzedniego rządu w sprawach dotyczących organizacji uchodźczych i konsulatu, dawało się raczej wyczuć, że sympatie rządu są po naszej stronie. Natomiast przy obecnym rządzie, w perspektywie otwarcia ambasady PRL, sprawa nie jest jasna, uzależniona od wielu czynników jak np. bliskości wyborów itp.

Urodzeni na antypodach

Można jednak dodać wyniki pewnej pracy naukowej australijskich socjologów, dotyczące najmłodszego pokolenia, bo sztubaków z sześciu szkół średnich w Adelajdzie.

Spośród badanych 96 uczniów płci obojga — 38 miało rodziców Polaków, 31 pochodziło z małżeństw mieszanych polsko-europejskich (przeważnie żony Niemki) i 27 z ojców Polaków i matek Australijek. Żadne dziecko nie uważało się za stuprocentowego Polaka. W grupie czysto polskiego pochodzenia 5 % uważało się za 3/4 Polaka a ćwierć Australijczyka, 34 % pół na pół, 34 % stanowili ćwierć Polacy, a 24 % stuprocentowi Australijczycy. Przeciętna dla wszystkich trzech grup: 3/4 Polacy — 3 %, pół-Polacy — 30 %, ćwierć-Polacy — 27 %, Australijczycy — 36 %, niewyjaśnione — 3 %. Badania te obejmowały również uczniów starszych klas holenderskiego i włoskiego pochodzenia i przyniosły obszerny materiał informacyjny. Omówienie tej pracy ukazało się w sydneyskich *Wiadomościach Polskich*, a następnie w skrócie w *Dzienniku Związkowym* w Chicago pt. „Niepokojący przykład".

Cytujemy ważniejsze fragmenty.

„E. Żagiell podjął trud rozważenia całości problemu, zastanawiając się czy 'szukać winowajców', oraz oświetlając problem odchodzenia młodego pokolenia od polskości na tle istniejącej w Australii rzeczywistości. Warto poznać rozumowanie publicysty, bo przez analogię może będzie można wysnuć pewne wnioski i dla terenu amerykańskiego. Rodzice i nauczyciele? Badania w Wiktorii wykazały, że dzieci australijskie mało się liczą z opinią rodziców i nauczycieli, a głównie z opinią rówieśników. Więc nawet te polskie dzieci, które chodziły do sobotniej szkółki, były w otoczeniu australijskich rówieśników prawie 10 razy dłużej niż w polskim otoczeniu, a często jeszcze dłużej przy telewizorach, przecież nie z polskim programem. Nadzieje, że do utrzymania polskości przyczyni się napływ nowych emigrantów z kraju też mogą być zawodne, bo obserwacje z Ameryki, gdzie już osiadło 150 tysięcy przybyszów z PRL, wskazują że ta ostatnia fala asymiluje się znacznie prędzej niż poprzednie".

„Dotychczas poświęcano masę energii na utrzymanie jak największej ilości młodzieży w polskim społeczeństwie, czy też pol-

skim getcie, resztę — prawie przygniatającą większość — uważając za prawie godną potępienia — za tych, co od nas odeszli. Wydaje się, że nie zmniejszając chwalebnych wysiłków wychowawczych roztoczenia opieki na kurczącą się grupą polskiej młodzieży, należy zająć się w miarę możności i tymi 90 % anglojęzycznej młodzieży australijskiej polskiego pochodzenia. Przydałoby się trochę propagandy, a raczej informacji o polskiej kulturze i historii. Potrzeby te odczuwają również polskie środowiska na innych kontynentach, jak w USA czy w Kanadzie, gdzie ostatnio zaczęły się mnożyć książki i pamflety na ten temat. Drugim czynnikiem zapobiegania całkowitemu odchodzeniu od polskości jest — tolerancja. Pewien „Nowo-Australijczyk", lektor psychologii, tak to ujmuje: gdy konserwatywne starsze pokolenie stara się narzucić swe poglądy młodym, wyrosłym w odmiennym środowisku — powstaje sytuacja konfliktowa, z której młody stara się wycofać. I tak, ten nacisk patriotyczno-konserwatywny zamiast utrzymać młodych w łonie grupy narodowościowej — odpycha ich. Jeśli młody chłopak, mówiący słabo po polsku, odczuje dyskryminację z tego powodu w Domach Polskich — mniej tam będzie uczęszczał. Kwestia językowa często jest tym hamulcem".

„Na pewno uwagi te zasługują na rozważenie w zestawieniu z tą rzeczywistością, jaką obserwujemy na terenie Stanów Zjednoczonych".

Od smutnego tematu młodzieży przejdźmy do jeszcze bardziej ponurego — do staruszków.

Główny napływ polskich emigrantów do Australii miał miejsce w latach 1949/51. Przyjmowani byli kawalerowie do lat 40, a żonaci do 45. A więc wielu żonatych przeszło już na emeryturę, a w przyszłym roku wielu samotnych zakończy pracę. Ludzie bezdzietni mieli wiele możliwości oszczędzania, a że modne było budowanie domów najpierw małych, a potem kupowanie większych, a właśnie ceny nieruchomości podskoczyły tu najwięcej, więc mamy dużo ludzi zamożnych (zwłaszcza wśród małżeństw bezdzietnych). Materia to delikatna i nieporęcznie ją poruszać, ale starzy ludzie umierają. Jeżeli tylko 30-40 staruszków, nie mających krewnych, a mających tylko po 30 tys. dolarów (dolar australijski = 1,45 dolara USA) umrze co roku, to już będzie milion dolarów. Jeśli krewni są w Związku Sowieckim, to dostaną — i to po odliczeniu podatku — po rublu za dolar, czyli że dorobek całego życia emigranta politycznego pójdzie przeważnie do kasy Związku Sowieckiego? Niekiedy samotnicy nie pozostawiają testamentów i cały spadek przechodzi na rzecz rządu australijskiego.

Jak te sprawy się przedstawiają na innych kontynentach, gdzie jest więcej starszych roczników? Temat to drażliwy, ale wart omówienia, bo tu chodzi o dziesiątki milionów dolarów, funtów czy franków polskiej krwawicy.

E. ŻAGIELL

Kronika kulturalna

Jan Cybis

Każda generacja przywłaszcza sobie pewne konflikty, którymi generacja następna przestaje się interesować.

Pierre Boulez

Śmierć Jana Cybisa, przyjaciela i artysty któremu obok Waliszewskiego zawdzięczam malarsko najwięcej, żąda ode mnie próby określenia, obrysowania, w czym tkwiła siła, miara, a także granice jego talentu, siła jego osobowości i jego wpływu na najbliższych kolegów — a potem bezpośredniego i pośredniego wpływu na malarstwo w Polsce. Nie będzie to dla mnie łatwe i temat ten nie może być tutaj wyczerpany: przecież ostatnie trzydzieści pięć lat — więcej niż pół życia jego pracy malarskiej — znam tylko z kilku obrazów, które doszły do Paryża, oraz z reprodukcji, przeważnie czarno-białych. Jego pracy pedagogicznej, jako profesora Akademii, nie znam w ogóle, sam za naszych rzadkich spotkań, mówił o niej, zdawało mi się, niechętnie. Gdy zaczepiałem o nią i o różne kierunki, którymi żyła młodzież przez te lata — a były one przeważnie reakcją *przeciw* temu, co do Polski wnieśli przed laty kapiści — odpowiadał: „Cóż chcesz, uczyć można tylko swojego malarstwa".

◆

W roku 1921 Cybis i ja prawie jednocześnie weszliśmy do Akademii krakowskiej. On ze Śląska, skąd musiał uciekać — z Wrocławia gdzie studiował — bo za Polską głosował, a ja z wędrówek po Rosji i z wojny.

W roku 22-im czy 23-im patrząc na mój autoportret, malowany samymi czerwieniami i zieleniami, powiedział „Twoje malarstwo nigdy nie będzie jałowe, ono jest potworne" (Przynajmniej nie będzie jałowe, powiedziałem sobie i uznałem to za komplement). — Już wówczas, aż po rok 39-ty, gdy wojna nas rozerwała, był dla mnie Cybis nie tylko niezawodnym przyjacielem, którym do śmierci pozostał, ale największym obok Waliszewskiego autorytetem malarstwa. Od pierwszej chwili, obcując z jego malarstwem, miałem pewność jego absolutnego widzenia kolorystycznego (w muzyce mówi się o „słuchu absolutnym") i wrodzonego, absolutnego zmysłu *qualité* malarskiej. Nikt równie jak on (znów poza Waliszewskim) w latach, w których dopiero do sensu malarskiego docierałem, nie nauczył mnie *patrzeć*, odróżniać na czym ten *sens* polega.

Fakt malarski

Uwaga Braque'a *„le peintre ne tâche pas de reconstruire une anegdote mais constituer un fait pictural"*[1] wyraża dosłownie stanowisko nie tylko Braque'a, ale również Cybisa: to *zawężenie* malarstwa do sensu *malarskiego* wyłącznie.

Obcowanie z Cybisem w pracy, nieskończone z nim rozmowy, dyskusje na tle tej pracy, miały na iluż z nas, jego kolegów, wpływ zasadniczy, mieliśmy zawsze wrażenie, że to co mówił nie było nigdy powtórką, belferską retoryką, ale głośno wypowiedzianym wątkiem jego, w *danej chwili*, odkrywczego myślenia.

W sądach malarstwa przeszłości, w ocenach pracy kolegów nie miał sztywnych miar i teorii, lecz nieustannie czujną wrażliwość na „fakt malarski", gdzie by go nie spotkał.

Jeżeli nie mogę zabierać głosu o roli Cybisa w Akademii warszawskiej, bo jej nie znam, zdaje mi się jednak że to co tu piszę o jego roli wśród nas, kapistów, przed laty, może świadczyć chyba również o Cybisie-profesorze, bo niejeden z jego uczniów musiał chyba — jak i my przed laty — z jego myśli i uwag korzystać, pomimo że lata minęły, że młodzież miała już inne widzenie malarskie. Różne były od tego czasu — jak zwykle bojowe — „awangardy", różne formy czystej abstrakcji, a później wątki pochodne od surrealizmu, jeszcze do tego przyprawionego secesją. Kapiści to było to, od czego należało się oderwać, to czemu się należało przeciwstawić.

1. „Malarz nie dąży do odtworzenia anegdoty, ale do stworzenia *faktu malarskiego*".

Świetne, powiedziałbym definitywne, studium o kapistach Jacka Woźniakowskiego (*Twórczość*, nr 3, 1970) „Czy trzeba mieć wstręt do kapistów?" już w tytule wiernie określa stosunek młodych do tego ruchu, do jego wartości i jego wkładu. Jak reagował Cybis na ten stosunek młodych do kapistów, jak również do jego własnego dorobku — czy nad tym cierpiał?

W pośmiertnych głosach o nim jest także mowa, że pomimo sukcesów czuł się samotny.

W artykułach, które do mnie doszły, znajduję wiele ocen trafnych i szczerze entuzjastycznych o Cybisie-malarzu i Cybisie-człowieku. Florczak w *Polityce* np. pisze wiernie o jego metodzie pracy: nie obraz, a praca nad obrazem liczyły się dla niego przede wszystkim (do tego jeszcze powrócę). Bieńkowski w *Twórczości* opowiada, że Cybis o swoim malarstwie zaledwie mówił, a o malarstwie w ogóle mówił właściwie zawsze; jak umiał łączyć nieustępliwość z rzadką czujnością wobec swego rozmówcy, tak że wychodził z rozmowy jak „pokonany zwycięzca". Czytam ten artykuł i zdaje mi się, że słyszę moje własne przed laty rozmowy z Cybisem.

Znak równania

Co spowodowało, że z latami nazwisko Cybisa zostało połączone znakiem równania z kapizmem? Chciałbym przede wszystkim *przekreślić* ten znak równania. To uproszczenie spłyca dzieło Cybisa, fałszując również ocenę kapizmu, którego nie da się wcale określić jako wyłącznie szkoły Cybisa.

„Izmy" są skrótem pożytecznym dla historyków sztuki, dla krytyków, nieraz służą malarzom w walce o miejsce na rynku sztuki, choć jakże często są bumerangiem, który się po latach przeciw nim odwraca. Gdy się na „izmach" ograniczyć, działają one niszcząco przez ułatwione szufladkowanie artystów, którzy jeżeli istnieją naprawdę, powinni być oglądani, przeżywani jako jednostki niewymierne — jedyne.

Taką jednostką był Cybis.

Nie mówiąc już, że dziś słowo kapizm, sprowadzone w opinii publicznej do koloryzmu paruset w Polsce malarzy, niewiele ma wspólnego z hardą i twardą grupą dwunastu malarzy, która w 1924 roku wyruszyła z Polski do Paryża, ani z kapistami, którzy wróciwszy do Polski w roku 31-ym ogłosili w katalogu do pierwszej w Polsce wystawy swe wyznanie wiary malarskiej:

„Dzieło sztuki istnieje samo w sobie, jest odbiciem przeżycia malarskiego artysty, a nie dokumentem podobieństwa".

„Kolor na płótnie powstaje przez zestawienie z innymi kolorami, a nie przez naśladowania natury"[2].

Proszę mi wierzyć, że te dwa zdania po długich dyskusjach przez Cybisa uściślone i w katalogu umieszczone, które dziś zdawać by się mogły dość banalne, w 30-tym roku w Warszawie były bojowe i pełne, jeżeli nie rewolucyjnej, to w każdym razie drażniącej aktualności.

Do wybuchu wojny kapiści wystawami swych obrazów, polemikami w prasie idącymi zawsze po linii tych pierwszych tez, walczyli i polemizowali w obronie prawd elementarnych (*Wiadomości Literackie, Głos Plastyków,* itd.) o sztukę pełną, przeciw malarstwu pożartemu przez anegdotę, jak również przeciw czystej, cerebralnej abstrakcji. Pisał K. Mitera, pisałem ja, Jerzy Wolff i jeszcze paru innych. Rok 39-ty zastał kapistów jeszcze w walce bezkompromistowej, lecz już docierających do pewnego wpływu na świadomość artystyczną w kraju, w warunkach wciąż jednak materialnych niezmiernie ciężkich. Cybis, sam prawie nie pisząc, był głównym inspiratorem tych bojów o malarstwo.

Cybis — Waliszewski

Każdemu z nas piszących o sztuce grozi widzenie malarza, lub co gorzej jeszcze, grupy malarskiej, jak czegoś stałego, nieruchomego, błądzimy gdy nie doceniamy faktu, że tak malarze, jak i grupy są stale w ruchu. Pisząc teraz o grupie kapistów biorę pod uwagę okres od 1921 do 1939 r. (Ten okres należałoby jeszcze podzielić na trzy odrębne etapy: Kraków 1921-1924; Paryż 1924-1931 i Polska 1931-1939). Jeżeli chodzi o kapistów (mówię tu o grupie dwunastu, która powstała formalnie w 1923 roku) wszyscy byśmy się z tym zgodzili, że w okresie Krakowa, Paryża i później powrotu do Polski Cybis i Waliszewski byli postaciami centralnymi, które wywarły na nas wpływ. Konfrontacja tych dwóch tak bliskich sobie przyjaciół a jednocześnie tak przeciwnych sobie osobowości, była chyba najciekawszym, najpłodniejszym wydarzeniem, które w życiu artystycznym przeżyłem.

Śmierć Waliszewskiego w 1936 roku była dla naszej grupy i jej rozwoju nieszczęściem, bo właśnie przeciwieństwo temperamentu i stylu dwóch najwybitniejszych artystów tamtego okresu w Polsce bogaciło życie artystyczne zespołu. Wojna rozbiła

2. Nie posiadając tego katalogu oba zdania cytuję z ciekawego i udokumentowanego artykułu o Cybisie S. Jordanowskiego w *Nowym Dzienniku* (Nowy Jork, 30-31. 12. 1972).

nas geograficznie, a ogromny rozrost ilościowy malarzy, którzy po wojnie uważali się za kapistów, spowodować musiał zatarcie konturów grupy, a tezy kapistów stały się nadużytymi i zbanalizowanymi formułkami.

W tamtych latach rozwój każdego z nas, postępy czy błąkanie, zażarte dyskusje krystalizujące nasze malarskie myślenie, zatargi, entuzjazmy, gorycze, i to całe migotanie przeżyć od płótna do płótna, od jednej konfrontacji po drugą, później od jednej wystawy do drugiej — to była główna treść naszego życia, w którym Cybis i Waliszewski zajmowali pierwsze miejsce.

„On był dla mnie Rafaelem, gdy go poznałem — wyznał mi kiedyś Cybis — *zabić* go chciałem". Kto choć trochę znał Cybisa wie jak daleką metaforą było to „zabić".

Zdanie Braque'a o „fakcie malarskim" poza wszelką anegdotą, tak przylegające do Cybisa, byłoby dla określenia Waliszewskiego za wąskie.

Fakt malarski? Ależ naturalnie. To był aksjomat jasny i wielki wpływ Cybisa na Waliszewskiego płynął stąd, że Waliszewski tę miarę zawężającą *powód* obrazu, podziwiał u Cybisa, bo czuł że jego wiedza o kolorze bywała głębsza i że jedność jego malarstwa — w czasie gdy obaj zaczynali startować — była dalej posunięta. Jednocześnie Waliszewski czuł instynktownie: *dlaczego* „czyste" malarstwo? dlaczego nie *także* angedota? Czy w takim razie to koniecznie malarstwo drugorzędne? Cybis tego nigdy nie twierdził, ale jego indywidualność, jakby z jednej bryły wyciosana i całym swym ciężarem właśnie i wyłącznie w tej problematyce tkwiąca, zdawała się nieraz ciążyć na Waliszewskim. Wyrywał się wówczas jak uczeń ze szkoły w *swój świat* fantazji, marzeń i wrażeń i wtedy był właśnie najświetniejszy.

Młodość w jego pierwszej ojczyźnie, Gruzji, w której się kochał i jego tam pierwsze młodzieńcze, prawie dziecinne sukcesy. Kult Leonarda, którego Ostatnią Wieczerzę jako dziecko kopiował w wielkich rozmiarach. Rafael. Potem kult Maneta. Futuryści rosyjscy, Majakowski i do tego Picasso, którego już wówczas oglądał przejazdem przez Moskwę, Piromaniszwili (obrazy jego sam odkrywał z zachwytem po czajhanach) a jeszcze i Toulouse-Lautrec, nawet Grosz (tego ostatniego chyba dopiero w Polsce odkrył). To był bagaż, który młodziutki Zyga z Gruzji przywiózł do Krakowa, Zyga coraz to nocujący na podium pracowni, bo nie miał gdzie się podziać, on właśnie olśnił Cybisa („był dla mnie Rafaelem").

Kraków. Krystalizacja grupy, pracownia Pankiewicza, malarstwo, współzawodnictwo i nędza, dosłownie nędza („jest bardzo trudno umrzeć z głodu", orzekł wówczas Cybis) i przyjaźń z for-

mistami, futurystami, Czyżewskim, Młodożeńcem i Bruno Jasieńskim, imprezy, kawały i wyprawa do Paryża!

Paryż. Szok Luwru, ale także kubizm, Ecole de Paris, postimpresjonizm, ale i impresjonizm na nowo odkryty, ale przede wszystkim Cézanne.

Jeżeli wiele już opowiadałem o reakcjach Waliszewskiego na Paryż — bo z nim tam kilka lat mieszkałem — o Cybisie pamiętam o wiele mniej. Jak bardzo jego zachowanie było różne od nas wszystkich, a zwłaszcza od Waliszewskiego. Właściwie Cybis był zawsze jakby ten sam, spokojny (może tylko na pozór), zażarty w pracy, jakby niezależny od otoczenia. Czy się myliłem, jeżeli czułem od początku jak gdyby jego stosunek do barwy, do konstrukcji obrazu, był mu od zawsze dany. Już w 21-szym roku, gdy go poznałem, zdawał się absolutnie ustawiony, dojrzały, już wtedy miał kult Cézanne'a — znał go chyba jedynie z dobrych reprodukcji, choć może widział kilka obrazów w Berlinie. Cybis naturalnie nasiąkał w Paryżu wszystkim, co służyć mogło jego malarstwu, ale zdawało się że go nic nie wytrąca ze stylu jego pracy, nigdy gorączkowej — był wierny swemu pismu, więcej, wierny swej wizji prowadząc ją coraz dalej i głębiej. Nie pamiętam go innym jak zaszytego w swoim pokoju lub czasami w kawiarni Dôme, nie rozstającego się z Hanką Rudzką-Cybisową, jego pierwszą żoną. Czy wytrzymałby te trudne, głodne lata bez jej nieustannej opieki, bez jej hartu moralnego, jej kopiowania w Luwrze, które im przeżyć pozwalały. Jej malarstwo, czytelniejsze niż malarstwo Cybisa, ale tak jego malarstwu bliskie, związane było przeważnie z tematyką kwiatów, zakątków Paryża — było wówczas chyba pierwsze wśród nas które do Polski wniosło kulturę malarską bardzo francuską, której w Polsce lat trzydziestych było tak mało.

Jan Cybis niedożywiony, żółty, mało wychodzący z domu — takim go pamiętam z tamtych lat na rue de Rennes. Nie pamiętam by przyjazd do Paryża wywołał w nim choćby ślad rewolucji malarskiej. U Waliszewskiego ta nareszcie bezpośrednia konfrontacja z wielkim malarstwem rzeczywiście wywołała wstrząs.

W okresie paryskim wpływ Cybisa na nas wszystkich coraz to wzrastał: on odwleka naszą pierwszą wystawę aż do 1930 roku („nie mamy nic do pokazania"). Jego osąd naszych prac jest dla nas najważniejszy, on przy każdej wystawie rozwieszał nasze płótna i jego decyzje nie były nigdy dyskutowane. Nikt by go o stronniczość nie posądził. Na pierwszej wystawie Gertrud Stein — głośna wówczas przyjaciółka Picassa i Matisse'a — kupiła jego obraz a już prawie ślepy Vollard na wernisażu macał grubą łapą jego płótna, pokryte grubymi kożuchami farby — interesowała go materia tych płócien.

Fuga

Przyglądam się dziś martwym naturom, pejzażom, portretom (rzadkim) Cybisa w wielkim katalogu retrospektywy jego obrazów z 1965 roku: płótna z lat dwudziestych, czy z lat sześćdziesiątych — faktura jest ta sama, zadanie jakby zawsze to samo — czy to martwe, czy portret, czy pejzaż — pejzaż polski czy paryski — wszędzie widzenie, obsesja *du fait pictural,* obsesja jednego problemu skonstruowanej płaszczyzny barwnej, jednocześnie trójwymiarowej (nigdy obrazu płaskiego) w tysiącach wersji, w tysiącach fug gęstej tkanki barwnej, która zawsze ma jako punkt wyjścia doznanie natury, formy drzewa, twarzy, przedmiotu, ale w miarę pracy opanowanej coraz bardziej, „połkniętej" tym pogłębieniem problemu gry barwnej — ostatecznym celem płótna.

Ta jedyna pasja fugi zdawała się go z nas wszystkich zbliżać najbardziej do malarstwa czystej abstrakcji, w której z naszej grupy wypowiedział się jedynie Józef Jarema i to w latach późniejszych.

Mallarmé przeczytał pewnego razu swym najbliższym wyznawcom wiersz, który z zachwytem przyjęli; spytał ich co myślą że ten wiersz znaczy. Każdy miał inną odpowiedź „zachód słońca" — powiedział jeden z nich.

„Nie — odpowiedział Mallarmé — to moja mahoniowa komoda".

Muszę przyznać, że sam przeważnie tak samo patrzałem na obrazy Cybisa, mój zachwyt nad płótnem, nad tylu płótnami, wiązał się z całkowitą obojętnością na to, co miały przedstawiać.

Czy płótna jego były skończone? On je najprościej odstawiał i zapominał o nich, jeżeli przestawały być dla niego punktem wyjścia pracy, którą naprzód posuwał.

Cézanne i Cybis

Co wiązało Cybisa z Cézanne'm nieskończenie bardziej niż z Bonnardem w zasadniczym — paryskim okresie jego rozwoju? Z tym ostatnim: wpływ — na pewno, ale bardziej naturalne pokrewieństwo, choć dziś, patrząc wstecz i porównując płótna obu malarzy — Bonnard zdaje się o wiele bardziej związany z ekspresją niż Cybis i mniej wyłącznie pochłonięty tak wówczas przez nas nazwanym „czystym" malarstwem. Wcale nie Bonnard, ale Cézanne ponad wszystkich „ustawił" świat ma-

larski Cybisa — było to więcej niż wyłącznie wpływ malarski, to był również wpływ specyficznej *etyki* malarskiej.

Spróbuję na wstępie podważyć dosyć powszechną ocenę Cybisa i kapistów, która tu do mnie docierała z Polski — ocenę skrajnie uproszczoną i do tego fałszywą: Cybis to polski Bonnard, a wszyscy kapiści to polskie popłuczyny bonnardyzmu.

Już pisałem o tak krytycznym stosunku Waliszewskiego do *wpływów* Bonnarda w Polsce (nie do Bonnarda!). Jeżeli chodzi o Cybisa jego stosunek krytyczny, a nawet niechętny, do Bonnarda na początku jego pobytu w Paryżu — dopiero po jakimś czasie przemienił się w zachwyt.

Przypominam sobie jak w jednej z naszych niezliczonych wędrówek po rue de La Boëtie (główne wówczas galerie *marchand'*ów) pokazałem mu nieśmiało Bonnarda, który mnie zachwycił (pejzaż — wyszukane fiolety?), Jan burknął: „co chcesz, człowiekowi, który tak dużo maluje, czasem obraz musi się udać".

Cézanne był jego mistrzem. Jego, naszym, moim. Skąd ta magia Cézanne'a, ten stosunek do niego niewspółmierny z zachwytem dla innych malarzy XIX i XX wieku, których przecież czciliśmy tak wielu. Cézanne, nie kto inny, wiązał nas z wielkim malarstwem przeszłości. Dziś trafił on na wielkie ołtarze, ceny jego płócien są zawrotne, wszystkie galerie świata walczą o jego dzieła, ale czy Cézanne ma jakikolwiek związek z dzisiejszą aktualnością malarską, czy naprawdę jeszcze ma wśród młodych wyznawców tej intensywności, jak za czasów naszych odkryć młodzieńczych? Chyba skrajnie rzadko. Uderzała mnie już od szeregu lat pełna szacunku obojętność młodych malarzy do Cézanne'a. Może po Cézanne'ie sztuka przeżyła za dużo sensacji w dobrym i w najgorszym sensie — zaczynając od Picassa, od abstrakcji aż po... *body art!* I czy one nie *oślepiły* malarzy na walory cichsze i głębsze, których Cézanne był dla nas wcieleniem. To co było dla nas w latach dwudziestych odkryciem, punktem wyjścia naszej świadomości malarskiej, która kazała nam brutalnie przewartościować całą polską tradycję malarską, co stworzyło naszą hierarchię wartości — to był Cézanne, odpowiedzialność i świadomość, to było przeciwieństwo wszelkich automatyzmów, aleatoryzmów, stylizacji, mętnych nastrojów, czy tym bardziej bijących w oczy efektów nieprzepuszczonych przez filtr świadomości. To była walka o najwyższą jakość, o naturę zaczepionego malarstwa. Biła ona w nas z każdego płótna czy nawet papieru muśniętego pędzlem akwarelowym Cézanne'a — to było dla nas niedoścignionym szczytem *qualité*[3] malarskiej.

3. To słowo *qualité* (jakość? gatunek?) tysiące razy od tego czasu powtarzane przez ludzi nie mających pojęcia co to znaczy, zostało dosłownie zbezczeszczone przez nadużycie, i dzięki temu już dziś wyśmiewane.

Cézanne był dla nas wzorem odpowiedzialności w każdym najdrobniejszym wycinku płótna, bo nie było nigdy na płótnie miejsc mniej lub więcej ważnych, a narastająca z latami pełnia i jedyna dźwięczność, bogactwo kolorystyczne jego przecie tak surowych płócien, jego postawa malarska, której określić inaczej bym nie umiał, jak *ascetyczna,* naznaczyła nas wszystkich.

„Pracuję uparcie, przeczuwam, widzę Ziemię Obiecaną. Czy czeka mnie los wielkiego wodza Hebrajczyków, a może przecie do Niej dotrę". — Pisze Cézanne w 1903 roku, a w rok śmierci, w 1906-ym, w liście do syna:

„Czy dojdę do celu, do którego idę od tak dawna". „Jestem tak powolny w realizacji, to mnie pogrąża w smutku, ty jeden możesz mnie pocieszyć".

Do śmierci Cézanne jest wierny sobie, nigdy cienia pośpiechu, oglądania się na boki, nigdy szukania efektu — ale tylko docieranie *w sobie* do pełniejszego przeżycia i do ściślejszego wyrazu tego przeżycia na płótnie (*finalité pure* — jak to przetłumaczyć!).

W tej drodze samotnej nigdy *delektacji dla delektacji,* do śmierci dominuje *wybór* i *asceza.*

O Cézannie napisano tomy, jest on przeważnie określany chwalebnymi przymiotnikami, którymi obdarzyć by można również każdego malarza z prawdziwego zdarzenia, a w jego epoce i Courbet'a i Manet'a i nawet Renoir'a.

Ale czym się od nich *różni* Cézanne? — Mnie się zdaje, że właśnie ascezą. Porównajmy chociażby Cézanne'a i Renoir'a. Renoir wyrasta z delektacji jego porcelanowej materii, ale delektacji również podniet: grubych nianiek, ciał dziewczęcych, nieba, drzew, owoców, najpiękniejszych kwiatów. Cézanne zdaje się nawet takich przeżyć coraz to wystrzegać, nawet kwiaty zdarzało mu się malować sztuczne, bo dla jego pracy ku coraz wyższej *qualité* gry barwnej, były lepsze od prawdziwych, gdyż się nie ruszały; portretowanemu Vollardowi daje do zrozumienia, że twarz jego jest dla niego tyleż warta, co jabłko czy cytryna i tej nieruchomości jabłka i cytryny od niego żąda. Cézanne wystrzega się, jak pokusy, każdej innej podniety poza malarską *finalité pure:* to osiągnięcie malarskie coraz czystsze jest celem, któremu wszystko gotów jest poświęcić (zawsze jednak o doznanie natury zaczepione — to jego dogmat). Cała zasadnicza różnica między Cézanne'em i Renoir'em polega na tym że u Renoir'a delektacja zdaje się dominować zawsze, ona tworzy cały czar jego obrazów, u Cézanne'a jest ona jakby nieustannie osaczona ascezą, daje przez to świat przeżyć innego wymiaru, który on jeden w swojej epoce osiąga.

„Mucha, która tknie miodu już niezdolna jest latać" — Cézanne zapewne nie znał tych słów wielkiego mistyka, ale jakże by je odczuł! Trudno patrzeć na jego martwe nie wspominając Cotana, nawet Sanredana, którzy jeszcze wiele dalej w kierunku ascezy posunęli swoją sztukę.

„Miodu" bał się Cézanne, w swym malarstwie, od czasu poznania Pisarra zwężał cały żywiołowy świat swych pożądań, swej bujnej, gwałtownej imaginacji i powrócić im pozwalał dopiero w późnej starości w *„beigneuse'*ach".

Karol Sterling w swej „biblii"[4] martwej natury, podkreślając zasadnicze znaczenie martwych u Cézanne'a, ustawia go w historii malarstwa jednym faktem o znaczeniu kapitalnym: nigdy, nawet w XVII-tym wieku, martwa natura nie osiągnęła tego szczytu w hierarchii *genre*'ów, jaki zdobyła dzięki Cézanne'owi w końcu XIX wieku.

Stąd szedł i nasz fanatyzm martwej już w Krakowie, zupełnie niezrozumiały dla szerszych kręgów malarzy i ich przyjaciół — fanatyzm specyficzny, bo martwej która mogła zarówno przedstawiać jabłko, co starą gazetę czy szmatę na stole, jak zresztą i piękną wazę z kwiatami, czy drogocenną makatę.

Ta względna *nieważność* przedmiotów malowanych wyraźnie uświadomiona w zestawieniu z bezwzględną ważnością ich wzajemnego na płótnie stosunku — więc tego co stwarzało *fakt malarski* — już wtedy nas wiązała z tradycją Cézanne'a. Malując przedmioty byle jakie, malując płótna tematycznie obojętne, stać się one mogą równie arcydziełem jak i kiczem (nie zapominajmy ile kiczów stworzyli na świecie i cézaniści), ale o ile łatwiej jest ich wagę, czy nicość wyśledzić, jeżeli w takich płótnach tylko o jakość malarską może chodzić.

To zawężenie celu malarskiego wydobyło malarstwo z trzęsawiska tysięcy „Salonów" i „Zachęt" XIX wieku, gdzie granice między malarstwem a kiczem zostały wprost zatarte. *Ta asceza* w danej epoce rozwoju malarstwa była konieczna — w naszej grupie reprezentował ją najsilniej Cybis.

Ten etap sztuki posłużył najbardziej oczyszczeniu malarstwa, uświadomieniu na czym polega istota *każdego* malarstwa. Ten etap nie ma prawa być zapomniany i zlekceważony, opuszczając ogniwo cézanowskie zbyt łatwo można znów stoczyć się w malarstwo czysto literackie, wszystko jedno czy historyczne, czy surrealistyczne. Ale pamiętać należy również, że ta asceza nigdy nie była i nie jest celem sama w sobie, a tylko drogą ku głębszej

4. *La nature morte — de l'Antiquité à nos jours*, par Charles Sterling, Edition revisée, 1959 Pierre Tisné.

świadomości celów, które wielkie malarstwo wszystkich wieków innymi drogami osiągało.

Jeżeli coś chciał wnieść kapizm do Polski, to przede wszystkim tę właśnie świadomość powodu *malarskiego* — jak to Cybis nazywał.

„Mówiłem parokrotnie do Mallarmé'ego — wspomina Valéry — jeden cię gani, drugi z ciebie drwi. Drażnisz Pan jednych, wzbudzasz litość drugich... czy wiesz jednak, czy czujesz, że w każdym mieście Francji jakiś młody człowiek, nieznany, dałby się pociąć na kawałki za twoje wiersze i za ciebie? Jesteś jego dumą, jego tajemnicą, jego pasją...".

Jakie to bliskie tej miłości i czci jaką otaczaliśmy Cézanne'a, który jeszcze wówczas dla wielu w Polsce „źle rysował", czy robił „okropne portrety".

Cybis bardziej niż ktokolwiek inny powiązał nas z Cézanne'em i w Cybisie widzieliśmy te same zalety, te same cnoty człowieka i malarza.

Jeszcze Cybis

Już w czasach paryskich czułem u Cybisa ten niepowstrzymany proces rozwoju malarskiego, to odrzucanie wszystkiego co mu w tej drodze przeszkadzało. Mało znałem ludzi o takiej zdolności delektacji, nie tylko w malarstwie ale i w życiu, mało ludzi znałem, którzy jak on — w latach naszego bliskiego współżycia — umieli nad nią w swym malarstwie panować i malarstwu podporządkować. Tu znów tylko z Waliszewskim mógłbym go porównać. Ten proces twórczy, który nigdy nie ma końca, pochłaniał go w całości. Malował w świecie nieustannych odkryć, mówię nieustannych, bo kiedy tego stanu szczęśliwego nie przeżywał — przerywał pracę i żadna siła go wówczas do niej przymusić nie mogła.

Przypominam sobie co przeżył jeszcze za naszego okresu paryskiego, gdy jednego lata pojechał do Polski (1927? może 1928). Przestał nagle malować. Właśnie wówczas gdy warunki pracy zdawały się najlepsze. Wyruszał w las ze stalugami i nawet tam pędzla nie dotykał — otwierał książkę i czytał. Żona jego z niepokojem gwałtownym ten okres jego przeżywała i wtedy właśnie „Ibis ptak ponury" — jakeśmy go żartem nazywali — zawsze spokojny i o swojej pracy, o sobie, nie lubiący mówić, przysłał mojej siostrze i mnie do Paryża krótki list z czterowierszem Goethe'go po niemiecku, który widocznie z Wrocławia utkwił mu w pamięci.

„Wer nie sein Brot mit tränen ass
Wer nie die kummervollen Nächte..."
„Kto we łzach nigdy chleba nie jadł
kto nie wie co to znaczy noce
na łożu spędzać w udręczeniach,
ten nie zna was niebiańskie moce[4]".

To było wyznanie. I kiedy czytam w serdecznym wspomnieniu Horodyńskiego o Cybisie o jego okresach wątpliwości, zahamowań w pracy, które także tyle lat później go nawiedzały, gdy zdawał się wątpić w to co robił, bo czuł się samotny pomimo sukcesów, zdobytego stanowiska, oficjalnego uznania (a może z powodu?) myślę, że o tym nie należy zapominać. Pomimo wielkich osiągnięć i zadziwiającej równowagi ducha, którą tyle razy nas wspierał, historia życia tego artysty musiała mieć również kolce i niejedną bolesną zapaść.

Cóż mogę napisać o Cybisie z okresu lat 39-72. Jego drugie małżeństwo, synowie, profesura zaraz po 45-ym roku, usunięcie z profesury, bo nie poddał się socrealistycznym nakazom, odzyskanie katedry w Akademii, rosnący autorytet i wpływ. Nagroda Guggenheima. Powrót do Polski kapisty Potworowskiego w rozkwicie talentu i blasku nowych prądów, które przywiózł z Anglii; konfrontacja ich obu, którą by trzeba znać równie, jak w swoim czasie konfrontację Cybisa z Waliszewskim, retrospektywa Cybisa w 1965 roku, korona sukcesu jego życia i ostatnie lata. Kto o tym w kraju napisze?

Nasze spotkania w Paryżu były świętem, ale jakże krótkim świętem. Zdawał mi się zawsze, do śmierci, taki sam, tylko że w ostatnich latach jakby odprężony, może już nie tak twardy i hardy, może już mniej od siebie żądający? Był tutaj po wielkiej retrospektywie z 65-go roku w Warszawie, mówił z dziecinną radością o sukcesach wystawy: „Auta i auta podjeżdżały — ludzie zwiedzający pchali się... jak po cytryny!"

Gdy go pytałem jak mu idzie malarstwo? „Chyba dobrze — powiedział półgłosem — *chyba ta rozkosz malowania mnie nie myli*".

Gwałtownie namawiał mnie, bym wracał do Polski: „U mnie będziesz mieszkał, kawę ci będę sam do łóżka przynosił".

Ostatni raz widzieliśmy się kilka tygodni przed jego śmiercią. Pozostawił mi wrażenie dobroci i pogody. Śmiał się ze mnie, że

5. Tłumaczenie Witolda Wirpszy.

jeżdżę motorowerem: „Jak długo chcesz żyć?" — pytał z udanym zgorszeniem. Gdy zaczęliśmy mówić o malarstwie, gdy skrytykowałem malarstwo kogoś z naszych bliskich, przerwał mi: „Daj pokój, jak twoja ciotka brzydka, to nie gadaj, że brzydka!". Cybis już nie walczył, patrzał na cały długi szmat swego życia wciąż z błogim wzruszeniem powracając do naszej przeszłości. Nawet o malarzach, których malarstwa nie znosił, wspominał nie agresywnie i burknął półgłosem: „Może i oni uczciwi".

Zdążył jeszcze dojechać do Józefa Jaremy na południe i coraz to w naszej rozmowie do niego powracał: „Przecie bez Józka nie byłoby kapistów" — i chyba miał rację, żywiołowy temperament, talent i odwaga tego *spiritus movens* kapistów pierwszej doby, przełamywały nowymi inicjatywami wszystkie trudności „bez wyjścia" piętrzące się przed nami.

Tylko gdy Jan wchodził na nasze drugie piętro z trudem, bardzo zasapany — jak na wysoką górę, pomyślałem przelotnie, że jest już przecie fizycznie zniszczony i bardzo kruchy.

Czy myślał o śmierci? Pono tak, i bardzo nie chciał umierać.

Ostatni znak życia Jana, który do mnie doszedł, to jego reakcja na książkę Wandy Waliszewskiej o mężu, mówił o niej z zachwytem — obudziła w nim tyle wspomnień jego i naszej młodości.

I nagle — zapalenie płuc — antybiotyki — powrót do zdrowia i śmierć nagła.

Jego malarstwo *zostanie* i pamięć o człowieku, którego nikt nie zastąpi.

Józef CZAPSKI

Admirał Unrug

Dwudziestego ósmego lutego br. zmarł w Polskim Domu dla Inwalidów w Lailly-en-Val, we Francji, długoletni dowódca Floty polskiej przed i podczas ostatniej wojny (w jej pierwszej fazie) wice-admirał Józef Unrug.

Admirał Unrug był jednym z głównych budowniczych Marynarki Wojennej w odrodzonej Polsce. Świecąc przykładem własnego życia, swoją postawą do przyjętych obowiązków, swoją samo-dyscypliną którą umiał wdrażać podwładnym, był idealnym wprost wychowawcą nowego pokolenia marynarzy. Jego to wpływowi należy zawdzięczać tę łatwość z jaką później załogi okrę-

tów polskich w Anglii dostosowały się do wzorców, na których był oparty styl działania „Marynarki Królewskiej". Jemu to chyba należy głównie zawdzięczać, że załogi okrętów polskich znalazły szybko i bez trudu wspólny język ze swoimi angielskimi kolegami.

Kiedy w sierpniu 1939 roku nadszedł czas próby i kiedy trzeba było zamknąć się ostatecznie na Helu przed naciskiem przemożnego nieprzyjaciela, admirał Unrug bronił tego półwyspu bez nadziei zwycięstwa dłużej niż to wydawało się możliwe.

Jako jeniec wojenny w Murnau, mając raczej trudną sytuację z powodu niemieckiego nazwiska, swoim pełnym godności postępowaniem zyskał sobie powszechny szacunek i zaufanie kolegów różnych sił zbrojnych i różnych stopni, dzielących z nim los jeniecki.

Oswobodzony przez zachodnich aliantów przybył do Londynu i był czynny w Kierownictwie Marynarki Wojennej do czasu rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Nastał potem dla wielu kombatantów czas organizowania życia na nowo. Dla admirała Unruga, po pięciu latach niewoli, i już niemłodego wieku musiał to być wyjątkowo ciężki okres. Wraz z przyjacielem organizuje towarzystwo transportowe w Maroku. Przez pewien czas impreza rozwija się całkiem pomyślnie. Następuje jednak okres niepowodzeń i dalsze prowadzenie przedsiębiorstwa jest niemożliwe. Admirał ląduje we Francji, praktycznie bez żadnych materialnych zasobów. Dzięki skoordynowanej akcji Samopomocy Marynarki Wojennej w Londynie i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Paryżu udaje się umieścić admirała wraz z Małżonką w Polskim Domu dla Inwalidów w Lailly-en-Val. Tutaj państwo Unrugowie budują jeszcze jeden raz nowy etap życia, w otoczeniu niepozbawionym uroku, ale niestety nieposiadającym atmosfery w której Admirał wzrósł i żył, atmosfery morza i tylko z nim związanych potencjalnych doznań.

Tutaj jednak, w tych nowych warunkach, szczęśliwie ujawniły się w pełni nieprzeciętne zalety jego charakteru. Wielu na jego miejscu wpadłoby w pesymizm, w rozczulanie się nad samym sobą, a tymczasem, gdy go odwiedziłem w maju ubiegłego roku, zastałem człowieka pełnego pogody i harmonii wewnętrznej, pogodzonego z losem, świadomego znikomości ludzkich pragnień i ludzkich ambicji, spokojnym i pewnym okiem marynarza wypatrującego linii horyzontu, za którym kryje się ostateczna przygoda.

Patrząc na jego wysmukłą sylwetkę rysującą się we framudze okna, której kontrasty pokreślały ukośne padające promienie zachodzącego słońca wspomniałem powiedzenie generała Mac Artura, które lubił cytować: *„Old soldier never dies, he just fades away"*.

Conrad F. NAMIEŚNIOWSKI

Byłem pierwszym strukturalistą

Zdaje się, drogi Gombrowiczu, że uważa się pan za strukturalistę od lat trzydziestu?

Gombrowicz: — Co najmniej. Od *Ferdydurke*. Proszę jednak nie zapominać, że ten kto ma się za artystę nie jest tym samym filozofem, ani socjologiem. Gdzież więc znaleźć wspólny teren, na którym można by porównać kapryśne i meandryczne eksploracje sztuki z wynikami myśli zdyscyplinowanej? Czy wspólnym mianownikiem nie będzie tu czasem sposób patrzenia na człowieka? Muzyka Beethovena jest czymś bardzo różnym od filozofii Kanta, a przecież istnieje „człowiek beethovenowski" i „człowiek kantowski" i są oni sobie nawet dość bliscy. Można porównywać człowieka Platona i człowieka Balzaca, człowieka Dostojewskiego z człowiekiem pozytywistów, czy też człowieka Goyi z człowiekiem Schopenhauera.

Dzisiejszy strukturalizm to również to: człowiek. Pozwolę sobie oznajmić, że ten człowiek strukturalistyczny objawił mi się już przed wojną; wziąłem go w solidne obroty w moich powieściach! A nadto poświęciłem mu parę wzmianek w mym *Dzienniku* i przedmowach.

Ach...

G.: — Pan wątpi? Słusznie! Proszę jednak rzucić okiem na to, co napisałem w *Dzienniku* (rok 1957): *„Człowiek taki, jakim ja go widzę, jest 1) stwarzany przez formę, 2) jest twórcą formy, jej nieustannym producentem"*. Zastąpmy „formę" „strukturą"...

Toteż kiedy przedwczoraj wyczytałem (Pingaud), że w strukturalizmie „człowiek przestał działać i jest tylko przedmiotem działania, przestał mówić i tylko jest wypowiadany" zabrzmiało to, jakbym słyszał protagonistę mego dramatu *Ślub* (rok 1947): „To nie my mówimy słowa, lecz słowa nas mówią". Nie, to nie żadna marginesowa zbieżność; całe moje dzieło od samych początków wyrasta z tego dramatu formy. Konflikt między człowiekiem i jego formą — oto mój temat zasadniczy.

Ejże!

G.: — Wiem, wiem, uczyłem się. „Struktura" strukturalistów

nie jest tym samym co ja rozumiem przez „formę", zapewniam pana, czytałem to i owo, nieco Greimas'a, Bourdieu, Jakobsona, Machereya, Ehrmanna, Barbuta, Althussera, Boppa, Lévi-Straussa, Saint-Hilaire'a, Foucault, Genette'a, Godeliera, Burbakiego, Marksa, Dubrovskiego, Schuckinga, Lacana i Poulet, a także Goldmanna, Starobinskiego, Barthes'a, Maurona i Barrerę. Widzi pan, jestem na bieżąco, choć dobrze nie wiem w tej chwili, w którym miejscu... za dużo tego!

Tymczasem proponuję jednak: zostawmy Fonetykę i Anatomię Porównawczą w polu epistemologicznym, a tak bliską już Formalizację Artykulacji drogą formalnej ontologii acz nie bez lekkiego wpływu apofantyki, w polu filozoficznym. Nie, nie o tym chcę mówić. W gruncie rzeczy, powtarzam, idzie o pewien sposób widzenia człowieka i na tym to gruncie mój człowiek „formalny" może uczynić parę zwierzeń człowiekowi „strukturalistycznemu"... To przecież w końcu kuzyni! Czyż nie powiadacie, że człowiek objawia się poprzez pewne struktury od niego niezależne, takie jak struktury języka; że jest ograniczony przez coś, co go przenika i zarazem określa; że jego *vis movens* mieści się poza nim? No właśnie, taki to człowiek zamieszkał w moich książkach. Przypatrzmy się więc nieco, jak ta sama dążność ku Formalnemu toruje sobie drogę w myśli naukowej i w skłębionym doświadczeniu istnienia zwróconego ku celom głównie artystycznym. Czy chce pan, żebyśmy na ten temat pomówili?

Hm!

G.: — W epoce mych artystycznych początków — około 1930 — wymagano, żeby człowiek był przede wszystkim autentyczny. I wyposażony w prawdy i ideały, z którymi winien się w pełni identyfikować, a nawet poświęcić dla nich życie... Ja zaś pamiętam, iż jako chłopak jeszcze wiedziałem — a była to wiedza instynktowna — że nie można być ani „autentycznym" ani „określonym". I to przeświadczenie zawarte zostało w *Ferdydurke* (1937). Jakiż jest ów bohater *Ferdydurke?* Wewnętrznie cały jest fermentem, chaosem, niedojrzałością. Aby objawić się na zewnątrz, szczególnie wobec innych ludzi, potrzeba mu formy (przez „formę" rozumiem wszelkie nasze sposoby uzewnętrzniania się: słowa, idee, gesty, postanowienia, czyny, etc.). Lecz forma ta ogranicza go, gwałci, wykoślawia. Zmuszony jest wyrażać się przy pomocy ustalonego systemu postaw, sposobów bycia, więc wciąż jest nieprawdziwy, czuje się aktorem. Forma to kostium, który przywdziewamy by okryć naszą nagość zawstydzającą... a zwłaszcza, by wobec innych wydać się bardziej „dojrzałymi" niż jesteśmy.

A więc forma nasza tworzy się głównie w sferze międzyludzkiej... Tym sposobem dochodzimy do pewnej relatywizacji człowieka. Z jedną osobą jestem szlachetny, z inną podły, z tym mądry, z tamtym głupi (ufam, że w naszym wypadku to nie nastąpi, drogi panie). Można więc powiedzieć, że w każdym momencie jestem „stwarzany" przez innych.

U strukturalistów jest inaczej: oni szukają swych struktur w kulturze, ja w dotykalnej rzeczywistości. Mój sposób patrzenia miał bezpośredni związek z ówczesnymi wypadkami: hitleryzmem, stalinizmem, faszyzmem... Byłem zafascynowany groteskowymi i przerażającymi formami, które powstawały w sferze międzyludzkiej, niszcząc wszystko co dotychczas czczono. Wyglądało to jak gdyby ludzkość zakończyła jedno stadium rozwoju i wkraczała w nowe: świadomego tworzenia swej formy. Odtąd człowiek mógł „się robić", fabrykowano dowolne prawdy, ideały, fanatyzmy, ba, najintymniejsze uczucia... Człowiek wydał mi się pszczołą, zamiast miodu wydzielającą nieustannie formę. Kształtował się sam w pustce.

Pam.

G.: — Co za struktury! Ja, strukturalista anonimowy i przerażony wołałem do tego nowego, rozpętanego człowieka: Ostrożnie! Dystans! Dystans wobec formy! Bądź czujny, bądź ostrożny, nigdy nie utożsamiaj się całkowicie z tym, co z siebie robisz! Niestety! Nawet po wojnie ludzkość nie zamierzała pójść za mymi radami. We Francji marksizm z jednej strony, egzystencjalizm z drugiej zabrały się do organizowania człowieka przy pomocy świata i świata przy pomocy człowieka. Jedyna korzyść jaką odniosłem z mej postawy była natury osobistej i artystycznej. Mój „dystans wobec formy" pozwolił mi osiągnąć w mych dziełach tak zwaną nieco pompatycznie „wolność twórczą", naprawdę oszałamiającą.

Pa.

G.: — Pozwolę sobie jeszcze dodać, że to pojęcie formy, zastosowane bezpośrednio do ludzkiej rzeczywistości otwiera ciekawe perspektywy. Nie chodzi tylko o to, że z X-em nie jestem tym samym co z Y-grekiem, czy że w jednej strukturze ludzkiej (wojsko) potrafię z większą łatwością zabić człowieka, niż w innej (rodzina) zabiłbym muchę. Nie, w tym mieści się dużo więcej: wtajemniczenia, natchnienia, odkrycia, nowe kombinacje i gry, jakie nas na tej drodze czekają wydają mi się pasjonujące i pouczające.

Sądzę więc, że nie byłoby dobrze gdyby to rozleglejsze, bardziej bezpośrednie, bardziej samorzutne pojęcie formy ludzkiej zostało przez jakiś naukowy strukturalizm ograniczone. Zwłaszcza, że fatalne byłoby rozpuścić się w obiektywizmie.

Och! Foucault ma ze swego punktu widzenia rację, zapowiadając zmierzch człowieka, jego stopniową likwidację. Tak, człowiek znika, ale znika wyłącznie jemu, Foucault, w ściśle określonym polu jego teorii. Lecz czymże jest formułka, jak nie jedynie formułką? Uwaga, panowie, by dziura, jaka pojawia się w waszych rozumowaniach nie pochłonęła w końcu was samych. W naukach ścisłych można rozumować na przekór rzeczywistości codziennej, osobistej , najoczywistszej; w humanistyce to się nie udaje. Tutaj metoda ta doprowadzi was do sytuacji, obawiam się, równie kompromitującej co sztucznej, i zmuszeni zostaniecie od świtu do nocy zadawać waszą praktyką kłam waszej teorii. Przykład? Foucault zamierza unicestwić człowieka w *épistème*. Ale po co? By utwierdzić się w swej osobowości, wygrać bitwę z innymi filozofami, stać się znakomitością. I oto znów lądujemy w „prostej" rzeczywistości.

Podziwiam naukę, podziwiam tym bardziej, że jestem ignorantem (jak wy, panowie, i jak Sokrates), ale obawiam się, że tego słóweczka „ja" wyeliminować się nie da, zrośnięte jest z nami zbyt mocno.

Przepraszam, Mistrzu, ale sam pan powiedział, że człowiek jest zawsze nieautentyczny i nigdy nie może być sobą. Więc jak to?

G.: — No tak, powiedziałem. A równocześnie zawsze byłem zmuszony do potwierdzania mego „ja" w literaturze z największą stanowczością. Ilekroć usiłowałem je odrzucić, powracało jak bumerang. Nie da się inaczej! Wykluczone! Bez „ja" ani rusz. Czymże jest jednak to „ja", którego nie ma, a które tak człowieka usidla? Doszedłem do wniosku, że moje „ja" opiera się wyłącznie na mojej woli bycia sobą. Nie wiem kim jestem, ale cierpię gdy zostaję zniekształcony, oto wszystko.

A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym panu jeszcze szepnąć coś na ucho — wciąż jako ta osoba z „drugiego brzegu", brzegu nie teorii, a praktyki; sztuka to właśnie to — szepnąć powiadam, coś... przerażającego. Jest widzi pan, taki element, jedyny w całym Istnieniu... antyludzki... niemożliwy... doprawdy wyjątkowy... niesłychany... i realny, o, realny... Pan blednie, drogi przyjacielu, pan się domyśla. Tak, to to: Cierpienie. Nie wykluczone, że piętą achillesową humanistyki (a także sartrowskiego egzystencjalizmu) okaże się ich zbyt, rzekłbym, flegmatyczny, zbyt olimpijski stosunek do Cierpienia. Zbyt spokojnie się tu rozważa na temat

człowieka. Robicie z nim co chcecie. W dniu, w którym Cierpienie zstąpi w umysły wasze, wasze struktury staną się... trudniejsze... bardziej bolesne...

Formy należy się bać!

Ram.

G.: — Zamilczmy. Pozostało jeszcze kilka zwierzeń, które w mej roli *outsider*'a chciałbym poczynić strukturalistom. Ci, którzy czytali moje powieści i *Dziennik* przypominają sobie może ową „Niedojrzałość", która przeciwstawia się w człowieku formie. Co to znaczy właściwie być „niedojrzałym"? Znaczy to być niedorozwiniętym, znajdować się poniżej pełni swych możliwości, swego *maximum,* być „nie całkiem". Jedynie to co dojrzałe nadaje się do ujawnienia; w naszej rzeczywistości wewnętrznej, prywatnej, jesteśmy niedojrzałością. Ach! Idee w sztuce! To głupstwo, rusztowanie, nic więcej... Jeśli jednak ośmielam się zwrócić pańską uwagę na tę ideę niedojrzałości, to dlatego, że godzi ona w pewną antynomię, która dla nas wszystkich, olśnionych widzów na wielkim meczu współczesnej myśli, staje się coraz bardziej żenująca... skandaliczna wręcz... Można by ją sformułować następująco:

Im mądrzej, tym głupiej.

Przepraszam bardzo! Za nic w świecie nie chciałbym kogokolwiek urazić! Muszę jednak wypowiadać się z pewną bezpośredniością, prostacką bez wątpienia, tak, prostacką, lecz niezbędną... „Mądrze i głupio" — oto co czuję, co wszyscy czujemy w obliczu tej debaty tak uczonej, tak poważnej, jaka się przed nami toczy. I ta „głupota", będące odwrotną stroną naszej „mądrości", stanowi moim zdaniem jeden z wielkich problemów naszych czasów. Jak się to dzieje, że sam Kant (by nie wymieniać strukturalizmu) potrafi być dla nas jednocześnie mądrością i głupotą? Ponieważ cała jego Krytyka stanowi nadludzki wysiłek osiągnięcia mądrości, która jest celem, nie punktem wyjścia. Kant był „niedojrzałym" który zapragnął stać się dojrzałym. I tak jak każdy z osobna ukrywa swe niedoskonałości i ukazuje to tylko, co ma najlepszego, tak samo cała nasza kultura nieustannie unosi się w górę, my zaś, z zadartymi głowami, pozostajemy w dole. A skoro ona jest powyżej nas, my znajdujemy się poniżej...

Przemawiamy więc w języku „wyższym", nie naszym... Doprawdy, czyż konieczne jest wykazywanie tragizmu tej sytuacji tym wszystkim, którzy w pocie czoła usiłują pisać lub czytać naszą literaturę... którzy z rozpaczą w sercu uczęszczają na koncerty czy wystawy? Czy tym, którzy biorą udział w toczącej się obecnie dyskusji na temat „nowej krytyki" czy „nowej powieści"? Twierdzę stanowczo: rozumie się niewiele, przyswaja za

mało, i wszystko to staje się z każdym dniem coraz bardziej hermetyczne, coraz mniej realne. Sytuacja, powtarzam, jest niezwykle poważna. Wołanie na alarm, tak nawet prostackie jak moje, jest lepsze od zmowy milczenia. To nieporozumienie nie może trwać bez końca, jeżeli nie chcemy popaść w niedojrzałość szczególną, produkt uboczny intelektualnego przerafinowania, niemożliwego do strawienia.

Pst!

G.: — Przestraszyłem pana? Widzi pan, także i ta skłonność do niedojrzałości, do niższości, ma swe oparcie w pewnej „strukturze", której, wydaje mi się, nie należy lekceważyć: wzajemnej zależności wieku, płci i stopnia rozwoju wśród ludzi. Człowiek? Jaki człowiek? Dorosły, stary, młody, kobieta, dziecko? Nie ma „człowieka" samego dla siebie. I skoro siebie nawzajem stwarzamy za pomocą formy, przyjąć też należy, że dorosły formując młodego sam jest przez niego formowany. W jaki sposób?

Wszyscy byśmy, panie dzieju, chcieli być młodzi, nieprawdaż? Młodość jest w życiu fazą wstępującą, kwitnącą, natomiast wiek dojrzały to początek śmierci. Jesteśmy więc wszyscy w osobliwy sposób opanowani przez dwa sprzeczne pragnienia. Dążymy do dojrzałości, siły i mądrości wieku dorosłego, a równocześnie nieodparcie pociąga nas młodość. Ale młodość to niższość. Być młodym, to być mniej silnym, mniej dojrzałym, mniej mądrym. I oto zadziwiająca sprzeczność. Z jednej strony człowiek chce być doskonały, chce być Bogiem. Z drugiej chce być młody, chce być niedoskonały.

Człowiek dorosły znajduje się więc pomiędzy Bogiem a Młodym. Dorosły dominuje nad młodym, lecz młody dorosłego urzeka. Piękno, urok, wdzięk są bowiem po stronie młodości, są nierozerwalnie związane z niższością.

Można by o tym mówić długo, ta potajemna miłość degradacji to temat niewyczerpany, pełen brutalnej poezji. Nas jednak tutaj zajmuje to, że człowiek nie tylko niedojrzałości ulega, on jej też pożąda... W ten sposób kochamy... Tak, czas wnieść nieco porządku w te wyznania...

Jako artysta raczej, a więc dyletant, nie zamierzam wdzierać się na obszary nauki ani filozofii. Jednak dążenia epoki, jej tendencje podskórne mogą realizować się na różne sposoby: zarówno w drodze rozumowania, jak i w wizji artystycznej. Sądzę że my, to znaczy strukturalizm i ja, znaleźliśmy się w tym samym nurcie... mój „człowiek" jest krewnym jego „człowieka"... pozwoliłem sobie go więc zaprezentować. Oto on. Że mówi innym niż wy językiem, panowie profesorowie? Zgoda. Niemniej ma

on wam coś do powiedzenia: 1) Szukajcie swych antynomii; rozprawiając o Uniwersalnym, Abstrakcyjnym, o Ludzkości i Kulturze nie traćcie z oczu ludzkiej Formy w jej aspekcie konkretnym, dotykalnym, takim w jakim się ona objawia stwarzana przez pojedynczego człowieka. 2) „Ja" ma twardy żywot. 3) Strzeżcie się Cierpienia, to tygrys, który na was czyha. 4) Strzeżcie się niedojrzałości, utajonej w sercu waszej dojrzałości.

Witold GOMBROWICZ

(Tłumaczył z francuskiego M. Broński)
La Quinzaine Littéraire, 1. V. 1967.

O strukturaliźmie

Strukturalizm w szerszym znaczeniu to nazwa paryskiej mody intelektualnej, której szczyt przypadł na lata 1965-1970; w węższym znaczeniu termin ten określa pewien kierunek w lingwistyce. W niniejszej notce informacyjnej mowa o strukturalizmie w szerszym znaczeniu. Prąd ten przypomina swym charakterem (według słów Raymonda Arona zaś: *„stylem, pretensjami i ignorancją")* szkołę fenomenologiczno-egzystencjalistyczną lat powojennych: podobnie jak i ona operuje specjalnym żargonem; podkreśla swe podobieństwa i parantele z poprzednikami (m.in. rosyjskim formalizmem lat dwudziestych i praską szkołą lingwistyczną lat trzydziestych); wytworzył też własną (obfitą) literaturę teoretyczną, której zadaniem jest danie nowej interpretacji świata i człowieka, a równocześnie wyprecyzowanie własnej metody, celów i założeń.

Strukturalizm nie jest określoną teorią, lecz raczej klimatem umysłowym, na który składają się pewne przekonania ogólne oraz tęsknota do statutu nauki ścisłej. Wspólnym mianownikiem tych przekonań jest pojęcie struktury, tj. układu współzależnych części, tworzących jakąś całość — całością taką jest m.in. język (stąd związek strukturalizmu z lingwistyką), społeczeństwo (związek z etnologią i socjologią), nawet myślenie (związek z psychologią, psychoanalizą, filozofią); strukturaliści uważają za swoje zadanie odkrywanie i opis takich struktur, podkreślając silnie ich nadrzędność wobec tworzących je elementów. Z tego punktu widzenia człowiek jest rozpatrywany jako część struktury społecznej; podkreśla się tu raczej to, co nie-indywidualne, międzyosobnicze, to, co w języku bywa zaznaczane jako *„się"* [*„'się robi'"*, zamiast *„ja" (ty, on)*]; strukturalizm zajmuje się też tą trudno dostępną sferą, w której indy-

widualne postrzeżenia, wrażenia i myśli przekształcają się w społecznie istniejące, międzyludzkie systemy symboliczne — przede wszystkim język. Stąd szczególne zainteresowanie strukturalistów językiem i językoznawstwem ogólnym: z jednej strony język sam jest dobrym przykładem struktury (lub: *systemu* — oba terminy używane są prawie synonimicznie i nie mają dobrej definicji), każdy jego element bowiem ma sens tylko jako część całości, z drugiej zaś — język jest obecny w innych strukturach, np. literaturze, komunikacji, a nawet — w szerokim sensie — w myśleniu. Ponadto spośród dyscyplin „współtworzących" strukturalizm językoznawstwo osiągnęło stosunkowo wysoki poziom metodologiczny, tzn. uplasowało się dość blisko „prawdziwej nauki" — toteż dla wielu strukturalistów pełni ono rolę swego rodzaju matematyki; często spotykane terminy i ekskursy językoznawcze w ich pracach służą do podkreślenia wysokiego „poziomu generalizacji" wywodów; pewne techniki lingwistyczne też posłużyły jako model analiz strukturalistycznych (np. Lévi-Strauss opisuje systemy pokrewieństwa różnych ludów w sposób, przypominający fonologiczne analizy różnych języków). Szczególną estymą wśród strukturalistów cieszą się pisma działającego przed I wojną genewskiego językoznawcy F. de Saussure'a, który m.in. podkreślał — za jego czasów istotnie zaniedbany — problem synchronicznych, funkcjonalnych aspektów języka (XIX-wieczne językoznawstwo było prawie wyłącznie diachroniczne, historyczno-porównawcze — choć właśnie dzięki zdobyczom tej epoki uzyskało ono swój wysoki status naukowy).

Strukturalizm wydaje się (dość odległym) echem cybernetyki; cechuje go *relatywizm* i koncentracja uwagi na stronie formalnej, technicznej zjawisk *(„jak-to-jest-zrobione?")*; podejście takie stanowi pewne *novum* zwłaszcza w humanistyce, tradycyjnie traktowanej jako dziedzina intuicji, improwizacji i ładnych słów, uchylających się systematycznemu badaniu — stąd wiara strukturalistów w ich misję „unaukowienia" humanistyki, nie pozbawiona ładunku besserwisserstwa i epatowania „tradycjonalistów". Tutaj m.in. należy głośna książka Michel'a Foucault *Les mots et les choses* (1966), w której autor przeciwstawia ciągłej, „diachronicznej" koncepcji historii obraz dziejów, złożony z ciągu następujących po sobie skokami *episteme* (gr. „wiedza, poznanie"), tzn. formacji ponadindywidualnych, determinujących umysł i aktywność ludzką do tego stopnia, że ich odkrywca parafrazując Nietzsche'go — obwieszcza: *„Człowiek umarł"*.

Rozległość problematyki, interesującej strukturalistów, w połączeniu z ich na ogół humanistyczno-ogólnym wykształceniem i niejasnościami samej „metody" powoduje, że większość prac tej szkoły ma charakter ezoterycznych — by nie rzec: pretensjonalnych — esejów z pogranicza literacko-filozoficznego. Z tego względu trudno powiedzieć na razie, jakie są konkretne osiągnięcia tego kierunku, poza tzw. zapładnianiem umysłu.

M. BROŃSKI

UZUPEŁNIENIE EMIGRACYJNYCH NAGRÓD PISARSKICH

Wacław Zagórski — nagroda pisarska Stowarzyszenia Polskich Kombatantów z 1957 roku za książkę „Wicher wolności".

Janina Kościałkowska — nagroda Koła Kapelanów Polskich Sił Zbrojnych w U.S.A. za utwór „Kapliczka przydrożna"; I-sza nagroda na konkursie im. Czesława Straszewicza Radia Wolna Europa w 1965 roku za opowiadanie „Niebo wyżej".

Jan Winczakiewicz — nagroda *Wiadomości* londyńskich w 1965 roku za najlepszy wiersz ogłoszony w tym tygodniku. (J. Winczakiewicz otrzymał w 1973 roku medal miasta Paryża za przewodnik „Polak zwiedza Paryż).

Dr Valentin Debeljak — w 1967 roku otrzymał złoty krzyż zasługi nadany przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego w Londynie za tłumaczenia klasyków literatury polskiej, publicystykę w prasie słoweńskiej, oraz odczyty na tematy polskie; w 1972 roku otrzymał złotą odznakę S.P.K. za Antologię Polskiej Poezji Wojennej z lat 1939-45 w języku słoweńskim „Żalost Zmagoslavija" („Smutek zwycięstwa").

Zbigniew Grabowski — I-sza nagroda w konkursie *Wiadomości* londyńskich w 1961 roku za szkic „Burza historii"; IV-ta nagroda na konkursie *Wiadomości* w 1962 r. za szkice „Rosa Mistica" i „Punkt zwrotny"; I-sza nagroda *Wiadomości* w 1964 r. za szkic „Spotkanie z Grecją"; III-cia nagroda *Wiadomości* w 1968 r. za szkic „Nasz naród jak lawa" napisany pod pseudonimem Antoni Krakowski.

KOMUNIKAT

Ukazał się pierwszy numer kwartalnika *ANEKS*, wydawanego przez Polskie Koło Naukowe przy Uniwersytecie w Uppsali, Szwecja. We wstępie redakcja pisze, że głównym celem pisma jest udostępnienie czytelnikowi w kraju i na emigracji ważnych tekstów politycznych, a także socjologicznych, ekonomicznych i filozoficznych leżących na pograniczu polityki a publikowanych w obcych językach. Ma to być „ANEKS" zarówno do pism krajowych, w których te prace nie mogłyby się ukazywać, jak i do pism emigracyjnych, ze zrozumiałych względów poświęcających najwięcej miejsca publikacjom polskim.

Poza tłumaczeniami redakcja pragnie również drukować teksty oryginalne, pisane zarówno w kraju jak i na emigracji.

Pierwszy numer zawiera: R. L. Heilbroner: *U źródeł dylematu socjalistycznego;* S. P. Huntington: *Społeczna i instytucjonalna dynamika rozwoju systemów jednopartyjnych;* M. Dżilas: *Komunizm a klasa robotnicza;* G. Moldau: *Pod wpływem lektury Amalrika;* D. M. Nuti: *Wybór społeczny i polski konsument;* A. Besançon: *Wielki terror;* M. J. Lasky: *Hańba i sława Maksyma Gorkiego.*

Redakcja prosi o wpłaty na fundusz wydawniczy *Aneksu*. Przesyłać je można w formie przekazu pocztowego na konto: Sweden, Post giro Nr 87.42 56-1 lub czeku bankowego (International Money Order) wystawionego na: Aneks, Box 23057, Uppsala, 23, Sweden. Na ten adres należy kierować listy i prośby o egzemplarz okazowy.

Sprawy (nie tylko) wydawnicze

Encyklopedyści (I)

„Encyklopedia PWN przejdzie do historii jako największe w dziejach polskiej kultury dzieło zbiorowe całego pokolenia inteligencji polskiej".

Tadeusz Kotarbiński

Prasa krajowa i radio w majowych dniach propagandy książki informowały obszernie o wydanych i przygotowywanych do wydania encyklopediach Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Program ambitny i wielostronny świadczy o odbudowie tego największego w Polsce warsztatu redakcyjnego encyklopedii i słowników. Zapowiadane są encyklopedie jedno- i wielotomowe, powszechne i specjalistyczne. Nowa czterotomowa encyklopedia powszechna osiągnąć ma nakład półmilionowy.

W tej powodzi informacji nie znalazłem jednak odpowiedzi na pytanie jaka będzie treść — nazwijmy umownie — humanistyczna tych encyklopedii; jaki przyjęto wzorzec informacji z zakresu nauk humanistycznych, historii najnowszej, spraw nam współczesnych? Czy nadal czytelnik otrzymywać będzie encyklopedie „powszechne" z wprowadzonymi po roku 1968 przeinaczeniami i białymi plamami przemilczeń? Czy nadal wolno będzie pod obowiązującą nazwą encyklopedii przemycać na półki czytelników takie kikuty informacyjne jak XI i XII tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN, czy też nowe wydanie Małej Powszechnej PWN?

Modelem tego typu encyklopedii są encyklopedie sowieckie. Mam przed sobą VII tom encyklopedii literatury (Moskwa 1972), który zawiera m.in. wszystkie hasła na literę S, ale nie informuje czytelnika ani jednym słowem o istnieniu Sołżenicyna. (Ciekawostka: Antoni Słonimski uzyskał w tej encyklopedii epitet, o jakim w kraju mógł tylko marzyć: „oppozycjoner" wobec polityki kulturalnej PRL!). A przecież 10 lat temu był jeszcze Sołżenicyn — zdaniem recenzenta *Prawdy* (29. 11. 1962) — „pisarzem niezwykle utalentowanym"!

Niemal bez zmian obowiązuje w ZSSR stalinowska zasada bezpośredniego podporządkowania każdej decyzji wydawniczej, każdego drukowanego słowa aktualnym, dzisiejszym wytycznym aparatu partyjnego. Każdy artykuł encyklopedii zatwierdza nie tylko czujny cenzor, ale również pracownik właściwego wydziału Komitetu Centralnego, a w ważniejszych sprawach — jego przełożony, czasem nawet sam Szef.

Zasadą naczelną redakcji encyklopedii w ZSSR jest „partyjność", co oznacza, że aparat partyjny decyduje o czym i jak należy czytelnika informować. Jest to właściwie ogólna zasada systemu informacji w ZSSR: wybrane dzisiaj informacje, ustaloną dzisiaj ocenę wydarzeń przedstawia się czytelnikowi z całą powagą jako niezmienną prawdę obiektywną, jako Słuszną Sprawę; odmiennych wcześniejszych informacji i ocen nikt nie odwołuje, uważa się je po prostu za niebyłe. Niedogodne informacje są pomijane, zjawiska tylko wtedy dostrzegane, gdy potwierdzają słuszność partyjnych ocen.

W prasie, radio, telewizji ZSSR ten codzienny odsiew i nieustające fryzowanie zaprzeczających sobie co pewien czas informacji przechodzi bez wstrząsów; po 24 godzinach ginie niemal wszelki ślad po wczorajszych informacjach i komentarzach i tylko bystry obserwator dostrzeże zmianę w ich doborze i naświetleniu.

Inaczej w literaturze aktualno-politycznej. Tu już paromiesięczny okres, niezbędny do wydrukowania broszury, naraża wydawcę na przykrą czasem konfrontację jej treści z artykułem wstępnym najnowszego numeru *Prawdy*.

Strach przed tego rodzaju konfrontacją paraliżuje autorów i wydawców powieści współczesnej. Nie sposób przecież przewidzieć, czy nawet sam temat powieści, trafnie wybrany dziś, spotka się z aprobatą partyjnego aeropagu po wydrukowaniu książki, po upływie 2-3 lat.

Cóż dopiero mówić o encyklopediach. Ich redaktorzy nieustannie dostosowują najważniejsze hasła do meandrów partyjnej linii i polityki. Procesu tego nie przerywa nawet podpisanie ostatniej korekty do druku. Teksty zmienia się na maszynach drukarskich, niemal w każdym tomie współczesnej encyklopedii drukuje się ponownie arkusze przed oprawą, czasem nawet wyrywa kartki gotowej książki i wkleja nowe z poprawkami.

A rezultat? W przekładzie polskim (dosłownym nawet w tytule) znane jest czytelnikom tylko jedno sowieckie dzieło „encyklopedyczne" — „Krótki (?) słownik filozoficzny" — karykaturalny wręcz przykład zastosowania zasady „partyjności" w procesie redagowania. Wszystkie dzieła encyklopedyczne w ZSSR odpowiadają temu modelowi. Wystarczy przejrzeć którekolwiek z nich: Wielka powszechna w nowym wydaniu (wydany tom I-X, nakład 625.000 egz.), mała encyklopedia literatury, historii, prawa czy pedagogiki. Milczenie pokrywa ogromne połacie wie-

dzy i życia, rażącą jednostronność potęguje katarynkowe powtarzanie komunałów. Cytaty ratują przed ryzykiem własnych sformułowań, ale nawet tekst nie wyodrębniony cudzysłowem powtarza zwykle utarte zwroty, styl i terminologię zapożycza z urzędowych „dokumentów". Tak było w czasach Stalina, mało co zmieniły chruszczowowskie reformy, tak jest nadal w roku 1973.

W Polsce po roku 1945, poza przekładem wspomnianego „krótkiego" słownika filozoficznego, wiernych odtworzeń sowieckiego modelu encyklopedii chyba nie było. Do polskich tradycji nawiązał w roku 1947 Stanisław Tazbir podejmując z inicjatywy Jerzego Borejszy wydawanie jedynej w swoim rodzaju „encyklopedii powszechnej w zeszytach". Na całość miało się złożyć 1000 broszur ze wszystkich dziedzin wiedzy. Nie miejsce tu na analizę przyczyn niepowodzenia tej „Wiedzy powszechnej". Brudnoszare, źle drukowane broszury o skomplikowanym podziale tematycznym, wydawane były w zmniejszającej się z roku na rok liczbie egzemplarzy. Wspominam tu o tym wielkim eksperymencie wydawniczym, bo stanowił on całkowite przeciwieństwo modelu encyklopedii rosyjskiej.

Tazbir (po Lamie — Stanisław II polskich encyklopedystów) pozyskał do współpracy wszystkich niemal ocalałych w kraju przedstawicieli nauki polskiej. Była to liberalna, niemal eklektyczna konfrontacja różnych szkół naukowych, kierunków, poglądów.

Szybko to się skończyło. „Czytelnik" Jerzego Borejszy został rozbity, koncepcja tazbirowskiej encyklopedii potępiona. Ale z liberalnych tradycji polskich encyklopedii XIX i XX wieku, z doświadczeń „Wiedzy Powszechnej" tego okresu wywodzą się entuzjaści wydawania rzetelnych opracowań encyklopedycznych w Polsce. Ich wrogowie nazwali ich po roku 1968 „encyklopedystami", sądząc zapewne, że jest to miano wzgardliwe. Mylili się jednak — pragnąc w tych wywodach ocenić ich sprawiedliwie nazwę tę przymuję jako trafną i w pełni przez nich zasłużoną.

Pole do działania otworzyło się w okresie polskiego Października. W małym gronie zrodziła się w szczegółach koncepcja, która stała się niemal bez zmian podstawą wszystkich późniejszych poczynań działu encyklopedii Państwowego Wydawnictwa Naukowego.

W atmosferze gorących dyskusji tego okresu opracowane zostały założenia programowe i redakcyjne encyklopedii polskiej. Przedstawmy w skrócie najważniejsze z nich:

— Encyklopedia powinna być socjalistyczna, ale antydogmatyczna. Zgodność z podstawowymi założeniami marksizmu, z zasadniczym trendem rozwojowym, nie oznacza koniunkturalnego przystosowywania się do każdej zmiany ocen politycznych, wynikającej z doraźnych potrzeb taktycznych.

— Polska encyklopedia musi sprawom polskim poświęcić wiele miejsca zarówno w hasłach Polski bezpośrednio dotyczących, jak również we wszystkich innych (np. w artykułach o kierunkach w sztuce końcowy fragment „W Polsce": stosunki Polski z innymi krajami, Polonia, emigracja itd.).

— Nie ma encyklopedii idealnie obiektywnej. Tendencyjność wyraża się nie tylko w sformułowaniach; dobór haseł, ich rozmiary, ilustracje, przemilczenia — bogaty jest arsenał zabiegów redakcyjnych, stanowiących o „obliczu" encyklopedii. Ale rzetelna encyklopedia musi przestrzegać zasady *fair play*, musi dać czytelnikowi minimum choćby informacji o sprawach i sądach dla redakcji niedogodnych. Informacje muszą być pełne i rzeczowe, strefy przemilczeń ograniczone i w miarę możliwości sygnalizowane czytelnikowi.

Przedstawmy w schematycznym uproszczeniu dwie przeciwstawne tezy o zakresie informacji encyklopedycznej. Model ZSSR: redakcja określa na jakie pytania czytelnik powinien otrzymać odpowiedź; z encyklopedii czytelnik uzyskuje informacje jak należy na te pytania odpowiadać. „Październikowy" model polski: czytelnik powinien w encyklopedii znaleźć możliwie pełną odpowiedź na każde pytanie. Glossa cynika (z dyskusji z redaktorami encyklopedii Larousse'a): tendencyjność encyklopedii tym silniej wpływa na kształtowanie się sądów czytelnika, im mniej jest ona „gołym okiem" dostrzegalna. Stąd wartość informacyjna artykułów „humanistycznych" encyklopedii nikła jest w ZSSR, a szansa przekonania czytelnika o słuszności ocen i poglądów — niemal żadna.

Tu mała dygresja: dyrektor centrali eksportu książek ZSSR podał ostatnio do wiadomości (Wn. Torgowla, 1973, 4), że wydawca amerykański Crowell, Collier, Macmillan, NYork, nabył prawa przekładu na język angielski... Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej, której tom 10 nowego wydania ukazał się niedawno w Moskwie! Jeśli rzeczywiście szacowna firma CC and M ma zamiar przełożyć na język angielski całą encyklopedię łącznie z tzw. artykułami ideologicznymi, to radziłbym z rozpoczęciem prac zaczekać do tomu z hasłami na literę S — nie tylko ze względu na informacje o Sołżenicynie, ale również o „Sojediniennych Sztatach Ameryki"...

— Odpowiedzialność za zamieszczone w encyklopedii artykuły ponoszą wyłącznie autorzy i redaktorzy. W krajach komunistycznych zasady tej przestrzega — jak sądzę — jedynie jugosłowiańskie wydawnictwo encyklopedii. Rzecz ciekawa — tego problemu odpowiedzialności nie rozumie nie tylko przeciętny czytelnik na Zachodzie, ale nawet redaktor zachodnich wydawnictw encyklopedycznych. Sięgnijmy znowu do przykładu ZSSR.

Redaktor encyklopedii sowieckiej stara się za wszelką cenę uniknąć odpowiedzialność. Zabiega więc o zatwierdzenie każdego artykułu przez jakąś poważną instytucję, z reguły usiłuje przerzucić na nią odpowiedzialność nawet za wybór autora i recenzentów. „Uzgadnianie" — nieznośna procedura znana na Zachodzie chyba tylko w praktyce parlamentarnej i dyplomatycznej — napotyka jednak zawsze na trudności i przeszkody. Instytucje bronią się jak mogą przed oficjalnym potwierdzeniem czegokol-

wiek, przed podpisaniem „papierka". Redaktor prawie zawsze musi uruchomić skomplikowany aparat nacisków, by zmusić oporną instytucję do zajęcia stanowiska. Idą w ruch różne telefoniczne i pisemne nakazy i polecenia, czasem nawet oficjalne uchwały organów kierowniczych ustalają jaka instytucja zobowiązana została do zatwierdzenia określonej w uchwale grupy haseł encyklopedycznych.

Przyparta do muru instytucja ma z kolei swoją znakomicie opanowaną technikę przerzucania odpowiedzialności. Powołuje się komisje, zbiera opinie, gromadzi dokumentację. Artykuł na temat „drażliwy" zostaje okrojony, wygładzony, zbanalizowany. Zastęp „cytatologów" wprowadza do artykułu światłe sądy uznanych oficjalnie autorytetów.

Redaktor skrupulatnie przechowuje każdy podpisany „papierek" — archiwum wydawnictwa może zawsze w krótkim czasie odtworzyć historię powstania ostatecznej wersji każdego ważniejszego artykułu; korowód zainteresowanych osób i instytucji, rejestr poprawek, zmian, zastrzeżeń, to istny bieg sztafetowy, w którym odpowiedzialność przerzuca się na „kolegę" byle by tylko bieg zakończył kto inny.

„Październikowa" teza encyklopedystów — zasadniczo przeciwstawna sowieckiej: za artykuły podpisane odpowiada przede wszystkim autor, a wraz z nim — redaktor działu i komitet redakcyjny encyklopedii. Za artykuły niepodpisane odpowiada oczywiście wyłącznie redakcja. Żadna instytucja niczego w encyklopedii nie zatwierdza; konsultacje z pracownikami czy kierownikami instytucji, zainteresowanej treścią artykułu, przeprowadzane są przez redakcję encyklopedii wyłącznie dla uzyskania osobistej opinii każdego z nich jako recenzenta czy doradcy.

Tyle na dzisiaj. Nie wolno przeciążać numeru wakacyjnego zbyt obszernymi wywodami na ten temat. W następnym odcinku jeszcze tylko kilka uwag ogólnych o nowoczesności i języku encyklopedii, a potem — o dorobku i perypetiach encyklopedystów.

Adam BROMBERG

Uppsala, 31 maja 1973

Polemiki

Literatura contra faktologia

KATYŃ

Czytając jak zawsze od deski do deski, jak zawsze ciekawą, choć nie zawsze po mojej myśli, *Kulturę* — dostrzegłem w numerze z maja rb. rzecz, wydaje mi się, godną głębszej medytacji.

Rozdział z powieści Włodzimierza Odojewskiego, pt. „Podróż", która jest podróżą do Katynia za czasów okupacji niemieckiej i przeprowadzanej tam ekshumacji zwłok oficerów polskich.

Katyń nie ma szczęścia do ścisłości przedstawienia. Wciąż, na świecie, zgłasza się jakiś nowy rewelator, który miesza łyżką sensacji przerzucając dawno już ustalone fakty. Sensacja robi swoje, i w szerokiej opinii pozostaje osad, że właściwie to nic nie wiadomo o Katyniu dokładnie. Choć w rzeczywistości wszystko wiadomo dokładnie. Relacja Odojewskiego tylko pośrednio zahacza o ten stan rzeczy. Nie ma w niej żadnych nowych sensacji, jest za to dużo niedokładności. Ale „podróż" (do Katynia) Odojewskiego stanowi zarazem fragment większej powieści. I tu zaczyna się inna, a stara strona problemu: czy, i na ile „prawda artystyczna" utworu literackiego obowiązana jest zachowywać „prawdę historyczną", trzymać się ścisłości faktów? Osobiście jestem za ścisłością. W powieściach na tle wypadków dziejowych fascynuje mnie to co nazywam: konfrontacja losu człowieka z — dokumentem historycznym. Zanim jednak przejdziemy do refleksji na ten temat, przedstawmy po krótce fakty.

Pomijam nie ważne. Takie np. jak ten, że jeszcze nie dojeżdżając Krzemieńca, wuj August mówi w pociągu do Pawła: „Za dwie, trzy godziny miniemy Baranowicze"... Byłaby to szybkość pociągu w pokonaniu odległości, chyba 450 km., zbyt zawrotna, zwłaszcza na tamtejsze pociągi i w tamtych okolicznościach. No, ale po pierwsze mówi to w powieści nie rozkład jazdy, lecz wuj August. A po drugie, któż z pisarzy nie popełnia masy takich

przeoczeń! Nieważnych, normalnie przez czytelnika nie zauważanych. Ja sam, w ostatniej powieści, umieściłem np. Dzisnę na linii kolejowej, choć byłem w niej z dziesięć razy i wiedziałem że tam żadnej kolei nie ma. Dopiero zwrócił mi uwagę S. Siemaszko. Takie zaskoki pamięciowe, mechaniczne, są w pisaniu chyba nieuniknione, skoro popełniają je wszyscy prawie pisarze. Jeżeli nie dotyczą sedna tematu, nie przynoszą większego uszczerbku.

Ale sednem „Podróży" Odojewskiego jest jednak — Katyń. Miejsce jednej z największych zbrodni minionej wojny. Z zaciekłością zaprzeczanej przez stronę komunistyczną, podważanej w każdym szczególe, kwestionowanej w dowodzie prawdy z byle najmniejszej okazji fałszywego świadectwa. Tu już nie chodzi o okoliczność marginesową. Tymczasem oto, podróż Odojewskiego — jak to autor stwierdza — odbywa się „w środku lata" (co u nas potocznie oznacza lipiec); wuj August i Paweł przyjeżdżają na miejsce mordu w Kozich Górach, i zastają groby otwarte, a prace nad ekshumacją zwłok w całej pełni... — To nieprawda. Prace ekshumacyjne przerwane zostały 3-go czerwca (1943 r.). A 7-go czerwca ustały wszelkie roboty na Kozich Górach.

Gorzej jest z inną datą. Paweł, Odojewskiego, przenosi się myślą do czasów gdy zabijano tu oficerów polskich: „...w tamte wiosenne dni *sprzed dwóch lat*"... Ponieważ jest rok 1943, przeto „sprzed dwóch lat" wypada na *rok 1941* (wersja sowiecka), a nie 1940 jak było naprawdę. Wprawdzie Paweł mówi o „wiośnie", a sowiecka wersja o jesieni 1941 — lapsus nie jest błahy. I choć zapewne jest błędem mimowolnym, jest z tych zaciemniających prawdę, na który ktoś kiedyś, w wiadomych celach, może się powołać, skoro ukazał się w druku.

Jest dużo drobnych błędów. Od stacji Gniezdowaja do lasku katyńskiego jest ze cztery kilometry, a nie jeden kilometr, jak pisze Odojewski. Dlatego to oficerów polskich przeznaczonych do wymordowania, wożono stamtąd, wiosną 1940, do Kozich Gór ciężarówkami. W przeciwnym razie pędzono by ich zapewne piechotą. Zaś strzały słychać by było wyraźnie na stacji. — Barak *Feldpolizei* i *ad hoc* zainstalowane laboratorium, gdzie też odbywała się weryfikacja ekshumowanych w roku 1943 przez Niemców dokumentów, znajdował się nie w Kozich Górach (lasku katyńskim), lecz w oddalonej o parę kilometrów miejscowości Gruszczenka, itp.

Gdy ja przybyłem do Katynia w końcu maja 1943, i wysiadłem z autobusu w tym straszliwym, dusząco-mdlącym zaduchu trupim, zmieszanym z gryzącym dymem ognisk, którym ratowali się pracujący przy ekshumacji — uczyniłem coś co opisałem następnie w moich książkach. Mianowicie zanim jeszcze rozejrzałem się w potwornym pejzażu, podszedłem do cywila w ciemnych okularach, który mi się wydał asystentem dr. Wodzińskiego z ekipy Polskiego Czerwonego Krzyża przy stole, na którym odbywała

się pierwsza rewizja wydobywanych zwłok. Nie przedstawiając się, zapytałem go cicho:

— Co tu się nie zgadza?

Zmierzył mnie okularami od głowy do stóp, odwrócił twarz, i wycedził przez zęby:

— Wszystko się zgadza. Z wyjątkiem liczby.

— Jakto?! Nie ma 10 do 12 tysięcy?...

— Ale skąd! — wzruszył ramionami. — O tu, gdzie pływają trupy w tej wodzie, to jest ostatni ze znalezionych grobów, „grób numer 8". Teraz woda tu podeszła. Ale wysondowaliśmy go pobieżnie. Mały. Najwyżej 80 do 100 trupów. Z poprzednich siedmiu wydobyto dotychczas przeszło 4 tysiące sto. Razem więc będzie, szacuję tak, 4 tysiące przeszło 200. Niemcy gorączkowo szukają więcej, bo ich propaganda zapewniała że jest 10 do 12 tysięcy. Ale wykopują tylko stare trupy miejscowej ludności, dawne ofiary GPU. Naszych nigdzie.

Wtedy, w 1943, to było jeszcze sensacyjne odkrycie! Nie wiedzieliśmy przecie nic dokładnego.

[Jak dziś wiadomo, Niemcy nigdy nie zaprzeczyli swej pierwotnej wersji: „10 do 12 tysięcy". Choć przyznali dokładną cyfrę wydobytych: 4.143. Grób „numer 8" kazali zasypać, nie licząc, i ogłosili że „raptowne upały i plaga much zmusiły do przerwania dalszej ekshumacji". Dziś wiemy, jak dużą tym ukryciem prawdy wyświadczyli usługę Sowietom. Sowiety wykorzystały to jedyne kłamstwo niemieckie, ażeby ustalić swą oficjalną cyfrę na: „11 tysięcy". Pozwoliło to im uniknąć odpowiedzi na fatalne pytanie: „Nawet, jeżeli założymy, że w Katyniu wymordowali Niemcy przeszło 4 tysiące — gdzie jest reszta zaginionych?... W Katyniu nie znaleziona?..."].

Moją rozmowę w Katyniu z mężczyzną w ciemnych okularach, w nieco zmienionej formie, dosyć dokładnie powtarza Odojewski w swej powieści jako rozmowę „Pawła z mężczyzną w białym kitlu" (Nikt w tym lesie białego, oczywiście, nie nosił). Niepotrzebnie jednak uczynił zeń przewodnika w dziedzinę autorskiej fantazji, która znowu zniekształca dokładny obraz stanu faktycznego. Mianowicie ten jegomość „w białym kitlu" prowadzi do rzekomo założonego cmentarza, „ciągnących się rzędami mogił". Tu Paweł miał jakoby, „między trzecim a czwartym rzędem grobów", znaleźć wetkniętą w grób tabliczkę z numerem *3798*, którym oznaczone zostały zidentyfikowane zwłoki jego brata: „Aleksander Woynowicz".

W rzeczywistości żadnego nowego cmentarza z zatkniętymi numerami nie było. Wszystkie 4.143 wydobyte z siedmiu grobów zwłoki, pochowane zostały w dwóch nowoutworzonych grobach masowych. Postawiono nad nimi krzyż. Jedynie generałowie Smorawiński i Bohatyrewicz pochowani w grobach osobnych. Wydobyte zaś 13 zwłok z grobu nr 8, złożone zostały tam z powrotem, do reszty nieekshumowanych. — „Komisja sowiecka", która zjechała do Katynia między 16 i 23 stycznia 1944 roku, nie wspomi-

nając o oddzielnych grobach Smorawińskiego i Bohatyrewicza, ani o grobie nr 8, stwierdza że zastała dwa masowe groby. Jeden o rozmiarze: 60×60×3 metrów, i drugi: 7×6×3,5 [w których miało leżeć owe „11 tysięcy"].

Na tle tych powieściowych dowolności w rodzaju „nowego cmentarza" z wetkniętymi numerami etc., razi mnie u Odojewskiego (powiedzmy: mnie osobiście, który tam był) nuta patosu w opisie hipnotycznego wrażenia, jaki robi na bohatera, Pawła: „... drewniana tabliczka z numerem 3793... Ten numer 3793 powtarzał Paweł bezwiednie w myśli, jakby to były słowa modlitwy... numer składający się z czterech cyfr... a w głębi... on, Aleksy, brat". — Bo wszystko w tym zamyśleniu, w tej sugestywności płynącej z czterech cyfr byłoby i naturalne, i wzruszające, gdyby... Tak, gdyby w rzeczywistości, przez lekceważące potraktowanie faktów, nie stało się raczej brakiem pietyzmu wobec człowieka prawdziwego. Tym prawdziwym człowiekiem, zamordowanym w Katyniu, którego zwłoki zarejestrowano pod numerem *3793*, nie był żaden Aleksander Woynowicz, jak w powieści, lecz: *„Chądzyński Bronisław, 1 list, medalion z łańcuszkiem"*. To wszystko co było jego w tamtej, strasznej chwili. A nie: „inkrustowana papierośnica pochodząca z roku 1863", która następnie odgrywa rolę w powieści.

Ten numer 3793 istotnie może robić wrażenie. Jest ostatnią własnością — nieznanego ani mnie, ani Odojewskiemu — niejakiego Bronisława Chądzyńskiego. Czy można nią dysponować dowolnie w literackiej licencji?

Zdania będą zapewne podzielone.

◆

Proszę mi wybaczyć osobistą drażliwość. Jestem bodaj ostatnim z żyjących jeszcze w wolnym świecie Polakiem, który tam był i widział na własne oczy.

Odojewski napisał powieść, która być może jest doskonała; znam z niej tylko fragment. Sądzę jednak, że gdyby przedstawiał fragment, powiedzmy przykładowo: powstania warszawskiego, nie byłoby dopuszczalne aby termin wybuchu przeniósł np. z siernia na maj, lub czas trwania skrócił do tygodnia, albo przedłużył do daty dowolnej; poprzestawiał, poprzeinaczał ustalone szczegóły historyczne celem przystosowania do własnego pomysłu powieściowego. To samo można powiedzieć w odniesieniu do bitwy pod Monte Cassino, obozu w Oświęcimiu itd., itd. — jeżeli już ograniczymy się tylko do faktów własnej historii z ostatniej wojny, do której należał Katyń. Ale dlaczego nie rozciągnąć na całą historię w ogóle?

Jestem za ścisłością, gdyż wydaje mi się, że jedynie prawda jest ciekawa. Ale jednocześnie prawda jest z reguły bardziej bogata, i wielostronna, i barwna, niż wykoncypowane jej przeróbki. To tak jak człowiek, który wychodzi z sali wystawowej obrazów współczesnego abstrakcjonizmu, w letni, kolorowy dzień życia, i raptem uprzytamnia sobie o ile tamta sztuczność jest jednostajna i nudna w zestawieniu z różnolitością prawdziwego otoczenia. Prawda bywa też z reguły bardziej wstrząsająca, bardziej ponura, czy bardziej podniecająca, bardziej „sensacyjna" i bardziej „kryminalna" od wymyślnych sensacyjnych i kryminalnych powieści. Zupełnie nie widzę powodu odbiegania w twórczości literackiej od prawdy historycznej, ażeby wywołać zamierzony efekt „prawdy artystycznej".

Dlatego zabolało mnie, gdy Adam Pragier — którego uznaję za największego z polskich pisarzy politycznych — w artykule ogłoszonym w *Wiadomościach* stawia pytanie: ile nieprawdy jest w mojej powieści „Nie trzeba głośno mówić", i wyraża sąd, iż na pewno sporo, popełnionej w imię prawdy niejako nadrzędnej, „prawdy artystycznej". Usprawiedliwia ją przy tym przykładami z cytatów takich pisarzy jak Henryk Sienkiewicz, lub Jules Romain. Uważam tę ocenę za krzywdzącą. Albowiem ambicją moją było zawsze oddać prawdę jak najbardziej dokładną, chociażby z narażeniem na zły humor tych, którym jest ona nie na rękę.

Naturalnie, popada się przy pisaniu powieści w mimowolne błędy, jak ten np. ze wspomnianą już u mnie koleją do Dzisny; w przeoczenia wzrokowe, jak to wytknięte mi z wielu stron, że „otok 4 pułku ułanów nie był granatowy, lecz niebieski", i może dużo podobnych. Naturalnie, że w przystosowaniu do ograniczonych ram możliwości wyrazu literackiego w przedstawianiu prawdy, powieść wymaga pewnego przesunięcia, skoncentrowania tego wyrazu; pewnego „rozdzielnika na głosy" powieściowe w wypowiadanych zdaniach i nastrojach życia. Ale, sądzę, w sposób zgodny z tym co nazwałem: „konfrontacja losu człowieka z dokumentem historycznym".

Dlaczego w takim razie — słyszałem — nie ograniczyć się do samego dokumentu? Po co stosować formę powieściową na przydatek? Mnie się zdaje, że po to, aby oddać właśnie tej prawdy — całość. Bo jakże w innej formie przedstawić nie tylko rzeczy, ale wyrazić stronę duchową *(Geist)*, emocjonalną minionych zdarzeń? Która bywa nie tylko drugą połową prawdy dokumentarnej, ale czasem nawet ważniejszą. Tego nie zastąpi najbardziej nawet precyzyjny, ale suchy zestaw faktów.

Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że ją mam gdy powiem, że powieść sięga głębiej niż opis, sprawozdanie. Dlatego Odojewski ma rację, że podjął się nowej powieści o tematyce z wstrząsającej przeszłości dziejowej. O ile nie stanie się — jak wiele, niestety — literaturą *contra* fakty. Gdyż forma powieściowa jest, moim zdaniem, po to by *uzupełniać*, ale nigdy by *zniekształcać* prawdę.

Józef MACKIEWICZ

O krytyce

Miałem już wielokrotnie okazję dowodzić na łamach *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*, jak wielką rolę odgrywa historia w życiu codziennym społeczeństwa polskiego i jak wielką rolę odgrywać powinna przeprowadzana poza zasięgiem zależności od władz PRL informacja o nauce historycznej i analiza krytyczna dziejopisarstwa. „Odgrywać powinna..." Bo nie odgrywa. Poziom informacji i krytyki jest, niestety, niezbyt wysoki, wyjąwszy publikacje kilku może uczonych i pisarzy. Przeważa niewiedza, dyletantyzm i aprioryzm. Kilka lat temu, przebywając w kraju, „łapałem" gdy tylko mogłem audycje „Wolnej Europy". Otóż kiedyś, bodajże w 1966 roku, oniemiałem, gdy przez kilkanaście minut dane mi było słuchać rozwlekłych peanów na rzecz pani Bożeny Krzywobłockiej i napisanej przez nią książeczki, bodajże o Deotymie-Łuszczewskiej. W ujęciu krytyka, wybitnego, cenionego dziennikarza, książeczka ta, typowa „chałtura", urosła do rangi czołowego dzieła historiografii polskiej i krytyk nie mógł się oprzeć głębokiemu zdziwieniu że „tak obiektywna i naukowa praca mogła się ukazać w PRL".

Otóż w tej audycji budziły zastanowienie dwie sprawy: Pierwsza, że, niestety, nie dostrzega się prac rzeczywiście wartościowych, odkrywczych, torujących nowe drogi myślenia naukowego i politycznego, które — jak by to nie było dziwne — niemal corocznie w kraju powstają i które wymagają omówienia, krytyki i popularyzacji. Ba, nawet wyciągnięcia wniosków! A druga sprawa to to, że pani Krzywobłocka co prawda dopiero w 1968 roku zdobyła „europejską" sławę jako jedna z najbardziej szkodliwych działaczy obozu moczarowskiego, działających na terenie nauki i kultury, ale już w 1966 roku dla nikogo, kto znał warszawskie stosunki, nie ulegało wątpliwości, że do odegrania tej roli jest przygotowana. W 1968 roku i w latach późniejszych była dość częstym tematem na fali „Wolnej Europy" i na łamach pism emigracyjnych, ale w 1966 roku nie ja jeden zadawałem sobie pytanie, jak to się dzieje, że właśnie ta pani otrzymała taką reklamę w „Wolnej Europie". Teraz patrzę na życie prościej, ale wtedy, w kraju, było to dość bolesne pytanie, nie dla mnie jednego. Chodzi o to, że wolne słowo, dochodzące z eteru było dla nas czymś więcej niż informacją o tym co się na świecie dzieje, było jeśli nie dyrektywą, to orientacją polityczną. Dlatego też chciało się, by ta orientacja była zawsze bezbłędna i niezawodna, stąd irytacja, ilekroć pojawiała się informacja myląca, błędna.

To są stare dzieje, już same w sobie będące historią, ale jakoś pamięć do nich wraca w rozmaitych sytuacjach — ostatnio, gdy przeczytałem w 115 nrze *Na Antenie* (październik 1972) apoteozę Stefana Kieniewicza. Oczywiście, jest to wybitny uczony i nie wolno przykładać doń miary odpowiedniej dla ludzi przeciętnych lub poniżej przeciętnej. Ocena dorobku Kieniewicza jest sprawą szczególnie ważną dlatego, że jest postacią reprezentatywną dla historiografii oficjalnej w PRL. Próbowałem omówić dorobek i poglądy naukowe Kieniewicza dwa lata temu (*Zeszyty Historyczne* nr 20, 1971) w związku z wydaniem przez niego tomu podręcznika uniwersyteckiego historii Polski, obejmującego lata 1795-1918. Próbowałem oddać co należne walorom naukowym i osobistym autora a część krytyczną podbudować dostatecznym materiałem faktycznym.

Artykuł mój nie spowodował repliki. Pojawił się natomiast wzmiankowany artykuł w *Na Antenie*. Jeśli wierzyć, to właśnie Kieniewicz obalał „oceny... ustalone przez historiografię polską okresu powojennego", które to oceny idą po torze rozumowań Ksawerego Pruszyńskiego w jego pracy o Wielopolskim. Jakoś nawet trudno omówić to wszystko co w kilkudziesięciu wierszach naplątano, trudno nawet powtarzać truizmy, znane w Polsce nie tylko każdemu badaczowi ale i nauczycielowi historii, że Kieniewicz nie mógł obalać tego co sam stworzył, że wyjąwszy wczesne dyskusje z okresu *Kuźnicy*, poglądy Pruszyńskiego były zawsze oficjalnie potępiane, że PZPR ciągnęła określony, wcale nie mały profit z akcentowania linii powstańczej jako antecedencji PRL, że jeśli istniały (w latach popaździernikowej odwilży) polemiki, to toczyły się one przede wszystkim między Kieniewiczem, mającym oparcie w oficjalnej linii politycznej a... Henrykiem Wereszyckim, który — zaręczam niewtajemniczonych — różnił się dość zasadniczo od Ksawerego Pruszyńskiego.

Artykulik przypomina znany wierszyk „Gdy Czarniecki był sułtanem" i jeśli trudno mi się śmiać, to tylko dlatego, iż cenię pismo, w którym artykulik ten ukazał się i które dało się komuś nabrać lub wzruszyć.

Jest to jednak sprawa dość prosta i myślę, że nie warto się nad nią rozwodzić. Bardziej natomiast głowię się nad swoimi odczuciami czytając w *Na Antenie* Pawła Zaremby analizę „Wojny polskiej" Leszka Moczulskiego. Samej pracy nie czytałem a recenzja zdaje mi się logicznie zbudowana. Przypuszczam, że książka usprawiedliwia sąd Zaremby o gorącym patriotyzmie, inspirującym książkę Moczulskiego. Jednakże prawdy polskie są, niestety, zawsze dość powikłane a Moczulski jest dla mnie przykładem polskich powikłań. Moczulski w latach sześćdziesiątych był filarem równie patriotycznego (w formie) jak i antypatriotycznego (w treści) tygodnika *Stolica*. Tygodnik ten, spełniający dość istotną rolę w kalkulacjach Moczara, miał pozyskać dla „obozu partyzantów" grupy co naiwniejszych, niepogodzonych z Polską Ludową. Było to w okresie, gdy na inspirowanych zebraniach publicznych gen. Rómmel potrząsał prawicą Zbigniewa Załuskiego z okrzykiem: „Panie pułkowniku, Pan jest dobrym Polakiem!".

Moczulski w tym czasie odegrał dość istotną rolę, jako atakujący za „niepatriotyczność" czołowych przedstawicieli polskiej liberalnej, czy też rewizjonistycznej inteligencji. Kto chce, znajdzie jego ówczesne artykuły, mnie się grzebać nie chce.

Przypomina mi się tylko obrazek, gdy Moczulski wraz z grupą kilkunastu dość podejrzanie wyglądających panów organizował „patriotyczną" manifestację przeciwko Mrożkowi na przedstawieniu „Śmierci porucznika" w Warszawie.

W Polsce nic nie jest proste i jasne, a istniejące skrępowanie polityczne doprowadza powikłania do którejś tam potęgi. Zdaję sobie sprawę, że niejeden widział w obozie moczarowskim nurt, jeśli nie niepodległościowy to nacjonalistyczny. Demagogia narodowa moczarowców musiała pociągać niejednego zalergizowanego. Przypominam sobie tę wielką robotę, jaką włożyć musiała „Wolna Europa" i wolna polska prasa w wytłumaczenie naiwnym, jaki jest istotny sens „moczaryzmu". Zdaję sobie sprawę, że gdyby nie ta akcja wyjaśniająca, wydarzenia 1968 roku mogłyby przyjąć o wiele tragiczniejszy charakter. Jestem też stanowczo za tym, by akcentować każdy pozytywny dorobek, niezależnie od tego czyim jest on dorobkiem. Moje refleksje dotyczą czegoś innego. W recenzji Zaremby Moczulski jest przedstawiony jako wzorzec do naśladowania, wzorzec niemal wyłączny — skoro reszta historiografii została przedstawiona tak negatywnie. Otóż boję się, że dla dużej części krajowego świata intelektualnego Moczulski wzorem być nie może. I to nie tylko ze względu na nieprzedawnione antagonizmy. Istnieją sprawy ważniejsze.

W świadomości polskiego świata intelektualnego dominuje głębokie przeświadczenie, że bezkrytyczna apoteoza przeszłości narodowej może być dla narodu polskiego równie niebezpieczna jak oficjalna pezetpeerowska negatywna wersja przeszłości: że te dziwne alianse polityczne, jakie widzimy w życiu politycznym PRL, mają swoje historyczne korzenie; że społeczeństwo potrzebuje zarówno historii jako wzorca jak i historii jako krytyki. Zupełnie jak w znanym dowcipie: nie każdy kto cię chwali jest twoim przyjacielem, nie każdy kto cię krytykuje jest twoim wrogiem. I powiem wyraźnie: nie każdy członek PZPR jest pachołkiem, kolaborantem, nie każdy bezpartyjny jest wzorem wszystkich cnót.

Józef LEWANDOWSKI

W obronie własnej

Nakładem czy też zachętą Fundacji Kulturalnej w Londynie ukazała się książka Janiny Miczyńskiej — *Rozbestwieni*, 493 stro-

ny dużego formatu z podtytułem powieść. *Rozbestwieni* składają się z dwóch części i jednego tomu (tak!) i kończą zapowiedzią następnej „powieści". Akcja toczy się od roku 1896 do zakończenia drugiej wojny światowej.

Nie jest to żadna powieść, tylko drobiazgowy i rozwlekły życiorys. Zapewne samej Miczyńskiej, choć dzieje bohaterki, Janiny, opowiada w formie bezosobowej.

Nie ma nic złego w przetwarzaniu własnego życia w literaturę. Nie ma nic złego w spisywaniu własnego życiorysu. Czytałam kiedyś podobną w zamyśle, całkowicie aliteracką i dobrą książkę: „Spotkania na galerii" Halszki Guilley-Chmielowskiej. Wiele takich książek czytałam.

Nie bez przyjemności do stosu nieszczęść bohaterki dorzucam swoją cegiełkę. Książka jest horendalna. Bezwstydna. Ale to nie Miczyńska jest bezwstydna, lecz wydawnictwo, ludzie którzy ją pchnęli na literacką drogę. Powtarzam: jest świętym prawem każdego opowiadanie lub spisywanie historii swego życia. Jest natomiast rzeczą nieodpowiedzialną — szczególnie na emigracji — podsuwanie ich ludziom do czytania. Lektura *Rozbestwionych* nie daje nic poza uczuciem autentycznej odrazy. Najpierw do języka, następnie do treści. Książka jest pisana w ogromnym pośpiechu, pełna powtórzeń, gramatycznie i stylistycznie niestrawna. I w jakiejś mierze fenomenalna w swojej naiwności lub pysze. Święta wiara we własną anielskość, dzielność i urodę ani na chwilę nie opuszcza Janki. *Rozbestwieni* budzą uczucia sadystyczne.

Jest to historia kobiety urodzonej we Lwowie, dzielnej, ładnej, inteligentnej, pracowitej, mądrej, odważnej. Dobrej i prawej. Janka między innymi bierze udział w obronie Lwowa, a podczas wojny pomaga Akowcom w Wieliczce. Nie trzeba dodawać, że jako dziecko utrzymuje całą rodzinę. Tej świętej osoby, tego zbioru cnót, nienawidzą wszyscy po kolei: ojciec, matka, siostra, nauczyciele, zwierzchnicy, teściowa, szwagierki, służące teściowej, staruszka-matka teściowej. Jeden tylko jej mąż jest wenerykiem, pijakiem, leniuchem, maminsynkiem, erotomanem, dekownikiem. Wprawdzie zmienia się pod wpływem żony, ale dopiero na dwa miesiące przed swoją, dobrze zasłużoną śmiercią. *Rozbestwieni* to oni. Wszyscy dookoła.

A ja się tym ludziom nie dziwię. Po stu stronach tych plag egipskich i „stawiania czoła" — życzyłam Jance wszystkiego najgorszego. Mniejsza z tym. Nie pomawiam autorki ani o kłamstwa ani o oszczerstwa. Ludzie potrafią być podli — święci trafiają się rzadko — Wieliczka tonie w błocie. Ale Polacy na emigracji czytają polskie książki. Literatura jest chlebem na obczyźnie. Niechże ci, którzy piszą i wydają, dzielą się z nami chlebem, nie zakalcem.

Piszę to we własnej obronie. Jestem czytelnikiem. Czytelnikiem na emigracji. Oczywiście — nikt mnie nie zmusza. Mogę czytać, co mi się podoba. Ale oferowanie złego towaru jest takim samym przestępstwem jak wymuszanie kupna. Jeszcze ciągle

każda książka pisana po polsku jest dla mnie ofertą, nadzieją. I coś jeszcze. Ja nie chcę, żeby inni takie książki czytali.

Byłoby najłatwiej streścić *Rozbestwionych* i wyśmiać. Ale nie ma się z czego śmiać. Nie chciało mi się śmiać ani z autorki — choć pisze jak uczennica szkoły podstawowej — ani z jej bohaterki. Książka Miczyńskiej jest poza literacką oceną. Do oceny nadają się jedynie ci, którzy nazwali ją literaturą.

Oto trzy próbki stylu, na chybił-trafił wybrane:

„Gdy można było coś zyskać, Zygczyńska zdolna była bić głową w mur w obronie syna. Dlatego choć nie mając w ogóle pieniędzy rzuciła się zaraz by zdobyć łapówkę dla Niemca. Pognała więc do szynkarza znajomego, zdjąwszy z palca swoją i męża obrączki ślubne, łącznie 14 gramów złota, dając je na zastaw, wzięła 3 litry wódki gatunkowej. U rzeźnika za 3 kilogramy kiełbasy, zastawiła męża złoty łańcuszek do zegarka. A znajomą, dobrze znajomą dziewczynę posłała zaraz na wieś, do Koźnic — skąd ta dziewczyna pochodziła — po zakup gęsi. Dziewczynie tej powiedziała sprawę poboru i po co musi mieć tę gęś... Wiktusia była zacną dziewczyną. Jankę znała wiele lat. Wiedziała w jakiej skórze znalazła się. Wierzyła, że gdyby miała, nie prosiłaby o skredytowanie gęsi — poszła więc. Wróciła z gęsią na drugi dzień rano. Nie była tłusta — jak chciał Mizera — ot półzielony ptak karmiony na trawie, ale kazali sobie zapłacić jak za dobrą okazję!" (str. 455).

„Od długich lat, jeszcze w latach dziewczęcych nie chodziła do kościoła 'na pokaz'. Po prostu nie mogła z dwóch powodów. Kiedy była młoda, była biedna, nie miała ani porządnej sukienczyny, płaszcza ani butów — by bez bolesnego skrępowania stanąć między specjalnie do kościoła wystrojonymi ludźmi. Tyle ją to nerwów kosztowało i tak się czuła nieszczęśliwa i upokorzona, że mowy nie było, by mogła spokojnie, od duszy porozmawiać z Bogiem. Kiedy wyszła za mąż w 1924 roku, jej sytuacja materialna nie tylko się nie poprawiła, a raczej pogorszyła, ponieważ takie było dyktando 'wielkiej pani', jej teściowej. Twierdziła że 'hołota' nie ma żadnego prawa coś chcieć i nie potrzeba jej tego, bo do dziadostwa jest przyzwyczajona od dziecka.

Owszem, chodziła do kościoła, lecz nigdy 'na pokaz'. Chodziła tylko wtedy, kiedy czuła potrzebę duszy proszenia Boga o coś czy dziękowania Mu. Bez żadnych wątpliwości wierzyła w istnienie Boga i wiecznie Go swoimi prośbami napastowała" (str. 462).

„Janka miała dość dziwny system nerwowy, bo kiedy była ponad wszelką miarę zdenerwowana, wtedy nigdy nie wyskakiwała ze skóry, a wręcz przeciwnie zdobywała się na lodowaty spokój. Wtedy zawsze, choć nerwy jej skakały razem z zębami, nigdy nie wrzeszczała, ani nie krzyczała jak wielu ludzi wyprowadzonych z równowagi, czy ciężko obrażonych. Wtedy zawsze mówiła ciszej jak zwykle, bardzo przytomnie, wolno, ale wyraźnie i dobitnie. Bardzo liczyła się z każdym słowem, ale każde słowo było jak brzytwa" (str. 467).

Janina KATZ

Książki

"Dzieje Polski" Adama Krzyżanowskiego

W wątku narracji, w wykładzie prowadzącym do wniosku, w zwartości zdań dopisanych do myślowej kropki, nawet w doborze słów — widać pośpiech z jakim Adam Krzyżanowski pisał swoje „Dzieje Polski". Pośpiech przejawia się także w dbałości o niemarnowanie czasu czytelnika na szczegóły opisu, ilekroć ważniejszy od sposobu powstawania wydaje się autorowi sam fakt, zdarzenie, które dało początek innym lub które jest mu potrzebne dla rozwinięcia dalszej myśli, wiodącej ku syntetycznej refleksji. Stąd jędrność, kolokwialna nieomal, niektórych określeń, jak na przykład przepyszne dla oka zdania w rodzaju: „Hitler przedłożył tę zajawę".

A więc pośpiech, który dziełu wychodzi na dobre raczej niż na złe, oczyszczając je z balastu niedomówień i znaków zapytania, z wątpliwości w rodzaju domyślnych rozterek piszącego, z niepewności własnej oceny, z prób zapobiegliwej polemiki, uprzedzającej, z góry niejako, sceptycyzm i znaki zapytania, jakie czytelnik chciałby stawiać na marginesie czytanego tekstu. Książka Krzyżanowskiego jest przez to książką mocną, książką przejrzystą i chce być gotową refleksją nad dziejami Polski zamiast być materiałem do refleksji. Nieodzowny to skutek życiowej funkcji sędziwego profesora. A tą było nauczanie. Nie pouczanie, nie moralizatorstwo, lecz właśnie nauczanie; przekazywanie niewiedzącemu własnej wiedzy z wyraźną wskazówką do jakich wniosków przekazana mu wiedza prowadzić powinna. Nie dziwota, że tak jest właśnie, skoro autorem jest twórca własnej szkoły, „szkoły Krzyżanowskiego", do której w jakimś stopniu tylu z następnego po nim, i z dalszych pokoleń jeszcze żyjących Polaków należy. „Szkoła Krzyżanowskiego" była szkołą ekonomiczną, wyrosła i obracała się wokół innej niż historia dyscypliny. I to także — bez względu na wartość jego koncepcji w dziedzinie ekonomii politycznej, bez względu na to czy dopiero dziś, czy też już wówczas kiedy Krzyżanowski ekonomię na Uniwer-

sytecie Jagiellońskim wykładał, lub rządzącym Polską rad ekonomicznych udzielał, koncepcje te były przestarzałe lub nazbyt w zestawieniu z warunkami życia „klasyczne" — stanowi wyraźne forte jego myślenia historycznego. Dlatego przede wszystkim, że narzuca większy ładunek logiki, większą łatwość wynajdywania elementów prawidłowości w łańcuchu wydarzeń historycznych. Łatwiej Krzyżanowskiemu, dlatego że jest ekonomistą, dopisać u końca któregoś przewodu myślowego, że *quod erat demonstrandum* lub przy szczegółowych analizach przyczyn wydarzenia, że *tertium non datur*.

Stąd książka Krzyżanowskiego o tym co się w Polsce i wokół Polski działo od roku 1918 do końca drugiej wojny światowej, nie jest „dialogiem" z czytelnikiem. Jest po prostu wykładem. Wykładem przekonywującym, miejscami porywającym, i — nie cofnijmy się przed tym słowem: apodyktycznym. Natomiast, dodajmy od razu, w formie i w treści nie ma w niej zagniewania, że ktoś mógłby myśleć inaczej i inaczej interpretować fakty. Nie ma też, poza końcowym zdaniem I-go Rozdziału, wskazówek postępowania na przyszłość, zbawiennych rad i pouczeń. Rozdział ten — jakże charakterystycznie — nazwany jest „Polska Odrodzona pomnikiem rehabilitacji narodu". A zdanie brzmi: „Śladem przodków naród nadal ufa Opatrzności Bożej. Dodaje mu otuchy świadomość, że w ostatniej fazie swych dziejów odkupił w znacznej mierze grzechy przeszłości, walcząc chlubnie przeciwko potęgom ciemności i despotyzmu".

Jest to wyznanie wiary uczonego u schyłku jego długiego życia. Przebija przez nie z jednej strony wyraźne podkreślenie jego chrześcijańskiej filozofii życiowej, której dobitniejszy dawał wyraz w innych książkach, a z drugiej nieprzezwyciężone niczym i przez nikogo poczucie własnej godności, najcenniejszego dla Krzyżanowskiego, a w chwili gdy słowa te pisał, być może ostatniego już aktywu w straszliwym rachunku strat jego narodu.

Jedyny to bodaj na 450 stronach „Dziejów Polski" przechył ku „historiozofii" w trybie transcendentnym nieomal. Bo „filozofii historii" jest w książce więcej. Nawet bardzo dużo, choć nie ma prawie wcale „filozofowania". A co ważniejsze ahistorycznego (i tak częstego właśnie wśród historyków) moralizowania. Nie ma prawie zwrotów wskazujących że naród, społeczeństwo, cały kontynent lub te czy inne państwo, do czegoś „dojrzało" moralnie lub do czegoś „nie dojrzało". Są oczywiście sądy i osądy. A więc i potępienia i pochwały. Pochwał najwięcej — za postawę myślową, za godność w postępowaniu, za słowność lub przynajmniej chęć dotrzymania słowa — dostało się Anglikom. Można by w tym dostrzec odblask opinii ukształtowanych w innej dyscyplinie myślowej, a więc w ekonomii, a był przecież Krzyżanowski ekonomistą tradycyjnym, rozumującym kategoriami mocno osadzonymi w liberaliźmie. Lecz nie należy tych domysłów snuć zbyt daleko, gdyż nagana Francji i jej polityki nie zapomina o jej podszewce burżuazyjnej.

Rozpocząłem moje uwagi o „Dziejach Polski" Krzyżanowskiego od swego rodzaju pochwały pośpiechu w jakim była pisana. Dlatego, że jak powiedziałem, pośpiech uczynił ją książką mocną. Jest nią i dziś, gdy się ukazuje w druku, dziesięć lat po śmierci autora, a piętnaście i więcej od czasu gdy ją pisał. Jej redaktor, Józef Lewandowski, przedstawiciel innej zupełnie metodologii pracy i z innego niż Krzyżanowski wywodzący się środowiska naukowego, słusznie podkreślił, że „Dzieje Polski" wychodzą obronną ręką z porównania z innymi pracami, jakie się od lat pięćdziesiątych ukazały, traktując wycinkowo lub syntetycznie ten sam okres historii. Dodał wszakże Lewandowski, że w normalnych warunkach praca tego rodzaju uległaby „czyszczeniu" przez kolegów autora, przez recenzentów wydawniczych; wielu ludzi czytałoby kolejne jej maszynopisy, wielu innych przeglądałoby ją już w korekcie, dzieląc się uwagami z autorem. Poza tym autor miałby w owych „normalnych" warunkach dostęp do źródeł, jawny i oczywisty. Mógłby pisząc zasięgać rady, korespondować, zwracać się do specjalistów poszczególnych zagadnień sięgać po pomoc bibliotek, otrzymywać fotostaty dokumentów, współdziałać z archiwistami. Żadnego bodaj z tych udogodnień nie miał sędziwy profesor Krzyżanowski, lub miał w stopniu bardzo niewielkim i w warunkach konspiracyjnych. Pod przedmową złożył swój podpis 18 stycznia 1954 roku, zaznaczając, że składa go w dniu ukończenia 81-go roku życia. Pod ostatnim rozdziałem widnieje data późniejsza, 17 lipca 1956 roku. Ze wzmianek w tekście wynikałoby, że niektóre partie pisał lub przerabiał nieco później. Zaczął książkę pisać gdzieś po roku 1947. I znowu, w owych „normalnych" warunkach tych prawie dziesięć lat pracy nad książką nie wskazywałoby na potrzebę pośpiechu w pisaniu. Lecz zarówno z jej cech, które poruszyłem na wstępie tych uwag, jak i z nierównomiernego rozłożenia rozdziałów, z większego oparcia źródłowego w jednych, przy minimalnym w innych — widać jakimi były warunki tej pracy, dokonywanej w samotności własnego pokoju, w ukryciu nieomal. Nie wiedział autor czy mu będzie dane książkę skończyć. Tu przeszkodą nie był wiek czy stan zdrowia i sił, choć i one zapewne w jakimś stopniu zaważyły, bo nie mógł Krzyżanowski wiedzieć że dożyje lat 90-ciu. Wiek jest tylko niedomogą formalną, którą wynagradza wielokrotnie mądrość dostojnemu wiekowi właściwa, a ta na pewno pozwala snadniej uniknąć pokus, chociażby w postaci chęci zaimponowania komuś, lub ubieżenia kogoś, wynikami własnej pracy. Spieszył się więc Krzyżanowski z innego powodu. Spieszył się, gdyż mogło mu się wydawać, że wielu spraw jest świadkiem ostatnim, a przynajmniej ostatnim z tych, co świadectwo swoje gotowi są przekazać. Mógł też sądzić, że inni, młodsi, gdy o tym samym pisać będą, choć w bogatszym wymiarze posłużyć się będą mogli źródłami, w swej formacji myślowej przeorani już będą indoktrynacją, która im w najlepszym razie nie pozwoli tła wielu rzeczy zrozumieć, a w najgorszym — każe je przeinaczyć. Nie wiedział, czy dzieło

jego ukaże się kiedyś drukiem. Do druku też go nie przygotował. Zrobił to za niego ktoś inny, któremu należą się słowa prawdziwego uznania, także i za to że to że nie uległ pokusie zbyt radykalnego poprawiania oczywistych błędów tekstu, tam wszędzie gdzie poprawka musiałaby z konieczności podważyć dalszy tok rozumowania autora.

I oto dziś czytamy książkę, w której widać brak znajomości wielu źródeł, ogłoszonych już po jej napisaniu. A także takich, których autor nie mógł zdobyć gdy książkę pisał. Czytamy ją z podziwem, gdyż jakże często znajdujemy w niej wnioski i refleksje jak najbardziej prawdziwe, lub przynajmniej trafne pomimo braku źródeł na biurku autora. Zagrała tu mądrość życiowa starego człowieka. Umiał dojść do poprawnego wniosku, mając w ręku mało elementów. Dopomogła rutyna pracy naukowej, dopomogła metoda myślenia ekonomicznego chociaż tak zadziwiająco mało miejsca poświęcił w swej książce Krzyżanowski sprawom gospodarczym. Niestety nie mamy w wydanej książce domyślnego chociażby spisu źródeł i opracowań, jakimi Krzyżanowski się posługiwał. Wystarczyłby zresztą niedomyślny nawet lecz zbudowany na wzmiankach znalezionych w tekście, by uprzytomnić czym się mógł Krzyżanowski, a czym nie mógł, pisząc, posłużyć.

Źródłem rzecz jasna dodatkowym o nieocenionej wartości była jego pamięć. Wiedział co się w Polsce i na świecie dzieje, zwłaszcza w latach dwudziestych i trzydziestych. Znał też różne naświetlenia i poglądy różnych ludzi, którzy byli i świadkami i po części przynajmniej autorami wydarzeń. Był doradcą rządu na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Znał dobrze Piłsudskiego i ludzi mu bliskich, podobnie jak innych polityków i działaczy dwudziestolecia. Rozmowy z nimi zapamiętał, może je notował. Z niektórymi rozmawiał także po wojnie. Wspomina na przykład rozmowę z Eugeniuszem Kwiatkowskim. Wiedzy swej i pamięci nie zmarnotrawił na napisanie memuarów — choć i one jakże by się nam przydały — lecz na napisanie „Dziejów Polski".

Była w dawnym ziemskim prawie polskim instytucja szczególna tak zwanych *testes qui sciunt* — „świadków którzy wiedzą". Wiedzą o czymś lub o kimś, choć nie byli obecni przy wydarzeniu będącym przedmiotem przewodu sądowego. Nie był to polski tylko wynalazek, gdyż spotykamy go także w dawnym prawie germańskim; w Burgundii i w Aragonii. Z ich świadectwem sąd się liczył, zwłaszcza gdy było ich więcej i byli między sobą zgodni. W pewnym sensie nie tylko świadczyli, lecz zarazem orzekali o czyjejś winie. Gdzieś, w którymś miejscu historii musiał być punkt styczny między tymi „świadkami co wiedzą" a powstaniem ławy przysięgłych, którą przecież składać mieli sąsiedzi podsądnego, a więc ludzie co go znali. Gdyby na wokandę wprowadzić sprawy Europy i w oparciu o nie sprawy polskie między końcem pierwszej i drugiej wojny światowej,

wśród *testes qui sciunt* zasiadłby Krzyżanowski. Świadczyłby i ferowałby wyrok.

I tak właśnie postąpił jako autor swoich „Dziejów Polski". Wydał w niej wyrok i na swój kraj i na inne. Wydał na podstawie faktów, a także na podstawie rozumowej znajomości przyczyn tych faktów. Był w ocenie surowy. Z godnym podziwu znawstwem i przenikliwością analizuje poszczególne układy międzynarodowe i toczącą się wokół nich plątaninę rozgrywek dyplomatycznych. W analizie wykrywa z reguły przesłanki odległe w czasie od samego aktu prawnego. Najkapitalniejsze rozdziały książki to w jej części pierwszej Rozdział X pt. „Bezskuteczne usiłowania rządu polskiego skłonienia sprzymierzonej Francji do wspólnego uprzedzenia ataku niemieckiego". W części drugiej: Rozdziały od I-go do IX-go obejmujące okres od 25 września 1938 roku po 1 września 1939. Rozdział I-szy tej części nosi tytuł: „Rosyjska oferta uczestniczenia w rozbiorze Polski". Można go w dużej mierze nazwać odkrywczym. Przedstawia bowiem hipotezę, że zaproszenie przez Stalina Hitlera do rozbioru Polski złożone zostało już pod koniec września 1938 roku, a nie — jak się dziś przyjmuje — dopiero 10 marca 1939, gdy Stalin wygłosił swą mowę na kongresie KPZS, o której powiedział Ribbentrop Stalinowi, że ją dobrze w Niemczech zrozumiano i że ona właśnie doprowadziła do zawarcia sojuszu sowiecko-niemieckiego, ukrytego pod nazwą paktu Ribbentrop-Mołotow. Krzyżanowski twierdzi, że już we wrześniu 1938 r. gdy Moskwa zgłosiła w okresie Monachium swe *desinterresment* losem Czechosłowacji dawała tym samym znać Berlinowi by w swych stosunkach z Polską nie dał się zwieść złudzeniu neutralności Rosji wobec Polski, pomimo polsko-sowieckiego paktu nieagresji.

Adam Krzyżanowski nie używa eufemizmów. Rzeczy nazywa po imieniu: „Pakt nieagresji" między Niemcami a Rosją zawarty 23 sierpnia 1939 roku to „Przymierze zaczepne i traktat rozbioru Polski". Oto początek Rozdziału X-go, części drugiej pt. „Wojna": „Kto zaatakował Polskę? Niemcy. Wszyscy tak powiadają po dziś dzień. *Communis opinio doctorum*, odtwarza część tylko rzeczywistości. Wykrzywia jej obraz. Polska faktycznie już w pierwszym dniu starć zbrojnych toczyła wojnę nie tylko z Niemcami, ale także ze Słowacją i Rosją. Do Polski wkroczyły 1 września dywizje niemieckie, u ich boku dwie słowackie. Rosyjskie dopiero 17 września. Atoli rosyjski wywiad już 1 września włączył się do wojny po stronie niemieckiej... Rosjanie przyczynili się do sparaliżowania zbrojnego wystąpienia Francji... Podpisanie umowy rosyjsko-niemieckiej 24 sierpnia, uderzenie niemieckie w tydzień później zrodziły wśród generalicji francuskiej i angielskiej przewidywanie wtargnięcia lada chwila wojsk rosyjskich do Polski, bliskiego pogromu otoczonej armii polskiej. Uznano, że akcja natychmiastowa Polski nie uratowałaby... Rosja już 1 września przyczyniła się wydatnie do uśmiercenia pomocy francuskiej na rzecz Polski".

Pominąwszy zabawne raczej przypomnienie udziału Słowa-

cji w agresji na Polskę — dodać trzeba, że Krzyżanowski nie dąży wcale do usprawiedliwienia Francji, ani we wrześniu 1939, ani w długim okresie międzywojennym. Przeciwnie, wspomniany już przeze mnie Rozdział X Części Pierwszej „Dziejów Polski" jest jednym z najbardziej błyskotliwych oskarżeń jej polityki. Oto konkluzja, niezamierzona zresztą, jaką czytamy na stronie 139: „Francuzom nie spieszno było wykrztusić przyznanie, że polityka polska była bardziej francuska, niż ich własna, bardziej przewidująca i lepiej obmyślana. Woleli usprawiedliwiać niedomagania własnej krytykowaniem Polaków o kokietowanie Niemców, o odmówienie w roku 1939 prawa przemarszu Rosji, zamiast przyznać, że ich odrzucenie polskich projektów w latach 1933 i 1939, stworzyło sytuację, zmuszającą Polaków do poczynań, które im wyrzucali". Pisząc o latach 1933 i 1936 ma na myśli plany zmuszenia Zachodu, przede wszystkim Francji do akcji zapobiegawczej przeciw wzrostowi potęgi Niemiec, zwanymi niezbyt ściśle „zagadnieniem wojny prewencyjnej".

Z ulubionym fałszem historiografii sowieckiej — z namaszczeniem powtórzonym przed kilku laty w cyklu artykułów „Mieżdunarodnoj Żizni" i pokutującym jak duch Banka w przeróżnych monografiach zachodnich — odmową Polski na przemarsz wojsk sowieckich jako z przyczyną sojuszu sowiecko-niemieckiego i tym samym przyczyną wybuchu wojny, rozprawia się Krzyżanowski ze szczególnym zacięciem. I znowu znajdujemy w jego książce zdanie będące konkluzją dziś już nie do odparcia. Wówczas przeczuwali jej prawdziwość tylko Anglicy, i oczywiście bezpośredni sąsiedzi Polski, jak Rumunia i państwa bałtyckie. Absolutną pewność mieli tylko Polacy. I mieliby ją zawsze, obojętnie czy ich politykę zagraniczną prowadziłby Beck czy ktokolwiek inny. Oto co pisze Krzyżanowski na tle francuskich połowicznych wysiłków nakłonienia Polski do przepuszczenia wojsk sowieckich, czego Polsce Związek Sowiecki nigdy wprost nie zaproponował: „Rząd polski odrzucił nalegania francuskie w przekonaniu, że Polska w razie dostosowania się do nich, popadnie w wojnę z Niemcami a poparcia rosyjskiego nie uzyska. Zdaniem rządu polskiego, w ciągu wojny z Niemcami, Rosja obsadzi wschodnie połacie kraju, po czym pod jakimkolwiek pozorem wycofa się z wojny bez wycofania się z obsadzonych obszarów i porozumie się z Niemcami".

Stało się trochę inaczej. Rosja porozumiała się z Niemcami przed rozbiorem Polski a nie po jego dokonaniu.

Mistrzowsko w sensie zaciekawienia czytelnika choćby doskonale już znanymi faktami opisuje Krzyżanowski podwójne negocjacje Moskwy z wiosny i lata 1939 roku: jawne z Francją i Anglią a tajne z Niemcami. Tajność tych ostatnich była zresztą względna. Był to w gruncie przetarg, w którym Rosja zapytywała kto jej da czego żąda. A żądała państw bałtyckich (w postaci „przymusowych gwarancji", których chciała im udzielić) Besarabii, oraz wolnej ręki w Polsce. W zamian za co? Do

sprecyzowania ceny nie doszło w rozmowach z Anglią i z Francją. Doszło natomiast w rozmowach z Niemcami hitlerowskimi. I one też z najwyższą radością zapłaciły tę cenę, której zapłacić nie mogły i nie chciały państwa zachodnie. Z tym tylko, że zamiast wolnej ręki w Polsce otrzymała Rosja konkretny traktat rozbiorowy.

Pisze gdzie indziej Krzyżanowski, że zarówno ze strony Niemiec jak i Rosji, wszelkie ułożenie stosunków z Polską było tylko pociągnięciem czasowym i taktycznym, gdyż pominąwszy wszystkie inne głębiej w czasie osadzone elementy, oba państwa dążyły do obalenia ładu stworzonego w Europie przez Traktat Wersalski. I przede wszystkim dążyły do wspólnej ze sobą granicy: obojętnie czy po to by ze sobą współdziałać czy ze sobą się bić. W tym położeniu „każda decyzja Polski musiała zawierać w sobie współczynnik śmiertelnego niebezpieczeństwa" (str. 248). Lecz nie mogła Polska „nic nie robić". A więc czekała na dogodniejszą koniunkturę międzynarodową, przede wszystkim w postaci powstania czy odtworzenia się frontu antyniemieckiego. By tej chwili doczekać, a nie mogąc jej przyspieszyć, musiała paktować z obydwoma sąsiadami w jedyny możliwy sposób; to znaczy nie łącząc się z żadnym z nich przeciwko pozostałemu. Jedynym błędem było z jej strony żywienie niczym nieuzasadnionej nadziei, że gdy poprawnym stosunkom z Niemcami położy kres konflikt z nimi, Rosja zachowa neutralność. Tak się stać nie mogło — pisze Krzyżanowski — gdyż „małe jest prawdopodobieństwo uniknięcia porozumienia niemiecko-rosyjskiego kosztem Polski". A nadzieje, że Związek Sowiecki będzie musiał przechylić się na stronę Niemcom wrogą ponieważ Hitler zapowiedział śmiertelną walkę z „bolszewizmem" prowadziły do największego ze złudzeń, największego z uwagi na „pokrewieństwo ideologiczne obu systemów".

Inaczej mówiąc widzi Krzyżanowski tragizm dziejów Polski niepodległej w konflikcie ideologicznym despotyzmu z filozofią liberalno-demokratyczną. Polskę w konflikcie tym starł despotyzm. Jeden z despotyzmów. Ten który okazał się silniejszy. Mało jest też miejsca na słowa nadziei w tym wszystkim co o „nowej Polsce", Polsce „założonej przez bolszewików" pisze Krzyżanowski. I nie odgadniemy czy by się na słowa nadziei zdobył gdyby żył do dzisiaj. Czy wziąłby pod uwagę narastanie nowych sił narodowych w pokoleniu budującym wszystko inaczej, lecz przecież nie zamienionym w naród rabów, pomimo wieloletnich po temu wysiłków panujących nad nim despotów. Nie dowiemy się. Pisał gdy Jałta była jeszcze wspomnieniem żywym i krzywdą świeżą, i gdy na arenie światowej powrót do *status quo* na Korei wydawał mu się dosięgnięciem nadiru braku woli przeciwstawienia się pochodowi despotyzmu.

Wspomniałem, że jako świadek i sędzia historii Krzyżanowski nie wyłącza błędów własnych, błędów polskich. Oczywiście gdy o istotę dziejów polskich opisywanego przezeń okresu chodzi,

maleją one w cieniu wielkich grzechów i wielkiej gry sił, na którą wpływ nasz był mały bo duży być nie mógł. W tym zestawieniu tok myślenia autora „Dziejów Polski" zakrawa na apologię wszystkiego co było w grze międzynarodowej polskie, a może w ogóle wszystkiego co polskie. Lecz w szczegółach nie szczędzi i Polakom słów krytyki. To co zrobili niewłaściwie, nie wpłynęło w dużym stopniu na bieg wydarzeń. Nie znaczy to jednak — mówi nam sędziwy historyk — by nie należało starać się błędów nie popełniać. Kardynalne wady wielkiej strategii nie zwalniają z obowiązku nie popełniania błędów na szczeblu taktycznym. Krzyżanowski używa zresztą tego wojskowego przykładu, pisząc o wadach planu kampanii wrześniowej, za które wini bez reszty Śmigłego-Rydza. A także za to, że uległ naleganiom ambasadorów angielskiego i francuskiego i odłożył rozplakatowanie mobilizacji powszechnej o jeden dzień, wbrew zdaniu ministra spraw zagranicznych, czyli Becka. Wiemy, tak jak wie Krzyżanowski, że krok ten był własną inicjatywą wspomnianych ambasadorów a nie prośbą rządów sojuszniczej Wielkiej Brytanii i Francji. Opóźnienie mobilizacji nie było na nic potrzebne. Argument o nieprowokowaniu zmobilizowanych w pełni Niemiec jest bez znaczenia, a rezultatem była zmniejszona gotowość polskich sił zbrojnych, co zapewne przyczyniło się do skrócenia oporu polskiego o kilka dni, co rzecz jasna mogło mieć dalsze konsekwencje.

Niemniejszy zarzut to chęć „pokrzepiania serc" przy pomocy przymykania oczu na rzeczywistość. I tu Rydz-Śmigły naraził się najmocniej Krzyżanowskiemu. Lecz nie tylko on, bo atmosfera „pocieszania się", że Rosja nie może przecież nie zachować neutralności była w Polsce powszechna. Idąc w czasy odleglejsze, sporo jest w książce Krzyżanowskiego krytyki sejmowładztwa i partyjnictwa w latach dwudziestych, dostaje się też Grabskiemu za błędy popełnione w czasie reformy walutowej i stabilizacyjnej. Tu Krzyżanowski jako ekonomista ma dużo do powiedzenia i żałować należy, że nie powiedział więcej o tajnikach i przyczynach polskich niedomagań gospodarczych i błędów na tym polu popełnionych. Ogranicza się do krytyki polityki deflacyjnej, kąśliwie i dowcipnie mówi o zabobonnym niemal podejściu do spraw walutowych wielkich koryfeuszy, z Piłsudskim na czele. Lecz jest tego mało, zbyt mało. Szkoda.

Jest też w krytykach ludzi wiele uprzedzeń wypływających z osobistych sympatii i powiązań politycznych autora. Dmowski, Dubanowicz i inni (a wśród tych innych także i Witos) nie cieszą się jego sympatią. O nich wszakże marginesowo, jakby o kimś *negligeable* w zestawieniu z niezawsze pierwszoplanowymi postaciami obozu Piłsudskiego, z ukłonami w stronę Bartla a z kiwnięciem głowy „pułkownikom", nie wymienianym najczęściej z nazwiska.

Być może, że to wpływ konstrukcji książki, kładącej nierówny nacisk na poszczególne zagadnienia. W polityce zagranicznej,

w analizach rozgrywek i intryg międzynarodowych Krzyżanowski nie szczędzi słów i miejsca. Zapewne, to były rzeczy najważniejsze, gdyż najważniejszymi pozostały ich skutki do dziś trwające. O tych rzeczach i o tych skutkach chciał Krzyżanowski poinformować nieznanego sobie czytelnika. Pisał przecież dla tych co nie wiedzą wiele, a którzy w miarę upływu czasu i nasilenia indokrynacji będą coraz mniej wiedzieli. Tak — jak sądzę — widział swych przyszłych czytelników, którzy kiedyś w jakiś sposób znajdą w Kraju dostęp do jego manuskryptu. Po cóż więc ich obciążać wiadomościami o nazwiskach nigdy nie słyszanych, przedstawiać kryzysy gabinetowe, które i wtedy niewiele znaczyły. Lub rozwodzić się nad fałszami wyborczymi. Wiemy że Krzyżanowski, gorący poplecznik Piłsudskiego odrzucił wszakże mandat poselski w roku 1931 i wystąpił z rządowego BBWR, choć nie przeszedł nigdy do opozycji. Wiemy dlaczego tak postąpił. A jednak nie znajdujemy w jego książce sprawy brzeskiej. Podobnie jak nie znajdujemy wypadków krakowskich z roku 1923. Co gorzej nie znajdujemy zagadnień mniejszościowych, poza rolą posłów mniejszości narodowych przy wyborze Narutowicza i Wojciechowskiego i mało istotną (bo nie w pełni prawdziwą) wzmianką o możliwości ruchawki ukraińskiej w czasie zamachu majowego. Nie ma też niczego co by rzucało światło na problemy wsi polski, łącznie z reformą rolną. Zamach majowy potraktowany jest tolerancyjnie, to znaczy że nie otrzymał nawet argumentacji obronnej. Tak jakby była niepotrzebna.

Redaktor książki, wskazuje w swych uwagach wstępnych na te dziwne ominięcia czy pominięcia, tłumacząc je poglądami autora, które określa jako elitarne i konserwatywne gdy jego metodologia jest nacechowana heroistycyzmem i woluntaryzmem. Niech by tak było. Lecz niedostrzeganie pewnych zjawisk socjologicznych i gospodarczych wypacza obraz polityczny i o tym **Adam Krzyżanowski na pewno** wiedział doskonale. Światopogląd wyznawany mógł wywrzeć wpływ na komentarz — lecz nie powinien zdecydować o eliminacji faktu. Wspomniany w książce Krzyżanowskiego Stanisław Stroński, chlubił się kiedyś, że w swym zbiorze artykułów na dziesięciolecie odzyskania niepodległości (także w tej książce wspomnianym) udało mu się „wyeliminować" nazwisko Piłsudskiego, tam gdzie to było technicznie możliwe. W mojej obecności powiedział mu Ludwik Rubel, że „technicznie" eliminacja taka nie była możliwa, gdyż nie można opisywać bluszczu na ścianach nie wspominając o ścianie domu. Osobiście jestem skłonny przyjąć, że niektóre rozdziały „Dziejów Polski" pozostały w manuskrypcie jako szkice tematyczne, wymagające — zdaniem autora — powrotu do nich przed oddaniem do druku. Pracy tej już dokonać nie mógł.

I wreszcie błędy. Zwykłe, normalne błędy. Nie jest ich dużo. Bardzo sumiennie wspomniał też o nich Lewandowski, niektóre przytaczając. Inne, tam gdzie można było bez uszczerbku dla myśli autora — poprawił. Pozostają błędy ocen, błędy w rozumowaniu. Od nich powinno się zaczynać krytykę książki. Nie ule-

gam tej pokusie, bo chciałem napisać o książce Krzyżanowskiego a nie wszczynać polemiki z autorem, który mi już nie odpowie. Więc wspomnę tylko, że jest ich najwięcej w początkowych rozdziałach, tam gdzie mówi Krzyżanowski o pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości i o walce w jej obronie przeciwko Rosji leninowskiej. Po części są wynikiem dowolnej terminologii wojskowej, lub po prostu słabej w tych sprawach orientacji. Przykładem jest zdanie, zresztą z opisu bitwy nad Bzurą w roku 1939, gdzie to generał Grzmot-Skotnicki miał polec na czele swej „konnicy" szarżując czołgi, z pełnym przekonania dodatkiem, że musiał z czołgami walczyć w ten sposób bo nie miał innego. A więc legenda z tych najgorszych i najbardziej uwłaczających zdrowemu rozsądkowi i wartości wojska polskiego nie ominęła kart tak wartościowej książki jak „Dzieje Polski". Oczywiście nigdy ani Skotnicki ani nikt inny żadnych czołgów nie szarżował. Może drobiazg, lecz szkoda że się w książce znalazł, szkoda że weń Krzyżanowski uwierzył. Jest i inna, innego rzędu pomyłka a raczej powtórzenie narzucanej nam interpretacji. Krzyżanowski nazywa wojnę polsko-bolszewicką „Wojną z Rosją" i stawia, nawet w tytule rozdziału, daty: „26 kwiecień 1918 - 18 październik 1920". Mimowolna usługa oddana historiografii komunistycznej, usiłującej zamazać fakt, że wojna zaczęła się w lutym 1919 roku, a wyprawa na Kijów była początkiem ostatniej jej fazy, choć była to faza niewątpliwie najważniejsza i, jak to się dziś mówi „spektakularna".

Faza ta zaczęła się zbyt późno, czego nie mógł sobie darować Piłsudski i o czym wspomina Krzyżanowski pisząc o nim. A pisze o nim dużo i pisze pięknie. Inaczej niż inni. Inaczej niż krytycy i wrogowie, lub apologeci i zwolennicy. Pisze jak równy o równym, jak dobry znajomy o dobrym znajomym. Bez ukrywania wad charakteru i słabości zdrowia, dowodów naiwności i błysków wizjonerskiego geniuszu. Pisze o jego troskach i obawach co będzie z Polską dalej, gdyż uważa zapewne, że były dla Piłsudskiego ważniejsze niż dumne wspomnienie o dawnych zasługach.

◆

Książka namiętna, książka pisana z pasją powiedzenia prawdy tym co jej nie znają a którym za prawdę podaje się fałsz. „Wyraz społecznego, niezorganizowanego, socjolog powiedziałby: nieformalnego oporu" — tak ją charakteryzuje w „Słowie Wstępnym" jej redaktor. Jakże te cechy pogodzić z walorami precyzyjnego wykładu, logicznej analizy, obiektywnej oceny — którymi odznaczał się umysł starego profesora, twórcy własnej szkoły ekonomicznej? Które z tych dwóch zespołów cech intelektu biorą w książce górę? Czy możliwa w ogóle jest między nimi symbioza na kartach spiętych tą samą oprawą? Zrezygnujmy z odpowiedzi na te pytania. A nawet gdybyśmy książkę uznali za nierówną, o kapryśnej skali wartości poszczególnych rozdziałów, nie pomniejszymy tym zasługi Adama Krzyżanowskiego. Bo polega

ona nie tylko na tym, że każdy kto ją przeczyta będzie miał o czym pomyśleć i nad czym się zastanowić, lecz także, a może przede wszystkim, na tym, że zawiera w sobie nakaz: Nie dajmy się upokorzyć. Tym zwłaszcza, którzy nam nasz dzisiejszy los zgotowali.

Paweł ZAREMBA

Uwagi czytelnika

Pokaźny tom. Ponad 800 stron. To — *Politiczeskij dniewnik** — nielegalny, społeczno-polityczny miesięcznik. Zaczął się ukazywać w końcu 1964 roku i przestał istnieć prawdopodobnie w drugiej połowie 1970-go. Z siedemdziesięciu kilku numerów na Zachód dotarło jedynie 11 i składają się właśnie na omawianą książkę. *Politiczeskij dniewnik* różni się od innych wydawnictw periodycznych jak np. od „Kroniki tiekuszczych sobytii" swoją elitarnością. Pismo było przeznaczone i było rozpowszechniane wśród bardzo wąskiego kręgu czytelników, którzy często byli jednocześnie i autorami. To niewątpliwie tłumaczy dlaczego tak późno dowiedzieliśmy o *Politiczeskim dniewniku.* Elitaryzm pisma — krąg jego czytelników i autorów — jest nie tylko cechą wyróżniającą, ale również powodem zainteresowania jakie wywoływał.

Politiczeskij Dniewnik to była trybuna, z której prowadzili rozmowy — otwarcie i szczerze — ludzie znakomicie orientujący się w tajnikach sowieckiego partyjnego i państwowego mechanizmu, krytykujący go i wysuwający program jego naprawy. *Politiczeskij dniewnik* — to głos opozycji, ale „opozycji jej królewskiej mości". Pismo jest organem komunistów, zarzucających kierownictwu partii, że swą polityką szkodzi sprawie komunizmu. Zamieszczone w *Politiczeskim dniewniku* materiały pozwalają zapoznać się z programem sowieckich „liberalnych komunistów", którzy niewątpliwie w szeregu wypadków znajduje oddźwięk w oficjalnej polityce. I właśnie ten „styk" opozycjonistów z oficjalną polityką jest szczególnie interesujący, gdyż jest to miejsce specjalnie drażliwe w społeczeństwie sowieckim, które chcą wzmocnić zarówno kierownicy sowieckiego państwa, jak i opozycja — często surowa — ale zawsze lojalna.

Materiały zamieszczone w *Politiczeskim dniewniku* dzielą się na dwie zasadnicze kategorie: informacje o zagadnieniach bie-

* ***Politiczeskij Dniewnik.*** **1964-1970. Aleksander Herzen Foundation, Amsterdam, 1973.**

żących oraz artykuły programowe. Waga informacji świadczy o zorientowaniu redakcji w możliwościach dostępu do literatury zagranicznej, która może interesować czytelników. *Dniewnik* zamieszcza rozmowę z A. Mikojanem o przyczynach usunięcia Chruszczowa, wystąpienia na seminarium pracowników ideologicznych w październiku 1966, na zebraniach i konferencjach partyjnych, szczegółowe zreferowanie Manifestu komunistów czechosłowackich „2000 słów", recenzję z książki amerykańskiego historyka Leonarda Szapiro „Od Lenina do Stalina", informuje o książce A. Awtorchanowa „Technologia władzy", o pracy profesora uniwersytetu w Michigan A. Rapoporta pt. „Strategia i sumienie", która jest próbą wykorzystania „teorii zabawy" do analizy stosunków międzynarodowych...

Charakter informacyjny mają liczne dokumenty, listy, oświadczenia, skargi pod adresem kierowników państwa, również stenogramy zebrań, mających często charakter procesów. Jeden z najciekawszych dokumentów zamieszczonych w miesięczniku ma nic nie mówiący tytuł „Z protokołu jednego zebrania związkowego"*. Podaje on stenogram faktycznego sądu nad nauczycielką szkoły moskiewskiej, która odważyła się napisać list do Sądu Najwyższego z prośbą o rewizję sprawy Gałanskowa i Ginzburga z „zachowaniem całkowitej jawności i wszystkich norm prawnych". To zebranie-sąd — świetnie charakteryzujące psychikę sowieckich nauczycieli, wychowawców dzieci — miało miejsce w 1968 roku. Sprawozdanie zostało zamieszczone w kwietniowym numerze tegoż roku. W marcu 1967 pismo zamieściło wystąpienie znanego sowieckiego ekonomisty prof. I. Gładkowa, z marca 1949, na posiedzeniu rady naukowej Instytutu Ekonomiki Akademii Nauk ZSSR. Posiedzenie-sąd było poświęcone „walce z kosmopolityzmem w nauce ekonomii". Dwa sądy przedzielone 20-tu latami. Ale nic się nie zmieniło — ta sama bezwzględność w stosunku do cienia innej myśli, to samo lokajskie dążenie, by pierwszym kopnąć wyznaczoną z góry ofiarę, to samo bezgraniczne chamstwo i bezgraniczna głupota.

Na równi z informacjami o bieżących wydarzeniach redaktorzy poświęcają wiele uwagi informacjom o charakterze historycznym. W pierwszym rzędzie interesuje ich prawda o okresie stalinowskim, o samym Stalinie, o jego drodze do władzy, o jego przestępstwach i ofiarach. W piśmie drukowane są nieznane materiały archiwalne. M.in. list Feliksa Dzierżyńskiego do Stalina, napisany w październiku 1925 roku, w okresie walki między Stalinem a jego kolegami z triumwiratu — Zinowiewem i Kamieniewem. Z listu przewodniczącego OGPU wynika, że był on zbliżony do grupy Zinowiewa, ale się do niej rozczarował. Zapewniając Stalina o swej szczerości, Dzierżyński stwierdza: „W swym życiu osobiście kochałem tylko dwóch rewolucjonistów i wodzów — Różę Luksemburg i Władimira Iljicza Lenina". Dużą wartość przedstawiają, zarówno dla historyka jak i dla

* Tłumaczenie tego tekstu ukaże się w przyszłym numerze *Kultury*.

czytelnika — szukających prawdy o Stalinie — wspomnienia starych bolszewików. Widoczne jest dążenie *Dniewnika* by zapoznać czytelników z materiałami dotyczącymi wodzów rewolucji, którzy później zostali uznani za zdrajców. Wiele wspomnień poświęcono Trockiemu, Bucharinowi, Zinowiewowi, Kamieniewowi. Redaktorzy pisma uważają się za prawdziwych spadkobierców rewolucji i dlatego próbują odtworzyć to wszystko, co zniszczył Stalin. Zamieszczony w piśmie długi list Iriny Kachowskiej, jednej z niewielu ocalałych działaczy partii lewych Eserów, współpracownicy Marii Spiridonowej, jest świadectwem nie tylko bezlitosnego wyniszczenia wszystkich członków partii i ich rodzin. Kachowska twierdzi — i to dla redaktorów jest specjalnie istotne — że lewi Eserzy po zakończeniu wojny domowej zaprzestali walki z władzą sowiecką — przeciwnie — życzyli jej powodzenia. Członek KC partii lewych Eserów, I. Majorow, stale twierdził — według Kachowskiej — „Ach, oby im tylko nikt nie przeszkodził, to doprowadzą sprawę do końca". Maria Spiridonowa uważała, że „partia komunistyczna w zasadzie idzie po jedynie możliwej — w danej sytuacji — drodze".

Czechosłowacka „wiosna 1968" jest okazją dla ludzi związanych z *Dniewnikiem* sprawdzenia w praktyce — w czechosłowackiej praktyce — wielu swych idej o „socjalizmie o ludzkim obliczu". Niestety do omawianego tomu weszło zaledwie kilka numerów pisma z roku 1968. Ale i to — w chwili obecnej jedyne źródło — daje stosunkowo pełny obraz stosunku znacznej grupy inteligencji sowieckiej do eksperymentu Dubczeka. Początkowo pismo zamieszcza czechosłowackie materiały: przemówienia Dubczeka, Cisarza, program akcji Komunistycznej Partii Czechosłowacji (zaznaczając nawiasem, że był on ogłoszony w języku rosyjskim jedynie w specjalnym biuletynie informacyjnym KPCz, który poprzednio można było swobodnie czytać w bibliotece im. Lenina, a obecnie wyłącznie za specjalnym pozwoleniem). Następnie pojawia się manifest „2000 słów". *Dniewnik* początkowo podchodzi do niego ostrożnie: „Manifest ten można by nazwać bardzo odważnym, dość prawdziwym i szczerym dokumentem". Jednakowoż — podkreśla autor artykułu w miesięczniku — dokument ten jest nieostrożny, „nieodpowiedzialny". „Czechosłowacja nie znajduje się w próżni, znajduje się pod ogromnym ciśnieniem ze strony sowieckiego kierownictwa i kierownictwa innych krajów socjalistycznych. W takich warunkach niezbędne jest przestrzeganie określonej taktyki..." Oprócz tego — mówi się dalej w artykule — „można jeszcze bardziej ostro wymyślać na biurokratyczny aparat, stworzony w Czechosłowacji przez 20 lat. Ale przecież tu nie ma innego aparatu. Nie można, i byłoby to niesprawiedliwe, powiedzieć dziesiątkom tysięcy urzędników, że w ciągu 20 lat byli jedynie ślepym narzędziem czyjejś złej woli, a potem wygnać tych ludzi, nie mając przy tym w wielu wypadkach żadnej ekipy zamiennej".

Historia wydarzeń czechosłowackich — tak jak przedstawia się ją w *Dniewniku* — to historia dojrzewania myśli politycznej

twórców pisma. Stopniowo, z narastaniem niebezpieczeństwa interwencji sowieckiej, staje się dla nich widoczne, że manifest „2000 słów", to tylko pretekst — gdyby go nie było znalazłby się inny. W piśmie przytacza się przykłady fałszerstw, fabrykowanych listów itd. Najważniejsze, że pismo formułuje heretycką tezę: „W zasadzie błędne i niesłuszne jest uważanie, że w kraju socjalistycznym *źródłem władzy* (podkreślenie *Dniewnika)* jest partia komunistyczna. Nie, i w kraju socjalistycznym źródłem władzy powinien być naród, to jest cała ludność kraju. Zagarnąwszy władzę w imieniu narodu partia komunistyczna rządzi krajem tylko na zasadzie mandatu, którego jej udzielił naród i *który powinien być okresowo odnawiany.* Innymi słowy partia powinna w określonych okresach czasu uzyskiwać od narodu nowy mandat władzy. Ma się rozumieć w tym celu powinien być stworzony inny mechanizm, niż nasz system wyborczy".

Do ostatniej chwili redaktorzy *Dniewnika* nie chcą wierzyć w możliwość interwencji zbrojnej w „sprawy Czechosłowacji", mimo że już w lipcu 1968 roku członek KC, minister Budownictwa Maszynowego, Je. P. Sławskij, w rozmowie z akademikiem Sacharowem oświadczył: „Jeśli będzie potrzebne, to i Dubczeka rozstrzelamy". Wdarcie się do Czechosłowacji pismo przeżywa jako tragedię. Przede wszystkim jako tragedię ruchu komunistycznego. Rezultaty wydarzeń czechosłowackich podsumowuje w grudniowym numerze z roku 1969 Aleksandr Iwanow (redakcja uprzedza, że to „prawdopodobnie pseudonim"), w artykule zatytułowanym „O narodowej hańbie Wielkorusów". Jako motto A. Iwanow przytacza słowa Lenina z artykułu „O narodowej dumie Wielkorusów": „Niewolnik, który usprawiedliwia i upiększa swoje niewolnictwo jest lokajem i chamem wzbudzającym uzasadnione oburzenie, pogardę i obrzydzenie". Wtargnięcie do Czechosłowacji jest dla A. Iwanowa „Aktem przymusowego eksportu ostatków pseudo-nacjonalizmu". Śmiertelnie przerażeni stalinowcy w naszym kraju zagłuszają szczękiem gąsienic czołgów, głos tych komunistów, którzy w maleńkiej Czechosłowacji trochę się pospieszyli z oczyszczeniem ludzkiego oblicza socjalizmu od pseudo-nacjonalizmu". A. Iwanow woła: „Nie jest Wielkorusem ten, kto nie odczuwa wielkiego wstydu za 1968 rok. Na nas wszystkich odciśnięte jest piętno historycznej hańby..." Autorowi artykułu, który — jak można przypuszczać — reprezentuje poglądy pisma, jest wstyd dlatego, że „sierpień 1968 jest ciosem dla socjalizmu, dla ruchu komunistycznego na całym świecie... ogromną szkodą wyrządzoną przez nas czechosłowackiemu komunistycznemu rozwojowi...". W końcowym podsumowaniu A. Iwanow mówi, że wszystkiemu są winni stalinowcy, pseudo-komuniści wypaczający zasadnicze idee komunistyczne. „Obecnie — kończy — mamy tylko jedyną drogę — podnieść się do poziomu ich (to jest czechosłowackich) prób i inicjatyw nie powtarzając — ma się rozumieć — ich błędów". Taki jest wniosek wysnuty przez *Dniewnik* z wydarzeń 1968 roku.

Ten reasumujący artykuł jest podpisany: „Aleksandr Iwanow,

członek KPZS, Rosjanin". To podkreślenie zarówno partyjnej jak i narodowej przynależności nie jest przypadkowe, bowiem — zdaniem redakcji — rosyjscy komuniści są główną siłą, która może uratować komunizm na całym świecie, ratując go w pierwszym rzędzie w Związku Sowieckim. *Dniewnik* poświęca zagadnieniu narodowemu dużo uwagi. Prowadzi walkę na dwa fronty. W pierwszym rzędzie z rosyjskimi szowinistami, z neo-słowianofilami, z czarną sotnią, ponadto ze stalinowcami kontynuującymi politykę Stalina pozbawiania praw małych narodów: nadwołżańskich Niemców, krymskich Tatatarów, Żydów. Broniąc jednak praw małych narodów, zaludniających Związek Sowiecki *Dniewnik* ostro ocenia, to co nazywa „nacjonalizmem ukraińskim". Notatka nosząca tytuł „Wzrost nacjonalistycznych prądów i tendencji na Ukrainie" przyznaje, że Ukraińcy mają niejakie powody do skarg. Ich nacjonalizm to „w znacznej mierze reakcja na szablonowe metody kierowania i administrowania, które kwitły przy Chruszczowie nie tylko w dziedzinie gospodarki narodowej, ale i w dziedzinie kultury (nie mówiąc już o okresie kultu jednostki Stalina)". Pismo przytacza przykłady: wyższe zakłady naukowe we Lwowie przeszły na język wykładowy rosyjski, w miastach Ukrainy, nawet w Kijowie, jest bardzo mało szkół z ukraińskim językiem wykładowym itd. Niemniej jednak, jak twierdzi autor notatki, Ukraińcy zachowują się niewłaściwie: „Na Ukrainie obserwuje się wzrost nacjonalistycznych tendencji. Nacjonalistyczne nastroje znajdują wyraz w działalności niektórych państwowych, a nawet partyjnych organów, nastroje te bardzo się rozszerzyły również wśród części inteligencji ukraińskiej". Autor notatki jest wyraźnie niezadowolony, że „pracownicy Gospłanu ZSSR natrafiają na wielkie trudności w uzgadnianiu planów inwestycyjnych z Gospłanem i Radą Ministrów Ukrainy. Ukraińscy funkcjonariusze uporczywie zawsze się domagają zwiększenia kredytów na podstawowe budownictwo, motywując swoje żądania wysokością tej produkcji, jaką Ukraina oddaje wszechzwiązkowemu funduszowi. Oświadczają otwarcie, że się ich obdziera".

Określenie „ukraiński nacjonalizm" przybiera w *Dniewniku* ten sam złowieszczy wydźwięk, który odnajdujemy na szpaltach *Prawdy.*

Część informacyjna *Dniewnika* daje pojęcie o nastrojach, tendencjach, poglądach twórców pisma. Ale to pojęcie można uzyskać jedynie czytając jeden numer za drugim. Programowe artykuły przedstawiają poglądy pisma w formie skondensowanej, przy czym jeśli w części informacyjnej dominuje krytyka, to w programowej przede wszystkim — pozytywne propozycje.

Programowe artykuły *Dniewnika* są interesujące tym, iż pozwalają zajrzeć do laboratorium, w którym wypracowują się nie tylko opozycyjne, ale i oficjalne poglądy na wewnętrzną, a w pierwszym rzędzie na zagraniczną politykę Związku Sowieckiego. Pozwalają one również zrozumieć wiele rzeczy z obecnej polityki zagranicznej Breżniewa.

Program wewnętrzno-polityczny pisma składa się z dwóch części: państwowej i gospodarczej. Program reform państwowych kładzie nacisk na niezbędność rozszerzenia sowieckich metod rządzenia parlamentarnych i republikańskich, a w pierwszym rzędzie zapewnienia „mniejszości określonej demokratycznej gwarancji". I z mniejszością — stwierdza pismo — „należy postępować w duchu pełnego przestrzegania prawa". Zdając sobie sprawę z tego, że narusza to podstawy sowieckiej dyktatury, pismo oświadcza że „nie wolno kanonizować nawet najważniejszych wskazań leninowskich". Program gospodarczy pisma ma charakter niezmiernie oryginalny. *Dniewnik* przyznaje, że „rozwój gospodarczy ZSSR w latach sześćdziesiątych wyraźnie osłabł. Towarzyszy mu powstanie szeregu ważnych dysproporcji. Szczególnie wolno rozwijała się w ubiegłym dziesięcioleciu gospodarka rolna. W zasadzie położono nacisk na tradycyjne dziedziny rozwoju przemysłowego, ale bardzo odstaliśmy nawet i w tempie rozwoju w wielu najbardziej współczesnych dziedzinach: chemii, budowie maszyn, automatyzacji przedsiębiorstw, produkcji i wykorzystaniu elektronicznych maszyn kalkulacyjnych". Pismo podkreśla postępującą regresję ZSSR w porównaniu z krajami kapitalistycznymi w dziedzinie nauki i techniki, zaznacza że „narodowy dochód brutto Stanów Zjednoczonych, włączając w to dziedzinę usług, jest co najmniej dwukrotnie większy od narodowego dochodu brutto ZSSR".

Przyczynę tego *Dniewnik* widzi nie w strukturalnych niedomogach gospodarki sowieckiej, a w niewłaściwej sowieckiej polityce zagranicznej. Autorzy programu zagranicznego, przedstawionego w piśmie, twierdzą że w latach sześćdziesiątych na skutek pospiesznej i nieprzemyślanej „woluntarystycznej" polityki zagranicznej Związek Sowiecki „znów znalazł się zamknięty w kręgu aktywnych lub potencjalnych przeciwników". Właśnie to — zdaniem pisma — „jest przyczyną głównych trudności ekonomicznych ZSSR". Związek Sowiecki „jest zmuszony w czasach pokojowych przestawiać znaczną część swojej gospodarki na potrzeby wojenne". Zwraca uwagę słowo „zmuszony". Zdaniem *Dniewnika* Związek Sowiecki „jest zmuszony" przygotowywać się do wojny w czasie pokoju — przede wszystkim z Chinami. „Byliśmy zmuszeni wiosną 1969 w szybkim tempie zwiększyć nasz potencjał wojenny na Dalekim Wschodzie. Prawdopodobnie nie mniej niż 20-30 dywizji było przesuniętych na granicę sowiecko-chińską, rozpoczęto tam budowę urządzeń obronnych, co wymaga rok rocznie wielomiliardowych wydatków". I znowu: „Byliśmy zmuszeni wejść w skrajnie wyczerpujące zmagania się z Chinami". I jeszcze raz: „Groźba ze strony wojującego nacjonalizmu chińskiego zmusiła ZSSR do znacznego zwiększenia swego potencjału wojennego na Wschodzie".

Bodaj że żadne sowieckie wydawnictwo — oficjalne, czy nielegalne — nie wyraziło tak szczerze, tak jaskrawie, strachu przed Chinami, jak zrobił to *Dniewnik*. W grudniowym numerze 1969 zamieszczono niezmiernie interesującą, anonimową notatkę zatytułowaną „Sześć punktów widzenia na zagadnienia sowiecko-chińskiego konfliktu zbrojnego". Jest to coś w rodzaju analizy socjologicznej nastrojów panujących w sowieckim społeczeństwie. „Zagadnienie możliwości zbrojnego konfliktu z Chinami — powiedziano w notatce — dyskutuje się u nas w ojczyźnie nie tylko w Sztabie Generalnym, czy w Politbiurze. Problemy te dyskutuje się obecnie w najbardziej szerokich kręgach ludności...". Autor notatki wylicza sześć zasadniczych punktów widzenia. W rzeczywistości jest ich tylko dwa: wojna prewencyjna, albo oczekiwanie agresji ze strony Chin.

„Wojna z Chinami jest nieunikniona — mówią zwolennicy wojny prewencyjnej. Jest ona nieunikniona ze względów demograficznych. Za lat pięć lub dziesięć wojna ta będzie dla ZSSR bardzo ciężka i może się źle dla nas skończyć... Niezbędne, właśnie teraz — kiedy Chiny nie są jeszcze gotowe do wielkiej wojny — jest uderzyć możliwie konwencjonalną bronią na główne centra przemysłu nuklearno-rakietowego, zniszczyć główne bazy rakietowe Chin. Następnie moglibyśmy stworzyć niedostępną zonę wzdłuż całej granicy budując umocnienia i wypełniając tę zonę chemiczną i radiologiczną bronią. Jeśli Chiny zastosują wobec naszych miast... broń atomową, to będziemy musieli skierować uderzenie atomowe na najważniejsze miasta Chin. Jest to ciężka decyzja, ale nie ma innej możliwości uniknięcia nowego tatarskiego jarzma".

Przeciwnicy wojny prewencyjnej przeciwstawiają się jej ze względów ideologicznych („wojna między dwoma największymi krajami socjalistycznymi będzie śmiertelnym ciosem dla światowego Komunizmu"), moralnych i prawnych. Jednakowoż wszyscy wychodzą z założenia ciężkiej, ale nieuniknionej konieczności pewnych ustępstw terytorialnych, w przypadku rozpoczęcia wojny przez Chiny. W to nie wątpi prawie nikt (jedynie jeden z zapytanych przypuszcza, że realnej groźby wielkiej wojny nie ma, że kierownictwo chińskie podtrzymuje mit o groźbie wojny „żeby utrzymać w posłuszeństwie masy ludności i usprawiedliwić niski poziom życia").

Odrzucając wojnę prewencyjną, ale uznając za realne niebezpieczeństwo ze strony Chin, *Dniewnik* wyciąga logiczny wniosek: „Powinniśmy przedsięwziąć kroki celem polepszenia naszych stosunków z NRF i USA". Związek Sowiecki powinien zabezpieczyć swoją zachodnią granicę i w tym celu pójść na pewne ustępstwa wobec Zachodu. Jest to tym bardziej niezbędne — zaznacza pismo — że nadzieje niektórych sowieckich przywódców na to, że w razie konfliktu Związku Sowieckiego z Chinami kraje zachodnie, a przede wszystkim USA, automatycznie staną po stronie ZSSR, nie sprawdziły się. Konieczne są więc ustępstwa. Program ustępstw, przedłożony przez *Dniewnik*, do tego stopnia pokrywa się z obecną polityką Breżniewa, że można mówić o niewątpliwym wpływie koncepcji pisma na oficjalną sowiecką politykę zagraniczną.

W pierwszym rzędzie miesięcznik kładzie nacisk na konieczność kontynuowania rozmów z USA o ograniczeniu wyścigu broni strategicznej. „Związek Sowiecki jest tym bardziej zainteresowany — mówi się w piśmie — niż USA. Następnie konieczne jest pójście na ustępstwa w sprawie Zachodniego Berlina". Wreszcie Związek Sowiecki — zdaniem *Dniewnika* — powinien zgodzić się na wycofanie swoich wojsk z terytorium krajów wschodnio-europejskich przy zgodzie Amerykanów na wycofanie ich wojsk z kontynentu europejskiego. Pismo zdaje sobie sprawę, że to ustępstwo wywołuje najbardziej poważne zastrzeżenie sowieckiego kierownictwa. „Mogą powiedzieć — czytamy — że opuszczenie krajów Europy Wschodniej przez wojska sowieckie ułatwi tam działalność rewizjonistów i tendencji nacjonalistycznych, że może nawet powstać ryzyko utraty socjalistycznych zdobyczy w niektórych z tych krajów". *Dniewnik* twierdzi, że nie jest tak, że właśnie „obecność wojsk sowieckich w krajach Europy Wschodniej wzmaga nacjonalizm". Z drugiej strony autorzy programu polityki zagranicznej przyznają ze smutkiem, że obawę przed wycofaniem wojsk sowieckich można uważać za przyznanie, że „nawet w 25 lat po zwycięstwie władzy ludowej w Europie Wschodniej, władza ta może utrzymać się jedynie przy bezpośrednim wojskowym poparciu ZSSR". A więc jest niezbędne zmienić wiele rzeczy, przeprowadzić reformy, rozszerzyć demokrację, a dopiero potem wycofać wojska sowieckie.

Ostatnim argumentem przemawiającym za opuszczeniem Europy Wschodniej przez wojska sowieckie jest twierdzenie — komicznie naiwne — świadczące o tym, że nawet intelektualna elita sowiecka nadal nic nie wie o Zachodzie i podświadomie jest całkowicie pod wpływem oficjalnej propagandy — twierdzenie, że USA wycofując swoje wojska z Europy „dużo ryzykują, specjalnie jeśli wziąć pod uwagę istnienie silnych partii komunistycznych we Włoszech, Francji i Hiszpanii".

Znaczenie *Dniewnika* jako źródła informacji polega w pierwszym rzędzie na tym, że jego autorzy otwarcie mówią o problemach, o których się jedynie szepcze w „kuluarach władzy". Ujawniają zasadnicze przyczyny brežniewowskiej polityki zagranicznej. Są dowodem, że celem wszystkich proponowanych przez nich reform jest rozszerzenie i umocnienie sowieckiego państwa, rozszerzenie wpływów komunistycznych w całym świecie. Opozycyjność *Dniewnika*, to opozycyjność „autentycznych komunistów" zarzucających sowieckim wodzom niedostateczną żarliwość i aktywność.

Adam KRUCZEK

Oczyść to miejsce w którym żyjesz

1. „Wyrywałem się i kopałem i wtedy Wuj uderzył mnie znowu dwa razy w głowę tak, że usłyszałem, jak przedtem, ten dzwon, i przez chwilę zdawało mi się, że jestem gdzie indziej, na polu za wędzarnią w jasny dzień, a za trzcinami migoce słońce na Zalewie jak wielka złota tarcza. Jeszcze raz pomyślałem, że mógłbym uciec stąd, ale tylko tak, żeby wiedzieć, że mógłbym jeszcze wygrać z Wujem i że nie opłaca mi się, bo pada deszcz".

Jest to składnia wiedzy przeddorosłej, wyobraźnia z ziarnem poezji, dziecinna. Opowiadanie nosi tytuł „Zielone i srebrne"[1]. W kącie szopy, gdzie chłopiec, pobity, zasypia, coś świeci dwukolorowo. Śni mu się kufer z pieniędzmi; poprawiona wersja życia, które zostało dane. Za wyśnione pieniądze kupuje kuter i płynie ze Szczypą-równolatkiem do lodowych gór.

W „Narzeczonym Rozalii" — imieniny, wóda, obłapka. Pan Rysiu flirtuje ze służącą, narzeczony czeka przed domem. W nocy chłopiec i zdradzony mężczyzna wypływają na morze. Milczą. Przyroda pomaga ludziom; uciekają do jej widoku, w jej substancję. Milczenie to jedyna dostępna im forma refleksji i moralnej ekspiacji.

Sparaliżowany dziadek Szczypy opowiada wnukowi o szczęśliwej wyspie. Chłopcy reperują balię, czekają na gładką pogodę. Dlaczego właśnie ta wyspa jest szczęśliwa, pyta narrator Szczypę:

„— No bo tak: niby wszystko jest takie same, ale naprawdę jest inne. Piasek wygląda tak samo, ale jak tylko na nim staniesz, poczujesz że jest inny. Niebo jest niebieskie, ale jak podniesiesz głowę zobaczysz że jest inne. Tak samo ludzie: wyglądają tak samo, ale jak pierwszy powie do ciebie słowo, zrozumiesz, że są inni, lepsi, tacy, jakich tu nie ma".

Wypływają, psa karmią chlebem, siebie rzodkiewkami. W nocy śpią, rano dopływają do własnego brzegu. Wszystko to w tonie zwyczajnym, często szorstkim, rzadko lirycznym. Nic z dzieci amerykańskich pisarzy; z ich filozofii, poezji, cudowności.

Pisarstwo Orłosia jest oszczędne, wiarygodne, bez niespodzianek. Wszystko tu znane: sytuacje, ludzie, krajobrazy, przedmioty. Powtarzają się pewne motywy: ratowania bez skutku, powrotu

1. Kazimierz Orłoś, *Między brzegami*, Warszawa, PIW, 1961.

do miejsca wyjścia, osaczania zwierzęcia, bydlęcenia przy wódce. W „Między brzegami", tytułowym opowiadaniu zbioru, koń kopie małą dziewczynkę. Ojciec łódką przewozi ją na drugi, daleki brzeg, do ośrodka. Dopływa z martwym dzieckiem, wraca. W opowiadaniu „Koło" mężczyzna wychodzi nocą z leśniczówki. Brnie przez śnieg po lekarza dla ciężarnej żony. Nie kocha jej. Po paru godzinach wraca do punktu wyjścia.

Ten schemat — wbrew pozorom — nie uprawnia do żadnych uogólnień. Coś się zdarza w otoczce szarej, prowincjonalnej najczęściej codzienności: nieszczęście, smutek, krzywda. Trzeba to opowiedzieć. W opowiadaniach Orłosia wszystko jest konkretne, smutne i bezinterwencyjne. Historie mówią za siebie; wysterylizowane z uczuć i wszelkiej dekoracji.

Koniec zabawy[2], drugi zbiór, otwiera opowiadanie „Obrazek". Znów Zalew, Szczypa i sparaliżowany dziadek od lat tęskniący do widoku morza. Chłopcy wiozą dziadka na plażę. Pchają wózek, biją się, wózek wpada do rowu:

„Pomyślałem, że z dziadkiem Szczypy i morzem to było tak, jak z książką, która zamknie się na jakimś obrazku i jeszcze przez chwilę ten obrazek zostanie w oczach, a potem już nic".

W innym opowiadaniu narrator i jego żona nie rozmawiają z matką, która nie chce im oddać swego dużego pokoju. Sami gniotą się w mniejszym, z dwojgiem małych dzieci. Kiedy stara umiera, syn idzie do niej:

„Rozejrzałem się po pokoju. Tu pod oknem można by postawić tapczan — pomyślałem — a w kącie komódkę. Łóżko dzieci może stać za piecem. W zimie można w nim palić, a na lato przykryć papierem i serwetą. — Nie chce się wam jeść ani pić — spytałem". My już tacy — jak w zakończeniu jednej z nowel Prusa.

W tytułowym opowiadaniu — powrót z urlopu, znad morza: Pan doktor, pan Zygmunt, pan Jaś, panie, narrator:

„Wino i wódkę kupiliśmy przed odjazdem pociągu — litr wódki (zwykłej, z czerwoną kartką) w monopolowym sklepie obok dworca, a wino w bufecie, tylko to, co tam było: sikacz z jabłek i miód, bo jak na złość żadnej winiarni w okolicy nie znaleźliśmy. To tam, przy bufecie kiedy już odchodziliśmy (miałem trudności z umieszczeniem pękatej butelki w kieszeni), pan Zygmunt wpadł na pomysł urżnięcia pana Jasia".

Pan Jaś obrzygał siebie, przedział i panią Celinkę. Na dworcu oczekuje go żona i dwoje wymytych dzieci.

Oczywiście — są jeszcze inni. Milkliwi, uparci, jakby bez wyobraźni krzywdy, którą im wyrządzono. Dziewczynka z opowiadania „Dziecko ojca i matki", która opiekuje się zdebilałym braciszkiem. Dziewczyna z opowiadania „Nieobecny", która z dzieckiem przyjeżdża na wielką budowę, zagląda tysiącu ludziom w twarze, szukając swego męża.

2. Kazimierz Orłos, *Koniec zabawy*, Warszawa, Czytelnik, 1965.

2. Pierwszy cytat ze środka: „Inżynier nie dosłyszał. To wtedy wygłosił przemówienie, o którym później głośno było u nas. Ze śmiechem powtarzano sobie, jak to Szafranek, chwiejąc się, z kieliszkiem w którym błyskała wódka, pochylony nad stołem, zaczął mówić: — Bracia Monopolanie! Jest tylko jedno słońce, jedno prawdziwe światło w naszym szarym życiu. Państwowy Monopol Spirytusowy"[3].

Drugi cytat z końca: „Nowy przewodniczący, Krasula Marian, jest człowiekiem zupełnie innego pokroju. Ludzki, życzliwy dla otoczenia — umie z ludźmi żyć. W obecności sekretarza Miedzy uśmiecha się i zgadza na wszystko. Najczęściej milczy. Jest przy tym człowiekiem wykształconym — ukończył zaocznie wydział prawa na najmłodszym uniwersytecie w kraju. Ma tytuł magistra".

„Cudowną melinę", western z czosnkiem i wódą, rozpoczyna typowy kadr. Do miasteczka przyjeżdża obcy. Z miejscowego „saloon" wychodzą pijani kowboje i farmerzy. Dosiadają koni:

„Mógł przyjechać do nas wieczorem, ostatnim autobusem, kiedy już sklepy były pozamykane. Spóźnieni goście wychodzili z „Obywatelskiej". Na rynku pijani chłopi śpiewali, wsiadając do taksówek".

Opowiadacz używa trybu domniemanego, jakby nie był pewny zdarzenia, i liczby mnogiej jakby mówił w imieniu mieszkańców miasteczka. To zarazem detektyw i *vox populi*. Miasto jest nieduże, otoczone naturą; trzy knajpy, ruiny zamku, dzielnica nowych bloków i dzielnica drewniana. Obcy ma około czterdziestki; zaniedbany, w zielonym ortalionie, pod gazem. Wiemy o nim niewiele. Przyjechał do miasta, żeby się zamelinować i może zacząć od nowa. Nazywa się Andrzej Muszyna. W prowincjonalnej prasie wyczytał, że jego szkolny kolega Turoń został przewodniczącym rady narodowej.

„— Heniu — mógł zacząć — Heniu... Przewodniczący spytał ciszej. — Siedziałeś ostatnio? — Krótko. Niecały rok. — Co to było? — Książeczki — westchnął. — Kiedyś podobno miałeś niedobory w kasie. Lewandowski pisał. To prawda? — Dawno. Dawno. — Co z żoną? — Wzruszył ramionami. — Pijesz? — Nie odpowiedział. Turoń patrzył na jego znoszoną marynarkę, krawat na gumce, zakurzone buty".

Nowy szeryf zawiera umowę z fajtłapowatym kowbojem; Turoń każe Muszynie udawać dziennikarza z „centrali" i przed oczyma radnych miga jego legitymacją krwiodawcy.

Pomysł dobry i pewnie dałoby się oczyścić tę stajnię Augiasza, gdyby Herkulesa tak boleśnie nie kopano w kostki. „Cudowna melina" to nie podważanie systemu, lecz oskarżenie ludzi, dla których Polska to postaw sukna. W oczach Turonia — i Orłosia! — korupcja nie jest tego systemu zasadą; po marginesach

3. Kazimierz Orłoś — *Cudowna melina*, Instytut Literacki, Paryż, 1973, str. 178, pisane marzec-grudzień 1971.

władzy, jak smętne upiory błąkają się sprawiedliwi. Turoń wierzy w magię centrali; w Warszawę i jej dziennikarzy. Inaczej, wiedząc co ryzykuje, nie organizowałby tej całej imprzey. Wierzy... Ale nie na tyle, żeby ściągnąć ze stolicy dziennikarza z prawdziwego zdarzenia.

I trzeba przyznać że ta wiara, przynajmniej na pozór, nie jest bezzasadna. Gdyby Muszyna w krytycznym momencie mógł się wylegitymować dziennikarskim świstkiem... Gdyby tyle nie pił... Gdyby każdy pokrzywdzony dochodził swej sprawiedliwości z wystarczającym uporem... „Cudowna melina" przypomina miejscami „Tezy o nadziei i beznadziejności".

Orłoś posługuje się narracją filmową i techniką montażu. Zatrzymuje kamerę na szczegółach. Jesteśmy w miejscowym *saloon*,

„I znów Ludwiś (brudny biały kitel, niedomyte paznokcie, jęczmień na oku) mijał go w milczeniu. Franek osuwał się na krzesło, głowa opadała, zamykał oczy".

Franek to pierwsza w chronologii powieści ofiara gangu i pierwszy trop Muszyny. Miedza, sekretarz partii, potrącił go służbową warszawą, wracając z „rybaczówki". Próby krwi nie pobrano. Świadkowie zeznali, że tego wieczoru Franek pił z nimi. Poszkodowany twierdzi, że pił dnia poprzedniego. Rezultat: niedowład nogi, utrata pracy, brak renty inwalidzkiej.

W knajpie „Obywatelska" pijany Franek opowiada o swoim nieszczęściu pijanemu Muszynie. Przywołuje na świadka pijanego Rybaczyńskiego, zwanego Jasiem Flachą. Jaś Flacha tłumaczy inwalidzie: „Franiu... wiesz sam jak jest. Ty mówisz tak, protokół co innego. Myśleć to ja mogę tak, jak ty mówisz, ale mówić to mogę tylko tak jak jest napisane w protokole. Od tego są kompetentne czynniki, żeby napisały i pouczyły obywateli, co i jak! — Ostatnie zdanie powiedział głośno. — Dobrze mówię? — zwrócił się w stronę milicjantów".

Do pierwszej strzelaniny dochodzi na zebraniu rady narodowej, tuż po prezentacji Muszyny. W prezydium: Leluchowicz — plastyk, rzekomy magister; Popielak — kapitan milicji, prowadził sprawę Franka; Miedza — pierwszy sekretarz; Gniazdowski — dyrektor szpitala, leczy tylko prywatnie; Szeląg — nauczyciel gimnastyki, bije uczniów; Szafranek — kierownik przedsiębiorstwa budowlanego, dyplom architekta zaginął podczas wojny. Protokołuje zebranie Lenka. Lat 25, mieszka z matką:

„Od siedmiu lat pracowała jako sekretarka w prezydium. Przez ten czas zmieniano przewodniczących pięć razy".

Rzekomy dziennikarz z pożyczonym aparatem-lustrzanką odkrywa jedną aferę za drugą. Dociera do przemytu. Członkowie prezydium — wszyscy z wyjątkiem Turonia — karetkami pogotowia szmuglują do Czechosłowacji spirytus a przywożą czosnek. Stąd wille, auta, ogromne konta w banku.

Smród unosi się nad miastem. Szambo wywozi się furmankami, dzieciom z drewnianej dzielnicy wilgoć wykręca palce. Miedza chce budować „obiekty" — motel z restauracją kategorii S i cygańską orkiestrą, Turoń — ośrodki sportowe i mieszkania dla najbiedniejszych. Aż tak prosty kontrast. Miejscowy szeryf wykłóca się z pierwszym sekretarzem i najczęściej przegrywa. „Papierowy przewodniczący — śmieli się chłopi". Turoń nie pije, nie pali, nie łowi ryb i nie bierze łapówek. Miedza nazywa go Chrystuskiem, a zbiorowy narrator powiada: „Nieudany człowiek. Nie na ten czas".

Turoń przegrywa. I przegrywa Muszyna, w społeczne szczęście miasta mniej zaangażowany. Przegrywa szansę życia z tą miłą, wierną Lenką. To do niego odnosi się tytuł Cudowna melina. Ironicznie. I do miejscowych bonzów. Dosłownie. Tu, w miasteczku, ujdą wszystkiemu bezkarnie. Tu lud korny i lubi kiedy władza z pańska się nosi.

Gang boi się. Ale pomimo strachu liczy na całkowite skorumpowanie innych. W trakcie dochodzenia do sedna różnych afer, Miedza bez żenady zaprasza Muszynę do rybaczówki, gdzie kelnerki z miasta podają wódkę i bigos, a pierwszy sekretarz w pijackim uniesieniu zabija świnię sąsiada:

„Jak wiadomo rybaczówkę zbudowano za pieniądze przeznaczone na rozwój bazy turystyczno-sportowej... Dużo poszło w rybaczówkę pieniędzy — milion, może dwa. Ale przecież nie na darmo. Nawet zagranicznym gościom nie wstyd pokazać".

Tyle opinia społeczna ustami opowiadacza, podszywającego się pod umysł zniewolony. Opowiadacz raz tylko „pęka". Kiedy wali się pierwszomajowa trybuna, stwierdza z zadowoleniem: „I choć ten jeden raz ci z trybuny poszli z nami. Nie mieli gdzie stać — jasne".

Pewnego wieczoru rzekomy dziennikarz odjeżdża w nieznanym dla siebie kierunku. Siłą ciśnięty do autobusu, pijany. Zostawia Lenkę w ciąży. Za nim odjeżdża Turoń. Przychodzi nowy przewodniczący, Krasula Marian, swój człowiek.

„Cudowna melina" jest książką na wskroś realistyczną, socrealistyczną nawet, jeśli zastosować do niej przedśmiertną formułę Lukacza. Jest to opowieść o nienawiści do uczciwych i pogardzie dla biednych. Książka o kraju nad którym rozsiadła się wódka, bezprawie i slogan. A także opowieść o służbie.

Ilość służby w Polsce przekracza najśmielsze imaginacje osiemnastowiecznych magnatów. W sensie dosłownym: służba sprząta, co władza zarzygała, goni z herbatką, wódeczką, otwiera samochody. W sensie ogólnym; służy każdy każdemu, co sprawia pozory społeczeństwa doskonale funkcjonalnego. Nad cudowną meliną, nad Polską, rozsiadła się bowiem dobrotliwa „ludzkość"; źle tu nikt nikomu nie życzy. Z każdym można wszystko załatwić. Przy wódce. Przez łapówkę. I znowu przy wódce. Jak w tym dowcipie Mrożka, że szklane domy wzniesiemy z butelek po wyborowej.

I jeszcze. To co wyżej, z taką siłą, po raz trzeci zostało powie-

dziane w polskiej literaturze. Po raz pierwszy w „Weselu", po raz drugi w „Ślubie". „Cudowna melina" jest książką o nieszczęściu pospólstwa i korupcji władzy. Ale przede wszystkim o narodowym chlaniu.

Janina KATZ

Układy oligarchiczne

Książka Lauena*, gdzie autor zgromadził obiektywnie fakty i tylko fakty, jakie wydarzyły się w Polsce w okresie 1968 — wiosna 1972, aż się prosi o uogólniającą przedmowę czy posłowie, a to ponieważ w tym uszeregowaniu faktów zawarta jest, niezależnie od ich lokalnego i w pewnej mierze akcydentalnego charakteru, prawda o pewnej właściwości generalnej politycznego układu sowieckiego. I o tej właściwości piszę teraz, kilka dni po zmianach, jakie nastąpiły w składzie personalnym Biura Politycznego na Kremlu; myśląc przy tym, że tą samą metodą mógłby Lauen opisać i to wydarzenie.

Właściwość, o której mowa, polega na skurczeniu się niejako aktywności politycznej w państwie do rozgrywek osobowych w wąskim stosunkowo gronie sprawującej władzę oligarchii, z tym, że wewnątrz tej oligarchii tworzą się co pewien czas ściślejsze jeszcze grupy, trzy lub czteroosobowe, rozstrzygające w ostatecznym rachunku bez mała o wszystkim. Istota rzeczy jest przy takim sposobie uprawiania polityki postawiona na głowie: rozgrywki toczą się nie o określony program, lecz o wejście do tego ściślejszego grona, czyli — o usunięcie zeń innych. I tak na przykład w czasie lektury stało się dla mnie jasne, że Moczar i jego trabanci nie mieli w roku 1968 żadnego programu i że żadnego programu nie miała spółka Kliszko-Cyrankiewicz. Demagogia, uprawiana przy tej okazji zamiast argumentacji, miała stworzyć pozory programu, a nadto bardzo często treści owych demagogicznych enuncjacji pokrywały się wzajemnie, co wywoływało wrażenie groteskowej licytacji.

Oczywiście, między Polską a Związkiem Sowieckim istnieje tu pewna istotna różnica. Nie do pomyślenia jest, aby np. Breżniew albo jego przeciwnicy mogli użyć w czasie rozgrywek o władzę środków, stosowanych przez Moczara, a polegających na rozpalaniu niskich namiętności lub na użyciu prowokacji, prowadzących do zamieszek. To byłoby dla władzy centralnej

* Herald Lauen, *Polen nach dem Sturz Gomułkas*, Seewald Verlag, Stuttgart-Deherloch, 1972.

imperium zbyt niebezpieczne, zagrażałoby bowiem samemu istnieniu imperium; w satrapiach wszelako Kreml, jak się wydaje, gotów był podówczas przynajmniej takie metody rozgrywek tolerować; choć sądzę, że obecnie okres tego rodzaju tolerancji już się skończył. Ogólnie jednak biorąc, zasada walki personalnej w polityce, zastępującej walkę o program, jest jedną z głównych cech charakteryzujących ów system i tę właśnie zasadę Lauen znakomicie pokazał na przykładzie Polski. Imperium sowieckie weszło w okres, kiedy idee, obojętnie czy obskurne czy światłe, traktowane są wyłącznie instrumentalnie.

Wszystkiego tego Lauen nie napisał *expressis verbis;* są to wnioski, które czytelnik sam sobie może podczas lektury wyciągnąć. I może na tym właśnie polega największa wartość tej książki.

Inna jej wartość to sposób ustalania faktów, co dowodzi imponującego wręcz krytycyzmu i pracowitości. Autor musiał się przedrzeć przez istny gąszcz materiałów i nadto dokonać ich zestawienia. Okazało się przy tym, że źródła — i to głównie źródła krajowe — są często sprzeczne i z tych to sprzeczności wynikają prawdziwe intencje ich (tych sprzeczności) twórców. I tak: bardzo często przemówienia polityków, transmitowane na żywo przez radio czy telewizję, ukazywały się potem w druku w innym kształcie, z opustkami i przeinaczeniami; i tak: istnieją różnice w informacjach, podawanych w prasie centralnej oraz lokalnej; i tak: prasa lokalna podawała informacje, nie zamieszczane w prasie centralnej i na odwrót — w prasie centralnej ukazywały się wiadomości, których na prowincji znaleźć nie było można. Powody tego bywały najróżniejsze, dwa chyba są główne: albo miejscowe królewiątko prowadziło w ten sposób swoją własną politykę, albo wszystkim razem chodziło o to, żeby powstawały obszary o lukach informacyjnych. Z praktyki wiadomo, że mało kto czyta zarazem prasę lokalną i centralną; daje to sposobność do manipulowania opinii publicznej.

Czytając książkę, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że więcej korzyści wyciągnie z niej czytelnik polski aniżeli obcokrajowiec. Może to jest i jej wada: autor zakłada mianowicie u czytelnika wiedzę albo specjalisty, albo Polaka. Tyczy się to nazwisk, układów personalnych, określonych okoliczności itp., podawanych w ten sposób, jakby odbiorca był w te wszystkie zawiłości wtajemniczony. Jeśliby się następne wydanie ukazało, dobrze by było, gdyby autor tej przecież bardzo dobrej i bardzo obiektywnej rozprawy politycznej w tym sensie ją rozszerzył.

Witold WIRPSZA

P.S. Z dwoma opiniami Lauena nie bardzo mogę się zgodzić:

1) Postawa Gierka w roku 1968 wobec wydarzeń w Czechosłowacji. Autor wyraża zdanie, że Gierek w pewnej mierze sympatyzował z Dubczekiem i jego ekipą, a przynajmniej zachowywał „ideologiczną neutralność". To się chyba nie zgadza. Wszystko

zdaje się wskazywać na to, że Gierek znosił się na wiosnę 1968 roku z Indrą; wątpię, czy pałał miłością do Smrkovskiego. Wiec pierwszomajowy, zorganizowany wspólnie z Indrą w Cieszynie, dowodzi raczej tego, że Gierek wspierał przeciwników Dubczeka.

2) To samo dotyczy problemu zachowania się gen. Jaruzelskiego w roku 1968. Z wywodów Lauena wynika, że wobec rozgrywek wewnętrznych Jaruzelski zachowywał się neutralnie. W moim pojęciu Jaruzelski być może czas pewien się wahał, ale już w czerwcu poparł Cyrankiewicza. Świadczą o tym drastyczne zmiany personalne w wojsku, przeprowadzone na przełomie maja i czerwca, kiedy między innymi został pozbawiony swych funkcji dowódca „czerwonych beretów", gen. Rozłubirski, uchodzący za zwolennika Moczara.

W. W.

Na marginesie wykładów amerykańskich M. Ossowskiej

W zimie 1970-71 roku Radio Brytyjskie przeprowadziło serię wywiadów z czołowymi przedstawicielami filozofii w Anglii. Te 14 rozmów, w których pytania zadawał Bryan Magee, pisarz i dziennikarz o filozoficznym wykształceniu, zebrano w książce pod tytułem *Modern British Philosophy* („Nowoczesna filozofia brytyjska") (Londyn, 1971). Rzecz jest przeznaczona dla niespecjalistów, a ponieważ większość filozofów brytyjskich, tak dziś, jak i w przeszłości, posiada zdolność klarownego wykładu, książkę czyta się bez trudu, zwłaszcza, że Magee umyślnie zadaje pytania naiwne, aby zmusić rozmówców do wyłożenia swych tez jak najprzystępniej.

Myśl brytyjską stale jeszcze dominują dwie postacie: zmarły w roku 1970 Bertrand Russell, oraz Austriak Ludwig Wittgenstein, który był uczniem Russella, a później wypracował filozofię, która po jego śmierci w roku 1951 stała się podwaliną powojennej oxfordzkiej filozofii lingwistycznej. Ponieważ najważniejsze prace Russella przypadają na pierwsze dwie dekady stulecia, a *Traktat logiczno-filozoficzny* Wittgensteina ukazał się w roku 1922, rozmówcy dużo miejsca poświęcają temu zapleczu myśli współczesnej. Alfred Ayer, Gilbert Ryle, Karl Popper i Peter Strawson omawiają własny dorobek, a pozostałe rozmowy dotyczą obecnego stanu etyki, socjologii, estetyki, filozofii religii,

oraz kontaktów między filozofią brytyjską a myślą na kontynencie Europy. Do najciekawszych zaliczam wypowiedź Poppera oraz dyskusję obecnego stanu etyki z profesorem filozofii w Cambridge, Bernardem Williamsem.

Podobnie jak Wittgenstein, Popper przybył do Anglii z Wiednia. Jest obecnie profesorem emerytowanym Londyńskiej Szkoły Nauk Politycznych i Gospodarczych. Poppera interesuje głównie logiczne podłoże wiedzy, jakiej dostarczają nam nauki przyrodnicze. W przeciwieństwie do tradycyjnego pojęcia, że doświadczenia laboratoryjne potwierdzają wiedzę w sposób gwarantujący jej pewność, Popper wypracował zasadę falsyfikacji, wedle której każdy kolejny eksperyment nie jest uważany za potwierdzenie, lecz za próbę obalenia zawartego w eksperymencie założenia. Myśl Poppera jest więc wyrazem sceptycyzmu, który jaskrawo kontrastuje z optymizmem uczonych opierających się na indukcyjnej metodologii Bacona i przekonanych, że z biegiem czasu wszystkie tajemnice wszechświata zostaną wyjaśnione.

Niezmiernie ważnym aspektem metodologii Poppera jest jej zastosowanie do nauk społecznych i politycznych. Zasada falsyfikacji wytycza bowiem granice tez, które zasługują na miano naukowych. A więc teoria względności Einsteina jest tezą naukową, gdyż potrafimy określić sytuację faktyczną, w której ta teoria okazałaby się fałszywą. Tezy nienaukowe natomiast wyróżniają się tym, że ich obrońcy nie są w stanie przedstawić podobnej sytuacji faktycznej. Innymi słowy, nie są to tezy naukowe, lecz dogmaty. Dlatego też, zdaniem Poppera, marksizm, wbrew argumentacji marksistów, nie jest tezą naukową, ponieważ głosi, że klasa robotnicza zatryumfuje, niezależnie od przyszłego biegu wydarzeń. Marksizm nie przewiduje sytuacji, w której należałoby stwierdzić, że klasa robotnicza walkę dziejową przegrała.

Podobnie każdy inny system, który rości pretensję do nieomylności, również nie zasługuje na miano systemu naukowego. Do tej kategorii systemów nienaukowych Popper zalicza z jednej strony wszelkie systemy religijne, a z drugiej psychologię Freuda.

W sposób analogiczny Popper stosuje zasadę falsyfikacji do pojęcia „demokracji". Popper wyraża tu zdecydowane zniecierpliwienie zawiłymi akademickimi definicjami, które zacierają istotną cechę demokracji, i proponuje bardzo prosty test falsyfikacyjny w wypadku, gdy zastanawiamy się, czy pojęcie „demokracji" zostało prawowicie zastosowane:

Rozróżniam dwa typy rządów. W jednym wypadku możemy zmienić rząd bez rozlewu krwi, w drugim nie można się obejść bez rozlewu krwi... Proponuję byśmy pierwszy system nazwali „demokracją", drugi „tyranią"... Jeżeli dany kraj posiada instytucje, które pozwalają mu zmienić rząd bez gwałtu, a pewna grupa ludzi w tym kraju dopuszcza się gwałtu dlatego, że bez gwałtu nie udało jej się objąć władzy — wówczas, niezależnie od

tego, co ta grupa sądzi czy zamierza, jej akcja stanowi próbę ustanowienia rządu opartego na gwałcie i którego później bez gwałtu nie da się usunąć. Innymi słowy, stoimy na progu tyranii.

◆

Absurdy możemy podzielić na trzy kategorie. (1) Absurd fizyczny (że np. dany przedmiot znajduje się w dwu miejscach naraz), (2) absurd logiczny (zdanie stwierdzające, że dany przedmiot znajduje się w dwu miejscach naraz) oraz (3) absurd moralny. Ale cóż podamy za przykład absurdu moralnego?

Czy człowieka, który morduje miliony ludzi, dlatego, że nie podoba mu się kształt ich nosów? Czy człowieka, który, gdy go biją w jeden policzek, nadstawia do bicia drugi policzek?

Na tych i wielu innych przykładach szybko się przekonujemy, że w dziedzinie moralnej żadne ograniczenia logiczne nie mają zastosowania, choć nadal oczywiście muszą obowiązywać ograniczenia fizyczne: nie można torturować trupa. Koło, które traci swą okrągłość, przestaje być kołem, lecz jakie są warunki konieczne, w których dobry człowiek przestaje być dobrym? W odpowiednich warunkach nawet morderca może zasłużyć na miano dobrego człowieka. Dlatego utrzymujemy w dziedzinie moralnej przekonania paradoksalne: z jednej strony twierdzimy, że nic nas już nie zadziwi, że wiek XX pokazał nam dno, a z drugiej strony, każda nowa perwersja napawa nas zgrozą.

Jeżeli tak jest, jaką wagę mamy prawo przypisać nakazom moralnym? Stale i wszędzie słyszymy, że żadne społeczeństwo nie może funkcjonować bez powszechnie przestrzeganego kodeksu moralnego, a każdorazowe kwestionowanie tego kodeksu przez jakąś większą grupę obywateli uważamy za sygnał niezmiernie groźny. Zagrożeni chaosem i gwałtem, konserwatyści niemal instynktownie odwołują się do przekonania o konieczności stałych reguł, ale, jak widzimy, logicznie rzecz biorąc, nawet najbardziej podstawowa reguła może być złamana, a więc żadna z nich nie posiada mocy obowiązującej absolutnie.

Sceptycyzm wobec norm moralnych występuje szczególnie ostro w okresach głębokich przemian społecznych, a także w okresach, kiedy „społeczeństwa zamknięte" (by użyć terminu Poppera) nagle znajdują się pod presją innych społeczeństw o odmiennych kodeksach moralnych. Oto klasyczne sytuacje, w których rodzą się przekonania, że wszelkie kodeksy są względne, że są uzależnione od warunków lokalnych. W naszych czasach tym przekonaniom sprzyja antropologia i socjologia. Całe zastępy badaczy z Bronisławem Malinowskim i Levi-Straussem na czele zaznajomiły nas z opisami najróżniejszych społeczeństw, szczepów i ugrupowań o niezmiernie zróżnicowanych systemach moralnych. Ponadto, badania socjologów obejmują także przeszłość: analizie poddawani są nie tylko buszmeni, warszawianie, paryżanie i buddyści, ale także społeczeństwa homeryckich epopei oraz średniowiecznych romansów.

W swej książce *Social Determinants of Moral Ideas* („Determinanty społeczne pojęć moralnych") (Londyn, 1971) opartej na cyklu wykładów wygłoszonych w Ameryce, Maria Ossowska omawia zmienność i ewolucje kodeksów moralnych z dwóch punktów widzenia. W jednym rozdziale przytacza wpływ na kształtowanie się moralności takich okoliczności, jak klimat, stan gospodarczy, stan demograficzny, religia, urbanizacja i uprzemysłowienie. W drugim rozdziale Ossowska śledzi rozwój moralności szlacheckiej i moralności mieszczańskiej. Te dwa rozdziały dostarczają materiału opisowego, który poddany jest krytycznej analizie w pozostałych dwóch rozdziałach.

Jako socjolog Ossowska naturalnie kładzie nacisk na opisowy aspekt zagadnień moralnych. I ta właśnie strona pracy Ossowskiej winna, moim zdaniem, głównie zainteresować filozofów brytyjskich. Bogaty materiał opisowy w książce Ossowskiej stanowi świetną przeciwwagę suchej, a nawet jałowej, argumentacji filozofów zaabsorbowanych formalną stroną etyki, na niekorzyść jej istotnej i jakże dla nas wszystkich ważnej treści. Właśnie we wspomnianej rozmowie Bernard Williams zastanawia się, dlaczego brytyjska filozofia jest tak małostkowa i banalna. Jego wytłumaczenie wydaje mi się bardzo ciekawe. Według niego problemów etycznych nie należy dyskutować na wzór zagadnień epistemologicznych. Kiedy zastanawiamy się nad jakimś problemem wiedzy, wybieramy dla przykładu przedmiot bardzo prosty, aby nie rozpraszać uwagi na nieistotne szczegóły. W dyskusji na temat percepcji wystarczy więc przykład postrzegania szpilki lub białej plamy. Analogicznie, w dyskusjach na tematy etyczne, filozofowie zastanawiają się nad konsekwencjami niewydania komuś kilku groszy reszty. Ale podczas gdy problem epistemologiczny pozostaje ten sam, niezależnie od tego, czy przedmiotem postrzegania jest szpilka, czy żyrafa, konsekwencje moralne nieoddania kilku groszy nie są porównywalne z konsekwencjami defraudacji na skalę milionową. Williams domaga się od moralistów zaangażowania osobistego. Etyka jest przecież dziedziną, której nie można oderwać od zagadnień czysto praktycznych.

Williams twierdzi, że na przykład pojęcie rycerskości jest związane ze społeczną, religijną i gospodarczą rzeczywistością wieków średnich, a więc nie może być omawiane w oderwaniu od tej rzeczywistości. Tymczasem filozofowie angielscy uważają, że te determinanty społeczne należy całkiem zignorować przy analizie logicznej struktury pojęcia rycerskości. Analiza pojęcia rycerskości, które w książce Ossowskiej wchodzi w skład pojęcia moralności szlacheckiej, dostarcza właśnie świetnego materiału opisowego na poparcie tezy Williamsa.

Williams twierdzi także, że zwyrodnienie moralne hitlerowców wynikło z braku związku między ich romantycznym snem o potędze, a społeczną i gospodarczą rzeczywistością XX wieku. I ten drugi przykład przypomina nam znów paradoksalny charakter rozważań na tematy etyczne. Jeżeli bowiem rację mają Williams i Ossowska, że warunki determinują moralność, hitleryzm nie

mógłby w ogóle zaistnieć w naszych czasach. A jednak, jak twierdzi Williams, hitleryzm powstał *wbrew* warunkom społecznym i gospodarczym. I podobnie nasze potępienie moralne hitleryzmu nie jest zdeterminowane warunkami społecznymi. Jak podkreśla Ossowska, sąd w Norymberdze musiał odwołać się do rzekomo naturalnych praw człowieka, aby uzasadnić wyroki śmierci. Ale przecież o naturalnych prawach człowieka możemy mówić tylko wówczas, gdy wierzymy w istnienie niezmiennego kodeksu moralności, nieuległego wobec presji społecznych i in.!

Zdawałoby się, że tak różnorodny nagromadzony przez Ossowską materiał opisowy skłoni ją ostatecznie do sformułowania tezy relatywistycznej. Tymczasem jej stanowisko jest zupełnie przeciwne.

„Dążąc — *pisze Ossowska* — do stworzenia niezależnego opisowego ujęcia naszego życia moralnego, nie zamierzam bynajmniej kwestionować wartości etyki normatywnej. Śledzę z wielkim zainteresowaniem próby stworzenia logiki norm i wydaje mi się, że wszelkie typy rozumowania dedukcyjnego są możliwe w tej dziedzinie. Jeżeli nie ma nadziei, że etyka normatywna stanie się dyscypliną naukową w ścisłym tego słowa znaczeniu, to mimo to możemy przekształcić ją w dyscyplinę bardziej precyzyjną niż dotychczas".

Te zdania nie są dla mnie jasne. Choć Ossowska zastrzega się, że nie chodzi jej o „dyscyplinę naukową w ścisłym tego słowa znaczeniu", trudno jednak zgadnąć, ile wagi należy przypisać tej kwalifikacji. Jakie bowiem są minimalne warunki, które winna spełniać „dyscyplina naukowa"? Jeżeli przyjmiemy warunek Poppera, proponowana przez Ossowską dyscyplina nie jest możliwa. Zasady „falsyfikacji", która przewiduje, że wszelka norma jest prowizoryczna i zostanie z czasem zastąpiona, nie da się pogodzić z dezyteratem etyki normatywnej, aby przepisy moralne obowiązywały zawsze i wszędzie bez obawy falsyfikacji.

Adam CZERNIAWSKI

Smutna historia miłosna ostatniej Piastówny

Niewiele wiemy właściwie o późniejszych śląskich Piastach. Wykluczeni od tronu polskiego przetrwali oni jednak przez kilka wieków. Historycy niemieccy nie poświęcają im wiele uwagi, polscy zaś uważają ich właściwie za renegatów, którzy wyrzekli się swej narodowości, przeszli na protestantyzm, stali się drobnymi książątkami niemieckimi.

A jednak i wśród nich znaleźć można było jednostki jeśli nie nieprzeciętne to w każdym razie interesujące a nawet — jak w wypadku o którym przyjdzie nam pisać — wzruszające. Mamy tu na myśli ostatnią, zupełnie ostatnią potomkinię naszej narodowej dynastii, Charlottę, księżniczkę na Oławie, Brzegu i Legnicy (1652-1707), której listy pisane do francuskiego dyplomaty hr. Ludwika de Béthune ogłosiła niedawno, pod niezbyt może fortunnym tytułem „Lettres de la religieuse polonaise"* Helena de Fitz-James.

Kim byli autorka i adresat tej korespondencji dotąd nieznanej obejmującej 180 listów, które w dość tajemniczych okolicznościach pojawiły się na początku naszego stulecia w rękach francuskiego przemysłowca. Jacques Lebaudy, na które uwagę zwrócił znany pisarz Pierre Louys, a których autorstwo zostało ostatecznie wyjaśnione (są one wszystkie, z wyjątkiem jednego, niepodpisane) dopiero w roku 1953?

Charlotta była córką Krystiana, ks. na Legnicy i Brzegu i Ludwiki ks. Anhalt. Ojciec odumarł ją młodo, w kilka lat zaś później zmarł jej brat, Jerzy-Wilhelm, ostatni Piast po mieczu. Była świadkiem jak księstwa ojcowskie, jako lenna korony czeskiej, powróciły do ówczesnego ich suwerena, Cesarza Leopolda I-go, który zaczął rozdawać je swym bliskim, mianowicie swemu szwagrowi; księciu Neuburskiemu i jego rodzeństwu. Sama ona żyła z matką z którą, jak się wydaje, niewiele ją łączyło. Wbrew bowiem jej woli poślubiła Charlotta w największej tajemnicy ks. Fryderyka Holsztyńskiego. Platoniczne to na razie małżeństwo zostało dopiero po kilku latach oficjalnie uznane przez rodzinę, doczekało się potomka i wkrótce potem ostatecznie się rozpadło.

Zawiedziona Charlotta po śmierci matki, gorliwej protestantki, przeszła na katolicyzm, myślała nawet przez chwilę o wstąpieniu do klasztoru, wszystko to ku oburzeniu jej krewnych z brandenburskim Wielkim Elektorem na czele. Wiodła też odtąd spokojne życie we Wrocławiu utrzymując bliskie stosunki z sukcesorami swego ojca i brata, książętami neuburskimi, a wśród nich z żoną królewicza Jakuba Sobieskiego, który po niej wziął jako lenno księstwo oławskie gdzie po śmierci Jana III i nieudanej próbie kandydowania na następstwo po nim, ostatecznie osiadł. Tam też urodziła się druga jego córka, Maria-Karolina. Na matkę chrzestną zaprosił Jakub starzejącą się Piastównę, na ojca chrzestnego zaś swego ciotecznego brata, Ludwika hr. de Béthune. Tam też nastąpiło między obu rodzicami chrzestnymi owo przysłowiowe *coup de foudre* (przynajmniej ze strony księżniczki) któremu zawdzięczamy wydane obecnie listy.

Ludwik hr. de Béthune (1670-1744) był synem dwukrotnego ambasadora Ludwika XIV przy Janie III, oraz Anny de la Grange d'Arquien, rodzonej siostry Królowej Marysieńki, której

* Hélène de Fitz-James, *Lettres de la religieuse polonaise*. Przedmowa Philippe'a Erlanger. Editions Klingsieck, Paris 1972.

dorównywała ponoć trudnym charakterem. Młody Ludwik, wychowany w dużym stopniu w Warszawie i Wilanowie, cieszył się szczególną sympatią Króla Jana, który w szereg już lat po zakończeniu misji dyplomatycznej jego ojca sprowadził go w roku 1695 do Wilanowa, gdzie w roku następnym był on obecny przy zgonie zwycięzcy spod Wiednia. Wydaje się że już wówczas Ludwik XIV powierzył mu jakąś poufną misję z której, jak się okazuje, wywiązał się zręcznie skoro zachowując dobre stosunki ze swymi kuzynami, królewiczami Sobieskimi, zdołał tak dalece pozyskać łaski Augusta II-go iż ten ostatni nosił się podobno z myślą ożenienia go ze swą dawną kochanką, Aurorą Königsmark, matką późniejszego Marszałka Maurycego Saskiego.

Prawdopodobnie (Helena de Fitz-James twierdzi to bez wahania) teren działalności informacyjnej młodego Béthune'a obejmował także Śląsk, co ułatwiała mu możność odwiedzania tam Jakuba Sobieskiego. Nie przeszkadzało mu to jednak odwiedzać Królową Marysieńkę w Rzymie, brać udział w wojnie sukcesyjnej hiszpańskiej, zajmować się pogrzebem Marysieńki w Blois. Ludwik XV, podobnie jak jego pradziadek, uważał widocznie hr. de Béthune za niezastąpionego specjalistę od spraw polskich skoro po ostatecznym osiedleniu się Stanisława Leszczyńskiego we Francji uzyskał od dobrego króla — który zapewne nie miał za złe Béthune'owi dawnych zażyłych stosunków z Sasem — iż powierzył mu na swym dworze wysokie stanowisko Wielkiego Szambelana. Na tym też stanowisku zmarł de Béthune w roku 1744, dwukrotnie żonaty, zapomniawszy chyba o tak zakochanej w nim ongiś a dawno już nieżyjącej Piastównie, nie osiągnąwszy jedynie najwyższego ukoronowania swych ambicji życiowych, o które zresztą gorliwie zabiegał — Orderu Ducha Świętego. Czyżby Ludwik XV uznał że, niektóre przynajmniej, aspekty działalności Béthune'a czyniły go niegodnym tego zaszczytu?

Przechodzimy tu do jego stosunku do piastowskiej księżniczki. Niełatwo go zdefiniować, tym bardziej że korespondencja, jedyne źródło na jakim możemy się oprzeć pochodzi tylko od jednej strony. Że księżniczka zakochana była w nim niezmiernie, nie ulega wątpliwości, w niektórych listach widać wręcz że tylko konieczność hamowania swych uczuć powstrzymuje ją od jeszcze silniejszego ich wyrażenia. Zacytujmy chociażby ustęp z listu z 18. XI. 1698:

> „Liczę dni, godziny, chwile. Gdy tylko otwierają się drzwi, obracam się ku nim z pośpiechem, by przekonać się czy nie przynoszą mi wieści od Ciebie".

lub też:

> „Twój odjazd jest dla mnie czymś okrutniejszym od smierci" (list bez daty).

i wreszcie pod datą 6. IV. 1699:

> „Trzeba było aż dwóch tak miłych listów, jak te które chciałeś do mnie napisać, by ulżyć mi nieco w rozłące która z każdą chwilą staje mi się bardziej nieznośną i od której byłabym umarła, gdybym miała szczęście móc umrzeć w chwili kiedy tego pragnę. Nie ma większej rozpaczy jak ta jaka mnie dręczy — ukrywam ją przed światem jak tylko mogę".

A jak pisał do niej Ludwik? Z listów Charlotty można wnioskować że były to listy poprawne, zapewne nawet czułe, ale bynajmniej nie płomienne. Oczywiście musiał on podtrzymywać wymianę korespondencji chociażby dlatego iż przynosiła ona szereg cennych dlań informacji dotyczących śląskich i polskich wydarzeń i osób. Helena de Fitz-James twierdzi przecie wręcz, że zbieranie ich było głównym zadaniem młodego człowieka, co niezbyt pochlebnie świadczy o posługiwaniu się przezeń w tym celu uczuciem jakie zdołał rozpalić a którego nie odwzajemniał. Autorka jest zdania, że księżniczkę i Ludwika nie łączył żaden bardziej realny stosunek (widzieli się zresztą w życiu niewiele razy) natomiast nie wyklucza że byli potajemnie zaręczeni. Odpowiadałoby to zresztą „romansowemu" charakterowi naszej bohaterki, która raz już zawarła przecie tajne i początkowo platoniczne małżeństwo z Fryderykiem Holsztyńskim.

Rozłąka i czas uczyniły jednak swoje. Ostatni znany list Charlotty do Ludwika datowany jest z Wrocławia 26. IV. 1700. We Wrocławiu też, w smutku i osamotnieniu spędziła ona ostatnie lata. Zmarła w dniu 22 grudnia 1707. Zgodnie z jej wolą zwłoki jej przewieziono do Trzebnicy gdzie złożono je opodal grobu Świętej Jadwigi i gdzie ozdobne barokowe mauzoleum upamiętniło ostatnią Piastównę.

Upamiętniają ją także, i to na pewno lepiej, wydane obecnie listy. W szeregu kobiet które na przełomie XVII i XVIII wieku potrafiły z taką siłą i głębią wyrazić nurtujące je uczucia, należy jej się na pewno miejsce obok Adrianny Lecouvreur, Julii de Lespinasse czy wreszcie owej słynnej a tajemniczej „zakonnicy portugalskiej", którą miała na myśli Helena de Fitz-James nadając tytuł swej książce.

Powiedzmy jeszcze że francuszczyzna którą pisane są listy Charlotty przynosi chlubę ich autorce. Świadczą o tym że i w zapadłym zakątku, jakim był wówczas Śląsk, umiano w obcym przecie języku wyrażać się jasno, zwięźle, żywo.

Jak słusznie pisze w swej przedmowie Helena de Fitz-James, niejednego chcielibyśmy się jeszcze dowiedzieć o naszej bohaterce. Może jej listy pobudzą któregoś z badaczy do wyszukania innych i nieznanych dotąd materiałów w tym względzie?

Edward BOROWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

KISIELEWSKI (Stefan). *Materii pomieszanie.* Str. 355 i 1 nlb. (Wyd. „Odnowa", Londyn, 1973).

DĄBROWSKI (Włodzimierz). *Trzecie powstanie śląskie — rok 1921.* Str. 227 i 5 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1973).

DUCH (Janusz). *Panorama.* Poezje. Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1973; cena: £ 1.05).

JANTA (Aleksander). *Przestrogi drugie.* Wiersze. Litografie kolorowe i opracowanie graficzne Stanisław Piaskowski. Str. 47 i 5 nlb. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y. 1973).

KUNCEWICZ (Jerzy) — (S. Leonard). *Biały wróbel i trzy inne* sztuki. Str. 248 i 8 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1973).

Edyta Stein Siostra Teresa Benedykta od Krzyża — Filozof i Karmelitanka. Na podstawie wspomnień i listów opracowała S. Teresa Renata od Ducha Świętego. Tłumaczył z języka niemieckiego Michał Kaczmarowski. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Kolekcja „Znaki Czasu" nr 24, Paryż, 1973).

Szlakiem Ułanów Chrobrego. Zarys historii 17 pułku Ułanów Wielkopolskich. Praca zbiorowa pod redakcją płk. Stanisława Zakrzewskiego i rtm. Zygmunta Godynia. Str. 215 i 1 nlb. (varityper). (Wyd. „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej" nr 4, Londyn, 1973).

HŁAWATY (Andrzej, rtm. dypl.). *Dzieje 6 pułku Ułanów Kaniowskich.* Str. 148 (varityper). (Wyd. „Przeglądu Kawalerii i Broni Pancernej, nr 5, Londyn, 1973; cena £ 1.30 ($ 3,50).

LICHTEN (Józef). *Ruch ekumeniczny po drugim soborze watykańskim.* (Nadbitka z *Biuletynu Towarzystwa Przyjaciół Teologii i Filozofii Chrześcijańskiej,* Rok III — kwiecień-maj-czerwiec 1973 — Nr 2, Wyd. Centralny Ośrodek Duszpasterstwa Emigracji, Rzym, Str. 43-60).

Arenys de Mar II — Lato 1972. Str. 66 (powielacz). (Wyd. Polska YMCA, Londyn, 1972).

Laussa-V-Lato 71. Str. 62 (powielacz). (Wyd. Polska YMCA, Londyn, 1971).

Ogniwo Nr 31. Biuletyn Informacyjny dla członków. Str. 40 (powielacz). (Wyd. Polska YMCA, Londyn, maj 1973).

Aneks. Kwartalnik Polityczny. Nr 1. Str. 139 i 3 nlb. (Wyd. Polskie Koło Naukowe przy Uniwersytecie w Uppsali, Uppsala, Wiosna 1973; cena: 1 egz. — K.S. 9,00, roczna prenumerata — K.S. 36,00).

VOISÉ (Waldemar). *Histoire du Copernicanisme en douze essais.* Str. 155 i 3 nlb. *Revue de Synthèse* — à l'occasion du V^e^ centenaire de Nicolas Copernic, Janvier-Mars 1973, troisième série nr 69, tome XCIV — série générale. (Wyd. Centre International de Synthèse, Paris).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *Władysław Stanisław Reymont.* Str. 169 i 1 nlb. Twayne's World Autors Series — A Survey of the World's Literature — Seria *Poland* pod redakcją Ludwika Krzyżanowskiego, New York University. (Wyd. Twayne Publishers, Inc. New York, 1972).

TABORSKI (Bolesław). *Byron and the Theatre.* Str. 395 i 1 nlb. (varityper). Seria Poetic Drama (Wyd. Institut für Englische Sprache und Literatur, Universität Salzburg, Salzburg, 1972).

KORBOŃSKI (Stefan). *The Independence of Ukraine through the Eyes of a Pole.* Str. 15 i 1 nlb. (Odbitka z *The Ukrainian Quarterly,* Vol. XXVIII, No 4 (Winter, 1972), New York, N.Y.).

Modern Ukrainian Short Stories. Redakcja i przedmowa George S. N. Luckyj, University of Toronto. Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. Ukrainian Academic Press, Littleton, Colorado, marzec 1973; cena: $ 8,50).

GRIFFITH (William E.). *Peking, Moscow and Beyond.* The Washington Papers. No 6. Str. 71 i 3 nlb. (Wyd. The Center for Strategic and International Studies, Georgetown University, Washington, D.C., 1973).

Prof. ŁYSEK (Paweł). *Poland's Western and Northern Territories — A Millenium of Struggle.* Str. 23. (Wyd. Queens College Flushing, New York, N.Y., 1973).

GĄSIOROWSKI (Zygmunt J.). *Joseph Pilsudski in the light of British Reports.* Str. 558-569. (Nadbitka z *The Slavonic and East European Review,* Volume L, No 121, October 1972, wyd. Cambridge University Press).

MATEJKO (Alexander). *Institutional Conditions of Scientific Inquiry Survey of Research Teams in Poland.* Str. 89-126. (Nadbitka z *Small Group Behavior,* vol. 4, No 1, 1973, February).

MODELSKI (Izydor B.). *Seym Committees in the Polish Political System.* (Unpublished Ph. D. Dissertation, Dept. of Political Science, Wayne State University, Detroit, 1973).

ROZENBAUM (Włodzimierz). *The Background of the Anti-Zionist Campain of 1967-1968 in Poland.* Str. 70-96. (Nadbitka z Essays in History, University of Virginia, Volume Seventeen, 1972-1973, wyd. The History Club, Concordan Department of History, Univ. of Virginia).

STROBEL (Georg W.). *Die Lage in Polen nach den Unruhen im Dezember 1970.* Str. 37 (powielacz). *Dokumente und Kommentare zu Ost-Europa — Fragen,* Nr 15/72 — Sondernummer. (Wyd. Deutsche Stiftung für europäische Friedensfragen e. V., Bonn).

NASARSKI (Peter). *Im Widerstreit zwischen Wunschbild und Legenden Das Bild der Deutschen beim polnischen Nachbarn.* Str. 45-52. (Nadbitka z *Deutsche Studien,* Heft 41/1973. Wyd. Otto Meissners KG Verlag, Hamburg).

ROOS (Hans). *Der Adel der Polnischen Republik im vorrevolutionären Europa.* Str. 41-76. Nadbitka z opracowania Kurt Kluxen, Eberhard Weis, Hans Roos, Günter Birtsch „Der Adel vor der Revolution" — Zur sozialen und politischen Funktion des Adels im vorrevolutionären Europa. (Wyd. Vandenhoeck und Ruprecht in Göttingen).

ROOS (Hans). *Polen — eine deutsches Missverständnis? — Zwei Jahrhunderte polnischer Geschichte in deutscher Sicht.* Str. 40 (powielacz). (Wyd. Hessischer Rundfunk, Frankfurt am Main).

Mitteilungen Nr 8-9. Str. 112. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., München, 1972).

Perszi ukraiński propowidnyky i ich twory (De exordiis praedicationis Ucrainorum). Str. 187 i 1 nlb. (Wyd. Ukraińskoho Katołyćkoho Uniwersytetu im. Św. Kłymentija Papy, Tom XXXV, Rzym, 1973).

KIRIAK (Illia). *Syny Zemli.* Powieść z życia ukraińskiego w Kanadzie. Tom I. Str. 391 i 1 nlb. (Wyd. Trident Press Ltd., Winnipeg, 1973).

ŁYSAK (Łesia). *Sribna Madonna.* Eseje, szkice, opowiadania. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. „Homin Ukrainy", Toronto, Ont. 1973).

BYKOWSKIJ (Łew). *U służbach ukraińskij knyżci — Bio-bibliografia.* Str. 275 i 1 nlb. (powielacz). (Wyd. Ukrainian Bibliological Institute, Denver, Colorado, 1972).

Almanach „Hominu Ukrajiny" na rik 1973 u 25-riczczja wydawny-

czoji spiłky „Homin Ukrajiny". Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. „Homin Ukrajiny", Toronto, Ont., 1973).

Kałendar „Słowo" na juwyłejnyj 1973 rik 55-riczczja Samostijnosty Ukrańskoji Derżawy. Str. 144. (Wyd. Toronto Free Press Publications Ltd., Toronto, Ont., 1973).

MARTOS (Boris), ZOZULA (Jakir). *Hroshi ukrainśkoji derżawy*. Str. 56 i 48 nlb. (ilustracje i komentarze). (Wyd. Ukrainisches Technisch-Wirtschaftliches Institut, München, 1972).

Encyklopedija Ukrajinoznawstwa, t. II/6. Redakcja prof. Dr Volodymyr Kubijovycz. Str. 2005-2400 + dodatek: Fundatory Encykłopediji Ukrajinoznawstwa 1954-1971, str. 95 i 1 nlb. (Wyd. „Mołode Żyttja", i Shevchenko Scientific Society, Inc., München, 1973).

Naukowi Zapysky XXII. Str. 258 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainisches Technisch-Wirtschaftliches Institut, München, 1971/72).

Naukowi Zapysky XXIII. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Ukrainisches Technisch-Wirtschaftliches Institut, München, 1971/72).

ENDYK (Rostysław). *Stanisław Vincenz — spiweć Huculszczyny*. Str. 48-80. (Nadbitka z *Naukowych Zapysok*, t. XXIII, 1971-1972, wyd. Ukrainisches Technisch-Wirtschaftliches Institut, München).

ŁAZORSKYJ (Mykoła). *Switłotini*. Zbirnyk istorycznych narysiw, opowidań, statej, spohadiw — 1949-1969. Str. 400. (Wyd. „Słowo", filia w Australii, Melbourne, 1973).

Litterae-Nuntiae Archiepiscopi Maioris Ritus Byzantino-Ucraini (Graeco-Rutheni). Str. 91 i 13 nlb. (Wyd. w Castel Gandolfo, 1971).

SINIAVSKI (Andrei). *La Helada*. Tłumaczenie Oriol Duran. Str. 100 i 4 nlb. (Wyd. Editorial Lumen, Barcelona, 1972).

FILIPPOW (Boris). *Mig, k kotoromu ja prikasajus*. Opowiadania, eseje, wiersze. Str. 145 i 3 nlb. (Wyd. nakładem autora, Waszyngton, 1973).

SKVORECKY (Josef). *Miràkl*. T. 1 i 2. Politickà detektivka. T. 1 — str. 297 i 3 nlb., t. 2 — str. 293 i 3 nlb. (Wyd. Nakladatelstvi 68, Toronto, 1972).

LEM (Stanisław). *Solaris*. Tłumaczenie na jugosłowiański Petar Vujiczicz. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. Beogradski Izdawaczko-Graficzki Zwod, 1972).

GROSMAN (Ladislav). *Nevesta*. Str. 168 i 6 nlb. (Wyd. Index, Kolonia (NRF), 1972, cena: DM 11,45).

Systémové zmeny. Sbornik. Str. 272. (Wyd. Index, Kolonia (NRF), 1972, cena: DM 10,00).

SUCHODOLSKI (Bogdan). *Moderna filozofija czoveka*. Tłumaczenie z polskiego Petar Vujiczicz. Str. 675 i 1 nlb. (Wyd. Knjiżevnost i Civilizacija, Nolit, Beograd, 1972).

MORAVSKI (Stefan). *Hepening — genealogija, karakter, funkcije*. Tłumaczenie z polskiego Petar Vujiczicz. Str. 359-474. (Nadbitka z *Treci Program*, leto 1972, Beograd).

PANUCEVICZ (Vacłau). *375 Uchodki Bieraściejskaj Vunii (1596-1971)*. Powielacz. Str. 140. (Chicago, 1972, cena: dol. 3,00).

Wieda (Science). Tom V, No. 1. Str. 50 (powielacz). (Wyd. The Francis Skoryna Greatlitvan (Bielarus) Society of Arts and Sciences in the U.S. Inc., New York, 1973).

TSANIN (M.). *Artapanos comes Home*. Powieść w języku hebrajskim w czterech tomach. Ogółem str. 1320. (Wyd. „Hamenora" Publishing House, Tel-Aviv, 1966-1968).

GUL (Roman). *Odwukoń. Sowietskaja i emigrantskaja litieratura*. Str. 322. (Wyd. Most, New York, 1973).

BOJTAR (E.). *Razwitie poezji polskogo awangarda*. (Nadbitka z *Studia Slavic Hung*. XVIII, 1972, str. 91-127, wyd. Akademiai Kiado, Budapeszt).

Almanach Switannia 1972. Cz. I (3). Str. 50 (powielacz). (Wyd. Switannia, Montreal, 1972).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-5-73
W PRL odbywają się próby z prototypem polskiego samolotu rolniczego PZL-106. Jest to pierwszy od 10 lat nowy polski samolot. ■ W PGR Jeziorany Wielkie w woj. poznańskim powstała pierwsza w Europie hodowla dzików. ■ Trybunał specjalny w Moskwie przedłużył na okres bezterminowy internowanie gen. Grigorenko w zakładzie psychiatrycznym. ■ W lutym bież. roku zapadła decyzja zorganizowania współpracy między służbami bezpieczeństwa krajów Paktu Warszawskiego na wzór Komekonu. Centrala ma się mieścić w Warszawie. Po kompromitacji wywiadu sowieckiego i czeskiego na Zachodzie głównym narzędziem szpiegowskim ZSSR ma być Polska. Decyzje te zapadły w czasie pogrzebu min. Ociepki, który zginął w wypadku samolotowym; na pogrzeb — rzecz niespotykana — zjechali się wszyscy ministrowie spraw wewnętrznych bloku.

13-5-73
W Siedlcach zmarł, w wieku 58 lat, Bohdan Arct, uczestnik kampanii wrześniowej, w latach 1940-44 pilot myśliwski w Polskich Dywizjonach w Wielkiej Brytanii. Był on popularnym pisarzem i popularyzatorem problematyki i wiedzy lotniczej.

15-5-73
Polskie Biuro Podróży „Orbis" załatwia formalności związane z uzyskaniem wiz do krajów, których placówki konsularne znajdują się na terenie Polski. To nowo wprowadzone udogodnienie nie obejmuje wiz do Francji i Stanów Zjednoczonych, których placówki konsularne nie zgodziły się na pośrednictwo „Orbisu". ■ Nominacje w PRL: mianowano dwóch nowych wiceministrów Handlu Zagranicznego — Witolda Górskiego, dotychczasowego radcę handlowego w ambasadzie PRL w Paryżu, i Włodzimierza Wiśniewskiego, dotychczasowego radcę handlowego w ambasadzie PRL w Londynie; płk Marian Janicki (lat 46) został komendantem głównym MO. ■ Doroczną nagrodę literacką im. Stanisława Piętaka przyznano Henrykowi Berezie za całokształt twórczości w dziedzinie eseistyki i krytyki literackiej oraz Ryszardowi Milczewskiemu-Bruno za książkę „Podwójna należność". ■ W Warszawie odbył się IV Zjazd Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia". Prezesem został wybrany ponownie Wincenty Kraśko, członek Rady Państwa, a sekretarzem generalnym Wiesław Adamski, sekretarz OK FJN. Do Rady Naczelnej wszedł m.in. przedstawiciel PAX-u. Zjazd uchwalił tekst listu „Do rodaków na całym świecie". ■ Ks. dr Tadeusz Koczwara został prowincjałem wielkopolsko-mazowieckiej prowincji Towarzystwa Jezusowego. ■ Główny urząd Statystyczny w Warszawie przeprowadził ankietę wśród młodych małżeństw. Zaledwie 38 % uznało swe warunki mieszkaniowe za zadawalające. ■ W przyszłym roku ma powstać na Syberii największy w ZSSR kombinat celulozowo-papierniczy. Jest to wspólna inwestycja krajów RWPG. Kombinat ma produkować pół miliona ton celulozy rocznie.

17-5-73
Rząd w PRL wystąpił z memorandum do rządu w Danii, Finlandii, NRD, NRF, Szwecji i ZSSR w sprawie wzięcia udziału w konferencji we wrześniu br. w Gdańsku, której celem będzie przyjęcie konwencji o rybołóstwie i ochronie zasobów żywych morza Bałtyckiego. Przewiduje się również utworzenie międzynarodowej komisji do spraw rybołóstwa na morzu Bałtyckim z siedzibą w Warszawie.

18-5-73
Port szczeciński obsługuje w dużym stopniu również i Czechosłowację. W bież. roku przewidywany jest przeładunek 60-milionowej tony towarów czechosłowackich. Port szczeciński jest także bazą czeskiej morskiej floty handlowej, która liczy już 13 jednostek, z których 7 zostało zbudowanych przez stocznię szczecińską.

20-5-73
Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia, stworzony w ub. roku przez Gierka, zebrał do końca kwietnia br. 703 miliony złotych. Przewiduje się, że z tych pieniędzy zostaną stworzone do 1980 roku trzy ogólnopolskie centra: onkologiczne, kardiologiczne i gerontologiczne. ■ Zakłady Lotnicze w Mielcu wyprodukowały w br. 175 samolotów AN-2 przeznaczonych na eksport do Związku Sowieckiego. ■ Na skutek zanieczyszczenia zatoki Puckiej zamknięto plażę w Pucku i ma również zostać zamknięta plaża w Redzie. ■ Pięcioletni plan budowy obiektów usługowych w wojew. szczecińskim został zrealizowany dotychczas zaledwie w 3,3 %. Najwyższa Izba Kontroli stwierdza ponadto, że niektóre przedsiębiorstwa usług remontowo-budowlanych wymagają od swych kontrahentów fałszywych zaświadczeń, stwierdzających wykonanie usług dla ludności. ■ *Sztandar Młodych* donosi o rosnącym zapotrzebowaniu na rowery, a jednocześnie o ich coraz gorszym wykonaniu. Ilość reklamacji w bież. roku jest dwa razy większa niż w ubiegłym. ■ W punkcie złomu na Rzeszowszczyźnie została sprzedana bocznica kolejowa, skradziona ze Stalowej Woli. Oszacowano ją na półtora miliona złotych. ■ W PRL rozpoczęły się egzaminy maturalne. Tematy z polskiego były następujące: 1) Walka o postępowe reformy w literaturze i publicystyce okresu Oświecenia w Polsce; 2) Którzy bohaterowie literatury polskiej i obcej XX wieku są ci bliscy i dlaczego; 3) Adaptacje filmowe, a ich pierwowzory literackie. ■ Studium Języka Polskiego w Łodzi dla obcokrajowców ukończyło dotychczas 4.260 osób z 98 krajów świata. ■ II Kongres Nauki Polskiej odbędzie się w dniach 26-29. 6. br. w Warszawie z udziałem 2 i pół tysiąca osób. ■ W Polsce zostały ujednolicone opłaty za paszport. Paszport będzie kosztować 2.000 zł. (nie dotyczy to wyjazdów do krajów socjalistycznych). W wypadku opłacenia podróży do krajów kapitalistycznych i Jugosławii złotówkami, podróżny obowiązany jest do uiszczenia opłaty turystycznej w wysokości 67 % ceny biletu. Przy opłacie paszportu jest stosowana 50 % zniżka dla emerytów, rencistów, kombatantów, kobiet po ukończeniu 60 lat, mężczyzn po ukończeniu 65 lat, osób wyjeżdżających na leczenie, oraz uczącej się młodzieży, wyjeżdżającej na wakacje. ■ Prof. dr Jan Szczepański stwierdził na łamach *Głosu Wybrzeża:* „Jeżeli będziemy mieli w Polsce wielką motoryzację, a jednocześnie ten system usług i handlu i taką organizację administracji państwowej, która tymi usługami i tym handlem zarządza, jaką mamy dziś, to będzie katastrofa". *Życie Gospodarcze* komentuje: „Wcale nie musimy mieć wielkiej motoryzacji, wystarczy pozostawić obecny system usług, handlu i administracji i też będzie katastrofa". ■ W Górze Kalwarii pod Warszawą odbyły się uroczystości związane z 300-letnim jubileuszem założenia Zgromadzenia Księży Marianów w Polsce przez O. Stanisława Papczyńskiego. ■ W czasie prac konserwatorskich na Wawelu po raz pierwszy od 500 lat został otwarty grób Kazimierza Jagiellończyka. Prowadzone są badania archeologiczne i antropologiczne.

21-5-73
Jak donosi prasa krajowa w lipcu ma się rozpocząć miesięczny kurs kwalifikacyjny w Płocku dla polonijnych choreografów. Przybędzie 40 osób — 14 z USA, 10 z NRF, 6 z Kanady i po 5 z Belgii i Francji. Program kursu obejmuje m.in. zagadnienia wiedzy o regionach, lektorat języka polskiego i historyczne zagadnienia kultury polskiej.

22-5-73
W Moskwie zmarł, w wieku 75 lat, marszałek Iwan Koniew. Rozpoczął on swoją karierę jako zwykły żołnierz armii carskiej w czasie pierwszej wojny światowej. W czasie drugiej wojny światowej odegrał główną rolę w zdobyciu Berlina w 1945 r. W 1953 r. był przewodniczącym trybunału, który skazał na śmierć Berię. W 1955 r. brał udział w stworzeniu Paktu Warszawskiego. Jego córka, zajmująca się literaturą i wydawnictwami, była wielką przyjaciółką Polski i prowadziła coś w rodzaju salonu literackiego gdzie zbierali się młodzi pisarze i gdzie prowadzono bardzo swobodne rozmowy. W latach pięćdziesiątych był na takie zebranie zaproszony Putrament, który zgorszony „nieprawomyślnymi" wypowiedziami złożył donos. Sprawa ta była w swoim czasie bardzo głośna w kołach literackich Moskwy. ■ Na Węgrzech został ponownie aresztowany poeta Miklos Haraszti. Aresztowany poprzednio dwukrotnie w 1970 i 1971 r. był on usunięty z uniwersytetu i pracował w ostatnich latach jako robotnik w fabryce. Swoje doświadczenia z tej pracy — przedstawiające ciężkie warunki robotnicze na Węgrzech — opisał w swej książce, która została skonfiskowana i spowodowała jego aresztowanie.

24-5-73
Uniwersytet Łódzki nadał tytuł doktora *honoris causa* nauk humanistycznych prof. dr. Janowi Szczepańskiemu, b. rektorowi Uniwersytetu Łódzkiego. ■ W Warszawie zakończyło obrady Międzynarodowe Sympozjum Naukowe Historyków Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, NRD, PRL, Rumunii, Węgier i ZSSR na temat „Kult rewolucji październikowej i przemiany społeczno-polityczne, gospodarcze i kulturalne w latach czterdziestych w środkowej i południowo-wschodniej Europie". ■ Papież powołał do godności biskupiej ks. Tadeusza J. Zawistowskiego, rektora Wyższego Seminarium Duchownego w Łomży i ustanowił go biskupem pomocniczym biskupa ordynariusza łomżyńskiego.

25-5-73
W konkursie na najlepszą miejscowość turystyczno-wypoczynkową w sezonie zimowym 1972/73 w grupie miejscowości o znaczeniu międzynarodowym pierwsze miejsce zdobyła Szklarska Poręba (Zakopane i Krynica nie figurują na liście nagrodzonych). Pierwsze miejsce w grupie miejscowości o znaczeniu ogólnokrajowym zajęła Bukowina Tatrzańska, a wśród miejscowości o znaczeniu regionalnym — Jawornik Polski.

26-5-73
W Węgrowcu rozpoczął się XI Kongres biblistów polskich, który zgromadził ponad 60 profesorów i wykładowców biblistyki polskiej. ■ P. Bogusław Paszek został mianowany ambasadorem PRL w Iranie. ■ W PRL dobiegają końca prace nad projektem Kodeksu Prawa Rolnego. Porządkowanie ustawodawstwa rolnego ma na celu przyspieszenie przemian społeczno-gospodarczych w rolnictwie.

27-5-73
Tylko 6 % polskich wsi korzysta z wodociągów, a 8 % wsi w ogóle nie ma wody. ■ Międzynarodowy Komitet Przygotowawczy X Światowego Festiwalu Młodzieży, który ma się odbyć w Berlinie Wschodnim od 28. 7. do 5. 8. br. podał szereg informacji: W Europie działa 30 krajowych komitetów

przygotowawczych, w Afryce —40, w Ameryce — 52, w Azji — 13. Podczas Festiwalu odbędzie się około 1.500 różnych imprez o charakterze ideowo-politycznym. Program kulturalny obejmuje ogółem 500 wielkich imprez. Również bardzo bogaty jest program sportowy. Delegacja polska będzie liczyć 800 osób w tym 110 młodych artystów i 60 sportowców ■ W Warszawie zmarł, w wieku 81 lat, Stefan Szwedowski, żołnierz I Brygady Legionów, wybitny działacz polityczny i społeczny w okresie międzywojennym. ■ PRL zakupiła w Rumunii 22,5 tysiąca samochodów osobowych „Dacia-1300", będących odpowiednikiem „Renault-12tl".

29-5-73
W Warszawie rozpoczęły się trzydniowe obrady konferencji ministrów kultury krajów socjalistycznych poświęcone problemowi rozszerzenia i pogłębienia współpracy kulturalnej między krajami komunistycznymi.

31-5-73
W Warszawie zmarł, w wieku 77 lat, ks. infułat prof. dr Stefan Biskupski, emerytowany profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego i Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie.

1-6-73
Towarzystwo Ubezpieczeń i Reasekuracji „Warta" w PRL wprowadza ubezpieczenia od wypadków dla polskich turystów wyjeżdżających prywatnie za granicę. Dotyczy to wypadków nagłej choroby czy innych wypadków losowych. Stawka ubezpieczeniowa na wyjazd do krajów Europy Zachodniej wynosi 75 zł. Upoważnia to do uzyskania świadczeń lekarskich do wysokości 20.000 zł. w walucie danego kraju. Wprowadzono również ubezpieczenie rzeczy osobistych i bagażu od kradzieży. Składka wynosi 55 zł. Odszkodowanie płatne jest po powrocie w złotówkach. ■ W PRL wchodzą w życie nowe przepisy celne według których jadąc za granicę podróżny ma prawo wywieźć bez cła, poza osobistym bagażem, upominki wartości do 2.000 zł. Nie podlega ocleniu wywożona żywność. Ogranicza się tylko wywóz mięsa i wyrobów mięsnych do 2 kg oraz czekolady i wyrobów czekoladowych do 1 kg. Wolne od cła wywozowego są w zasadzie wszystkie artykuły zakupione za dewizy w Banku PKO. Również bez cła można wywozić wyroby produkcji krajowej, takie jak: pralki, lodówki, odkurzacze, samochody, motocykle, radioodbiorniki, telewizory, adaptery, tkaniny lniane i konopne, sprzęt fotooptyczny, narzuty i kapy, stroje ludowe, płyty gramofonowe, wózki dziecięce, taśmy magnetofonowe, wyroby pamiątkarskie i rzemiosła artystycznego. Bez cła można przywieźć do Polski przedmioty przeznaczone do osobistego lub domowego użytku podróżnego lub jego rodziny, albo na upominki, jeżeli ich łączna wartość nie przekracza 6.000 zł. według detalicznych cen krajowych. Duża grupa przedmiotów jest całkowicie wolna od cła. Dotyczy to m.in. takich wyrobów przywożonych do Polski jak: szkło stołowe, meble, materiały budowlane, papier i wyroby papiernicze, przyprawy korzenne (z wyjątkiem pieprzu), taśmy magnetofonowe, dzieła sztuki, numizmatyki. W nowych przepisach obowiązuje generalna zasada: zwolnieniu od cła podlegają tylko te przedmioty, których rodzaj i ilość nie świadczą o przeznaczeniu handlowym. Został zniesiony zakaz zabierania w zagraniczną podróż książeczek oszczędnościowych. Ogranicza się wywóz polskiej waluty do kwoty 1 tysiąca złotych, jednakże nie podlegają zgłoszeniu w deklaracji celnej pieniądze polskie przeznaczone do wymiany w krajach tranzytowych w kwocie po 450 zł (w Czechosłowacji 150 zł). W sumie jednak nie można na wymianę przeznaczyć więcej niż 1350 zł. Trzeba również posiadać w tym wypadku odpowiednie talony NBP.

2-6-73
PRL rozpoczęła montaż (z części dostarczonych przez Włochy) samochodów Fiat 127 p (980 ccm) i luksusowego Fiata 132 p (1600 ccm). Samochody te sprzedawane są przez Bank PKO za dewizy zachodnie.

5-6-73
Rada Państwa mianowała Jana Krzywickiego ambasadorem PRL w Rep. Wietnamu Południowego. J. Krzywicki w ub. roku był przedstawicielem PRL w międzynarodowej komisji kontrolu i nadzoru w Wietnamie.

8-6-73
Nowe represje cenzury w PRL: Stefan Kisielewski znów miał zakaz druku. Przez trzy tygodnie nie pojawiały się jego cotygodniowe felietony w *Tygodniku Powszechnym*, jak również prawie stałe felietony Kijowskiego i Słonimskiego. W *Polityce* zaprzestano drukować Słonimskiego „Alfa Beta" ale podobno jest to sankcja przejściowa. Został zniszczony nakład książki L. Moczulskiego „Wojna Polska" oraz skład książki O. Terleckiego „Gen. Sikorski". Wycofano ze sprzedaży książkę Marii Turlejskiej „Pierwsza dekada" oraz „Romana Dmowskiego" A. Micewskiego. ■ Na sesji Komekonu w Pradze wypowiedziano się za zwiększeniem obrotów z Zachodem. Zapewne w dużym stopniu na tę decyzję wpłynął fakt że w 1972 roku ZSSR nie wywiązał się ze swych zobowiązań wobec poszczególnych Demokracji Lud. ZSSR jest winien 960,4 milionów rubli europejskim członkom Komekonu, w tym samym Niemcom Wschodnim — 363,9 milionów rubli. ■ Socjolog Andra Hegedüs, filozofowie Janis Kis i Mihaly Vajida zostali wykluczeni z węgierskiej partii komunistycznej za „rewizjonizm" A. Hegedüs, liczący 51 lat, był w przeszłości stalinistą i przez 18 miesięcy szefem rządu węgierskiego w r. 1955-56; w czasie rewolucji węgierskiej schronił się w Związku Sowieckim. Poglądy jego uległy zmianie — w 1968 roku był przeciwnikiem okupacji Czechosłowacji. ■ Nowy skandal szpiegowski sowiecki. Sekretarka Min. Spraw Zagr. w Bonn Gerta Schröter, zajmująca się szyfrowaniem poufnych depesz Ministerstwa, od 8 lat współpracowała z wywiadem sowieckim dostarczając mu wszystkich materiałów. P. Schröter była przez kilka miesięcy szyfrantką ambasady NRF w Waszyngtonie a od października 1972 na analogicznym stanowisku w Warszawie. Została ona aresztowana. Jej mąż, pracujący w koncernie Kruppa, uciekł do Niemiec Wschodnich.

ZACHÓD — EMIGRACJA

28-3-73
W Stanach Zjednoczonych zmarł Ignat Biłyj, główny ataman KNOD (Kazaczije Nacjonalnoje Oswoboditielnoje Dwiżenije). I. A. Biłyj znalazł się w Polsce w 1920 roku jako przedstawiciel kubańskiej misji i był przyjęty przez Naczelnika Państwa J. Piłsudskiego. W rezultacie Biłyj otrzymał zgodę na pomoc dla wolnościowego ruchu Kozaków. Działalność ta została zakończona po zawarciu traktatu pokojowego w Rydze, na skutek którego Biłyj musiał opuścić Polskę.

26-4-73
W Paryżu zmarł Witold Grochowski wybitny działacz społeczny na terenie Francji, pracujący w Polskim Związku b. Deportowanych, w Międzynarodowej Federacji Deportowanych, w sekcji polskiej Force Ouvrière i w Federacji Polskich Obrońców Ojczyzny. Redagował ponadto pismo *Głos Pracy*.

30-4-73
Zmarł w Bergen (Holandia), w wieku 77 lat, Willem A. Maijer, tłumacz literatury polskiej i zasłużony propagandysta kultury polskiej w Belgii i Holandii.

15-5-73
Kopenhaski teatr królewski, Det Kongelige Teater, już od końca marca gra z dużym powodzeniem „Operetkę" Witolda Gombrowicza. Sztuka ta weszła do stałego tegorocznego repertuaru duńskiego Teatru Narodowego. ■ Dowiadujemy się z opóźnieniem, iż p. Jan Winczakiewicz na wystawie malarskiej w Rzymie w grudniu ub. roku otrzymał medal Gran Premio della Citta Eterna. ■ Naczelnym redaktorem *Dziennika Polskiego* w Londynie został Karol Zbyszewski na miejsce p. Wiesława Wohnouta. Sekretarzem redakcji został Antoni Czułowski, a redaktorem „Środy literackiej" — Stanisław Baliński. ■ Le Théâtre de Fortune w Paryżu wystawił sztukę Mariana Pankowskiego pt. „Brandon, Fourbon, et Cie" — Spectacle Ouest-Européen sans le moindre accord de Chopin w tłumaczeniu Noël Rémaud i inscenizacji Guy Cambreleng. ■ Nakładem UNESCO została wydana w Paryżu książka „La politique culturelle en Pologne" opracowana przez S. W. Balickiego, J. Kossaka i M. Żuławskiego. ■ W Paryżu ukazała się książka W. Okonia i B. Wilgockiej-Okoń pt. „Une étude sur l'aptitude à la scolarité" nakładem UNESCO. ■ Znany przedwojenny dziennikarz, Konrad Wrzos, mieszkający od 30-tu lat w Brazylii, otrzymał z inicjatywy dziennika *O Globo* tytuł obywatela honorowego Rio de Janeiro za zasługi w dziedzinie propagowania tego miasta jak i w ogóle Brazylii.

20-5-73
Związek b. Więźniów Politycznych w Szwecji wznowił swoją działalność. Ostatnio prezesem Związku został inż. Jerzy Urbański. ■ Telewizja szwedzka rozpoczęła transmisję „Chłopów" Reymonta w 13-tu odcinkach w reżyserii Jana Rybkowskiego. Krytyka szwedzka chwali grę aktorów i „egzotyzm wsi polskiej", zarzuca jednak zbyt przewlekłe tempo. ■ Stowarzyszenie Polaków w Szwecji „Ogniwo" otrzymało po raz pierwszy swój własny lokal w centrum Sztokholmu, finansowany przez władze PRL. Odbywają się w nim próby polskiego zespołu pieśni i tańca „Orliczki", któremu to zespołowi premier PRL, Jaroszewicz, ofiarował stroje ludowe.

22-5-73
W Paryżu staraniem Centralnego Komitetu Organizacji Ukraińskich we Francji odbyło się zebranie informacyjne na temat ostatnich represji na Ukrainie.

25-5-73
W Londynie odbyło się doroczne posiedzenie Polskiego Towarzystwa Historycznego w Wielkiej Brytanii. Na zebraniu dr Antoni Michalek wygłosił obszerny referat pt. „Ukraina Mazepy i Polska Leszczyńskiego". Prezesem nowego zarządu został wybrany prof. M. Kukiel. ■ W Londynie p. Irena Delmar została udekorowana Złotym Krzyżem Zasługi za działalność w dziedzinie teatralnej. ■ Poczta zachodnio-niemiecka wydała w nakładzie 2,5 miliona okolicznościowy znaczek, poświęcony pamięci O. Maksymiliana Kolbe. Nastąpiło to z inicjatywy dziennikarza i publicysty A. J. Chileckiego. ■ Związek Polaków w NRF z siedzibą w Bochum otrzymał od PRL licencję na organizowanie wycieczek do Polski. Po związku „Zgoda" i Związku Inwalidów Wojennych — Związek Polaków jest trzecią organizacją emigracyjną współpracującą z Warszawą.

27-5-73
Ks. Infułat Kwaśny, b. rektor Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu, obchodził 50-lecie kapłaństwa.

1-6-73
Sowiecki attaché lotniczy, Jewgienij Mironkin, został zatrzymany przez policję francuską w salonie aeronautycznym Le Bourget w trakcie popełniania kradzieży eksponowanych lotniczych przyrządów nawigacyjnych. Jest to szósta z kolei afera szpiegowska sowiecka w Paryżu w ostatnich paru latach.

2-6-73
Niemcy Zachodnie zainaugurowały stałe połączenie promowe między Travemünde a Gdańskiem.

3-6-73
W czasie salonu lotniczego Le Bourget samolot sowiecki Tupolew-144 eksplodował w locie nad miasteczkiem Goussainville powodując liczne ofiary w tym 14 zabitych i 28 rannych. Miasteczko zostało w dużym stopniu zniszczone. Czynniki francuskie pospieszyły z kondolencjami do Breżniewa i Kosygina. Charakterystyczne, że władze sowieckie ograniczyły się do nadania krótkiego komunikatu bez żadnych szczegółów i nie zaproponowały nawet odszkodowania dla Goussainville. Trzeba przypomnieć że twórca TU-144, Andriej Tupolew, który zmarł w grudniu ub. roku, był przez szereg lat w łagrach po 1938 roku. I w łagrach — w tzw. szaraszce, opisanej przez Sołżenicyna — opracował najwybitniejsze konstrukcje samolotowe, które w dużym stopniu przyczyniły się do wygrania wojny przez Sowiety.

4-6-73
Raymond Aron otrzymał paryską Prix des Critiques. Raymond Aron jest jednym z najwybitniejszych filozofów polityki, ekonomistą i publicystą. W roku 1956 w Bibliotece *Kultury* ukazał się przekład jego książki „Koniec wieku ideologii".

5-6-73
W NRF ukazała się książka J. Stroynowskiego: *Polen und Deutsche* (str. 177, Seewald Verlag, Stuttgart, 1973, cena DM 12,80).

6-6-73
Polska Agencja Telegraficzna (PAT) na uchodźtwie opublikowała 2 maja br. w streszczeniu treść projektów dekretów prezydenta R.P. na uchodźtwie, uchwalonych przez Komisję Tymczasową i dotyczących przedstawicielstwa narodowego w wolnym świecie. (W międzyczasie, nazwa przedstawicielstwa narodowego została ustalona jako „Rada Narodowa R.P."). Jeden z dekretów zawiera Statut, określający kompetencje Rady Narodowej, a mianowicie: 1) sprawowanie kontroli nad działalnością rządu; 2) uchwalanie projektów dekretów prezydenta R.P.; 3) ustalanie zasad gospodarki funduszami publicznymi i majątkiem państwowym; 4) uchwalanie budżetu; 5) podejmowanie uchwał w sprawie ustąpienia rządu. — Załącznik do Statutu Rady Narodowej zawiera podział mandatów w niej, a mianowicie: a) 56 członków delegowanych przez ugrupowania polityczne; b) 56 członków wybranych przez społeczeństwo emigracyjne w Wielkiej Brytanii; c) 66 członków wybranych w innych krajach wolnego świata; d) trzech przedstawicieli organizacji wyznaniowych; e) 28 przedstawicieli zorganizowanego życia społecznego; f) 10 członków powołanych przez prezydenta R.P. z terytorium Wielkiej Brytanii

i 10 z innych krajów. Razem 229 członków, w tym co najmniej 76 spoza Wielkiej Brytanii. — Prawo wybieralności przysługuje każdej osobie, która ma ukończonych 21 lat, posiada obywatelstwo Rzeczpospolitej Polskiej, lub obywatelstwo innego państwa, przyjęte po 1 września 1939. Nie są natomiast wybieralne osoby posiadające paszporty konsularne PRL oraz osoby otrzymujące świadczenia pieniężne z tytułu swej pozycji lub postawy politycznej od obcych rządów. — Prawo wybierania członków Rady Narodowej przysługuje „wszystkim obywatelom polskim, a także wszystkim osobom polskiego pochodzenia, które po 1 września 1939 r. przyjęły obywatelstwo obce, albo które urodziły się na obczyźnie, przed dniem zarządzenia wyborów ukończyły 18 lat i zamieszkują w Wielkiej Brytanii". Przewiduje się głosowanie również w drodze korespondencyjnej. Wielka Brytania dzieli się na 13 okręgów wyborczych, 3-6 mandatowych. — Wybranymi do Rady Narodowej mogą być jedynie kandydaci, którzy złożą oświadczenie, że uważają za swój obowiązek prowadzenie walki o niepodległość Polski. — Prawo zgłaszania list wyborczych przysługuje „wszystkim niepodległościowym stronnictwom, ugrupowaniom politycznym i stowarzyszeniom społecznym", których wykaz ustali Główna Komisja Wyborcza. Zgłosić listę kandydatów może również co najmniej 30 wyborców. — Wyborca ma prawo głosowania na wybranych przez niego kandydatów bez względu na to, na jakich listach są oni umieszczeni. (Przepis ten obowiązywał w wyborach samorządowych w Polsce w ostatnich latach przed wojną). — Kadencja Rady Narodowej trwa pięć lat. Na wniosek rządu, prezydent może ją rozwiązać wcześniej, ale przerwa pomiędzy kadencjami nie może przekraczać pół roku. W przerwach między kadencjami, w sprawach niecierpiących zwłoki funkcje Rady Narodowej spełnia Prezydium Rady, powiększone o 20 członków, wybranych przez ustępującą Radę spośród jej członków. — W niektórych krajach Rada Narodowa może posiadać oddziały, złożone z jej członków, zamieszkałych w tych krajach. — Na ostatnim posiedzeniu Komisji Tymczasowej uchwalono budżet na rok 1973 w wysokości 27.402 £.stg. Wpływy Skarbu Narodowego za rok 1972 wyniosły ok. 27 tys. £.stg. ■ Miklosz Haraszti został wypuszczony na wolność na skutek energicznej interwencji czołowych pisarzy węgierskich. Ma w najbliższym czasie stanąć przed sądem za tajne rozpowszechnianie swych opowiadań z życia robotnika węgierskiego. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 90 lat, Wacław Grubiński, pisarz, dramaturg i krytyk literacki.

10-6-73

W Bawarii zmarł, w wieku 85 lat, marszałek Erich von Mannstein jeden z najwybitniejszych generałów niemieckich w czasie ostatniej wojny. W czasie kampanii wrześniowej był szefem sztabu marszałka von Rundstaedta. W 1949 roku był skazany przez angielski trybunał wojskowy na 18 lat więzienia, został jednak uwolniony już w roku 1953. Był doradcą rządu NRF w okresie tworzenia Bundeswehr.

13-6-73

NRD zgłosiło oficjalnie swą kandydaturę do Organizacji Narodów Zjednoczonych. 15-go bm. analogiczne podanie złożyło NRF.

18-6-73

Zmarł w Paryżu, w wieku 84 lat, Georges Bonnet, jeden z czołowych polityków francuskich w okresie międzywojennym. Był on 18 razy ministrem, w tym min. spraw zagr. w latach 1938-1939, i był głównym inspiratorem paktu monachijskiego i rzecznikiem zapobieżenia wojnie w 1939 roku — kosztem Polski.

KRONIKA KANADYJSKA

Prof. Andrzej Ruszkowski z Ottawy został wiceprezesem International Communication Association (I.C.A.). ■ Stanisław Swianiewicz, prof. ekonomii na Saint Mary's University w Kanadzie przeszedł na emeryturę i otrzymał honorowy tytuł „Profesor Emeritus" w czasie uroczystego bankietu wydanego 26 maja br. przez Uniwersytet. Prof. Swianiewicz po zakończeniu wojny wykładał na uniwersytetach w Londynie, Manchesterze, w Indonezji, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Dr Michał Laskowski, dyrektor laboratorium enzymologii w Roswell Park Memorial Institute, otrzymał złoty medal Schoellkopfa. Dr Laskowski urodził się w Smoleńsku, doktoryzował się w roku 1929 na Uniwersytecie Warszawskim. Jako *fellow* Fundacji Rockefellera pracował na wydziale fizjologii Uniwersytetu w Bazylei. Dyrektorem laboratorium Instytutu w Roswell Park został w roku 1966. Jego badania mają wielkie znaczenie dla postępu techniki chirurgicznej, za co w zeszłym roku odznaczono go w Niemczech medalem Frey'a. ■ Kongres Polonii przeżywa duży kryzys finansowy. Mówi się nawet o likwidacji biura Kongresu w Waszyngtonie. Równie nieprzyjemnie wygląda sprawa pomnika Kopernika w Chicago: jeśli rząd PRL cofnie ofertę ofiarowania Polonii bezpłatnie pomnika Kopernika, to pomnik ten zapewne w Chicago nie stanie z powodu braku środków finansowych. ■ W Nowym Jorku zostało podpisane porozumienie między prezesem amerykańskiej „Organizacji Ochrony Interesów Właścicieli Zagranicznych Obligacji" p. G. Wood oraz wiceministrem Finansów PRL w sprawie spłaty polskich przedwojennych pożyczek dolarowych, które znajdują się w posiadaniu obywateli USA. W najbliższym czasie banki amerykańskie rozpoczną rejestrację posiadaczy tych obligacji, zaś rząd PRL zobowiązał się przedłożyć plan ostatecznego uregulowania spłaty tych pożyczek do 1. 7. 1975 r. W Związku z tym nastąpiła zwyżka polskich obligacji dolarowych na giełdzie amerykańskiej, które w ub. roku miały kurs Dol. 10,00 za studolarową obligację, a obecnie doszły do Dol. 30,00. ■ Dyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku na miejsce zmarłego Jana Libracha został prof. Eugeniusz Pleban. Dr Pleban jest profesorem i szefem Wydziału Socjologii w Wagner College N.Y. ■ Prof. Janusz K. Zawodny został zaproszony przez Departament Stanu do udziału w seminarium w Waszyngtonie na temat „Dyplomata — naukowiec". Poprzednio prof. Zawodny wygłosił odczyt w Amerykańskiej Akademii Oficerskiej w West Point. ■ Amerykański Urząd Statystyczny ogłosił wyniki ankiety na temat pochodzenia narodowościowego obywateli USA. 29,5 miliona przyznaje się do pochodzenia anglosaskiego, 25,2 miliona do niemieckiego, 5,4 miliona do francuskiego, 5,1 miliona do polskiego, 2,2 miliona do rosyjskiego. ■ W drugim półroczu 1972 roku w Los Angeles zawiązał się Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej. Klub jest organizacją apolityczną. Głównym celem Klubu jest: szerzenie wśród członków Klubu wiedzy o kulturze polskiej; organizowanie wystaw malarskich, koncertów, odczytów, wieczorów autorskich i dyskusyjnych umożliwiających polskim artystom, kompozytorom, poetom i literatom, a także i naukowcom przedstawienie ich dorobku i konfrontację z rodakami na obczyźnie. Według statutu członkiem Klubu może być każdy zainteresowany przejawami polskiej kultury. Komisja członkowska, skła-

dająca się z trzech członków Klubu, przyjmuje deklaracje członkowskie i po ich rozpatrzeniu decyduje o przyjęciu nowych członków. Klub Kultury chce także służyć fachową radą i pomocą każdej polskiej organizacji w przygotowaniu imprez związanych z dziedziną sztuki i kultury. Klub jest zaafiliowany przy Amerykańskiej Radzie Polskich Klubów Kultury w Stanach Zjednoczonych i jest członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej. W ciągu swego krótkiego istnienia, dzięki prezesowi Klubu Leonidasowi Dudarew-Ossetyńskiemu, Klub miał kilkanaście spotkań o szerokim wychlarzu zainteresowań. Jako prelegenci w spotkaniach Klubu wystąpili: rzeźbiarz Stanisław Szukalski, autor Requiem — kompozytor Roman Maciejewski, profesor Akademii Warszawskiej Andrzej Strachocki, profesorowie filozofii dr Franciszka Tuszyńska (wiceprezes Klubu) i mgr Jarosław Giercarz, mgr. fizyki Andrzej Ogończyk-Wesołowski, baletmistrz i pierwszy tancerz Teatru Wielkiego Stefan Wenta, profesor adiunkt na Univ. UCLA dr Andrzej J. Mikulski (skarbnik Klubu), profesor filozofii na Univ. Ann Arbor dr Henryk Skolimowski. W ośmiogodzinnym spotkaniu z dyrektorem Laboratoryjnego Teatru we Wrocławiu, Jerzym Grotowskim, poza członkami Klubu wzięli udział młodzi amerykańscy aktorzy. Polski Teatr Esperanto wystąpił z dwuosobową sztuką Ścibor-Rylskiego pt. „Bliski nieznajomy" w obsadzie: Kalina Pańkiewicz i Zbigniew Dobrzyński. Celem uczczenia 500-letniej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika Klub Kultury wydał specjalną ozdobną kopertę z wizerunkiem astronoma i z krótkim objaśnieniem odkrycia, którego dokonał. Klub uzyskał od Głównego Urzędu Pocztowego w Waszyngtonie *(Special Service Branch)* specjalne zezwolenie na stemplowanie kopert własnym stemplem, zaprojektowanym dla Klubu przez Stanisława Szukalskiego. Koperty, wydane w ograniczonej ilości, ze stemplem Klubu oraz ze znaczkiem Kopernika i inauguracyjną datą urzędu pocztowego w Waszyngtonie — 23. 4. 1973 r. (first day of issue), są do nabycia u prezesa Klubu L. D-Ossetyńskiego, 1601 No. Fuller Ave. Hollywood, Calif. 90046. Cena koperty dolar piętnaście centów. Dochód z kopert jest przeznaczony na cele kulturalne.

Listy do Redakcji

Rochester, 17 maja, 1973.

Drogi Panie Redaktorze,

Maria Danilewiczowa (w nrze 5/308 *Kultury)* pisze, że Andrzej Bursa popełnił samobójstwo. W roku 1968 Janusz Roszko relacjonował we *Współczesności:*

„... to już dziesięć lat minęło, gdy po poznańskim zjeździe młodych poetów (Bursa) upadł nagle w mieszkaniu podczas zabawy z synem. Zapaść. Lekarz pobliskiej kliniki... odmówił przyjścia... zanim przyjechało Pogotowie — Andrzej już nie żył... Sekcja wykazała dziecinne przewężenie aorty... Był pogrzeb, najsmutniejszy pogrzeb na jakim kiedykolwiek byłem. Do ostatniej chwili czekano na księdza, tak życzyła sobie rodzina. Ale księża solidarnie odmówili".

Normalnie powód śmierci poety nie jest dla naszej oceny jego osobowości i twórczości istotny. Inaczej jest ze śmiercią samobójczą: nie uważamy jej już za zbrodnię, ale nadal uważamy, i chyba zawsze uważać będziemy, że jest ona wyrazem ostatecznej porażki. Dlatego mamy obowiązek przypominać, że wbrew powszechnemu mniemaniu, najzdolniejszy poeta swego pokolenia nie stracił wiary w siebie i swą twórczość.

Łączę pozdrowienia,

Adam CZERNIAWSKI

◆

Nth. Sunshine, Vic., 25 kwietnia 1973.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do artykułu Bohdana Osadczuka „Neodmowszczyzna Gierka" *(Kultura,* marzec 1972), to trudno mi się zgodzić z twierdzeniem autora, że niewiedza w Polsce o narodzie ukraińskim jest niebywała. Przeczy temu chociażby to, że książka Jerzego Jędrzejewicza *Noce ukraińskie albo rodowód geniusza* (opowieść o Szewczence) wydana w 1966 roku doczekała się niedawno trzeciego wydania.

Równocześnie chciałbym zwrócić uwagę autora i wzrastającej liczbie osób zainteresowanych sprawami polsko-ukraińskimi na inne ważniejsze książki na tematy ukraińskie wydane przeważnie w ostatnich latach w Kraju:

Eryka Lassoty i Wilhelma Beauplana opisy Ukrainy (z XVI i XVII wieku), B. Grekow *Ruś Kijowska* (historia), Ołeś Honczar *Sobór* (zakazana w Związku Sowieckim powieść, tłum. z ukraińskiego K. Truchanowski), Maurycy Horn *Walka klasowa i konflikty społeczne w miastach Rusi Czerwonej w latach 1600-1647*, Elżbieta Hornowa *Ukraiński obóz postępowy i*

jego współpraca z polską lewicą społeczną w Galicji 1876-95, S. Hrabiec *Słownik ukraińsko-polski*, Jewhen Hucało *Jabłka z jesiennego sadu* (opowiadania; tłum. z ukr. J. Jędrzejewicz), Marian Jakóbiec *Literatura ukraińska. Wypisy*, M. Karaś red. *Ukraina — przeszłość i teraźniejszość* (na bardzo ciekawą treść składają się następujące prace: „Środowisko geograficzne Ukrainy", „Ludność Ukrainy", „Struktura ekonomiczna radzieckiej Ukrainy", „Archeologia ziem ukraińskich", „Ukraina w epoce kamienia", „Ukraina w okresie późnolateńskim", „Zarys dziejów Ukrainy", „Język ukraiński", „Zarys dziejów literatury ukraińskiej", „Sztuka średniowiecznej Rusi Kijowskiej i jej związki z Polską w XI-XV w."), Jan Kozik *Ukraiński ruch narodowy w Galicji 1830-48"*, W. Kubicki *Taras Szewczenko wobec polskiego romantyzmu*, T. Lehr-Spławiński *Dzieje języka ukraińskiego w zarysie*, Ryszard Łużny *Pisarze kręgu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej a literatura polska*, Andrzej Nowakowski *Górne Pobuże w wiekach VIII-XI*, J. Parednia *Stanowisko Rzeczypospolitej szlacheckiej wobec sprawy Ukrainy na przełomie XVII i XVIII w.*, Leszek Podhorodecki *Sicz Zaporoska* (historia kozaków), Władysław Serczyk *Koliszczyzna*, Władysław Serczyk *Hajdamacy*, L. Sorochtej *Sprawa ukraińska w Polsce a rząd Władysława Grabskiego*, Iwan Szapało *Odkrycie skarbów* (praca o Dymitrze Jawornickim, ukraińskim uczonym, historyku, etnografie i archeologu, twórcy muzealnictwa na Ukrainie; tłum. z ukr. F. Głowacka), Antoni Szcześniak *Droga do nikąd* (historia UPA), K. Szwajca *Kijów* (album liczący 300 zdjęć). Ryszard Torzecki *Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy 1933-1945*, Hryhorij Werwes *Tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną* (z dziejów stosunków literackich polsko-ukraińskich; tłum. z ukr. Marian Jurkowski), Elżbieta Wiśniewska *O sztuce pisarskiej Mychajła Kociubyńskiego*, W. Witkowski *Język ukraiński*, Bolesław Włodarski *Polska i Ruś 1194-1340*, Z. Wójcik *Dzikie Pola w ogniu* (o powstaniach kozackich), *Kraków-Kijów (praca* zbiorowa o współpracy w przeszłości Ukraińców z krakowskim środowiskiem kulturalno-politycznym), *Powieść minionych lat* (latopis ruski, przekład i komentarz Franciszek Sielicki), *Przyjaźń bratnich narodów* (o tym co łączy naród polski z ukraińskim), *Z poezji ukraińskiej* (wybór i tłum. z ukr. Tadeusz Hollender).

Są to tylko wybrane pozycje książkowe nie uwzględniające licznych prac na tematy ukraińskie drukowanych w wielu specjalistycznych wydawnictwach. Czy to doprawdy tak mało, aby twierdzić, że niewiedza w Polsce o narodzie ukraińskim jest niebywała?

Przy sposobności chciałbym wspomnieć, że otrzymałem niedawno numer styczniowy (198) *Panoramy Polskiej* (dawniej *Nasza Ojczyzna)*. Na jej tylnej okładce jest kolorowe zdjęcie pierwszego całkowicie odbudowanego fragmentu Zamku Królewskiego w Warszawie — Biblioteki Stanisławowskiej. Wnętrze jej jest puste, gdyż brak w niej szaf i książek królewskich o których pisała Maria Danilewiczowa *(Kultura,* lipiec-sierpień 1971) i które są bezprawnie przetrzymywane w Kijowie. Jest to jeszcze jeden dowód na to, że odbudowa Zamku miała charakter czysto propagandowy.

Z poważaniem,

Marian KAŁUSKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Autor artykułu „Nocne rodaków rozmowy" *(Kultura* nr 6/309, str. 17) napisał m.in.:

„Starzy komuniści do dziś powtarzają apokryficzne słowa Lenina, wysyłającego wojska na polską kampanię, że trzeba będzie 'Polskę po-

macać bagnetami', by przekonać się, czy nie uda się 'problemu polskiego" załatwić zgodnie z rosyjską racją stanu".

By czytelnicy *Kultury* nie pozostali w błędzie, pozwolę sobie na sprostowanie.

Powyższe słowa Lenina nie są znane — nawet „starym komunistom". W czerwcu 1920 roku, gdy rozwijała się sowiecka „kontrofensywa", a wojska polskie zaczęły się szybko cofać, powiedział Lenin w gronie swych współpracowników:

— *Nada Giermaniju proszczupat' sztykom* (Należy Niemcy pomacać bagnetem).

Lenin wychodził z założenia, że w Niemczech narasta „sytuacja rewolucyjna". Dotarcie Armii Czerwonej do granic Niemiec i „namacanie bagnetem" w postaci „pomocy rewolucyjnemu proletariatowi" mogłoby spowodować rewolucję, która miała „ocalić rewolucyjną Rosję" przed kontrrewolucją i interwencją. W ten sposób wojna z Polską, zdaniem Lenina, przekształca się z „wojny obronnej" i „wojny narodowej" w obronie przed cudzym najazdem w „wojnę rewolucyjną". Jest to rzecz powszechnie wiadoma.

Członek KC KPRP Domski, przebywający wówczas w Berlinie, napisał nieco później (ale w toku wojny) artykuł, który w oględnej formie wypowiedział się przeciw wkroczeniu wojsk sowieckich na ziemie polskie i w domyśle przeciw dalszym koncepcjom Lenina. Wobec powyższego oraz oburzenia opinii światowej i wielu działaczy komunistycznych, rozwinęła się po porażce wojennej kampania obrony stanowiska Lenina (bez wymieniania jego nazwiska jako inicjatora tych planów) na łamach *Kommunisticzeskij Internacjonał* i innych czasopism. Zabrał głos nawet „półoficjalnie" Bucharin oraz Zinowiew (przewodniczący Kominternu) i inni.

Informacja o tej wypowiedzi Lenina pochodzi od Krestyńskiego.

Słowa Autora: „ ... by przekonać się, czy nie uda się 'problemu polskiego' załatwić zgodnie z rosyjską racją stanu", nie są słowami Lenina, lecz domysłem Autora.

Łączę wyrazy poważania,

Aleksander LITWIN

◆

Rzym, 7 maja 1973.

Szanowny Panie Redaktorze,

Numer kwietniowy 1973 roku *Kultury* (nr 4/307) przeczytałem jak zawsze z zainteresowaniem, szkoda tylko, że tym razem z pewnymi zastrzeżeniami z powodu notatki: „Litewskie skargi". Nie mogę ukryć zdziwienia, że władze kościelne polskie w rejonie suwalskim od lat ignorują słuszne żądania ludności litewskiej uznania jej prawa do zaspokojenia potrzeb religijnych w języku litewskim. Sytuacja ta jest tym mniej zrozumiała, że dzieje się to pod reżymem komunistycznym, mającym na celu zniszczenie Kościoła Katolickiego. Na zakończenie „Litewskich skarg" *Kultura* niestety nie tylko nie poświęciła ani słowa temu istotnemu aspektowi zagadnienia, ale sformułowała pod adresem Litwinów zarzut „pasji litewszczenia", „obsesyjnej obawy polonizacji" w kwestii nazw miejscowości i nazwisk. Zarzut ten jest bezpodstawny, bo chodzi tu nie o pasję, czy obsesję, lecz o jedną z właściwości języka litewskiego, na skutek której do nazwisk obcych (z pewnymi wyjątkami jak np. Pompidou) dodaje się końcówki litewskie, jak np. Hitleris, Stalinas, Solżenicynas. Chyba nie dla zlitewszczenia tych nazwisk? Jeżeli byłaby to pasja Litwinów, to trzeba przyznać, że i Polacy spolszczają nazwiska obce. W *Kulturze* spotykamy takie formy jak „punkty Wilsona" lub „powoływanie się na Monteskiusza". W archiwach kościołów litewskich

są tysiące aktów ślubów, chrzcin i zgonów, w których Zwirblis raptem stawał się Wróblewskim, Poskus — Paszkiewiczem, Matulaitis — Matulewiczem itp. W jakim celu te nazwiska były spolszczone?

Co do miejscowości, to i Polacy używają nazw spolszczonych, jak Paryż, Rzym, Lipsk, tak jak Litwini mówią Paryžius, Berlynas, Londonas. Tym więcej jest naturalne, że Litwini na ziemiach, które zamieszkują od wieków, nazywają swe posiadłości po litewsku: Punskas, Prienai, Vygriai.

Tak więc przedstawia się w rzeczywistości kwestia poruszona przez *Kulturę* i skomplikowana przypisywaniem nam, Litwinom, rzekomych kompleksów. My ich nie mamy. Spotykamy natomiast, jak widać, wciąż jeszcze, komplikacje ze strony polskiej. I tu ja chcę odpowiedzieć na pytanie postawione przez *Kulturę:* „jak długo naród litewski może pozwolić sobie na wykreślenie ze swej historii 500 lat współżycia z Polską?" Moim zdaniem nie trzeba tego dalekiego okresu przeszłości wykreślać, trzeba tylko traktować go jako przedmiot badań naukowych, historycznych, socjologicznych itp., ale nie jako element w stosunkach teraźniejszych. W tych stosunkach konkretnych i aktualnych, takich jak fakt sąsiedztwa i analogii interesów w dążeniu do odzyskania niepodległości obu krajów i traktować nas jak gdybyśmy byli Norwegami, Duńczykami lub Estończykami. W taki sposób można byłoby uniknąć nieporozumień, które dotąd niestety dość często się powtarzają.

Łączę wyrazy poważania,

Wincenta ŁOZORAITIS

Nie sądzimy aby było celowe kontynuowanie dyskusji. Swoje stanowisko wyłożyliśmy w liście prywatnym do p. Łozoraitis. Widocznie nasze argumenty były mało przekonywujące. — Redaktor.

◆

Drogi Panie Redaktorze, Rzym, 11 czerwca 1973.

Z dobrze poinformowanych i życzliwych kół zwrócono mi uwagę na pewną nieścisłość jaka zakradła się do mego tekstu („Kościół po rewolucji grudniowej", *Kultura*, nr 4, str. 46) w części dotyczącej grupy „ZNAK". Otóż jest tam passus, który brzmi następująco: „Zespół *Tygodnika Powszechnego*... zamierza wycofać reprezentację 'ZNAK-u' z sejmu po upływie bieżącej kadencji...". W rzeczywistości passus ten powinien brzmieć: „... zastanawiał się już czy nie wycofać...". Prostuję ten punkt w trosce o ścisłość przedstawionych faktów i solidność opartej na nich analizy.

Równocześnie doszły mnie (z kół emigracyjnych) zastrzeżenia na temat mego rzekomego „ataku" na Radio 'Wolna Europa' (Korespondencja z Rzymu, *Kultura* nr 5, str. 53). Wymaga to zasadniczego sprostowania. Nie chodzi o żaden „atak", ale o krytyczną uwagę wypowiedzianą przez członków polskiego episkopatu w odpowiedzi na jedno z postawionych im pytań. Nie ma potrzeby, wydaje mi się, stwierdzania przy tej okazji że niżej podpisany na równi z ogromną masą słuchaczy tej rozgłośni w kraju i na emigracji, nie kwestionuje bynajmniej zasług i pozytywnej roli Radia 'Wolna Europa' w dziedzinie informacji. Funkcja tej instytucji jako ośrodka informacyjnego cieszy się powszechnym uznaniem. W omawianym przypadku nie chodzi jednak o informację, ale o wejście na teren przekraczający statutowe ramy tej instytucji, tzn. o zajmowanie *parti pris* w sprawach nie opartych na faktach, lecz na stronniczych ocenach frakcyjnych. Jest to akcja typu propagandowego, jak się okazuje, nieraz niebezpieczna, bo prowadzi do bałamucenia opinii publicznej. W omawianym przypadku (zwalczanie posła

Zabłockiego, oskarżanego o działalność rozłamową i przeciwstawianego posłowi Stomma) audycje tej rozgłośni nie spełniają funkcji informacyjnej, ale właśnie doraźnie propagandową i w dodatku dezinformującą. Wychwalany przez rozgłośnię poseł Stomma stracił zaufanie własnego środowiska w ostatnich latach „gomułkowszczyzny" i uratował mandat tylko dzięki wstawiennictwu trzech przyjaciół z *Tygodnika Powszechnego*. Stomma skompromitował się jako katolicki działacz już w latach 1962-65 dając się użyć jako narzędzie w dywersyjnej akcji przeciwko episkopatowi za granicą, co jest znane zespołowi Radia 'Wolna Europa'. Jako polityk zdyskredytował się natomiast do reszty w ostatnich dwóch latach rządów Gomułki, kiedy inspirowany przez tow. Kliszko, najbliższego powiernika tegoż Gomułki i nadzorcę spraw kościelnych, narzucał grupie „ZNAK" wiernopoddańczą linię. W październiku 1970 roku, podczas pobytu w Rzymie, stwierdził że widzi jedyną alternatywę ocalenia dla kraju: popieranie linii politycznej Gomułki! Jeszcze na tydzień (!!!) przed wybuchem grudniowej rewolty stoczniowców próbował lansować projekt złożenia przez grupę „ZNAK" deklaracji solidaryzującej się z Gomułką i jego ekipą! Zwalczany natomiast przez Radio 'Wolna Europa' z uporem godnej lepszej sprawy, poseł Zabłocki, wbrew zaleceniom „mądrego męża" Stommy (na tym tle właśnie doszło do „rozłamu" w łonie tej grupy) uważał, że lepsza jest jakakolwiek alternatywa byle tylko skończyć z „zastęchłą kałużą gomułkowszczyzny". Chodziło mu, podobnie jak wielu intelektualistom i w ogóle niezależnym ludziom w kraju, o wyjście ze stanu immobilizmu politycznego, a nie o udzielanie poparcia Moczarowi i partyzantom, co imputowała 'Wolna Europa', dając posłuch stronniczym i politycznie głupawym „informatorom" krajowym. Należy mieć nadzieję, że kierownictwo rozgłośni polskiej sekcji Radia 'Wolna Europa' wyciągnie wnioski z tej lekcji i powstrzyma się na przyszłość od lekkomyślnego rozdawania pochwał i nagan — inaczej tego rodzaju beztroskie nowinkarstwo będzie kończyć się fiaskiem, podważając niepotrzebnie autorytet tej tak skądinąd użytecznej placówki.

Dominik MORAWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Jedną z cech emigracji jest — niestety — zupełny brak humoru. Grażyna Nowak w swych doskonałych „Listach z Londynu" zajęła się omówieniem wszystkich dziwactw i śmiesznostek emigracji londyńskiej co zostało przez wielu ludzi potraktowane jako „szarganie świętości". Pan K. Korniłowicz dopatrzył się w tych felietonach zniewagi sztandarów wojskowych nie chcąc zauważyć że p. G. Nowak pisała nie o bojowych sztandarach, otoczonych słuszną legendą, ale o „fabrykowaniu" sztandarów w ileś tam lat po wojnie.

Pan Krzeczunowicz rycersko przysłał nam kopię swego listu do *Tygodnia Polskiego* w Londynie przed jego wydrukowaniem, wyrażając w liście przypuszczenie że p. Nowak jest protegowaną J. Mieroszewskiego co tłumaczyłoby wszystko.

Pani Wanda J. z Anglii uważa, że te felietony powinny się ukazywać w prasie PRL a nie w *Kulturze*, którą dotąd ceniła.

Pan T. T. z Hadelslider (Szwecja) broni „Ogniska", gdzie spotykał jedynie „normalnych ludzi, nad którymi wisi tragizm losu i obce środowisko".

Pp. St. P. (Wenezuela) przypuszczają, że zgryźliwość p. Grażyny Nowak wynika z jej ciężkich warunków materialnych lub pobytu na Syberii czy w obozach koncentracyjnych — **i są gotowi jej pomóc.**

Z Jerozolimy otrzymaliśmy miły list w obronie czosnku, który autorce i jej rodzinie pozwolił przeżyć ciężkie, głodowe lata okupacji.

Przyjaciel pisma z New Yorku wyraża obawę czy te „Listy nie spowodowały spadku prenumerat w Wielkiej Brytanii i czy redaktor *Kultury* może spokojnie jechać do Londynu nie licząc się z reakcją wzburzonych rodaków. Przytaczamy głosy bardziej charakterystyczne.

Byłoby żenujące dla redaktora i znakomitej większości Czytelników *Kultury* tłumaczenie, że samozadowolenie nie jest najlepszą metodą i że p. Grażyna Nowak w swej pasji i krytyce ma antenatów wśród największych nazwisk naszej literatury. „Listy z Londynu" będą się nadal ukazywały.

REDAKTOR

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Aleksander Grzonka, Gossau (Szwajcaria), po raz dwudziesty pierwszy ..... F. 70,00

Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dwudziesty ..... F. 100,00

Nina Sereda, Montreal (Kanada), po raz trzydziesty szósty .. F. 75,00

DZIĘKUJEMY!

Dla skompletowania zbiorów poszukiwany jest nr 4 *Kultury* z roku 1947. Zgłoszenia wraz z podaniem ceny prosimy kierować na adres Redakcji.

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 3e Trimestre 1973.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW. 2000, tel. 212-2013	$ A 1,50	$ A. 9,00	$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18-69-23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rue Guiara 143, villa Pompeia, 05025 Sao Paulo. Tel. 62-0523	$ US 2,00	$ US. 11,00	$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 486-2839; **B. Krasuski,** 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. **Donald Malinowski,** 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man.; Tel. 586-3825; **Z. Micherdzinski,** 24, Facer St., St. Catharines, Ontario; **Henryk Slowikowski,** 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S OP4; **Polish Voice Publishing » Co.,** 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; **« ZWIAZKOWIEC »,** 1475 Queen Str. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	$ Can. 2,00	$ Can. 11,00	$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	LM. 6,00	DM 35,00	LM. 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **Maria E. Dobrowolska,** 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; **Ch. M. Kretowicz,** 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, **M. Kosciuch,** 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; **Polish Book Store,** 1002 Fanshawe St., Philadelphia, Pa. 19111; **Edward Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **The Polish Book Importing Co.,** 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. **POLONIA,** Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. **R.J. Sas-Babczynski,** 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellfower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; **Jan Wojcik.** 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053	$ US 2,00	$ US 11,00	$ US 20,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy).*

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 229 — SERIA „DOKUMENTY"
ZESZYT 40-ty

WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W PRL

zawiera: *L. Czuma: Do Rady Państwa PRL* — Apel z poparciem prymasa Wyszyńskiego i kardynała Wojtyły. — *Ostatnie słowo Leona Zawadzkiego.* — Stanisławy Reymann: *List Otwarty do Angeli Davis.* — *Opinię biegłego — Tadeusza Zaręby.* — *Postanowienie prokuratora Wiesławy Bardonowej.*

Str. 64. Cena F. 7 (dol. 1,60; £. 0.70)

◆

TOM 230 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY CZWARTY

zawiera m.in.: *Spór o wydarzenia marcowe;* P. Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (IV);* A. Litwina: *O Radach Robotniczych;* St. Stempowskiego: *Z pamiętnika* (dok.); *Protokoły KC — 1945;* W. Babińskiego: *Wymiana depesz między Nacz. Wodzem a D-cą Armii Krajowej* (II); Z. S. Siemaszki: *Misja kuriera politycznego Mostwina* oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 20 (dol. 4,50; £. 1,70)

◆

TOM 231 — GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Nowa forma impresji literacko-politycznych.

Str. 192. Cena F. 22 (dol. 5,50)

◆

TOM 232 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYTY DWUDZIESTY PIĄTY

zawiera m.in.: Wł. Żeleńskiego: *Zabójstwo ministra Pierackiego;* Z. S. Siemaszki: *Rozmowy z kpt. Szabunią;* R. Buczka: *Tragedia Ryszarda Świętochowskiego;* Pawła Korca: *Materiały do studiów nad historiografią PRL w zakresie historii najnowszej (V)* (dokończenie); Wł. Babińskiego: *Wymiana depesz między Naczelnym Wodzem a D-cą Armii Krajowej* 1943-1944 (Cz. III).

Zeszyt 25 ukaże się zgodnie z zapowiedzią w sierpniu br.

Str. 240. Cena F. 20 (dol. 5,00)

Cena 14 F

RICHARD S.A. - Paris - 606-88-26